

**LORENZO CARCATERRA**

# **APACZE**

**TLUMACZYŁA MALGORZATA HESKO-KOŁODZIŃSKA**

**ZYSK I S-KA WYDAWNICTWO**

**TYTUŁ ORYGINAŁU APACHES**

Wszystkim upadłym

## PODZIĘKOWANIA

Niniejsza książka nie powstałaby bez pomocy i wsparcia wielu osób. Oto zaledwie część z nich:

Peter Gethers, który ponownie udowodnił, że jest wspaniałym redaktorem. Jak się przekonałem w trakcie pisania książki, jest również niezwykle cierpliwy i ma nie najgorsze poczucie humoru. Żaden pisarz nie mógłby marzyć o lepszym wydawcy i przyjacielu niż Clare Ferraro. Chylę też czoło przed resztą moich kumpli z gangu Ballantine'a: Lindą Grey, Alberto Vitalem, Sally Marvin (zapomnij o Big Macach) oraz Nate Penn.

Zawsze żywiłem szacunek wobec Loretty Fidel i tym razem również się nie zawiodłem. Amy Schiffman, Rob Carlson i Carol Yumkas są świetnymi agentami i rewelacyjnymi przyjaciółmi. Ogromne podziękowania kieruję do Jake'a Blooma i Roberta Offera, którzy zabrali mnie ze sobą na przejażdżkę, a także do Barry'ego Kinghama za to, że przy mnie był.

Gorąco dziękuję Jerry'emu Bruckheimerowi, Susan Lyne, Jordiemu Rosowi, Donaldowi De Line'owi oraz Joe Rothowi za zaangażowanie, a Christy Callahan i Christian McLaughlin za pomoc.

Jestem wdzięczny Johnowi Mannielowi za wszystko, co uczynił dla mojej rodziny. Serdeczne podziękowania należą się też Ste-ve'owi Collurze - zobaczymy się w Toscanie - oraz Sonny'emu Grossowi, najlepszemu gliniarzowi, jaki kiedykolwiek służył w nowojorskiej policji, i przyjacielowi na całe życie. Ja stawiam następnego Ferneta.

Dziękuję też Liz Wagner, Leah Rozen, Williamowi Diehlowi, Stanowi Pottingerowi, panu G., bratu Anthony'emu. Hankowi Galio i Joe Lisiemu za cierpliwe wysłuchiwanie mnie przez telefon.

Vincent, Ida i Anthony - dziękuję wam za znakomite posiłki i mile spędzone wieczory.

Dziękuję Susan, dzięki której moje teksty czyta się lepiej, niż na to zasługują. W zamian ma jedynie moją miłość. Nie mógłbym oczywiście zapomnieć o Kate, która bez słowa pozwala sobie kraść najlepsze historie, i o Nicku, który mnie rozbawia.

Wszyscy oni nauczyli mnie kochać.

## PROLOG

Matka jęczała! Ojciec łkał Straszny był świat, gdzieś susa da Nagi, bezbronny, z cienkim krzykit Jakbym zza chmury był diablikiem William Blake, Smutek nowi (tłum. J( Osiemnasty lutego 1982

Carlo i Annę Santori najbardziej ze wszystkiej zostać sami.

Zaplanowali ten weekendowy wypad już pół roku po piętnastoletniej przerwie. Żadnych dzieci, żadnych żadnej pracy, tylko muzyka, taniec i odrobina romansi Jersey.

Zostawili piętnastoletniego syna, Anthony'ego, kti zająć domem i dwunastoletnią siostrą, Jennifer. Uważ; ci są wystarczająco duże, żeby można im było zaufać i chwilę wytchnienia od trybów codziennej rodzicielsl Carlo zaopatrzył Anthony'ego w klucze do domu i wskazówki: nie oddalaj się od okolicy; wychodząc, wł; i zamykaj drzwi; i nigdy nie spuszczaaj oka z Jennifei patrzył na ojca i przyrzekł przestrzegać tych trzech po

Miał jednak własne plany na ten weekend.

Zaledwie dziesięć minut po wyjeździe rodziców sprzed domu Anthony obudził Jennifer z głębokiego snu i kazał się jej przygotować. Mieli dwie godziny, żeby złapać autobus jadący na Manhattan i spędzić sobotę w mieście, o którym rodzice mówili, że nie wolno mu ufać.

Anthony pragnął wyrwać się z domu niemal tak mocno, jak Carlo i Annę. Był nastolatkiem i bardzo chciał się przekonać, jak smakuje dzień bez rodziców, bez zasad, z kieszeniami pełnymi zaoszczędzonych pieniędzy. A to wszystko zaledwie godzinę drogi od New Jersey. Pozostało mu jedynie namówić na to Jennifer.

Protestowała, gdy pierwszy raz opowiedział jej o planie, i ledwie zdołał ją skłonić, żeby nie zdradziła sekretu. Jennifer obawiała się, że coś pójdzie nie tak jak trzeba, wierzyła we wszystkie zasłyszane przerażające opowieści. Milczała jednak, obejmując mocno pluszowego Kermita, pewna, że Anthony obroni ją i nie pozwoli, żeby stało się coś złego.

Pewna, że przy nim nic jej nie grozi.

Jennifer była wątłą dziewczynką o drobnej, upstrzonej piegami twarzy. Jak najszybciej chciała przekroczyć granicę pomiędzy zbliżającym się okresem dojrzewania a wczesną dorosłością. Na biały podkoszulek nałożyła dzinsową koszulę marki Gap, do tego wciągnęła obcisłe jasne dzinsy i czerwone trampki. Czarne kosmyki włosów niemal sięgały kącików jej oczu.

- Naprawdę powinniśmy to robić?

- Zostań w domu, jeśli się boisz - rzucił Anthony, wychodząc z jej pokoju.

- Nie boję się - odparła natychmiast Jennifer.

- No to się przygotuj - powiedział Anthony. - I nie zapomnij swoich pieniędzy.

Zeszli z pochylego wzgórza, po lodzie, kurzu i mokrych liściach, które przyklejały się im do butów. Jennifer schowała dłonie w kieszeniach płaszcza. Na ramiona zarzuciła plecak z portmonetką, Kermitem i szczotką do włosów. Anthony krył twarz przed podmuchami lodowatego wiatru, który hulał pomiędzy drzewami. Szli w milczeniu, oboje podnieceni perspektywą zrobienia czegoś zakazanego.

Anthony przytrzymał drzwi sklepu naprzeciwko przystanku autobusowego. Gdy Jennifer weszła do środka, chłopiec zerknął na zegarek.

- Dziesięć minut - powiedział. - Kup, czego ci potrzeba, i przyjdź do mnie na przystanek.

Autobus odjeżdżał o jedenastej cztery.

Anthony zapłacił odliczoną sumę pieniędzy za bilety w jedną stronę. Rodzeństwo przeszło na tył autobusu i zajęło dwa wolne miejsca cztery rzędy od starszej pary, okutanej w puchowe płaszcze. Anthony rozpiął skórzaną kurtkę i rozsiadł się w fotelu. Gęste, czarne loki chłopca opadały na zniszczone oparcie. Zamknął oczy, gdy autobus przejeżdżał obok drobnych sklepików, budek z hamburgerami i komisów samochodowych, kierując się na najszybszy pas autostrady, która wiodła ku ulicom Nowego Jorku.

- Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę sklepy - powiedziała Jennifer. Herbata w styropianowym kubku w jej dłoni była już całkiem zimna.

- Rozejrzymy się trochę - mruknął Anthony, wciąż nie otwierając oczu. - Zapoznamy się z tym miastem.

- Będzie tłok?

- To Nowy Jork. - Odwrócił głowę do okna. - Tam zawsze jest tłok.

- Wrócimy do domu przed nocą?

Anthony nie odpowiedział, uśpiony monotonnym kołysaniem autobusu.

- Mam nadzieję, że wrócimy przed nocą - wyszeptła do siebie Jennifer Santori.

Autobus wjechał na górny poziom nowojorskiego dworca autobusowego, Port Authority, o jedenastej pięćdziesiąt sześć, trzy minuty po czasie. Jennifer potrząsnęła ramieniem brata, chcąc go obudzić.

- Od czego zaczniemy? - zapytała, zapinając kurtkę.

- Znajdziemy ubikację - odparł Anthony.

Trzymał Jennifer za rękę, gdy przedzierali się przez gęsty tłum, i wciąż powtarzał siostrze, żeby się nigdzie nie oddalała. Żeby czekała tam, gdzie on ją zostawi.

Żeby z nikim nie rozmawiała.

Żeby się na nikogo nie gapiała.

Anthony popchnął drzwi męskiej toalety, która znajdowała się naprzeciwko baru samoobsługowego. Zostawił Jennifer tuż obok wejścia, wymierzył w nią palcem i jeszcze raz powtórzył, żeby się stąd nigdzie nie ruszała.

Odpowiedziała mu skinieniem głowy.

Wyszedł z toalety po niespełna pięciu minutach.

Spojrzał w lewo i głośno przełknął ślinę, czując, jak oblewa go zimny pot. Anthony Santori stał bez ruchu i zrobił jedyną rzecz, która przyszła mu do głowy. Wykrzyknął imię siostry. I jeszcze raz, i jeszcze raz. Powtarzał je głośno i wyraźnie, tak często, jak potrafił.

Nikt jednak nie odpowiedział.

Uszy chłopca wypełniał szum dobiegających go rozmów. Ludzie zatrzymywali się i wpatrywali w dzieciaka, który w panice wykrzykiwał dziewczęce imię. Nic go to nie obchodziło. Nie oni. Nie to, co myśleli. Nie to, co mówili.

Tylko jedno się liczyło.

Jennifer zniknęła.

Jego jedyna siostra przepadła.

Wchłonęło ją obce miasto.

KSIĘGA PIERWSZA

Nie ma bohatera bez ran.

Przysłowie bułgarskie

1. Grzmot

Giovanni „Grzmot” Frontieri nigdy nie chciał zostać gliną. W Akademii imienia Świętego Bernarda, prywatnej szkole na Manhattanie, którą wybrali mu rodzice, był świetnie zapowiadającym się lekkoatletą. Każdego ranka, jeszcze przed wschodem słońca, wychodził z pozbawionego ciepłej wody mieszkania przy torach, a wracał już po zmierzchu. Zjadał kolację i odrabiał lekcje przy kuchennym stole naprzeciwko schodów pożarowych. Był wzorowym uczniem, nigdy się nie uskarżał na przeładowany program zajęć i miał bardzo wąskie grono przyjaciół.

Swoje dwie młodsze siostry, Angelę i Marię, w zależności od nastroju albo uwielbiał, albo ignorował. Jego starszy brat, Carmine, zdażył rzucić szkołę i pójść w ślady ojca, Johna, czyli zajął się ciężką i dobrze płatną pracą na rynku mięsa. Wzajemne relacje braci można było określić w najlepszym wypadku jako pełne rezerwy.

John Frontieri był surowym człowiekiem, który wzbudzał respekt i skupiał na sobie całą uwagę rodziny. Torsu, zahartowanego przez lata dźwigania

studwudziestokilogramowych ciężarów, mógł mu pozazdrościć każdy kulturysta. John bez wahania potrafił uderzyć w twarz dziecko, które zachowywało się nie po jego myśli, ale nigdy nie uderzył i nie zwymyślał swojej żony, Theresy, ciepłej przysadzistej kobiety, o zmęczonej twarzy dużo starszej osoby.

Wiosną i latem, w niedzielne poranki tuż po mszy o dziewiątej, John Frontieri szybko zmieniał granatowy garnitur na spodnie do pracy, ciężkie buty i sportową bluzę. On i mały Giovanni zabierali sprzęt wędkarski i wybiegali z mieszkania do kolejki, która w dwadzieścia minut wiozła ich do centrum miasta. Tam właśnie po szybkim spacerze docierali nad rzekę, gdzie spędzali cały dzień, brodząc po piachu przy brzegu East River, plecami do mostu na Manhattanie, i łowiąc wszystko, co przyniósł prąd.

To były ich wspólne chwile.

- Jeśli złapię rekina, to będę mógł jutro zostać w domu, zamiast iść do szkoły? - spytał ojca dziewięcioletni Giovanni.

- Złap rekina, a pozwolę ci nie chodzić do szkoły przez miesiąc - odpowiedział John.

- A jeśli złapię węgorza?

- Złap węgorza, a będziesz chodził do szkoły także w weekendy.

Obaj popatrzyli na siebie i wybuchnęli śmiechem. Poranne słońce przeświecało przez przęsła mostu i padało na twarze ojca i syna.

- Zawsze robisz wszystko, żeby nie iść do szkoły, Giovanni - odezwał się John. - Dlaczego?

- Nienawidzę szkoły - powiedział Giovanni.

- To ją rzuć. - Ojciec wzruszył ramionami. - Rzuć ją od razu. Dzisiaj.

- Poważnie?

- Zawsze powinieneś unikać tego, czego nienawidzisz - stwierdził ojciec. - Lepiej zajmij się czymś innym.

- Niby czym?

- Jeśli chcesz, możesz chodzić ze mną do pracy. Harować dziesięć, dwanaście godzin dziennie, przynieść pieniądze do domu. Albo możesz popracować w dokach razem ze swoimi kuzynami. Odbębnić całą czterodniową zmianę i zapisać się do związku zawodowego. Jak ci się to podoba?

- Sam nie wiem, tato - przyznał Giovanni, zarzucając haczyk i nawijając żyłkę na kołowrotek. - To chyba niezbyt zabawne.

- Jeśli chcesz zapomnieć o szkole, zapomnij też o zabawie - odparł John i usiadł na wilgotnym piasku, zaciskając dłonie na wędce.

Giovanni spojrział na ojca, po czym przeniósł wzrok na wodę. Czekał, aż ryba złapie przynętę.

- Ty się dobrze bawisz - powiedział po dłuższej chwili. - A nie chodziłeś do szkoły.

- Jestem robotnikiem - odparł John. - Inaczej wykorzystałbym wolny czas.

- Mama uważa, że powiniennem zostać dentystą - westchnął Giovanni. - Nie wiem dlaczego.

- Chyba podkochuje się w doktorze Tovaldim. - John uniósł twarz ku słońcu. - Kiedy do niego idzie, zawsze się ładnie ubiera i myje zęby.

- A ty czego byś chciał? Kim mam zostać? - spytał Giovanni. - Nigdy nie mówisz.

- To, kim w końcu zostaniesz, zależy wyłącznie od ciebie - powiedział John. - Nie mogę cię poprowadzić. Cokolwiek jednak wybierzesz, nie rób niczego na pół gwizdka, bo w końcu znienawidzisz sam siebie. Daj z siebie wszystko. W ten sposób, pod koniec dnia, już po zachodzie słońca, będziesz wiedział, że zrobiłeś coś na sto procent, i odczujesz satysfakcję. Może nawet dumę.

- A czy ty jesteś ze mnie dumny?

- A idziesz jutro do szkoły? - spytał ojciec. Wstał i otrząsał spodnie z tyłu.

- Tak - odparł Giovanni.

- Więc jestem z ciebie dumny - powiedział John Frontieri.

- A jeśli złapiesz rybę, którą wszyscy zjemy, będę jeszcze bardziej dumny.

Dorastając, Giovanni zaczął marzyć o projektowaniu wielkich budowli w rozmaitych miastach świata. Chciał żyć z dala od czynszówek i kościołów, chciał prowadzić życie, w którym ciężką pracę nagradza się nie tylko solidnym posiłkiem. Był młody i z pogardą przyglądał się produktom swojego otoczenia - staruszkom tęskniącym za zmarłymi mężami, ulicznym budom utrzymywanym dzięki charakterystycznej dla klasy robotniczej słabości do hazardu, kościołowi, oferującemu wiernym pociechę w zamian za milczące cierpienie. Gdy stał się dorosłym człowiekiem, tęsknił za tym utraconym światem, ale na początku swej drogi, w roku 1955, Giovanni Frontieri chciał jak najszybciej wydostać się z tego getta wschodniego Harlemu.

Zabójstwo ojca pokrzyżowało te plany.

W dniu, w którym zginął ojciec Giovanniego, padał deszcz. Jadąc do pracy, John skrzyżował nogi i oparł głowę o siedzenie w trzecim wagonie niemal pustego metra. Dochodziła trzecia nad ranem, gdy pociąg przejechał stację na Dwudziestej Trzeciej Ulicy. Pasażerowie albo śpieszyli się do fabryk, albo wracali do domów po imprezach w śródmieściu. Troje ludzi z tej drugiej grupy, dwaj hałaśliwi mężczyźni i chichocząca kobieta,



usiedli pośrodku wagonu, na lewo od Johna Frontieriego. Mężczyźni byli pijani i ledwie trzymali się na nogach. Wyższy z nich pociągał z półlitrowej butelki Jacka Danielsa, trzymając wolną rękę na kolanie kobiety. W wagonie było duszno, gorące powietrze wydobywało się z urządzeń grzewczych pod siedzeniami.

John Frontieri czytał włoską gazetę i potrzasał głową. Bardziej niepokoiła go przegrana Neapolu z Florencją niż wrogie spojrzenie, które wymienili dwaj mężczyźni po drugiej stronie. Nie widział, jak jeden z nich wstał i sięgnął do skórzanej rączki nad głową. John czytał właśnie o голу, który przepuściła nieudolna obrona Neapolu, kiedy stojący mężczyzna wyciągnął broń i wymierzył w drugiego, który jeszcze pięć godzin wcześniej był jego najlepszym przyjacielem.

W bezlitosnym mieście o życiu człowieka często decyduje jedna chwila. Dla Johna Frontieriego ta chwila przybrała postać motorniczego, który zbyt gwałtownie przycisnął hamulce przed stacją przy Czternastej Ulicy. Siła bezwładności zarzuciła mężczyznę z bronią w kierunku Johnny'ego.

Frontieri miał czterdzieści jeden lat i nigdy w życiu nie opuścił ani jednego dnia pracy. W tamtej sekundzie zrozumiał, że zginie, i przed oczyma pojawiły mu się sylwetki żony i synów.

Kula z rewolweru trafiła Johna Frontieriego w czoło. Tył jego głowy rozprysnął się na mapie metra, a gazeta spadła na podłogę.

Drzwi wagonu się otworzyły.

Kobieta patrzyła na stojącego mężczyznę i cienką smużkę dymu wydobywającą się z lufy rewolweru. Następnie odwróciła się, by spojrzeć na Johna Frontieriego. Opierał się bezwładnie o siedzenie, a gęsta jak błoto krew ściekała po jego piersi. Kobieta potrzasała głową. Łzy napłynęły jej do oczu i krzyknęła głośno.

Giovanni i jego starszy brat pojechali do śródmieścia na identyfikację zwłok ojca. Chłopiec przyglądał się obojętnym wzrokiem, gdy podniesiono białe prześcieradło, by odsłonić martwego mężczyznę, którego kochał najbardziej na świecie. Ojciec

1 syn rzadko ze sobą rozmawiali, jeszcze rzadziej uśmiechali się do siebie. Nie grywali razem w futbol na podwórzu, nie jeździli na letnie wycieczki, nie żartowali ze sobą przy kolacji. Łączyły ich za to miłość i szacunek, zbudowane wokół potężnego muru milczenia, milczenia, które przerywały jedynie niedzielne wyprawy na ryby.

Giovanni Frontieri wyciągnął rękę, ujął zimną dłoń ojca i pocałował ją. Potem się odwrócił i już ani razu nie obejrzał się za siebie. Nigdy nie zapłakał nad tym mężczyzną, ani

w kostnicy, ani na uroczystości pogrzebowej, ani na cmentarzu. Giovanni rozpaczał w inny sposób - taki, jaki spodobałby się ojcu.

Wyrównywał rachunki. \*

Tamtego wieczoru, na tylnym siedzeniu wozu patrolowego, jadąc do domu w towarzystwie zapłakanej matki i dwóch histeryzujących sióstr i zaparowując oddechem szybę, Giovanni Frontieri postanowił zostać gliną. Miał wtedy szesnaście lat.

Z boksterskim impetem przeskoczył z liceum do wojska, a stamtąd do Akademii Policyjnej. Podczas patrolowania ulic nie cierpiał chodzić w mundurze, ale odpowiadała mu praca policjanta. Trzymał się z dala od okolicznych rozrób, wołał większe sprawy. Nigdy nie wypisał mandatu za złe parkowanie, nie czepiał się i nie rewidował ulicznych bukmacherów. Traktował pracującą biedotę nie jak wrogów, lecz ważnych sprzymierzeńców w walce z grubymi rybami, które pływały w pobliskich mętnych sadzawkach narkotyków, morderstw i szantaży.

W listopadzie 1964 roku, w tym samym tygodniu, w którym Lyndon B. Johnson triumfował w wyborach prezydenckich, Giovanni Frontieri przestał nosić mundur i zaczął pracować jako tajniak. Przydzielono go do operacji kontrolowanych zakupów w Harlemie, który na oczach Giovanniego błyskawicznie zamieniał się z przystani dla ciężko pracujących rodzin, żyjących w swych schludnych mieszkaniach, w główną kwaterę uzależnionych od heroiny desperatów. Giovanni nie zwracał uwagi na kolor skóry, wiek, płeć i język. Jeśli ktoś sprzedawał narkotyki na ulicy, to niezależnie od tego, kim był lub kogo znał, Giovanni Frontieri poczytywał sobie za punkt honoru, żeby go usunąć.

Trzy tygodnie po rozpoczęciu pracy w cywilu Frontieri odniósł pierwszy poważny sukces. Dorwał trzech członków narkotykowego gangu Małego Nicky'ego Matthews, przez co bandyci stracili dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów w gotówce i dostali po dwadzieścia lat więzienia. Narkomani na ulicy tęsknili za swoim „towarem”, a handlarze płakali nad stratami. Dodatkowo sytuację zaogniał fakt, że przestępców załatwił zupełnie niedoświadczony gliniarz.

Cztery dni po tej prowokacji pewien handlarz narkotyków, Sammy „Karzeł” Rogers, uznał, że nadszedł czas, aby młody glina dostał nauczkę. Zaoferował dwadzieścia pięć tysięcy dolarów w gotówce temu, kto przyniesie mu jedno z oczu Frontieriego.

- Osobiście nic nie mam przeciwko temu chłopakowi - powiedział Rogers ludziom ze swojego gangu Czarnego Ałasu. - Po prostu potrzebny mi nowy breloczek do kluczy. Poza tym podoba mi się kolor jego oczu. Pasuje do mojego wozu.

Sammy Rogers miał prawie dwa metry wzrostu, duży brzuch, szeroką pierś i imponujące afro na głowie. Nazywano go Karłem, gdyż do roznoszenia narkotyków zatrudniał sześciu karłów. Wysyłał ich od domu do domu, od drzwi do drzwi, z kieszeniami pełnymi torebeczek z heroiną i zwitków banknotów.

- Uwielbiam sposób, w jaki chodzą te skurwiele - powiedział kiedyś. - Łazą po mojej ulicy jak jakieś pieprzone roboty. Zanim ich dojrzysz, już zdążą cię minąć. Gliny nie lubią się ich czepiać. Podle się wtedy czują.

Karzeł stał przed swoim barem, La Grandę, na rogu Sto Dwudziestej Trzeciej i Amsterdam, kiedy w pobliżu zaparkował Giovanni Frontieri. Giovanni był potężnie zbudowany i muskularny, jak jego ojciec. Miał czarne gęste włosy, wyraziste regularne rysy i cienką bliznę nad prawym okiem. Mówił silnym, lecz spokojnym głosem, nigdy nie krzyczał, nawet w trakcie nalotu. Jego pierwszy partner nazwał go „Grzmotem” i tak już zostało.

Giovanni wysiadł z samochodu i podszedł do handlarza, zatrzymując się zaledwie o parę centymetrów od niego.

Karzeł popatrzył na swoich ludzi, a następnie przeniósł spojrzenie na Grzmota. Musiał wyglądać na rozluźnionego, inaczej straciłby twarz. Jakakolwiek oznaka niepewności w obliczu policjanta mogłaby sprawić, że uzbrojeni ochroniarze Karła doszliby do siebie tylko znanych wniosków i w rezultacie pomogli pracodawcy przenieść się na tamten świat.

- Czego tu chcesz? - spytał Karzeł. - Nie czuję się samotny.

- Dwadzieścia pięć patyków - powiedział Grzmot. - Sporo jak za jedno oko.

- Sprzątnąłeś mi interes - odparł Karzeł. - Kosztowałeś mnie sporo forsy.

Grzmot sięgnął do kieszeni skórzanej marynarki i nie spuszczając oczu z Karła, wyjął z niej czarny nóż sprężynowy. Otworzył go kciukiem i rzucił Karłowi, który złapał go niezłomnie w obie dłonie.

- Sam je weź - powiedział Grzmot.

- Co weź?

- Moje oko - odparł Grzmot. - Masz tu nóż i je weź. Tutaj. Przy swoich ludziach.

- Zwariowałeś. - Karzeł cofnął się o dwa kroki. - Jeśli robisz coś takiego, to musisz mieć pierdolca.

- Weź moje oko - powtórzył Grzmot spokojnym głosem, po czym wyjął papierosa z kieszeni koszuli. - To twoja jedyna szansa.

- A jeśli tego nie zrobię?

- To wylecisz z interesu. - Grzmot przypalił papierosa srebrną zapalniczką ojca. - Wszystko jedno, dokąd pojedziesz albo do której części miasta przeniesiesz to gówno. Jeśli jednak kiedykolwiek cię tu zobaczę, zastrzelę cię na miejscu.

Karzeł stał bez ruchu i nic nie mówił.

Grzmot uśmiechnął się i skinął głową, jak gdyby przed chwilą wymieniali uprzejme uwagi na temat pogody, po czym włożył ręce do kieszeni i powoli się odwrócił. Podeszedł do swojego czarnego plymoutha i ponownie spojrzął na Karła.

- Zatrzymaj nóż - uśmiechnął się z papierosem w kąciu ust. - I ciesz się tym, co ci jeszcze zostało z życia.

Grzmot Frontieri usiadł za kierownicą auta, uruchomił silnik, wrzucił pierwszy bieg i wyjechał na ulice Harlemu, podczas gdy w radio Sam Cooke śpiewał It's Ali Right.

Spędził w służbie osiemnaście lat i szybciej niż ktokolwiek w historii wydziału zdobył najwyższe odznaczenie, na jakim mu zależało, złotą odznakę detektywa. Przez te wszystkie lata pracy z różnymi partnerami Grzmot Frontieri zaaresztował więcej przestępców niż którykolwiek inny nowojorski glina. Praca pochłaniała go całkowicie - żył nią i ją uwielbiał. Nigdy się nie ożenił, nie chciał zakładać rodziny. Kula, która zabiła jego ojca, sprawiła, że matka Giovanniego co dzień zasypiała z płaczem.

Grzmot był policjantem, wiedział, że jego kula może pojawić się w każdej chwili. Nie chciał nikogo zostawić.

Zredukował swoje przyjemności do minimum. Codziennie rano przebiegał po dwadzieścia kilometrów na długo przedtem, nim stało się to modne. Nigdy nie wykręcał się od tego biegania. Podczas całodobowych patroli zawsze znajdował czas, żeby wskoczyć do auta, przebrać się w dres i trochę pobiegać.

- Co mam zrobić, jeśli wyjdą wtedy, gdy ciebie nie będzie? - spytał go kiedyś jego nowy, zaskoczony partner.

- Po to ci dali odznakę i broń, żebyś sobie poradził - odparł Grzmot.

- Domyśla się, że jesteś gliną - jęczał jego partner. - Jak tylko wyjdiesz z wozu, domyśla się.

- Już wiedzą, że jestem gliną - odpowiedział Grzmot. - Cały dzień sterczę przed ich domem.

- Sam ich nie zgarnę.

- Wróć, kiedy będziesz mnie potrzebował. - Grzmot ruszył przed siebie.

- Jak się domyślisz? - spytał go partner. - Będziesz wiele kilometrów stąd.

- Usłyszę twój wrzask. - Grzmot skrzyknął za róg i pobiegł.

Brzemie, które dźwigał Grzmot Frontieri, z biegiem lat stawało się coraz cięższe. Wciąż czuł na sobie oddech śmierci. Zabrała tak wielu ludzi z jego otoczenia, od partnerów, poprzez członków rodziny, aż do kolegów z ulicy, ale z nim tylko się bawiła, wodząc go na skraj przepaści, a następnie zrzucając go na siatkę asekuracyjną pełnego niebezpieczeństwa życia.

Kiedy matka Giovanniego zmarła na zawał w nowojorskiej klinice, Grzmot spał na brzuchu w szpitalu po przeciwnej stronie miasta, a nerwowy stażysta zakładał trzydzieści sześć szwów na jego grzbiecie, zaszywając ranę zadaną przez naćpanego alfonsa. Najmłodsza siostra Grzmota, Maria, na miesiąc przed swoimi trzydziestymi urodzinami zginęła, przechodząc przez ulicę. Pijany kierowca uderzył ją tak, że odbiła się od maski samochodu, przebiła zasuniętą roletę w oknie baru i wpadła do środka. Grzmot poszedł na jej pogrzeb o kulach, gdyż połamał kostki, spadając ze schodków pożarowych na wysokości pierwszego piętra. Jego brat Carmine w wieku trzydziestu jeden lat przeszedł poważny atak serca i zamieszkał w Bellmore na Long Island, gdzie utrzymywał się ze skromnej renty. Grzmot spędzał z nim sporo czasu, a pustka w życiu brata jeszcze bardziej podsycala jego własną żądzę czynu.

Na siedmiu partnerów Grzmota trzech zginęło podczas służby, wszyscy u jego boku.

Większość policjantów dochodzi do emerytury, nawet nie sięgając po broń. Grzmot do takich nie należał. Traktował swoją pracę w kategoriach etycznych. Dla niego to była walka o ziemię. Handlarzy narkotyków postrzegał jako obcych najeźdźców - im więcej z nich padło, tym bezpieczniejszy był zwykły człowiek, który chodził do pracy i starał się utrzymać rodzinę.

Prawdę mówiąc, Grzmot lubił ten taniec ze śmiercią. To właśnie sprawiało, że należał do najgroźniejszego rodzaju policjantów - takich, którzy nie liczą na to, że dożyją emerytury. W ciągu całej swojej kariery Grzmot brał udział w czternastu poważnych strzelaninach, sześciu walkach na noże i setkach ulicznych bójek. Kiedy ostrzelano mu auto z karabinów maszynowych, siedział w swojej ulubionej włoskiej restauracji i zjadał talerz makaronu z sosem.

- Będziesz tu tak siedział i pozwalał niszczyć twój samochód? - zapytała dziewczyna, z którą się wtedy umówił, Andrea, ciemnowłosa pani detektyw, pracująca w brooklyńskim wydziale daktyloskopii.

- To już nie jest mój samochód. - Grzmot przetarł talerz kawałkiem włoskiego pieczywa. - Przedwczoraj sprzedałem go Pete'owi Lucasowi.

- I co mu powiesz?

Grzmot wypił łyk czerwonego wina i popatrzył przez szybę na to, co do niedawna było błyszczącą impalą.

- Żeby nadal płacił raty za ubezpieczenie - odparł.

Grzmot mieszkał w schludnym, dwupokojowym mieszkaniu na pierwszym piętrze trzypiętrowego budynku na zachodniej Osiemdziesiątej Czwartej, pomiędzy Columbus a Amsterdam. W pokoju gościnnym Grzmota znajdowało się niewiele mebli - jedynie zniszczona niebieska kanapa, dwa ciemnożółte krzesła i marmurowy stolik do kawy. Dwudziestojednocalowy telewizor stał w sypialni, podobnie jak zestaw stereo. Olbrzymia kolekcja płyt, głównie jazzu, bluesa i nagrań Sama Cooke'a zajmowała lewą ścianę pokoju gościnnego. Oprawione w ramkę zdjęcie Rocky'ego Marciana, nokautującego Jersey'a Joe Walcott'a podczas walki o tytuł mistrza wagi ciężkiej w 1952 roku, wisiało nad kominkiem. Na biurku w przedpokoju stała mała figurka Najświętszej Marii Panny, подарowana Grzmotowi przez matkę.

Kuchnia była dobrze zaopatrzona, choć Grzmot rzadko przebywał w domu na tyle długo, żeby przygotować sobie posiłek. Warzywa i owoce kupował nieopodal domu, ale po ryby jeździł aż na targ w Fulton, po mięso zaś do Murraya na Czternastej Ulicy. Tam stary Hirsch osobiście odkrajał mu żeberka i mięso na kotlety, po czym zawijał je w papier. Murray Hirsch był szefem i najbliższym przyjacielem ojca Grzmota. Obaj emigranci, pochodzący z zupełnie odmiennych środowisk, usiłowali zacząć nowe życie w nowym kraju. Ilekroć Grzmot widział Murraya, zawsze miał wrażenie, że Hirsch tęsknił za jego ojcem równie mocno jak on sam.

Grzmot spotykał się z różnymi kobietami i wiązał się z nimi na tyle długo, by je polubić, ale nie na tyle, żeby pokochać. Niektóre były policjantkami, dwie pracowały w barze, do którego wpadał, jedna zaś była eks-dziwką, która obecnie zarabiała na życie jako funkcjonariuszka straży miejskiej. Wśród jego przyjaciółek znalazła się nawet pani profesor z liceum, którą pomógł oczyścić z zarzutów po jednej z antynarkotykowych akcji. Jednakże nie ożeniłby się z żadną z nich - poza Theresą.

Poznali się na przyjęciu w domu siostry Grzmota, w Queens. Theresa była wysoka i szczupła. Długie rude włosy spływały jej na plecy, a brązowe oczy błyszczały figlarnie w gładkiej twarzy.

Pracowała w dziale uzgadniania sald obrotu czekowego, w znajdującym się na Wall Street oddziale Chase Manhattan Bank, i studiowała wieczorowo zarządzanie. Podobnie jak Grzmot, mówiła po włosku, popijała pizzę kawą i uwielbiała muzykę, ale nienawidziła tańczyć..

Nigdy nie wypytywała go o pracę, nie narzekała, gdy znikał na całe dni lub w ostatniej chwili odwoływał wcześniej umówione spotkanie. Od samego początku rozumiała specyfikę jego zawodu. W towarzystwie Theresy Grzmot mógł się odprężyć, przestać się pilnować równie łatwo, jak odłożyć broń do szuflady. Czuł się bezpieczny - instynktownie domyślał się, że Theresa nigdy go nie zdradzi, zawsze będzie w stosunku do niego uczciwa i powie mu, co jej leży na sercu, niezależnie od tego, czy on zechce jej słuchać czy nie. Grzmot wiedział, że życie żony policjanta jest w najlepszym wypadku trudne i samotne. Ufał, że Theresa da sobie z tym radę. Martwiło go coś innego - spokojne spojrzenie krążącej wokół niego śmierci, chłód nocnego dzwonka telefonu czy domofonu. Stąd się brały jego wątpliwości.

- Kiepsko to wygląda - powiedziała Theresa i usiadła na plastikowym krześle obok szpitalnego łóżka.

Grzmot popatrzył na kobietę i uśmiechnął się do niej. Klatkę piersiową i obie dłonie miał zabandażowane, a twarz w siniakach, pręgach i szwach po nieudanym nalocie na narkotykowy gang.

- A boli jeszcze bardziej - odparł.

- Kto cię tak załatwił?

- Ciocia Gracie - powiedział Grzmot, nie przestając się uśmiechać. - Znasz ją? Ma choleryczny temperament.

- Ma też nóż - zauważyła Theresa ze smutkiem w głosie.

- To nic takiego - zapewnił ją Grzmot. - Lekarz twierdzi, że wyjdę za dwa, może trzy dni.

- Zamknęli człowieka, który to zrobił? Grzmot popatrzył na nią nieobecny wzrokiem.

- Nie musieli - odparł.

Skinęła głową i więcej o tym nie rozmawiali. Grzmot jednak dostrzegł wyraz oczu Theresy i wiedział, że już po wszystkim. To trwało krócej niż sekundę i większość ludzi pewnie by tego nie zauważyła, ale Grzmot żył dotąd dzięki umiejętności czytania w ludzkich twarzach i wiedział, co oznaczało jej spojrzenie.

Theresa mogłaby znieść to, z czym nie poradziłyby sobie większość kobiet, nawet jego śmierć. Nie była jednak w stanie przywyknąć do faktu, że musiał zabijać, aby przeżyć. To by ją prześladowało, nie pozwalałoby jej spać pod jego nieobecność, przez to dygotałaby przez sen podczas samotnych nocy.

- Późno już - powiedział jej. - Powinnaś iść do domu. Jedno z nas musi wstać wcześniej rano, ale na pewno nie ja.

- Będzie bolało, jeśli cię pocałuję? - zapytała, wstając z krzesła.

Kiedy tak stała, niecałe pół metra od niego, jej uroda poraziła go całą swą mocą. Wiedział, że już nigdy nie poczuje niczego równie bliskiego miłości.

- Będzie bolało mocniej, jeśli tego nie zrobisz - odparł. Pochyliła się i pocałowała go po raz ostatni.

W 1978 roku niewielka, lecz skuteczna grupa radykalnych czarnych ekstremistów, zdecydowanych obalić rząd, wydała wojnę nowojorskim policjantom. W ciągu miesiąca członkowie grupy porwali sześciu przypadkowych funkcjonariuszy, po czym zastrzelili ich z zimną krwią. Nadszedł czas polowań na wszystkich mężczyzn w granatowych mundurach. Grzmot Frontieri, przeniesiony z wydziału antynarkotkowego i przydzielony do specjalnej jednostki, utworzonej w celu pojmania radykałów, po cichu wydał im własną, prywatną wojnę.

Grzmot zaczął naciskać na swoich informatorów. Rozdawał fotografie podejrzanych wszystkim zaprzyjaźnionym dziwkom, które w zamian za informacje chronił przed aresztowaniem. Spotkał się na kawie z członkami gangów. Obie strony traktowały się z należyty szacunkiem, ogłosiwszy czasowe zawieszenie broni. Grzmot również odwiedził duchownych w okolicznych murzynskich kościołach i wykorzystał dobre stosunki z nimi, by zdobyć odpowiedzi na nurtujące go pytania.

Łaził po ulicach, kręcił się w pobliżu handlarzy i alfonsów, dręczył okoliczne cioty i naganiaczy, recytował przysługujące im prawa i za pomocą pięści i gróźb docierał tam, gdzie chciał.

Właśnie to poszukiwanie czarnych ekstremistów w 1980 roku zaprowadziło Grzmota do brooklyńskiej kamienicy, gdzie stał teraz, przywierając do ściany z bronią w dłoni i kamizelką kuloodporną pod ubraniem. W jednej ręce trzymał trzydziestkę ósemkę, a w drugiej samopowtarzalną czterdziestkę czwórkę. Przechylił głowę ku drzwiom z czerwonego drewna, które znajdowały się jedynie o kilka centymetrów od jego twarzy. Po drugiej stronie drzwi stał inny detektyw, Davis „Snajper” Winthrop. Grzmot skinął głową i uśmiechnął się do niego. Winthrop odwzajemnił uśmiech. Grzmot niewiele wiedział o swoim partnerze, jedynie to, że Winthrop miał dwadzieścia siedem lat, był czarny, dwa lata wcześniej stracił partnera w nieudanym nalocie, trzy lata z rzędu zdobywał nagrodę policyjną za umiejętności strzeleckie, i zawsze usiłował pierwszy wkroczyć do akcji. Grzmot przyznał mu punkty za



odwagę, ale wiedział, że strzelanie do drewnianej tarczy na polu to nie to samo, co strzelanie po ciemku do siedmiu zdesperowanych i uzbrojonych facetów w dwupokojowym mieszkaniu.

Zwykły gliniarz już prosiłby przez krótkofalówkę o posiłki. Grzmot nienawidził posiłków. Czuł, że zmniejszają jego szansę. Policjanci to zazwyczaj kiepscy strzelcy, większość z nich ma szczęście, jeśli w ogóle zdoła oddać kilka strzałów w kierunku celu. Było bardziej prawdopodobne, że zastrzelą tych z odznakami niż tych bez. Jeśli Winthrop rzeczywiście strzelał tak dobrze, jak mówiono, to Grzmot nie potrzebował nikogo więcej.

Za czerwonymi drzwiami Skeeter Jackson siedział przy pełnym gotówki pokerowym stoliku. W dobrze urządzonej mieszkaniu dwaj ochroniarze Skeetera drzemali z bronią na piersi na skórzanej kanapie. Trzej inni byli w kuchni obok dużego pokoju, jeden z nich palił trawę, a dwaj jedli kanapki i popijali je piwem.

Kolejny ochroniarz siedział w łazience. Pistolety mężczyzn leżały na stole, obok zimnych resztek jedzenia.

Skeeter był kurierem sprzedającym narkotyki dla gangu Jim-my'ego Hasha w Bed-Stuy. Codziennie zarabiał piętnaście tysięcy dolarów, a pracował siedem dni w tygodniu. Choć nie miał jeszcze dwudziestu jeden lat, stan jego konta już przekraczał milion dolarów.

W wolnym czasie Skeeter Jackson strzelał młodym policjantom w plecy, żądając pięciuset dolarów za każdą kulę, która przeszła przez ciało. Grzmot już od dawna znał nazwisko i reputację Jacksona. Dziwka z Nostrand Avenue dała mu coś, czego wcześniej nie miał - adres Skeetera.

Grzmot położył się na podłodze i podczołgał do Snajpera.

- Jeśli chcesz zadzwonić po pomoc, zrozumieć - wyszeptał.

- Ilu ich tam jest?

- Podobno siedmiu, wszyscy uzbrojeni - odparł Grzmot. - Pewnie mają więcej kul w kieszeniach niż my w broni.

- No to o co chodzi? - spytał Snajper z uśmiechem.

- Pogadamy po zabawie - powiedział Grzmot. Odczołgał się na swoje stanowisko przy ścianie, spojrzął na zegarek, po czym dał znak Snajperowi.

Wpadli do środka z wyciągniętą przed siebie bronią. Grzmot rąbnął ramieniem o drzwi i natychmiast ruszył w kierunku Skeetera, który patrzył na niego oszołomiony. Snajper wczołgał się do mieszkania, przetoczył przez przedpokój i skoczył na równe nogi, jednocześnie celując w ochroniarzy na kanapie. Trzej mężczyźni, wciąż żując kawałki jedzenia, wybiegli z kuchni. Ich pistolety wycelowane były w policjantów.

Wszyscy znieruchomieli i choć wydawało im się, że ten stan trwa godziny, w rzeczywistości nie minęło więcej niż dziesięć sekund. Skeeter odezwał się pierwszy.

- Obyś miał przy sobie forszę - odezwał się wysokim, niemal damskim głosem. - Bo ci ją zabiorę, jak tylko zginiesz. Zapłacisz za pieprzone drzwi, które rozwaliliś!

- Weź mój zegarek - odparł Grzmot. - I tak chciałem ci go dać.

- Przyszedłeś po forszę? - Skeeter machnął w stronę leżących na stole pieniędzy. - Jeśli nie, to zginiesz z najgłupszego na świecie powodu.

- Ty chyba naprawdę życzysz nam śmierci - stwierdził Grzmot.

- Wystarczy, że skinę głową.

- Odstrzelę ci ją, zanim skończysz kiwać - oznajmił Grzmot. - Wtedy umrę szczęśliwy. Widzisz mojego partnera, za mną?

- Bambus z odznaką. - W głosie Skeetera zabrzmiała pogarda. - Z którego drzewa go strząsnąłeś?

- Zanim zginie, zabije dwóch z twoich ludzi - powiedział Grzmot. - To znaczy, że przeżyje tylko trzech. Możesz sobie tego oszczędzić i uprościć sprawę.

- Zamieniam się w słuch - oznajmił Skeeter.

- Pozwól się wyprowadzić z budynku. Sam jeden. Zależy nam tylko na tobie.

- Opuść sobie, białasie - wycedził Skeeter. - Urodziłem się w tej pieprzonej kamienicy. Równie dobrze mogę tu umrzeć.

- Nie mogę ci tego odmówić - powiedział Grzmot.

Usłyszał szcęk pistoletu, zanim jeszcze dostrzegł błysk. Natychmiast skoczył w prawo, wylądował na kolanie i wystrzelił cztery razy w stronę mężczyzn w drzwiach kuchni. Tuż za nim Snajper załatwił ochroniarzy na kanapie. Wszystko stało się tak szybko, że Skeeter nie zdążył nawet drgnąć. Stał nieruchomo, trzymając w ręce plik banknotów.

Snajper przeskoczył przez stół i trzykrotnie strzelił do jednego z mężczyzn w pobliżu kuchni. Wycelowwał drugi rewolwer w kierunku przykucniętego faceta, który wyłonił się z łazienki. W tym samym momencie Skeeter rzucił pieniądze w powietrze i zaczął strzelać. Pierwsza kula trafiła w ścianę, druga w ramię Snajpera.

Skeeter przeskoczył przez stoliki ruszył ku drzwiom, ślizgając się na tysiącach dolarów, które niczym krople deszczu opadały na twarze martwych mężczyzn.

Grzmot ruszył za nim w pogoń.

Grzmot dopadł Skeetera na półpiętrze. Rzucił go o ścianę i z całej siły uderzył w brzuch. Głuchy jęk Skeetera rozległ się echem po korytarzu. Moment później prawa pięść mężczyzny musnęła skroń Grzmota. Skeeter zacisnął obie dłonie na gardle policjanta i

popchnął go ku chwiejącej się poręczy. Grzmot złapał handlarza za szczękę i jednocześnie odepchnął jego głowę.

- Umrzesz, skurwielu - wysyczał Skeeter, trzepocząc powiekami i zacieśniając uścisk.

- Umrzesz tutaj. Przede mną.

Grzmot oderwał jedną rękę od brody Skeetera i usiłował dosięgnąć dwudziestki dwójki, którą trzymał w kaburze na biodrze. Gdy tylko dotknął spodni, usłyszał trzeszczenie drzewa i zrozumiał, że poręcz zaczyna ustępować. Oczy Skeetera wyłaziły teraz z orbit, w kącikach jego ust pojawiła się ślina. Tak mocno zaciskał ręce na gardle Grzmota, że policjant musiał łapać powietrze nosem.

Grzmot właśnie dosięgał broni, gdy poręcz wreszcie ustąpiła.

Obaj spadli na poręcz niżej, połączeni niczym tancerze. W powietrzu fruwały kawałki drewna i zardzewiałego żelastwa. Jeden fragment rozciął prawy policzek Grzmota. Lufa rewolweru policjanta wymierzona była w brzuch handlarza.

W chwili gdy rewolwer wypalił, Grzmot poczuł gwałtowny ból w prawym boku. Spojrzał na twarz Skeetera i zrozumiał, że dealer nie żyje. Nie zginął jednak od kuli, zabił go żelazny pręt, który przeszył jego szyję. Grzmot odwrócił głowę i ujrzał, że w prawym boku jego własnej klatki piersiowej tkwi fragment poręczy. Z dziury w marynarce płynęła krew.

On i Skeeter spadli dwa piętra w dół, łamiąc po drodze poręczę. Parę minut wcześniej rozpętała się prawdziwa kanonada. Grzmot słyszał, jak Snajper i facet w kuchni wciąż strzelają do siebie. Z oddali dobiegło go wycie syreny. Mimo tych hałasów nikt w budynku nie otworzył drzwi.

Grzmot siedział bez ruchu. Krew lała się z jego rany i przygniatał go trup Skeetera. Policjant zamknął oczy, żałując, że nie znajduje się w jakimś innym miejscu.

Warczenie psa przerwało te marzenia.

Grzmot odwrócił głowę w lewo i ujrzał na schodach ciemnoszarego pitbulla. Grzmot nienawidził psów, małych i dużych, najbardziej zaś nienawidził pitbulli.

- Niech zgadnę - powiedział, wskazując palcem leżącego trupa. - To pewnie twój pan.

Pies gapił się na niego, wciąż warcząc i parskając. Po jakiejś minucie odwrócił się i wyszedł z budynku.

- To chyba nie najlepiej o tobie świadczy, co, Skeeter? - powiedział Grzmot do martwego handlarza. - Nawet twój własny pies ma w dupie to, czy żyjesz czy nie.

Grzmot trzymał w dłoniach decyzję o przyznaniu renty i patrzył na grube, powielone w trzech kopiach formularze, pełne liczb i danych. Wszystkie te informacje skakały mu przed oczyma, żadna z nich nie miała jednak sensu. Rozumiał tylko, że spadł z kilku pięter, a teraz

w piersi brakowało mu połowy płuca. Ta zardzewiała żelazna poręcz zapewniła mu to, co policjanci z drogówki nazywali „policyjnym lotto”. Fantastyczną, dożywotnią, nie opodatkowaną rentę w wysokości trzech czwartych zarobków.

W roku 1980, wraz z nadgodzinami i płatnym urlopem, Grzmot wyciągał rocznie około trzydziestu ośmiu i pół tysiąca dolarów plus ubezpieczenie zdrowotne. Miał tylko trzydzieści osiem lat i powinien cieszyć się z takiego zbiegu okoliczności. Zamiast tego, w ten ponury grudniowy ranek 1980 roku Grzmot pragnął jedynie znaleźć jakieś spokojne miejsce i tam się wypłakać.

Dotąd Grzmot odniósł wiele innych ran, po pewnym czasie zdrowiał i wracał do służby. Ale nie tym razem. Nie po usunięciu połowy płuca, co uniemożliwiało mu normalne oddychanie, i nie z nogą, która zaczynała go rwać, gdy przebiegł więcej niż pół kilometra. Z takimi ułomnościami nawet Grzmot Frontieri nie poradziłby sobie na ulicy.

Już nie mógł być gliną.

Wziął trzy tygodnie urlopu i pojechał do Włoch, gdzie odwiedził rodzinne miasteczko ojca, Reggio di Calabria. Rozmawiał tam ze starszami, którzy jeszcze pamiętali młodego Johna Frontieriego. Spędzał popołudnia na wędrówkach po okolicznych wzgórzach, podczas gdy leżące pod nimi miasteczka przesypiały upał. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie osiedlić się tu na stałe, ale porzucił tę myśl, wiedząc, że nie jest to miejsce dla niego.

Pierwsze pół roku na rencie spędził dosyć niespokojnie. Niewiele sypiał. Chodził do kina, teatru, muzeów, czytał książki, nawet obejrzał operę w Met, czego nie robił od śmierci ojca. Żadna z tych rozrywek nie zdołała wyrwać go ze stanu odrętwienia. Nic, co oglądał, czytał lub słyszał, nie przyniosło mu spokoju. Wciąż podskakiwał z nadzieją, gdy w oddali usłyszał policyjną syrenę. Instynkt nadal mu podpowiadał, które z mijanych na ulicach twarzy należą do przestępców szukających łatwej ofiary. Wciąż nosił broń, stary policyjny rewolwer, który odkupił od swojego wydziału. W tylnej kieszeni spodni trzymał kopię swojej odznaki. Miał też kajdanki - teraz leżały w szufladzie w mieszkaniu Grzmota. Często spoglądał na nie ze smutkiem, tak jak mężczyzna w średnim wieku patrzy na zdjęcie dawnej sympatii.

Trzymał się z dala od innych policjantów. Przypominaliby mu tylko o tym, za czym tak rozpaczliwie tęsknił. Unikał barów, w których popijali, i restauracji, do których chodzili. Jeśli szedł coś zjeść i wypić, to tylko do Nunzia, małej włoskiej restauracji na zachodniej Dziewięćdziesiątej Szóstej, niedaleko alei Hen-ry’ego Hudsona. Jedzenie było znakomite, nie żałowano też wina, a ludzie, którzy tam przychodzili, nie wchodzili Grzmotowi w drogę.

Większość stałych klientów restauracji rekrutowała się z członków mafii, których kariera zbliżała się do końca. Zagarnęli tyle pieniędzy, ile chcieli zagarnąć, zabili większość

wrogów i odsiedzieli swoje. Teraz zostawiono ich w spokoju, by mogli oglądać mecze i wyklócać się o wyniki dawnych rozgrywek sportowych. Wiedzieli, kim był Grzmot, i w swoim czasie zapewne by go bojkutowali. Obecnie jednak traktowali go jak swojego. Nie stanowił już dla nich żadnego zagrożenia. Czasami nawet posyłali mu drinka do stolika.

Właścicielem i kierownikiem restauracji był stary przyjaciel rodziny, Nunzio Goldman. Ojciec Grzmota początkowo pracował na targu mięsnym dla żydowskiego ojca Nunzia, Ala, szefa Czternastej Ulicy, który dzielił się dochodami z włoską mafią z przedmieścia. Na ulicy Al był znany jako Rabin, człowiek, który mógł zabić, jeśli nie podobało mu się czyjeś krzywe spojrzenie. W domu był mężem Anny Pasqualini, spokojnym, zamkniętym w sobie biznesmenem, który świata nie widział poza swoją rodziną. Gdy dzieci dorosły i Anna nie miała co robić, Al kupił restaurację i mianował żonę kierowniczką. Po jej śmierci interes przejął ich najstarszy syn. Teraz i Nunzio już się zestarzał.

- Dlaczego ty jeden z całej rodziny masz włoskie imię? - spytał go kiedyś Grzmot. Dwaj bracia Nunzia nazywali się Daniel i Jakub.

- Z czystej złośliwości - odparł Nunzio. - Ojciec popatrzył na mnie i powiedział, że mam w sobie zbyt wiele włoskiej krwi, żeby być Żydem. Nie dość, że zakochał się we Włoszce, to jeszcze to. Pozwolił matce wybrać mi imię. Moi starsi bracia mieli szczęście. Dostali imiona, które do nich pasują. Ale i tak ja najlepiej na tym wyszedłem. Oni nie mają restauracji. Muszą jeść pomyje, które przygotowują im żony. Już lepiej jeść z puszek niż to ich żarcie.

Nunzio zawsze rozśmieszał Grzmota. Dzięki' niemu zapominał o pustce, która go trawiła. Staruszek skwapliwie pilnował, żeby Grzmot nie pił zbyt dużo ani nie spędzał zbyt wiele czasu w samotności. Zależało mu na przyjacielu, nie chciał, żeby wpadł w nałóg przesiadywania w barach, jak wielu innych policjantów. Człowiek niekoniecznie umiera dopiero w chwili śmierci. Nunzio o tym wiedział.

Grzmot Frontieri był na rencie już dwa lata, gdy wreszcie zdołał pozbyć się upiorów, które nawiedzały jego duszę. Większość byłych policjantów nie ma co liczyć na wyjście z marazmu. Grzmot Frontieri jednak nie był zwykłym policjantem. Był jednym z najlepszych detektywów w Nowym Jorku. Podczas osiemnastu lat służby narobił sobie mnóstwo wrogów. Wielu z nich siedziało w więzieniach, wielu już nie żyło. Bardzo wielu chodziło po ulicach. Grzmot dobrze wiedział, kim byli i, co ważniejsze, gdzie byli.

Jednakże przez te osiemnaście lat pracy Grzmot zdobył także wielu przyjaciół. Wśród nich były bezbronne ofiary tych, których zakuł w kajdanki, a także anonimowe twarze z

sąsiedztwa. Starzy czy młodzi, wszyscy pamiętali gliniarza, którego nazywano Grzmotem Frontierim.

To właśnie telefon jednego z tych, którzy pamiętali, odmienił życie Grzmota. Telefon człowieka, z którym Grzmot nie rozmawiał od lat. W sprawie dziewczynki, której nigdy nie widział.

Choć wtedy Grzmot o tym nie wiedział, w chwili gdy wziął do ręki podaną mu przez Nunzia słuchawkę, jego dalszy los był już przesądzony.

## 2. Snajper

Na wieść o tym matka wybuchnęła płaczem. Ojciec nie odzywał się do niego przez trzy miesiące. Dwaj starsi bracia i młodsza siostra unikali go jak ognia. Przyjaciele z Brooklynu, na którym się urodził i wychował, nie wiedzieli, jak go zapytać o przyczynę. Dziewczyna go zostawiła, a ulubiony nauczyciel w liceum stwierdził, że chłopak marnuje swoje młode życie.

A to wszystko dlatego, że Davis Winthrop postanowił zostać policjantem.

Na tych ulicach człowieka, który nosił granatowy mundur lub prowadził nie oznakowanego sedana, postrzegano jako wroga, a nie przyjaciela. Najczęściej posiadacz takiego munduru czy samochodu był biały, o oczach pełnych gniewu, nienawiści czy, co gorsza, obojętności. Na ulicach Brownsville na Brooklynie policjant był wszystkim, tylko nie przyjacielem.

Davis Winthrop jednak nie myślał w ten sposób. Nigdy. Widział wszystko, co widzieli inni. Miał wielu znajomych, którzy zmarli w tajemniczych okolicznościach po tym, jak trafili do aresztu za drobne przestępstwo. Słyszał, jak ci, których\*chroniło prawo, obrażali jego przyjaciół. Zdawał sobie sprawę z pełnych pogardy spojrzeń policjantów, z ich komentarzy wygłaszanych pod nosem po to, by wydrwić rozmówcę i pokazać mu, gdzie jego miejsce.

W wielu ludziach te spojrzenia i komentarze wzbudzały nienawiść. Davis Winthrop czuł pod ich wpływem potrzebę zmiany. W przeciwieństwie do wielu ludzi z sąsiedztwa, Davisa Winthropa nie zaślepiła niechęć do ludzi nadużywających władzy. Widział też drugą stronę - ulicznych handlarzy, którzy zamieniali dzieciom zabawę w pustkę życia narkomana. Widział młodych mężczyzn, zabitych w ciemnościach przez zbląkaną kulę. Widział matki, często wyniszczone przez biały proszek, opuszczone przez mężczyzn. Widział, jak ciągną po ulicy swoje dzieciaki i są zbyt wypalone, by zdać sobie sprawę z tego, że marnują nie tylko swoje życie.

Nie umknęło uwagi Davisa Winthropa, że źródło tego smutku ma taki sam kolor skóry, jak on. I choć biały mógł być wrogiem, to najczęściej czarny okazywał się winny.

Poprzysiął sobie, że zrobi wszystko, aby to zmienić.

Nie minął rok, a Davis Winthrop zaczął pracować jako tajny agent. Działal na ulicy, udając przemytnika broni, pracującego dla południowoamerykańskiego gangu. Nie wszedł w tę pracę w ciemno. Nikt nie znał się na broni lepiej od niego, od marek i rodzaju począwszy, na cenie hurtowej i rynkowej wartości skończywszy. Sprawdzał, na jaką broń jest największe zapotrzebowanie, i przestudiował zwyczaje najważniejszych kupców. Zdawał sobie również sprawę z tego, że jeśli ma zajmować się czymś tak niebezpiecznym, musi umieć postępować z ludźmi w tym biznesie. Chodził na zajęcia, by udoskonalić swoje umiejętności strzeleckie, i pracował nie tylko nad celnością, ale też nad szybkością, kontrolą i zasięgiem. Był chodzącym egzemplarzem magazynu „Broń i Amunicja”. Dysponował tak rozległą wiedzą, że nawet federalni często prosili go o radę. Strzelał tak skutecznie, że dorobił się przydomka „Snajper”. Z karabinu z lunetą mógł rozwalić melon z odległości pięćdziesięciu metrów. I to w ciemnościach. Czołgając się po podłodze, był w stanie posłać sześć celnych kul z czterdziestki czwórki. Mając dwudziestkę dwójkę, Snajper potrafił po ciemku oddać celny strzał w głowę wroga.

Snajper Winthrop sam był niczym odbezpieczona broń. Uwielbiał pracować w miejscach, których unikali inni policjanci. Właśnie tam czuł, że panuje nad wszystkim.

Snajper stanął na środku baru, zapalił papierosa i popatrzył na mężczyznę o gęstych wąsach i żółtych zębach. Z wysokości swoich stu dziewięćdziesięciu centymetrów pochylił się nad facetem w przekrzywionym kapeluszu.

- Wiesz, czego chcę - powiedział mężczyzna. Miał silny, cudzoziemski akcent. - Prawda?

- A wyglądam na pieprzonego jasnowidza? - Snajper przyglądał mu się uważnie. - Nie, nie wiem, czego chcesz. Nie wiem nawet, kim jesteś.

- Magoo ci mówił, że mam sporo forsy?

- Tylko dlatego tu przyszedłem - odparł Snajper.

Przy stoliku za nim siedzieli dwaj mężczyźni z samopowtarzalnymi pistoletami na piersi i grali w karty. Zbyt gruby, jak na swój wiek, młody człowiek czyścił kieliszki przy kasie. Z pewnością bez trudu mógł sięgnąć po broń. Snajper słyszał mówiące po hiszpańsku, męskie, pełne napięcia głosy z kuchni.

Mężczyzna wlał wódkę do otwartej puszki coli, po czym wypił potężny łyk. Uśmiechnął się do Snajpera.

- Pijesz? - spytał.

- Z przyjaciółmi - odparł Snajper. -\- Może przejdiesz do rzeczy.

- Potrzebuję magnum - oznajmił mężczyzna. - Przynajmniej pięćdziesiąt sztuk.

- Mogą być policyjne? - spytał Snajper.

- Jeśli są najlepsze.

- Najlepsze, jakie mogę załatwić.

- Kiedy? - zapytał mężczyzna.

- O czymś zapomniałeś - zauważył Snajper. - Powinieneś spytać, za ile.

- Ważna jest broń, nie cena - powiedział mężczyzna.

|- Dla twojej wiadomości, pięć stów za sztukę. Więcej, jeśli chcesz z amunicją - oznajmił Snajper. - Połowa teraz, druga połowa po dostarczeniu.

- Jakie gwarancje dasz moim ludziom?

Snajper rzucił papierosa na podłogę i przydeptał go czubkiem buta.

- Dostaną broń - odparł. - Będzie tu o wyznaczonej przeze mnie porze.

- To wszystko?

- Chcesz więcej, to idź do supermarketu. Ja ci dam broń za gotówkę. Gównu mnie obchodzi, czy będzie działała. Jeśli podczas strzelaniny odpadnie spust, kula wyleci tyłem zamiast przodem, lufa się rozpuści na twoich oczach, nie dzwoń do mnie. Poskarż się w Federacji Konsumentów. Napisz do swojego kongresmena. Kij mnie obchodzi, co zrobisz. Tylko do mnie nie dzwoń.

- Mam nadzieję, że ta broń sprawi się równie dobrze jak twoja jadaczka. - Spojrzenie mężczyzny prześliznęło się ze Snajpera na dwóch ludzi za nim.

- A ja mam nadzieję, że jesteś taki nadziany, jak twierdzi Magoo - odparł Snajper. - Jeśli nie, to się stąd zmywam.

- Magoo mówił mi coś o tobie. - W głosie mężczyzny pobrzmiwała czujność. - Mam nadzieję, że to nieprawda.

Snajper czuł, że napięcie w pomieszczeniu wzrosło o parę stopni. Grubas za barem położył dłonie na drewnianej ladzie. Dwóch graczy odłożyło karty. Głosy w kuchni umilkły.

- Rozzłoszczę się, jeśli każesz mi zgadywać - odparł Snajper.

- Magoo myśli, że jesteś gliną - oznajmił z uśmiechem mężczyzna. - Uważa, że to problem. Chce go rozwiązać. Dlatego dał mi to.

Mężczyzna sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął stamtąd gruby zwitek banknotów, dwadzieścia pięć tysięcy, wciąż owinięte białą banderolą. Rzucił je na stół i popatrzył na Snajpera.

- Musiał poważnie się przejąć tym problemem - dodał mężczyzna. - Takie pieniądze za jednego człowieka. Co ty na to?



- Jestem wzruszony - odparł Snajper.

- Później dostanę jeszcze więcej - dodał mężczyzna. - Kiedy przyniosę mu twoje serce.

- Magoo zawsze był romantycznym skurwielem - stwierdził Snajper. - Za miękkiem na tę robotę.

- Powiedz mi coś przed śmiercią, przyjacielu. Czy Magoo ma rację? Jesteś gliną?

Snajper rozejrzał się po pomieszczeniu, zlokalizował wszystkie twarze, po czym znowu popatrzył na mężczyznę.

- Tak - powiedział.

Snajper pierwszy wyciągnął pistolet i wycelował w pierś mężczyzny. Drugą dłonią wyszarpnął ulubioną trzydziestkę ósemkę i strzelił do grubasa za barem. Dwaj gracze przy stoliku nawet nie zdążyli się poruszyć.

- Przeżyją, jeśli im pozwolisz - powiedział Snajper do mężczyzny i machnął głową w kierunku tamtych dwóch. Widział stojących w drzwiach kuchni trzech mężczyzn z wyciągniętymi pistoletami.

- Nie mam broni - oznajmił mężczyzna.

- To może być problem - stwierdził Snajper. - Dla ciebie. Był pod wrażeniem. Mężczyzna wciąż miał obojętny wyraz twarzy, mimo pistoletu wycelowanego w jego serce.

- Znam wasz kraj - powiedział mężczyzna. - I wasze zasady. Policja nie strzela do nieuzbrojonych ludzi. Jesteście na to zbyt cywilizowani. Smutne, ale prawdziwe.

- Założę się, że twój tłusty przyjaciel też w to wierzył - odparł Snajper.

- Był głupi - stwierdził mężczyzna. - Ty nie będziesz.

- Racja, compadre - powiedział Snajper. - Nie będę. Po prostu cię zastrzelę i spróbuję szczęścia z resztą twoich kumpli. Jeśli przeżyję - a wierz mi, mam na to duże szanse - włożę ci broń w rękę i wyjdę stąd czysty. I tak wszystkim to zwisa.

Mężczyzna skinął głową i wreszcie popatrzył na pistolet.

- Mogę zapalić? - spytał.

- Od tego nie zginiesz - odparł Snajper.

Mężczyzna wyjął papierosa z leżącej na stole paczki, włożył go do ust i zapalił. Zaciągnął się głęboko, po czym wydmuchnął dym przez nos i uśmiechnął się do Snajpera.

- Nie obrazisz się, jeśli zaproponuję ci pieniądze - powiedział. - Gliniarze nie zwracają uwagi na takie rzeczy.

- Lubię pieniądze - odparł Snajper. - Ale nie twoje.

- Ale czegoś na pewno chcesz - stwierdził mężczyzna. - Wątpię, żebyś miał zamiar zabić całą gromadę przemytników.

- Cóż, na pewno nie rozpaczałbym na twoim pogrzebie - powiedział Snajper.

- Możemy się dogadać. Powiedz mi tylko, czego chcesz.

- Chcę Magoo - oznajmił Snajper. - Chcę, żebyś mi go wydał.

- To zabije mnie szybciej niż broń w twojej dłoni.

- Twoja praca chyba wiąże się z ryzykiem - powiedział Snajper. - Mnie tam wszystko jedno, czy zginiesz teraz czy później.

- A jeśli to zrobię? - spytał mężczyzna. - Jeśli wydam ci Magoo?

- Wtedy to nie moja kula cię zabije - odparł Snajper. - Przynajmniej nie dzisiaj.

Mężczyzna popatrzył na twarz Snajpera, szukając na niej śladów słabości.

Niczego nie znalazł.

- Wydam ci Magoo - powiedział po kilku minutach i lekkim skinieniem dłoni odesłał ludzi na swoje miejsca. - Pod jednym warunkiem.

- Słucham.

- Napij się ze mną. Teraz jesteśmy przyjaciółmi.

Eddie Winthrop był wyższy od swojego syna, a wiek zabrał mu jedynie centymetr z potężnej, niemal dwumetrowej sylwetki. Utykał lekko z powodu artretyzmu w lewym kolanie-ceny, jaką musiał zapłacić za ów wiek pracy dniem i nocą w wilgoci i zimnie pod ulicami miasta.

Cygaro marki „El Producto” tkwiło w kąciку ust Eddiego, gdy siedział na trzecim stopniu schodków trzypiętrowej kamienicy, którą kupił za pieniądze z pożyczki i dwóch tysięcy dolarów spadku po babci. Podarował temu domowi trzydzieści lat życia, spłacając jedną hipotekę i natychmiast zaciągając następną, gdy tylko któreś z jego dzieci dorosło na tyle, żeby iść na studia. Tu przeżył swoje najszcześniejsze dni, uprawiając ogródek i spędzając spokojne niedzielne popołudnia ze swoją żoną, Elmą.

Także tu przeżył najsmutniejsze chwile.

W sypialni na drugim piętrze, w pewien ciepły czerwcowy dzień 1977 roku, prawie trzy lata temu, zmarła Elma. Atak serca odebrał jej uśmiech, a Eddiemu ukochaną przyjaciółkę.

Rok później Eddie siedział w ukończonej piwnicy i grał w bilard. Na adapterze kręciła się płyta Counta Basiego, a Eddie trzymał w dłoni szklanekę z drinkiem, gdy odebrał telefon w sprawie najmłodszego syna, Alberta, zastrzelonego w Westchester, na okolonej drzewami alei w miasteczku, którego nazwy Eddie nigdy dotąd nie słyszał.

Teraz siedział na schodkach, a jego dni powoli dobiegały końca. Rak w żołądku wciąż się rozrastał. Eddie cieszył się, że zrobił wszystko, co w jego mocy, żeby dobrze wychować dzieci. Popatrzył na swojego syna Davisa i zaczął się zastanawiać, czy i on kiedykolwiek poczuje to samo. Eddie Winthrop pogodził się już z faktem, że jego syn został policjantem. Nigdy nie był tym szczególnie zachwycony, ale podobało mu się, że dzieciaki z sąsiedztwa patrzą na Davisa z takim podziwem.

- Wejdiesz do środka? - zapytał ojca Snajper i zapiął wiatrówkę.

- Nie - odparł Eddie. - Zawsze lubiłem chłód. To twoja matka nie mogła go znieść. Przez trzydzieści lat każdej zimy wydzieriała się, że powinniśmy się przenieść do Karoliny Północnej. Jak gdyby tam nie bywało zimno.

Snajper sięgnął do papierowej torby w lewej ręce i wyjął stamtąd dwa kubki z gorącą czekoladą. Jeden z nich podał ojcu.

- Z cukrem? - spytał Eddie.

- Bez.

- Niby czemu?

- Lekarz ci zabronił.

- Co on tam wie - parsknął Eddie.

- Zna twoją morfologię, poziom cukru i cholesterolu - odparł Snajper. - Mam kontynuować?

- Jeśli chcesz mnie zanudzić na śmierć. - Eddie upił łyk czekolady. - To jedyny znany mi lekarz, który każe umierającemu człowiekowi przejść na dietę.

Siedzieli w milczeniu, przyglądając się przejeżdżającym samochodom i słuchając dobiegającej z nich głośniejszej muzyki.

- Nadal lubisz swoją pracę? - spytał syna Eddie. Wciąż patrzył przed siebie.

- Dobrze mi w niej, tato - odrzekł Snajper. - Sam nie wiem dlaczego. Zawsze tak było.

- Wiem - westchnął Eddie. - Przecież to ja zdzierałem sobie gardło, usiłując cię od niej odwieść.

- Żałujesz, że ci się nie udało?

- Czasami - powiedział Eddie. - Ilekroć słyszę, że jakiś biały gliniarz znowu zastrzelił czarnego dzieciaka. Wszyscy, od burmistrza do księdza, wychodzą ze skóry, żeby oczyścić dobre imię tego, który strzelał. Występują w telewizji i opowiadają, że zamordowanie czarnego nastolatka, który mógł mieć broń, jest w pełni usprawiedliwione.

- To nie zawsze jest morderstwo - stwierdził Snajper.

- Najczęściej jest. - Eddie popatrzył na syna. - Czy ty w ogóle się nad tym zastanawiasz?

- Nad czym?-spytał Snajper.-Że mogą mnie zastrzelić?

- Posyłają cię samego w te wszystkie miejsca - mówił Eddie. - Jeśli są jakieś kłopoty, powinni ci pomóc. Wysłać posiłki. Zrobić wszystko, żebyś nie zginął. Mam rację?

- Owszem.

- Zastanawiałeś się kiedyś, co będzie, jeśli nie przyjdą? - ciągnął Eddie. - Co się stanie, jeśli nie będą chcieli narażać białego policjanta dla jakiegoś czarnucha?

Snajper popijał swoją czekoladę i milczał.

- To robota białych - stwierdził Eddie. - Fakt, że ty masz odznakę, niczego nie zmienia.

- Ale czasy się zmieniają, tato - powiedział Snajper. - Tacy starcy jak ty o tym zapominają.

- Za to ludzie się nigdy nie zmieniają. - Eddie wstał i włożył wypalone cygaro w kącik ust. - A to coś, o czym taki młody człowiek nigdy nie powinien zapominać, o ile chce zostać przy życiu.

Propozycja Hiszpana w dziwnym kapeluszu rozbawiła Magoo.

Magoo miał dopiero dwadzieścia sześć lat, ale kontrolował wszystkie dostawy nielegalnej broni do i z Nowego Jorku. Zaczynał sześć lat wcześniej, jako zwykły przemytnik, lecz z szybkością błyskawicy wspinał się po drabinie kryminalnego awansu, zabijając każdego, kto stanął mu na drodze. Często likwidował przeciwników tą samą bronią, którą im sprzedawał. Miał własną uliczną gwardię, składającą się z ponad czterystu mężczyzn i kobiet. Odpowiadali oni przed szefami rewirów, którzy z kolei wykonywali polecenia i rozkazy okręgowych dowódców.

A wszyscy podlegali Magoo.

Magoo wychowywał się w wielu rodzinach zastępczych i właśnie tam nauczył się nie ufać nikomu. Szczególną nienawiścią darzył policjantów i otwarcie przechwalał się, że osobiście załatwił trzech, w tym jednego młodego tajniaka, którego zmusił do czołgania się na kolanach i odśpiewania piosenki z „Shaft”, po czym trzykrotnie strzelił mu w tył głowy.

Niewiele wiedział o broni, z wyjątkiem tego, że istnieje na nią wielkie zapotrzebowanie i że pewni ludzie po niewłaściwej stronie prawa zapłacą za nią każdą cenę. Magoo zatrudniał jedynie czarnych i wymagał od nich bezwzględnej lojalności. Trzymał się z dala od narkotyków i alkoholu, wychodząc z założenia, że jego zajęcie jest na tyle ryzykowne, że nie powinien zabierać się do niego w stanie zamroczenia. Brudną forszę prał w

Toronto, przesyłał do Europy i kierował na własne prywatne konto. Pieniądze były dla Magoo najważniejsze. Postawił sobie za punkt honoru usunąć każdą przeszkodę na drodze do ich zdobycia.

Taką przeszkodą był Davis „Snajper” Winthrop.

W domu Snajper był zupełnie innym człowiekiem niż w pracy. Troszczył się o swoją żonę i miał kompletnego bzika na punkcie syna.

Wieczorami, przed wyjściem na służbę, Snajper często kołysał do snu czteromiesięczną niemowlę, po czym kładł je na brzuszku do łóżeczka.

Teraz też obserwował, jak mały zasypia, jak jego powieki opadają, usta się zamykają, a dłonie zaciskają w pięści. Mały Eddie miał uroczy uśmiech swojej matki i słodki charakter babki. Snajper rozejrzał się po pokoju, zatrzymując wzrok na upchniętych w rogu koło okna pluszowych zabawkach, na miękkich lalkach porzrzucanych po podłodze. Ciepły pokój w ciepłym domu, który jego ojciec zakupił i spłacił ciężką pracą, a teraz dzielił z synem i jego rodziną, zatrzymując dla siebie tylko pomieszczenie dwa piętra niżej.

Było już bardzo późno.

Żona Snajpera, Grace, spała w sypialni obok. Snajper odsunął się od łóżeczka i ze skrzyżowanymi nogami usiadł na podłodze, wsłuchując się w trzaski i jęki uspiętego domu. Wszystko, co kochał, znajdowało się właśnie tutaj. Wspomnienia, dobre i złe, żyły w zakamarkach, kątach i meblach domu, który wybudowano pięć lat przed wybuchem pierwszej wojny światowej. Tutaj nigdy nie pojawiła się przemoc, jedynie miłość.

Tutaj cena broni była bez znaczenia, życie zaś miało sens i zasługiwało na szacunek. Jeśli pojawiała się tu śmierć, to tylko pod postacią choroby lub przeznaczenia, a nie strzałów w środku nocy. Snajper żałował, że nie może zapieczętować tego domu i zapewnić jego mieszkańcom ciepła i bezpieczeństwa.

Wiedział jednak, że to tylko marzenie.

Na ulicach Brooklynu czyhała na Snajpera rzeczywistość. Za niecałe dwie godziny miał się spotkać z Magoo. Nie wierzył Hiszpanowi. Wiedział, że ma małe szanse powodzenia. Niezależnie jednak od ryzyka, musiał powstrzymać Magoo. Dziś w nocy jeden z nich musiał umrzeć.

Snajper popatrzył na śpiącego w tym cichym domu syna i zaczął się modlić o to, by dzisiaj nie zawiodła go broń.

Już w chwili, gdy wysiadał z samochodu, Snajper zrozumiał, że to pułapka.

Magoo otaczało czterech mężczyzn, każdy w długim skórzanym płaszczu, standardowym stroju uzbrojonych po zęby ludzi.

Za Magoo stał Hiszpan. Na widok Snajpera skinął głową.

- Witaj, przyjacielu - powiedział. - Przyjechałeś.

- Przyjechałem - odparł Snajper i popatrzył na Magoo.

- No to możemy przejść do interesów - stwierdził Hiszpan. - Dość już tego głupiego gadania. Musimy sobie ufać. Nie da się robić interesów bez zaufania. Ja ci ufam. Tak powiedziałem Magoo. Jeśli ty jesteś gliną, to ja też. Wszyscy jesteśmy gliniarzami.

- Wygadany skurwiel, co nie? - Magoo uśmiechnął się do Snajpera. >

- Zbyt wygadany, jak na gliniarza - odparł Snajper.

- Zimno tu - powiedział Magoo. - Chodźmy na górę. Lepiej myślę, kiedy nie szczękają mi zęby.

Minęli róg i ruszyli wzdłuż pokrytych graffiti murów. Magoo szedł w środku, Hiszpan obok niego, a czterej faceci w skórzanych płaszczach zamykali grupę. Snajper kroczył tuż za Magoo.

- Ten tutaj mówił, że nieźle znasz się na broni - stwierdził Magoo. - Podobno zastrzeliłeś jednego z jego chłopców, zanim zdołał mrugnąć. To prawda?

- Oplaca się reklamować - odparł Snajper.

Magoo zatrzymał się, a za nim cała grupa. Popatrzył na Snajpera.

- Sam nie jestem najgorszy, jakbyś pytał - powiedział.

- Nie pytałem.

Stali przed wejściem do dużego budynku mieszkalnego. Okoliczne ławki zaludniali śpiący bezdomni i narkomani, wypatrujący możliwości zdobycia kolejnej działki. Na mizernej trawie wałały się butelki, zużyte prezerwatywy i igły.

- Co masz przy sobie? - spytał Magoo.

- Pytasz, bo chcesz kupić? - uśmiechnął się Snajper. - Jeśli tak, to będziesz musiał sporo wybulić.

- Nie pytałem - powiedział Magoo

Snajper słyszał, jak ubrany w skórzany płaszcz facet z lewej strony przeładowuje broń. Policjant popatrzył na Hiszpana, który uśmiechnął się do niego i wzruszył ramionami.

Snajper powoli rozpiął oliwkową wojskową kurtkę i sięgnął do wewnętrznej kieszeni. Magoo położył mu rękę na ramieniu.

- Zrób to powoli - powiedział.

Snajper skinął głową i wyciągnął czterdziestkę czwórkę, po czym pokazał ją Magoo.

- Wyjmij magazynek. - Magoo patrzył na Snajpera, nie na broń.

- Czy ty czasem robisz coś własnoręcznie? - Srebrny magazynek wysunął się wprost na dłoń Snajpera.

- Tylko jeśli muszę - odparł Magoo i się odwrócił.

Przeszli szybko pod ostrzałem ciekawskich spojrzeń. Jeden ze skórzanych płaszczy przytrzymał ręką ciężkie zielone drzwi, prowadzące do budynku numer sześć. Drugą dłonią obejmował pistolet w kieszeni.

Snajper wszedł do środka, ze spuszczoną głową. Jego umysł pracował na najwyższych obrotach. Właśnie popełnił największy błąd, jaki mógł popełnić tajniak - zaufał podstawionemu człowiekowi. Dałby sobie uciąć głowę, że Hiszpan bał się go bardziej od Magoo. Idąc wzdłuż śmierdzącego korytarza, Snajper wiedział, że się pomylił. Co gorsza, nikomu nie mówił o tym spotkaniu. Uznał, że sam załatwi Magoo.

Teraz miał niecałe pięć minut na to, by wymyślić coś, co ocali mu życie.

- Widziałeś kiedyś moje mieszkanie? - spytał Magoo, gdy zatrzymali się przed drzwiami windy.

- Raczej nie - odparł Snajper, przyglądając się twarzom mężczyznom, z którymi miał się zmierzyć.

Z wyjątkiem Hiszpana wszyscy byli uzbrojeni po zęby i zważywszy na ich przewagę, bez trudu mogli go załatwić. Snajper miał teraz jedynie dziewięćmilimetrowego hausera zatknętego za pasek dżinsów. Mógł nim zabić dwóch, może trzech przeciwników. Na większej przestrzeni, w mieszkaniu Magoo, nie dałby sobie rady. Tam byłby całkiem bezbronny. Nie miał żadnego wyboru, musiał szybko wykonać swój ruch.

Drzwi windy otworzyły się. Mężczyźni wsiedli, a jeden ze skórzanych płaszczy nacisnął guzik czwartego piętra. Ściśnięci na przestrzeni kilku metrów, patrzyli, jak drzwi się zamykają, po czym przenieśli wzrok na wyświetlające się nad ich głowami cyfry. Windę oświetlała jedynie czterdziestowatowa żarówka w drucianej osłonce.

Snajper niepostrzeżenie wyciągnął prawą rękę z kieszeni kurtki i przesunął ramię tak, by poczuć w dłoni rękojeść hausera. Zamknął oczy i odetchnął głęboko, przelękając ślinę. Był gotowy.

- To gównie strasznie wolno jedzie - zauważył Hiszpan, gdy winda wjeżdżała na drugie piętro. - Byłoby szybciej, gdybyśmy poszli pieszo.

- I zdrowiej - dodał uśmiechnięty Snajper.

- Po co ten pośpiech? - Magoo popatrzył na Hiszpana i puścił do niego oko. - Mamy całą noc.

Winda dojeżdżała właśnie do trzeciego piętra.

- Nie mogę zostać tak długo - odezwał się Snajper. - Mam swoje plany.

- Jakie? - Magoo nie odrywał wzroku od cyfr nad drzwiami. Snajper wyciągnął hausera, jednocześnie zrzucając kurtkę, i wpackował kulę w tył głowy Magoo, a następnie błyskawicznie zestrzelił żarówkę. Winda pogrążyła się w głębokich ciemnościach. W ciągu kilku sekund rozległy się strzały. Mrok rozświetlały jedynie iskry rykoszetujących kul. Hałas był przeraźliwy, a krzyki równie głośne co bezustanna strzelanina.

Trwało to krócej niż dziesięć sekund.

Wystrzelono ponad sześćdziesiąt kul.

Na trzecim piętrze drzwi otworzyły się powoli. W korytarzu stała starsza pani z wózkiem na zakupy. Kiedy światło z korytarza oświetliło wnętrze windy, na twarzy kobiety pojawiło się przerażenie. Ze ścian windy skapywała krew. Ciało Magoo pochyliło się do przodu i runęło na podłogę w korytarzu. Dwaj mężczyźni w skórzanych płaszczach leżeli w rogu pomieszczenia. Pozostali dwaj ranni, wili się na podłodze.

Hiszpan dostał trzy kule w klatkę piersiową, wciąż jednak stał oparty plecami o przyciski windy, a chytry uśmieszek nie zdążył zniknąć z jego twarzy.

Snajper opierał się o najdalszą ścianę windy, twarzą do kobie ty na korytarzu. Dostał w nogę, pierś i obie ręce. W dłoni wciąż ścisnął pistolet. Krew ściekała pomiędzy palcami mężczyzny. Twarz miał umazaną krwią swoich ofiar, tak gęstą, że ledwie widział. Ból był przeraźliwy, Snajper wręcz nie mógł mówić. Wiedział, że nie zdoła się ruszyć.

- O Boże! - wyszeptała starsza pani i zadrżała.

- Może poczeka pani na następną. - Snajper usiłował uśmiechnąć się do kobiety.

- Wezwę policję - powiedziała kobieta drżącym głosem.

- Chyba lepiej lekarza - szepnął Snajper.

Opadł na kolana i odrzucił pistolet. Patrzył, jak broń ląduje w dużej kałuży gęstej krwi, po czym oparł głowę o ścianę i zamknął oczy, czekając, aż nadejdzie jakaś pomoc.

Snajper się nie spieszył. Już nie.

Był ósmy marca 1981 roku.

Jego ostatni dzień w policji.

### 3. Pani Columbo

Mary Silvestri miała trzydzieści sześć lat, a od dwunastu pracowała w nowojorskiej policji. Zaczynała w Queens, skąd jako tajna agentka przeszła na Brooklyn, a potem trafiła tam, gdzie mogła realizować swoje powołanie, czyli do wydziału zabójstw w Wakefield na Bronksie.



Uwielbiała badać szczegóły śmierci, a co roku liczba schwytych przez nią i postawionych przed sądem przestępców plasowała Mary wśród najlepszych detektywów w pięciu okręgach. Kobieta zdołała rozwiązać wszystkie swoje sprawy. Im mniej było wskazówek, im mniej logiki w zabójstwie, tym bardziej sprawa fascynowała Mary Silvestri.

Wtedy ujawniała swoje talenty.

Silvestri studiowała medycynę sądową w Wyższej Szkole Kryminalistyki, a następnie przepracowała trzy miesiące u boku lekarza sądowego, usiłując zrozumieć, czego należy szukać na miejscu zbrodni i jakich ważnych informacji może dostarczyć ciało denata. Chodziła na kursy psychologii przestępców w Que-ens College, chcąc zdobyć wiedzę także na temat psychopatologii. W wolnym czasie czytywała kryminały i raporty ze spraw policyjnych. Robiła też użytek z dostępnej techniki i była jednym z niewielu nowojorskich detektywów znających nowo powstały Program Przeciwdziałania Zbrodni. PPZ szukał podobieństw w zachowaniach pozostających na wolności seryjnych morderców i tworzył profile psychologiczne. Większość policjantów” wyśmiewała się z takich pomysłów. Mary Silvestri posłużyła się jednym z profilów, by ująć sprzedawcę samochodów z Tremont Avenue, który pociął brzytwą cztery nieletnie prostytutki.

Choć atrakcyjna, Mary niespecjalnie dbała o siebie. Była wysoka - miała prawie metr osiemdziesiąt w tych rzadkich chwilach, gdy nosiła buty na obcasach - i szczupła, mimo typowej policyjnej diety składającej się z pizzy, sklepowych kanapek i sałatek oraz kawy. Zazwyczaj byle jak czesała długie rude włosy i pośpiesznie spinała. Ubierała się dosyć niedbale, najbardziej lubiła nosić krótkie spódnice, trampki i rozpinane pod szyją bluzy. Rzadko miała przy sobie broń i zawsze trzymała w torebce paczkę chrupków.

Inni policjanci z tego wydziału, sami mężczyźni, uwielbiali jej ekscentryczność. Kiedy jednak Mary pracowała nad sprawą, była tak skoncentrowana, tak skupiona na najdrobniejszych aspektach zabójstwa, że zapominała o wszystkim i o wszystkich wokół siebie. Jej współpracownicy wiedzieli, że im bardziej się zaniedbywała, im mniej przytomnie krążyła po wydziale, tym bliższa była rozwiązania sprawy.

Detektywi z wydziału zabójstw uważają się za policyjną elitę. Zachowują się pewnie i arogancko. Wielu nosi na podkoszulkach pod swetrami motto wydziału. Na koszulce widnieje nakreślony kredą obrys zwłok, nad którym napisano: NASZ DZIEŃ ZACZYNA SIĘ WTEDY, GDY TWÓJ SIĘ KOŃCZY.

W tej grupie panowała opinia, że SiWestri jest najlepsza. Dzięki swym umiejętnościom zyskała przydomek „Pani Colum-bo”, na cześć telewizyjnego detektywa.

Gdy jakaś sprawa wydawała się nie do rozwiązania, wszyscy zwracali się do Mary. To właśnie jej najbardziej ufali detektywi podczas przesłuchań. Potrafiła złamać podejrzanego szybciej, niż trwał mecz hokeja. Posługiwała się wszystkim, co miała do dyspozycji - od seksapilu do fizycznej siły - aby skłonić do współpracy człowieka na taborecie. Z pokoju przesłuchań wychodziła zmęczona, ale zawsze z podpisanym zeznaniem.

Jedyną rzeczą, z jaką nie radziła sobie Mary SiWestri, było jej własne małżeństwo.

Nienawidziła prac domowych i gotowania, brakowało jej również cierpliwości do rodzinnych spotkań. Nie miała rodzeństwa, a jej rodzice już od dawna nie żyli. Mąż Mary był mechanikiem i właścicielem dwóch stacji benzynowych. Od samego początku narzekał na żonę, która nie chce siedzieć w domu. Jego niezadowolenie podsycali teściowie Mary, gdyż nie potrafili pogodzić się z faktem, że w ich rodzinie znalazł się policjant, gorzej - policjantka.

Mary kochała swojego syna. Czasem przyjeżdżała po Franka do szkoły i zabierała go ze sobą do pracy. Siedząc w nie oznakowanym sedanie, razem śledzili podejrzanych. To był jej sposób na zacieśnianie więzów rodzinnych. Frank chciwie chłonał każdą minutę.

- Chcesz, żebym został gliną? - spytał kiedyś, gdy samochód służbowy Mary tkwił na parkingu przed Taco Bell.

- Tylko jeśli ty będziesz chciał nim zostać - odparła Mary pomiędzy jednym a drugim kęsem.

- To po co mnie ze sobą zabierasz?

Mary wyrzała przez okno, upiła łyk kawy, po czym popatrzyła na syna.

- Żebyś zrozumiał, czym się zajmuję - odparła. - I może to, dlaczego jestem taka, jaka jestem.

- Kiedy się rozwiedziecie z tatą?

- A kto mówi, że się rozwiedziemy? - spytała zdumiona Mary.

- Jakoś nie wydaje mi się, żebym musiał wam szykować przyjęcie z okazji pięćdziesiątej rocznicy małżeństwa - stwierdził Frank, kończąc burrito z kurczakiem. \

- Kiedy wzięliśmy ślub, byliśmy dziećmi - powiedziała Mary. - Popelniliśmy błąd. Skończyłam liceum, a on pompował benzynę. Potem poszłam na studia, a on pompował benzynę. Jeszcze później zaszłam w ciążę, a on wciąż pompował benzynę.

- A taka praca jest lepsza? - spytał Frank. - Siedzenie w zimnym samochodzie i wyczekiwanie, aż jakiś gość popełni błąd?

- Dla mnie tak - powiedziała Mary. - Zakucie w kajdanki kogoś, kto zabił człowieka, który wciąż mógłby żyć, jest dla mnie więcej warte niż zatankowanie do pełna.

- Tata lubi to, co robi - odezwał się Frank. - I jest w tym dobry.

- Ja też lubię to, co robię - powiedziała Mary. - I jestei w tym dobra.

- Kochasz go jeszcze?

- Po swojemu - przyznała Mary. - Tyle że to może m już nie wystarczać. Nie wiem, czy kiedykolwiek mu wystarczał.

- Byłabyś szczęśliwsza, gdybyś poślubiła gliniarza? - spytał Frank.

- Wątpię - uśmiechnęła się Mary. - Sprawdzają s: w pracy, ale nigdzie indziej. Zupełnie jak ja. Gdybym miał wybór, zdecydowałabym się na faceta pompującego paliwo.

- To dobrze, mamó. - Frank odwzajemnił jej uśmiech.

- A skoro mowa o paliwie - Mary złapała się za żołąde - dlaczego zawsze wmuszasz we mnie to meksykańskie żarcie.

- Nie zapominaj, że to ty kiedyś weszłaś tu i poprosiła o przepis na taco - przypomniał jej syn.

- Musiałam wyciągnąć odznakę, żeby go dostać - powii działa Mary i wybuchnęła głośnym śmiechem.

Zwłoki trzydziestodwuletniego księgowego już od trzech d wisiały na drzwiach szafy. Twarz mężczyzny była blada ja papier, członki sztywne, a oczy otwarte i wytrzeszczone. Odcię stopy leżały na łóżku. Na całym półnagim ciele księgowego widniały płytkie i głębokie rany klute. Jego ręce były związane z tyłu czarnymi paskami ze skóry, a gardło poderżnięte. Cia zaczęły już toczyć robaki.

- Czy ktoś to zrobił nożem? - zapytała patologa Silvestri.

- Gorzej - odparł lekarz zmęczonym głosem. Był niski, łysy i wyglądał na więcej niż swoje czterdzieści osiem lat. Po trzech latach pracy, gdzie miał do czynienia z mniej więcej dwoma tysiącami zabójstw rocznie, marzył o tym, żeby uciec, ie pieprz rośnie.

- Co może być gorsze, Jerry?

Korkociąg - powiedział patolog. - Ten sam, który leży na biurku i którym otwierano wino.

- Jak długo trwa coś takiego? - spytał Tony Russo, partner Mary.

- Tak długo, jak chce morderca. - Lekarz wzruszył ramionami i z opuszczoną głową odszedł z miejsca zbrodni.

- Chcesz trochę kawy? - spytał Russo.

On i Mary przyglądali się, jak technicy sądowi przystępują do roboty - robią zdjęcia, szukają odcisków palców, dowodów oraz opieczętowują zagracone dwupokojowe mieszkanie z widokiem na Bronx River Parkway.

- Trzeba naprawdę lubić zabijanie, żeby pozabawić kogoś życia w taki sposób. - Mary wpatrywała się w zwłoki młodego mężczyzny na drzwiach szafy. - Jak inaczej można by to wytłumaczyć?

- Nie można - odparł Russo. - Przynajmniej nie przed wypiciem kawy. I zjedzeniem drożdżówki.

Księgowy, Jamie Sinclair, był bezrobotnym kawalerem. W ciągu ostatnich dwóch lat pracował tylko jako wolny strzelec dla pewnej firmy na Manhattanie, specjalizującej się w reklamach telewizyjnych. Biegał pięć kilometrów dziennie, a po pracy cztery razy w tygodniu chodził na aerobik. W Jackson Heights miał brata, który pracował w urzędzie stanu cywilnego. Matka Jamiego zmarła w 1980 roku, po długiej walce z chorobą umysłową, a jego ojciec mieszkał w trzypokojowym spółdzielczym mieszkaniu z dwukrotnie rozwiedzioną matką dwojga dzieci. I to było właściwie wszystko w trzydziestodwuletnim życiu księgowego. Silvestri i Russo nie znaleźli żadnych dziewczyn czy chłopaków. W ogóle Jamie Sinclair miał niewiele przyjaciół. Wszystko wskazywało na to, że wolał spędzać czas w samotności.

Z wyjątkiem tej nocy, gdy zginął.

- Policjanci nie znaleźli żadnych oznak włamania. - Russo przełknął ogromny kawałek szarlotki. - Wpuścił tego, kto go załatwił.

- Albo ten ktoś już tam był, kiedy Sinclair wrócił do domu.

- Mary objęła oburącz kubek z czarną kawą.

- Tak czy inaczej, ofiara znała sprawcę - powiedziała Russo.

Oboje popatrzyli na ulicę, na schludne jednorodzinne domki i dwupiętrowe bloki mieszkalne. Dwa budynki dalej kolejki dojeżdżała właśnie do White Plains Road. Wóz patrolowy blokował dostęp do ulicy, a żółta taśma opasywała front budynku w którym popełniono morderstwo. Okoliczni gapię przyglądał się z tarasów i masek zaparkowanych samochodów.

- Gdzie chcesz zacząć? - spytał Russo, kiedy skończy ciastko.

- Najpierw niech mundurowi obejdą sąsiadów - odparł Mary. - My wkroczymy później. Niech poszukają tego, co zawsze. Dopilnuj, żeby zapytali o wszystkich obcych, którzy się tu kręcili. Zwłaszcza w ciągu ostatnich dwóch dni, przede wszystkim o kobiety.

- Wyglądasz się? - Russo położył dłoń na ramieniu Mary.

- Już coś wiesz? Byłaś tam tylko przez dziesięć minut.

- Spokojnie, łakomczuchu. - Mary odsunęła ramię. - Kiedy ja będę coś wiedziała, ty też się dowiesz.

- Coś ci powiem, pani Columbo - odezwał się Russo. - Jeśli będę z tobą trzymał, zrobią mnie kapitanem, jeszcze zanirr wyłysię.

Mary popatrzyła na cienkie ciemne kosmyki Russo, poruszane łagodnym, wiosennym wiatrem.

- Lepiej się pośpieszmy - powiedziała.

Zanim jeszcze ciało Jamiego Sinclaira zostało oznakowane i umieszczone w kostnicy, dział daktyloskopii znalazł trzy inne rodzaje odcisków palców. Jedne należały do jego brata, który miał klucz i twierdził, że wszedł do mieszkania, aby zostawić Jamiemu pewne rodzinne dokumenty do podpisania. Drugie odciski były odciskami gospodarza budynku. On także miał klucz i od czasu do czasu odwiedzał mieszkanie, by zostawić w nim książki i inne przesyłki. Kolejne odciski należały do Alison Walker, pięć-dziesięcioośmioletniej kobiety z chorym sercem, imponującym stanem konta i własną kamienicą na Upper West Side.

Jej nazwisko znalazło się na czele listy sporządzonej przez Silvestri i Russo.

- Czemu bogaty kociak z Manhattanu szwenda się z frajerem z Bronksu? - zastanawiał się Russo, mknąc ulicami Manhattanu.

- Ma pięćdziesiąt osiem lat - zauważyła Mary, usiłując przeczytać swoje notatki. - Przestała być kociakiem, gdy Ken-nedy pokonał w wyborach Nixona.

- Myślisz, że to ona go zabiła?

- I odcięła mu stopy? Wątpię.

- A co, kobiety nie mordują?

- Nie mordują w brutalny sposób. Mogą zastrzelić. Użyć noża, gdy są naprawdę zdesperowane. Ale nie tak. Nie tak brutalnie.

Mary odłożyła notatki do torby i otworzyła papierową torbę, którą trzymała na brzuchu. Wyciągnęła z niej kubek z kawą, otworzyła wieczko i wrzuciła do kubka trzy torebki cukru.

- Musisz kogoś zabić - odezwał się Russo, skręcając gwałtownie za żółtą taksówką. - Faceta. Męża. Narzeczonego. Kogokolwiek. To tylko sugestie. Czym ty byś się posłużyła, pistoletem czy nożem?

- Ani jednym, ani drugim. - Mary wymieszała cukier w kubku.

- No to czym, bombą? - spytał Russo. - Podłożyłabyś mu bombę zegarową do samochodu?

- Strychniną - odparła Mary. - Pięć kropli do drinki i mięśnie atakuje adenozyntotrójfosforan. Facet umiera w przeciągu kilku minut. Ciężko to wykryć, chyba że

policja dotrze m miejsce zbrodni w trzy godziny, bo stężenie pośmiertne następuj w chwili zgonu, a nie przy spadku temperatury ciała.

- Widzę, że sporo o tym myślałaś. - Russo oderwał wzroł od jezdni i popatrzył na partnerkę.

- Masz tu kawę. - Mary wręczyła kubek Russo i uśmiech' nęła się do niego. - Taka, jak lubisz.

- Sama ją wypij - odparł Russo. - Mnie się nie chce.

- Miałam nadzieję, że to powiesz - stwierdziła Mary i upił; spory łyk gorącego napoju.

Alison Walker wpuściła oboje detektywów do pokoju gościn-nego i podała im herbatę oraz półmisek świeżych ciastek. Alisoi była niska, dosyć krępa i, mimo zbyt napiętej po liftingu skon w okolicach szyi i szczęki, całkiem atrakcyjna. Miała na sobi brzoskwiniową bluzkę, jasnobrązową spódnice do kolan i brązo we czółenka. Jej szyję otaczał podwójny sznur pereł, a spo< złocistokasztanowych, starannie uczesanych i zakręconych wło sów wyłaniały się dopasowane do bluzki kolczyki.

Mary Silvestri usiadła na kanapie w kolorze ecru, która naj prawdopodobniej kosztowała dwa razy więcej niż jakikolwie mebel w domu policjantki. Pokój był duży i nieskazitelnie czysty pełen antyków. Ich dobór świadczyło dobrym guście właścicielk oraz trosce o szczegóły. Przez otwarte okno do pomieszczeni wpadał lekki wiosenny wietrzyk.

- Ma pani piękny dom - powiedziała Mary. - Naprawdę Ja bym nawet nie wiedziała, jak zacząć go urządzać.

- To wymaga sporo czasu i pracy. - Nienaganny akcen Alison Walker w żaden sposób nie zdradzał, że była jedyną córk rybaka z New Jersey.

- I pewnie pieniędzy? - dodała Mary.

- To oczywiste - stwierdziła spokojnym głosem Walke

W jej jasnoniebieskich oczach nie było widać żadnych emocji. - Niewiele da się zrobić bez pieniędzy.

- Nie będzie pani przeszkadzało, że sobie zapalę? - zapytał Russo z drugiego końca kanapy, usiłując nie pożreć od razu całej awartości tacy z ciastkami.

- Owszem. - Walker nie spuszczała oczu z Mary. - Będzie mi to przeszkadzało.

- No to nie dziękuję - mruknał Russo i wepchnął paczkę papierosów do kieszeni koszuli.

- Znała pani mężczyznę o nazwisku Jamie Sinclair? - spytała Mary.

- Jak to - znałam?

- On nie żyje - powiedział Russo. - Kilka dni temu ktoś zrobił z niego wieszak. To drugi, poza ciastkami, powód, dla którego się tu zjawiliśmy.

Walker nakryła usta dłonią i powoli zmrużyła oczy. Mary popatrzyła na Russa.

- Przepraszam - powiedziała, odwracając się do Walker. - Znała go pani?

Alison Walker wstała z krzesła i podeszła do drzwi. Trzymała jłowę wysoko, a jej obcasy stukwały o drewnianą podłogę.

- Wyjdźcie stąd oboje - powiedziała i otworzyła szeroko irzwi. - Natychmiast.

- I tak będziemy musieli tu wrócić - powiedział Russo schował dwa ciastka do kieszeni kurtki. - Albo przysłać kogoś, to przyprowdzi panią do nas.

Mary podniosła jedną z leżących obok dzbanka z herbatą serwetek, wypełniła ją ciastkami i zawinęła, po czym podała Russowi.

- Poczekaj na mnie w samochodzie, łakomczuchu - powiedziała. - Przyjdę, zanim zdążysz je zjeść.

- Na pewno?

- A co, chcesz też mleka? - spytała Mary. - Idź już. Odwróciła się do starszej kobiety.

- Znała pani Jamiego - powiedziała, siadając na kanapi obok Alison. - Nie zabiła go pani, ale znała.

Kobieta powoli pokiwała głową i wzięła głęboki oddech.

- Tak - odparła, unikając kontaktu wzrokowego z Man Wpatrywała się w kryształowy wazon z różą, stojący na środk stolika do kawy. - Byliśmy przyjaciółmi.

- I wiedziała pani, że on nie żyje - ciągnęła Mary miękkin ciepłym głosem, jak gdyby rozmawiały o zgonie wspólneg przyjaciela, a nie o morderstwie z zimną krwią. - Jeszcze zanii do pani zapukaliśmy.

- Skąd pani o tym wie? - Walker popatrzyła wilgotnyi wzrokiem na Mary.

- Większość ludzi jest zaskoczona, gdy w ich drzwiac pojawia się dwójka gliniarzy - odparła Mary. - Czują s: wytrąceni z równowagi. Pani wydawała się niemal szczęśliwa n nasz widok. Wpuściła nas pani, nawet nie pytając, po co przyszl śmy.

- Na drugi raz będę o tym pamiętać - powiedziała Walki i spróbowwała się uśmiechnąć.

- Czy Sinclair był pani kochankiem? - Mary pochyliła s nad kobietą.

- Nie - odparła Walker. - Jamiego nie interesowały kor takty fizyczne. Przynajmniej nie ze mną.

- Zupełnie jak typowego męża - uśmiechnęła się Mary.

- Nic o tym nie wiem - powiedziała Walker. - Nigdy n wyszłam za mąż. Jamie był dla mnie ostatnią szansą na zamąi pójście. W moim wieku i z moją pozycją przyciągam większość mężczyzn tylko jednym. I nie jest to seks.

- Ile mu pani dawała pieniędzy?

- Dawałam mu tyle, ile chciałam. - W głosie Walk zabrzmiała nuta buntu.

- A ile to było? - nie rezygnowała Mary.

- Dwa, czasem trzy tysiące dolarów - odparła Walker.

- Tygodniowo?

- Zasłużył na to.

- Czym? - spytała Mary, rozglądając się po pokoju. - Ma pani księgowego, sama pani gotuje, a ten dom nie wymaga chyba odmalowania.

- Jamie nieźle sobie radził z liczbami-powiedziała Walker. - Pomagał mi przy inwestycjach, płacił rachunki, obliczał podatki. Ufałam mu. Nigdy nie dal mi powodu, żebym przestała mu ufać.

- Odjak dawna pani pomagał?

- Od prawie trzech lat.

- I przez ten cały czas płaciła mu pani takie pieniądze? Trzy tysiące dolarów tygodniowo?

- Tak.

- Jak mu pani płaciła? - zapytała Mary. - Gotówką czy czekiem?

- Gotówką - odparła Walker. - Jamie świetnie zajmował się moimi sprawami, ale sam był zupełnie niezorganizowany. Nawet nie miał konta.

- Gdzie trzymał pieniądze?

- Nigdy nie pytałam. Wiem jedynie, że nie wydawał zbyt dużo, jeśli w ogóle cokolwiek wydawał. Odnosiłam wrażenie, że Jamiego niezbyt interesują pieniądze.

- Interesowały go na tyle, żeby żądać od pani paru tysięcy na tydzień za machlojki podatkowe. - Mary wstała i zamknęła notatnik.

- Czy ma pani jeszcze jakieś pytania? - Walker przekrzywiła głowę i popatrzyła na rozmówczynię.

- Tylko jedno.

- Jakie?

- Kto jeszcze wiedział o pani i Jamiem? - zapytała Mary.



- Nigdy o tym nie mówiłam żadnemu z przyjaciół - odparła Walker. - Ludzie i tak plotkują na mój temat. Zawsze tak było. Chciałam zachować w tajemnicy to, co łączyło mnie i Jamiego.

- A on? Mówił komuś? \

- Tylko bratu. Byli sobie bardzo bliscy.

- Mówił mu też o pieniądzach? - spytała Mary.

- Nie, nie sądzę. To nie było coś, o czym Jamie by opowiedział. Komukolwiek.

- Skąd się pani dowiedziała, że Jamie nie żyje? Ledwi o tym wspomniano w brukowcach. Zresztą, nie wydaje mi się żeby czytywała pani takie pisma.

- Powiedział mi jego brat Albert - wyjaśniła Walker. ~> Zadzwoił do mnie i opowiedział mi, jak i kiedy zginął Jamie.

- Powiedział pani coś jeszcze?

- Żebym z nikim nie rozmawiała - odparła Walker z spuszczoną głową.

- Proszę na siebie uważać. - Mary ruszyła w stronę wyjścia. - Skontaktuję się z panią.

Kiedy Walker uniosła głowę, ujrzała tylko zamknięte drzwi

Mimo późnej pory i deszczu, który zalewał ulice, bar by zatłoczony. Usiedli przy okrągłym stoliku z tyłu, z dala od szaf grającej. Na blacie piętrzyły się butelki piwa, pogniecione serwetki i miski solonych precelków. W lokalu panował mrok, jał w większości barów dla policjantów, a lampy rzucały więcej cienia niż światła. Czterej mężczyźni i jedna kobieta przy stoliku członkowie Wydziału Zabójstw Północnego Bronksu, byli w odświeżonym nastroju. Ich dzisiejsza praca zakończyła się sukcesem

Pani Columbo rozwiązała kolejną sprawę.

- Załamał się w samochodzie - powiedziała Mary i upił łyk whisky. - Płakał przez całą drogę na posterunek.

- Trzeba naprawdę nienawidzić brata, żeby go tak załatwi - westchnął dzielnicowy Jo Jo Haynes. - Wkręcić mu korko ciągnący w szyję, a potem odciąć nogi. Jezu! A ja myślałem, że to moja rodzina jest popieprzona.

- Jeśli będę miał jakąś forszę, w życiu nie powiem o tym brat - odezwał się Russo. - Chociaż całkiem go lubię.

- Nie chodziło tylko o pieniądze - powiedziała Mary.

- A o co? - spytał nowy policjant, Rodriguez.

- Ten brat, Albert, cierpi na jakąś chorobę mięśni - odparł;

Mary. - Ubezpieczenie nie pokrywa wszystkich kosztów. Facet ledwie wiązał koniec z końcem.

- Wiedział, że Jamie zarabiał parę tysięcy na tydzień? - zapytał Johnson.

- Nie. Myślał, że Jamie sam nie daje sobie rady. Nawet pożyczał mu pieniądze. Żal mu było brata.

- Co za kutas z tego Jamiego - mruknął Jo Jo Haynes.

- Albert przyszedł do mieszkania. - Mary dokończyła drinka. - Zobaczył butelkę wina i zaczął szukać korkociągu.

- Znalazł go - wpadł jej w słowo Russo - w szafce, obok zwiniętej papierowej torby. Zaciekawiony Albie zapomniał, że chce mu się pić, i otworzył torbę.

- I znalazł pieniądze - dokończył Johnson.

- Siedział na łóżku przez trzy godziny - dodała Mary. - Trzymał korkociąg i gapił się na pieniądze.

- W pewnej chwili wszedł Jamie. Zobaczył, że biedny Albie siedzi obok całej tej forsy, więc zaczął się na niego wydzierać - oznajmił Russo.

- Albert stracił panowanie nad sobą - ciągnęła Mary. - Te wszystkie lata, przez które brat go wykorzystywał, rozplynęły się w kilku krwawych minutach.

- Pokroił skurwiela - dodał Russo. - Powiesił go, zabrał kasę i wyszedł.

- I wcale nie wypił wina - zauważył Johnson.

- I to jest najsmutniejsze - westchnął Rodriguez. - Facet przychodzi się napić i wychodzi spragniony.

- Tyle że po morderstwie |- powiedział Russo. - Obecna tu pani Columbo szybko go rozpracowała.

- Co się stanie z tą starszą panią? - spytał Haynes. - Jak ona się nazywa? Walker?

- Kij z nią, kapitanie - odparł Russo. - Przynajmniej ma nogi i może przełknąć to, co weźmie w usta.

- Umrze samotnie - odezwała się cicho Mary. - Jamie był jej jedynym prawdziwym przyjacielem. Po czymś takim nie zbliży się już do nikogo. Nic już nie będzie jej sprawiać radości I umrze samotnie.

- Myślisz, że uznają Alberta za niepoczytalnego? - spyt Johnson.

- A jakżeby inaczej? - parsknął Russo. - Całe życie b czysty. Nawet nie dostał mandatu za złe parkowanie. To jed z tych, którzy przechodzą przez życie kompletnie nie zauważeni.

- Dwa życia zmarnowane, jedno zakończone - powiedziała Mary. - I to wszystko dla kieliszka wina.

- Niech to będzie dla nas lekcja. - Russo uniósł butelki budweisera. - Pijmy piwo. Nie trzeba pieprzonej broni, żeb) je otworzyć, i na pewno nikt, kto je pije, nie ma papierowej torb) pełnej gotówki.

- Rozumiem, że to nie ty stawiasz - zauważyła Mary.

- Właśnie. Chyba że któreś z was ma korkociąg w kieszeni - Russo wstał od stołu.

- Kapitanie - zaczął Johnson z uśmiechem. - Co z nami stanie, jeśli każdy z nas wpakuje Russo po kulce?

- Dam wam podwyżkę - odparł Jo Jo Haynes. Pani Columbo i inni detektywi zakończyli głośnym śmiechem ten wieczór zwycięstwa nad śmiercią.

Mary zaparkowała samochód cztery przecznice od swojego domu. Deszcz przestał już padać, a powietrze było chłodne i świeże. Z drzew dobiegały wczesnoporanne zapachy. Lampy rzucały cienie na samochody i trawniki. Zbliżała się trzecia w nocy, a ulice były puste. Mary szła powoli jedną z nich, z opuszczoną głową i torebką na ramieniu. Nasycona drinkiem, rozmyślała leniwie o wydarzeniach tego dnia.

Była już prawie w domu, swoim małym domem z przeciekającym dachem, nawalającą armaturą i dwoma dawno nie odmalowanymi oknami w sypialni. Mimo to, idąc popekany chodnikiem Trzydziestej Siódmej Alei, Mary wiedziała, że jej życie jest nieporównanie lepsze od życia Alison Walker. Miała to, czego rozpaczliwie pragnęło tak wiele kobiet - męża w sypialni i syna w pokoju obok.

Może mimo wszystko jej małżeństwo nie było tak całkiem nieudane. Poza tym obserwowanie, jak dorasta Frankie, dawało jej wiele powodów do radości. To było o wiele lepsze niż siedzenie w samotności i wpatrywanie się w antyczny wazon, w którym tkwi jedna róża, ze świadomością, że nie zadzwoni żadna osoba, której by zależało, a w drzwiach nie pojawi się nikt, kogo można by uściskać.

Mary Silvestri przeszła przez jezdnię przy błyskającym czerwonym światłem i przyśpieszyła nieco, chcąc jak najszybciej znaleźć się w domu. Nie zauważyła, że w alei, nieopodal zamkniętych delikatesów „Sergio”, schronił się mężczyzna z nożem. Skulony, stał na czubkach palców i przyglądał się nadchodzącej kobiecie, czekając, aż nadejdzie najważniejszy moment, by zabrać jej torebkę.

Skoczył, gdy Mary znalazła się dokładnie na wprost niego.

Silny i muskularny, owinał prawe ramię wokół gardła Mary i przycisnął ostrze noża do jej pleców, osłoniętych swetrem z wielbłądziej wełny.

- Tylko piśnij, a już po tobie - powiedział.

Jego oddech śmierdział alkoholem. Przestępca zacieśnił ucisk na gardle Mary i gwałtownie poruszył nożem. Cofnął się, ciągnąc kobietę w mroczną aleję.

Mary rozluźniła mięśnie i pozwoliła mu się wlec. Ręce miała wolne, gotowe do ataku. Ramię wokół jej szyi było obandażowane, na białej gazie pojawiła się krew, gdy mężczyzna złapał Mary za włosy. Odchyliła głowę, musnąwszy jego szorstki policzek.

Teraz byli już w alei.

- Co masz dla mnie? - spytał mężczyzna, pochylając jej głowę ku ścianie z czerwonej cegły. - Ile?

- Weź wszystko - powiedziała z trudem Mary. - W torebce. Weź ją. ‘ >

Mocno pociągnął ją za włosy, a następnie uderzył jej głowi o ścianę.

- Nie mów mi, co mam wziąć, suko. Wezmę, co będę chcia Rozumiesz?

- Tak - odparła Mary, zlizując krew, która skapywała je z czoła.

Mężczyzna puścił gardło kobiety i zdarł torebkę z jej ramienia Oparł Mary o ścianę, nadal grożąc jej nożem. Zamknęła ocz;

I wzięła kilka głębokich oddechów, usiłując zebrać myśli. Wie działa, że nie ma zbyt wiele czasu, i była na siebie zła za to, że zostawiła broń w pracy, jak zawsze, gdy szła się napić z kolegami

Słyszała, jak mężczyzna grzebie w torebce i wiedziała dokładnie nie, co tam znajdzie - sześćdziesiąt dolarów w gotówce, kart; płatnicze Visa i Master Cards, jedną z debetem, a drugą niema całkowicie wyczyszczone, zegarek kieszonkowy ojca i policyjną odznakę.

Mężczyzna wyjął gotówkę, nie zauważył odznaki i wyrzucił torebkę w zarośla. Wepchnął pieniądze w przednią kieszeń brudnych dżinsów i pochylił się nad Mary. Oparł głowę na ramieniu kobiety i zbliżył usta do jej ucha. Wciąż nie opuścił noża.

- Podoba mi się twój zapach - powiedział, dotykając językiem jej małżowiny.

- Dostałeś to, czego chciałeś. - Mary starała się nie podnosić głosu. - Wystarczy ci na dzisiejszą działkę. Będziesz si(dobrze bawił.

Mężczyzna rozpiął rozporek i przycisnął ją do ściany.

- Ty będziesz moją działką - szepnął. - Razem się żaba wimy.

Teraz ocierał się o nogę kobiety, a wolną ręką macał jej spódnice i rajstopy, usiłując dotknąć ciała. Mary próbowała wy dostać się z jego uścisku. Oparta o ścianę, starała się nie straci równowagi.

- Tak, mała - powiedział mężczyzna. - Walcz ze mną No już, walcz.

Mary odwróciła głowę od ściany, odpychając rękę mężczyzny od swojego uda. Popatrzyła w jego oczy, brązowe, lśniące i puste, i ujrzała w nich to, co przez tyle lat

widywała w oczach wielu morderców. W ułamku sekundy zrozumiała, co ją spotka. Nie chodziło mu tylko o seks. Ani o narkotyki.

Pragnął krwi.

Jej krwi.

Nie poczuła ani pierwszego, ani drugiego pchnięcia, ale słyszała, jak mężczyzna się śmieje, patrząc na ściekającą po jej nogach krew, która niczym rozpuszczona galaretka płynęła po zniszczonym chodniku ciemnej alejki w Queens. Śmiał się i patrzył prosto w oczy Mary - obserwował, jak ucieka z nich życie.

Ogarnęła go żądza krwi.

Nikt nie rozumiał tego uczucia lepiej niż Mary Silvestri.

Obudziła się trzy dni później na oddziale intensywnej terapii. Lekarze usunęli jej część płuca, pokiereszowaną przez nóż mężczyzny. Rany na brzuchu wymagały założenia czterdziestu siedmiu szwów. Na całym ciele Mary widniały guzy i siniaki, a złamana lewa noga tkwiła w gipsie. Jedno oko lekarze zalepili opatrunkiem, prawa strona twarzy także była zabandażowana.

Mary rozejrzała się po pomieszczeniu. Jasnoniebieskie ściany falowały przed jej oczyma, a promienie słońca ogrzewały lewy policzek. Widziała, jak płyn w kroplówce powoli ścieka do jej ramienia. Czowała suchość w ustach i ujrzała, że do nosa ma podłączone dwie małe plastikowe rurki z tlenem. Palce jej lewej ręki oplatał różaniec.

Odwróciła głowę na lewo, tak by słońce nie raziło jej w oczy, i ujrzała na krześle swojego syna. Frank siedział ze skrzyżowanymi rękami, w czapce i kurtce Nowojorskich Jankesów, i przyglądał się jej. Wpatrywała się w niego przez kilka sekund. Widziała troskę na jego twarzy, napięcie, z jakim pochylił się w jej stronę, i popatrzyła w oczy kilkunastoletniego chłopca, przerażonego tym, że jego matka może umrzeć.

- Nie powinieneś być w szkole? - zapytała. Każde słowo sprawiało jej głęboki ból.

- Jest niedziela - odparł Frank, zdumiony tym, że przemówiła.

- No to w kościele. - Mary uśmiechnęła się blado. - Przydałoby się parę zdrowasiek w mojej intencji.

- Byłem tam rano z tatą.

- Przyszedełś tu sam?

- Nie - odparł Frank. - Tata zszedł do bufetu po kawę.

- Co z nim?

- Boi się. Siedzi tu całymi dniami. W nocy śpi na łóżku oba ciebie. Wychodzi tylko po to, żeby sprawdzić, co w pracy, i odbrać mnie ze szkoły.

- A jak ty się masz? - Mary żałowała, że nie może usiąść i po raz pierwszy od wielu lat przytulić syna do siebie.

- Ja się tak nie boję - powiedział Frank.

- A to czemu?

- Tata zapomniał, jaka jesteś twarda-odrzekł chłopiec.-Ja nie.

- Nie jestem tak twarda jak ten facet, na którego trafiłam - westchnęła Mary. - Gdyby tak było, wysyłałibyśmy mu kwiat]

- Złapali go.

- Kto go aresztował?

- Nawet nie wiem - odparł Frank. - Russo i inni zaczęli go ścigać podczas twojej operacji. Gdy trafiłaś na oddział, już go mieli.

- Cieszę się, że spotkam się z nim w sądzie - powiedział Mary. Gardło miała całkiem wyschnięte, a szczeka bolała ją z każdym razem, gdy się odzywała.

- Nie będzie go w sądzie.

Nie musiała nic mówić. Popatrzyła na syna, najpierw zdumieniem, a chwilę potem ze zrozumieniem w oczach.

- Russo mówił mi i tacie, że facet zaczął się rzucać - mówi Frank spokojnym tonem, z którego byłby dumny nawet doświadczony gliniarz. - Ruszył na nich z tym samym nożem, który załatwił ciebie. Russo i Johnson go powstrzymali.

Mary pokiwała głową i odwróciła spojrzenie. Powoli dźwignęła się nieco z poduszek i popatrzyła na kwiaty i kosze, którymi zastawiono pokój.

- Cieszę się, że żyjesz, mamo. - Frank wstał i podszedł bliżej do łóżka.

- Ja też się cieszę, skarbie - powiedziała Mary.

- Tata mówi, że teraz wszystko będzie inaczej. Lepiej niż dotychczas.

- Bo już nie mogę być policjantką? - zapytała Mary. Wypowiedzenie tych słów na głos zabolęło bardziej, niż się spodziewała. W kącie zdrowego oka kobiety pojawiła się łza.

- Zawsze będziesz policjantką, mamo - odparł Frank i dotknął jej ręki.

Kiedy w końcu została sama, znowu oparła głowę na poduszce, zamknęła oczy i po raz pierwszy od czasów dzieciństwa zaczęła płakać. Płakała nie tylko z bólu i nie tylko ze złości. Jej łzy przepelnione były poczuciem straty. Zrozumiała, że w tej ciemnej alejce została nie tylko jej krew.

#### 4. Geronimo

Delgado Lopez przykucnął pod ołtarzem w kościele i utkwiał wzrok w dwunastu laskach dynamitu. Przytwierdzono je taśmą do marmurowej płyty i połączono z

przywiązany do zapalnika zegarem. Dookoła członkowie brooklyńskiego oddziału specjalnego biegali po kościele, rozkładając ciężkie tarcze, tłumiące wybuchy i przesuując na bok rzeźby oraz zapalone wotywny lampki. Kilka minut wcześniej zamknięto główne i boczne wejście do kościoła, a dwunastu policjantów w kamizelkach kuloodpornych i hełmach ochronnych stało na straży.

Lopez przeciągnął palcem wskazującym wzdłuż lasek z dynamitem, sprawdzając poziom ich wilgotności i uważając, żeby przypadkiem nie trącić czerwonych, zielonych i niebieskich drucików splątanych wokół zegara.

- Ile mamy czasu? - zapytał dowódca saperów, Gerr; Dumane, i ukląkł obok Lopeza.

- Za mało. - Lopez nie odrywał wzroku od mechanizmu - Mniej więcej dwanaście minut.

- Jaką ma moc?

- Może rozwalić pół kościoła. Albo i więcej. Zależy od tego, jak świeży jest dynamit, i co jeszcze tu wpakowano.

- Jezu - jęknął Dumane.

Lopez przeniósł wzrok z bomby na ołtarz za dowódcą.

- Nie musisz go szukać zbyt daleko - powiedział, wskazując na krucyfiks. - Jest tuż za tobą.

W wieku trzydziestu lat Delgado Lopez miał już za sobą sześć lat służby w oddziałach specjalnych. Wstąpił do policji po półtorarocznej służbie wojskowej, gdzie dorobił się stanowiska eksperta od broni. Od dzieciństwa fascynowały go materiały wybuchowe.

Mając dziesięć lat, Delgado zbudował pierwszą bombę, składającą się z gumowych pasów, sody oczyszczonej, cyferblatu starego timexa, który należał do jego ojca, prochu z dwóch pudełek petard i błękitnej włóczki z koszyka matki.

Jako nastolatek Delgado zastanawiał się poważnie nad studiami na wydziale chemii, laboratorium jednak wydawało mu się zbyt spokojnym miejscem. Nie wystarczyłaby mu sama wiedza o bombach i materiałach wybuchowych. Delgado nie został stworzony na obserwatora.

Chciał widzieć, jak działają bomby. Chciał być na miejscu w chwili, gdy zegar zacznie odliczać ostatnie sekundy, a przecięcie niewłaściwego przewodu przechyli szalę zwycięstwa na stronę zamachowca, powodując zagładę wszystkich innych. Właśnie to sprawiło, że Delgado Lopez, wysoki, muskularny młodzieniec o gęstych czarnych włosach i oczach tak ciemnych, że patrząc w nie, ludzie odnosili wrażenie, że wpatrują się w pusty ekran, był idealnym kandydatem do oddziałów specjalnych. To właśnie on jeździł na

niebezpieczne wezwania, nie bał się ryzyka, i nawet nie mrugnął, gdy w pustym pomieszczeniu rozległo się tykanie zegara bomby. Nazywali go Geronimo, gdyż po matce miał w sobie krew Czirokezów. Niczym polegli przodkowie, był prawdziwym wojownikiem.

- Jak chcesz to rozegrać? - Dumane potarł kark, rozglądając się po kościele.

- To prosty mechanizm - odparł Geronimo. Wciąż wpatrywał się w zegar. - To nie zajmie więcej niż dwie, może trzy minuty.

- No to o co chodzi? - spytał Dumane. - Zrób to i zabierajmy się stąd.

- To zbyt łatwe - powiedział Geronimo. - Facet zadaje sobie tyle trudu, żeby umieścić tę bombę w kościele. Później dzwoni do nas, mówi, gdzie ona jest i ile zostało nam czasu. Następnie znajdujemy coś, z czym poradziłby sobie zdolny dzieciak z nożyczkami.

- Co chcesz przez to powiedzieć, G? - spytał Dumane. - Może nie jest aż tak dobry.

- Albo lepszy niż sądzimy.

Geronimo wstał i rozejrzał się po pustym kościele, poszukując czegoś w kształcie bomby, starając się poczuć zapach prochu. Teraz nie myślał jak gliniarz, lecz samotny człowiek, który pragnie destrukcji.

- Ludzie nadal przeszukują kościół? - spytał, przyglądając się srebrzystym organom nad wejściem do świątyni.

- Przerwali, kiedy znaleźli tę bombę - odparł Dumane. - Czemu pytasz?

- Rozbroję ją, ale każ im przeszukać kościół.

- Wkurwiam się, kiedy gadasz w ten sposób - powiedział Dumane. - O co ci chodzi?

- Zostawił tu dwie bomby, poruczniku. - Geronimo popatrzył na Dumane'a. - Tamta wszystko rozwali. Ta ma nas tylko zająć.

- Jesteś pewien?

- Możemy zagłosować - odparł Geronimo. -! Jeśli uważasz, że mamy na to czas.

- Rozpraw się z tą bombą. - Dumane ruszył w kierunku ołtarza. - Przyślę po ciebie, kiedy znajdziemy kolejną.

- Jeśli mnie tu nie będzie, tam mnie znajdziesz. - Geronimo wskazał na balkon. - Przy organach.

- Dlaczego tam? - krzyknął przez ramię Dumane.

- Lubię organy - uśmiechnął się Geronimo.

Gdy pracował, dotknął medalionu pod koszulą. Matka dała m go na szczęście, pierwszego dnia pracy w policji. Wisiorek miał kształt konia, który wisiał na cienkim złotym łańcuszku. Matka kazała mu obiecać, że nigdy go nie zdejmie.



Druga, starannie zapakowana bomba była wciśnięta między pedał a podstawę organów. Jej środek owijała gruba taśma, oddzielająca gęsto nawinięte przewody, przebiegające po bokach urządzenia. Pod mechanizmem znajdowało się trzydzieści sześć lasek silnego dynamitu, a zapalnik zegarowy otaczało sześć buteleczek z nitrogliceryną. Sześć różnokolorowych, splątanych ze sobą przewodów przytwierdzono do srebrnych wieczek fiolek.

Geronimo leżał na plecach pod organami i wpatrywał się w mechanizm. Przyglądał się, jak biegną przewody, każdy osadzony w wiązce lasek dynamitu tak silnego, że mógłby wysadzić w powietrze kilka budynków. Podziwiał prostotę wykonania i zastanawiał się, jakim człowiekiem był jego przeciwnik, czerpiący przyjemność z uwalniania takiej siły i obracania jej przeciwko niewinnym ludziom.

Geronimo zamknął oczy i obiema rękami dotknął medalionu pod kamizelką, która miała go chronić przed skutkami wybuchu bomby. Usłyszał, jak obok wślizguje się porucznik Dumane, w samym podkoszulku i z zestawem narzędzi do rozbijania bomb.

- Czego ci trzeba, G? - spytał Dumane. - Już jestem. Geronimo otworzył oczy i popatrzył na zegar.

Na rozbicie bomby zostało jedynie siedem minut.

- Trzeba mi cudu - odparł. - Masz może jakiś pod ręką?

- Co jest głównym zapalnikiem - nitrogliceryna czy dynamit? - zapytał Dumane.

- Oba. Jeden uruchomi drugi.

- Mógłbyś przeciąć przewody przy zegarze. Rozbroić oba zapalniki naraz.

Geronimo potrząsnął głową.

- Zegar podłączono tylko do jednego - powiedział. - Jest zbyt wiele drutów, żeby powiedzieć, do którego.

- Cholera. Odkąd rozbijam bomby, w życiu nie widziałem czegoś takiego.

- To naśladowca - stwierdził Geronimo. - Widziałem już taką konstrukcję.

- Gdzie?

- Takie bomby podrzucali niemieccy terroryści z ugrupowania Baader-Meinhoff. Na początku lat siedemdziesiątych.

- Jak je rozbijano? - spytał Dumane.

- Z tego, co wiem, nikt nie zdołał ich rozbroić - powiedział Geronimo. - Za to niemiecka policja zabiła wszystkich członków grupy.

- Dlaczego my nie zrobimy czegoś takiego? - mruknął Dumane.

Geronimo popatrzył na zegar, na którym pozostało tylko sześć minut, i wyciągnął małe kombinerki. Otarł pot z nadgarstka i z czoła, po czym odetchnął głęboko.

- Jak duży obszar ewakuowaliście? - spytał, przekładając kombinerki do prawej ręki.

- Trzy budynki po każdej stronie - oparł Dumane. - Ani w mieszkaniach, ani w sklepach nie ma nikogo.

- To dobry moment, żebyś i ty się ulotnił. - Geronimo popatrzył na niego znacząco. - Na wypadek, gdybym coś spieprzył.

- Ty samolubny sukinsynu - uśmiechnął się Dumane. - Zależy ci tylko na sławie. No cóż, szefie\* mam złe nowiny. Będziesz się musiał podzielić tą bombą.

- Najpierw przetnę niebieskie druty - oznajmił Geronimo.

- Dlaczego niebieskie?

- Przeczucie mi to podpowiada. Jeśli nie wylecimy w po\* wietrze, oddzielę fiołki z nitrogliceryną od zegara i usunę je z urządzenia.

- Będę musiał je gdzieś włożyć. - Dumane rozejrzał dookoła. - Gdzieś, gdzie się nie poruszają.

- Na ołtarzu może być kielich - powiedział Geronimo. Pewnie na tyle duży, żeby pomieścić fiołki.

- Mówiłem ci kiedyś, że nienawidzę bomb? - Porucznik Dumane wyczołgał się spod organów. - Wziąłem tę cholerną robotę tylko dlatego, że wmówili mi, że to czasowe przeniesienie. Dziesięć pieprzonych lat później wciąż tu tkwię i czekam, aż wynalazek jakiegoś psychologa rozerwie mnie na kawałki.

- Mówiłem ci kiedyś, że uwielbiam bomby? - odparł Geronimo, bardziej do siebie niż Dumane'a. - Tylko ja i mechanizm. Nie można pokonać bomby. Można ją tylko powstrzymać, aż do następnego razu.

Geronimo ujął w kombinerki pierwszą część niebieskich przewodów, odczekał chwilę, po czym je rozciął. Obok niego leżał Dumane, z rękami na kielichu i oczyma utkwionymi w bombie.

- Dwa zestawy czerwonych, dwa niebieskich, dwa białych - mruknął Dumane. - Pieprzony George Michael Cohan.

- To nie niebieskie - oznajmił Geronimo. - Teraz rozetnę białe.

- Kolejne przeczucie?

- Muszę to zrobić. Chyba że wolisz, żebym zaczął od czerwonych.

- Ty decydujesz, G - odparł Dumane.

Geronimo ujął w kombinerki długi biały przewód. Ręka męż-j czynny była pewna, a wzrok spokojny. Całe napięcie tkwiło wewnątrz niego, w zakończeniach nerwowych. Serce biło mu w tak szaleńczym tempie, iż miał wrażenie, że lada chwila wyskoczy z piersi.

Przeciął biały przewód i wstrzymał oddech.

- To czerwony - oznajmił. - Tam jest główne połączenie. Kiedy podam ci fiolki z nitrogliceryną, zabierz je do furgonetki. Spotkamy się na zewnątrz.

- No widzisz, znowu usiłujesz się mnie pozbyć.

Mimo że na zegarze pozostały niecałe trzy minuty, Geronimo popatrzył na dowódcę i uśmiechnął się do niego.

- Powierzam ci najtrudniejsze zadanie - powiedział. - Nie cierpię nitrogliceryny. Denerwuje mnie.

- Postaram się nie potknąć na schodach - oznajmił Dumane.

- Gotowy? - spytał Geronimo, kładąc sobie kombinerki na piersi i sięgając po pierwszą buteleczkę z nitrogliceryną.

- Nie. - Dumane odłożył wieko kielicha i objął go mocno rękoma. - Ale nie przeszkadzaj sobie.

Ręce Geronima nie drżały, gdy wskazującymi palcami wyjmował buteleczkę wielkości naparstka. Nie odrywając wzroku od mechanizmu, podał ją Dumane'owi. Porucznik ujął buteleczkę jedną dłonią, powoli włożył ją do kielicha i czekał na następną.

Geronimo wziął w ręce kolejną buteleczkę, wyciągnął ją do połowy z przegródki i nagle znieruchomiał. Do dna buteleczki przymocowano cienki miedziany drucik. Jego drugi koniec połączony był z zegarem, który zaczął tykać w chwili, w której mężczyzna dotknął buteleczki.

- Cholera! - zaklął, niemalże upuszczając buteleczkę. - Pieprzony spryciarz.

- Boże, nie pozwól, żebym to ja zrobił coś nie tak - wyszeptał Dumane.

- Ta cała bomba to podpucha. Wszystko jest tutaj, w tej buteleczce z nitrogliceryną. Cała reszta to gówno. Tylko jedna butelka, jeden zapalnik i cały dynamit.

- Ile mamy czasu?

- Zdamy, jeśli będziemy mieli szczęście. - Geronimo trzymał buteleczkę między oboma palcami wskazującymi i patrzył, jak czas na zegarze skurczył się do czterdziestu pięciu sekund.

- Przetnij przewód - zażądał Dumane. - To jedyny m żliwy ruch.

- To ruch, który powinienem zrobić - odparł Geronim - Wszystko, co zrobiłem, powinienem był zrobić.

- A czego nie powinienesz robić? - spytał Dumane. - All nie mów, nie chcę tego wiedzieć.

Na zegarze pozostało trzydzieści sekund.

Geronimo czuł, jak puls rozsadza mu żyły w przegubach. Poi spływał mu z czoła do oczu, mącąc wzrok. Mężczyzna odetchnął: powoli i przełknął ślinę. Gardło miał suche jak pieprz. Objął buteleczkę jeszcze dwoma palcami, zacieśnił uścisk i czekał, a: na zegarze pozostanie jedynie dziesięć sekund.

- Jesteś pewien, G?\*- spytał Dumane i zazgrzytał zębami, wciąż mocno trzymając kielich z nitrogliceryną.

Geronimo wyciągnął z przegródki buteleczkę z nitrogliceryną. Szarpnięcie wyrwało i nitroglicerynę, i połączone z nią laski dynamitu.

W ciemnym i pustym kościele zapanowała całkowita cisza.

Zegar zatrzymał się na sześciu sekundach.

- Ściągnij kawalerię, szefie. - Geronimo oparł mokrą głó-i wę o zimny marmur posadzki. - Skończyliśmy.

- Dziwna prośba - zauważył Dumane, wyciągając głowę spod organów. - Przecież jesteś Indianinem.

- To indiański humor - odparł Geronimo. - Działa bez pudła.

Włożył buteleczkę z nitrogliceryną do przegródki, rozpiął kamizelkę i skrzyżował ręce na piersiach. Jego palce znalazły medalion i ścisnęły go przez mokrą i zimną koszulę. Geronimo zamknął oczy i zmówił w duszy dziękczynną modlitwę do swojego boga, który pozwolił mu ocalić świątynię innego bóstwa.

Wiele razy jeździł do Arizony, do ludzi z plemienia swojej matki. Mieli własne obyczaje, których on usiłował się nauczyć.

Geronimo siedział ze skrzyżowanymi nogami w wielkim namiocie naprzeciwko starca w kurtce z króliczej skóry. Między nimi płonął ogień, rzucając na twarze mężczyzn czerwona światłość. Starzec palił tytoń w cienkiej, drewnianej fajce i pił kawę z czarnego popękanego kubka. Na zewnątrz namiotu padał gęsty śnieg.

- Chcesz zapalić? - zapytał starszy człowiek beznamiętnym tonem.

- Wystarczy mi kawa - odparł Geronimo. Płomienie odbijały się w jego źrenicach jak płonące zapalki.

- Masz zmęczoną twarz - zauważył starzec. Koniec fajki tkwił w jego ustach, oczy zaś wpatrywały się w jakieś odległy, nieokreślony punkt. - Jesteś zbyt młody, żeby czuć się tak staro jak ja.

- Moja matka uważa, że to przez pracę - odparł Geronimo. - Każdy dzień może być moim ostatnim.

- To dotyczy wszystkich ludzi - powiedział starzec. - Bez względu na rodzaj pracy. Tyle że w twoim przypadku strachu nie da się ukryć.

Geronimo upił łyk kawy i pokiwał głową.

- I to mi się właśnie podoba - powiedział. - Lubię mieć świadomość, że każdy dzień może być ostatni. Lubię stawać twarzą w twarz ze strachem.

- Poddałeś mu się kiedyś? - spytał starzec, wylewając resztki kawy do ognia. Płomienie syknęły i podskoczyły jeszcze wyżej. - Pozwoliłeś, by strach zwyciężył?

- Nie - odparł Geronimo.

- Strach czeka na nas wszystkich - oznajmił starzec. - Kiedy nadejdzie twój dzień, poznasz istotę swojej siły.

- Nie boję się bomby, która mnie zabije - powiedział Geronimo.

- Więc czego?

- Boję się bomby, która mnie nie zabije. To jedyna rzecz, jakiej się lękam.

- Wojownik powinien zginąć w bitnie - pokiwał głową stary człowiek. - Nie powinien przeżyć, tak by inni mogli go żałować.

11.

, - Niekiedy widuję byłych saperów - ciągnął Geronimo. - Przychodzą do nas co jakiś czas. Wyglądają na zagubionych i wypalonych. Brakuje im nóg, rąk, oczu. Zachowują się tak, jak gdyby chcieli nadal żyć, ale w głębi serca przeklinają tę bombę, która wybuchając, nie zabrała ich ze sobą.

- Więc módl się, Delgado - powiedział starzec. - Módl się o śmierć.

Geronimo utknął w korku w pobliżu mostu Williamsburg. Był już spóźniony o pół godziny na spotkanie z lekarzem matki, gdy usłyszał wezwanie w policyjnym radiu. Saperzy z brooklyńskiej jednostki proszeni byli o przyjazd do opuszczonego magazynu we Flatbush, aby zająć się podejrzanym mechanizmem na drugim piętrze. Geronimo zerknął na zegar na desce rozdzielczej i na samochody przed sobą. Na siedzeniu obok leżały poranne gazety, każda otwarta na rubryce sportowej. Geronimo kochał koszykówkę niemal równie mocno jak rozbrajanie bomb. Kiedy tkwił w korkach, często przeglądał wyniki rozgrywek z poprzedniego dnia.

Był słoneczny kwietniowy poranek 1980 roku. Od kilku godzin Geronimo cieszył się pierwszą od trzech miesięcy wolną sobotą.

Damski głos w radiu po raz drugi wezwał oddział saperów, potwierdzając obecność bomby i żądając przybycia posiłków w celu oczyszczenia okolicy. Geronimo popatrzył na samochody przed sobą, blokujące cztery drogi aż po horyzont, i wystawił koguta na dach swojego chevroleta.

W ciągu dziesięciu minut znalazł się na miejscu.

Wysiadł z samochodu, przełożył odznakę przez kołnierzyk cienkiego brązowego swetra, i skinął głową dwóm policjantom, odpierającym gapiów.

- Coś wiadomo? - spytał.

- Saperzy właśnie weszli - poinformował go młody funkcjonariusz. - To jakieś poważne gównno. Przyjechały aż trzy ciężarówki.

- Dowiemy się, co to jest, dopiero kiedy wyjdą z budynku - dodał drugi gliniarz, starszy i bardziej zrównoważony. - Albo jak usłyszymy wybuch.

- Też się tym zajmiesz? - spytał młodszy.

- Nie. - Geronimo potrząsnął przecząco głową i zlustrował wzrokiem tłum. - Czekam tylko, aż korki się rozluźnią.

- Lepiej byłoby poczekać w barze - stwierdził starszy policjant.

- Nie piję - oznajmił Geronimo i przeszedł obok policyjnej blokady wprost w tłum.

Przyglądał się spojrzeniom i ruchom gapiów. Ludzie podkładają bomby z dwóch powodów. Lubią sam wybuch, cieszą się, że to właśnie dzieło ich rąk spowodowało panikę i zniszczenie. Drugi powód jest prostszy.

Pragną zwrócić na siebie uwagę.

Geronimo widział statystyki. Ponad trzy czwarte zamachowców to maniacy, którzy lubią, gdy przyjeżdża wielu policjantów, i regularnie wydzwanają na gorące linie otwierane po wybuchu. Dwadzieścia siedem procent wszystkich nowojorskich podejrzanych o zamach bombowy pracowało kiedyś w policji.

Sześćdziesiąt pięć procent nie opuszcza miejsca zamachu.

Zamachowiec spokojnie czeka w tłumie, chcąc się przekonać, czy oddział saperów pokona go w dziedzinie, w której jest najlepszy. Jeśli dojdzie do wybuchu, zamachowiec jako jeden z pierwszych zgłasza się do pomocy. Jeśli bomba zostanie rozbrojona, sam zachęca tłum do okrzyków radości.

Geronimo włożył ręce do kieszeni spłowiałych dzinsów i przepychał się przez tłum, usiłując znaleźć winnego wśród ciekawskich.

Nie szukał zbyt długo.

Mężczyzna był młody i dobrze ubrany. Miał na sobie szyte na miarę szare spodnie, brązowe mokasyny i błękitną koszulę pod granatową marynarką. Jego brązowe włosy/ były zaczesane do tyłu i nażelowane, a świeżo ogolona skóra twarzy lśniła w porannym świetle. Przypominał osobę, za jaką chciał uchodzić wśród otaczających go ludzi - młodego biznesmena, który przystanął tu po drodze do pracy.

Zdradzały go oczy.

Geronimo zatrzymał się, częściowo zasłonięty przez trzy uczennice z wielkimi plecakami na ramionach. Widział, jak mężczyzna wpatruje się w pusty magazyn, i wie dokładnie, w które okno patrzeć i przez które drzwi powinien wejść oddział saperów. W jego oczach był głód zamachowca, oczekiwanie, pewność, że może tym razem policja przegra z jego doświadczeniem.

Te oczy łaknęły krwi.

Geronimo wyszedł zza dziewcząt i zatrzymał się bliżej drewnianej barykady. Stojąc tyłem do zamachowca, zerknął na ziemię i przyglądał się uważnie cieniowi mężczyzny. Usłyszał syk zapalniczki i obserwował cienką smugę papierosowego dymu. Geronimo odwrócił się i wymienił spojrzenie z podejrzanym.

Zamachowiec dostrzegł odznakę zwisającą z jego szyi.

Geronimo patrzył, jak prawa ręka mężczyzny znika w kieszeni marynarki, a na jego twarzy pojawia się chytry uśmiešek.

Policjant poczuł na twarzy podmuch chłodnego wiatru. Rozluźnił mięśnie, tak jak zawsze, gdy zostawał sam na sam z bombą. Wyjął ręce z kieszeni i zbliżył się do podejrzanego.

Otaczało ich kilkanaście osób - starsze kobiety, które przystanąły tu w drodze do sklepu, robotnicy korzystający ze śniadaniowej przerwy, matki, które wyszły z dziećmi na spacer. Uwaga ich wszystkich koncentrowała się na budynku i tym, co się przed nim działo. Uradowane dzieci obserwowały zaparkowane wszędzie samochody patrolowe z włączonymi kogutami. Policjanci stali plecami do tłumu i rozmawiali o nadgodzinach, zupełnie się nie przejmując napierającą masą ludzi.

- Cześć, saperze - powiedział mężczyzna w marynarce. - Spodziewałem się ciebie.

- Znasz mnie? - spytał Geronimo.

- Wiem, czym się zajmujesz. - Mężczyzna nie przestawał się uśmiechać. - A ty wiesz, co ja robię.

- Ile zostało czasu?

- Pięć minut. - Mężczyzna przeniósł wzrok na budynek.

- To nie jest moja najlepsza robota. Pewnie zaraz to rozbroją. Nawet bez ciebie.
- To będzie twoja ostatnia bomba - stwierdził Geronimo.
- Powinieneś być się bardziej wysilić.
- Jeszcze nie skończyłem - odparł mężczyzna.

Geronimo sięgnął pod sweter, wyciągnął stamtąd czterdziestkę piątkę i wycelował w mężczyznę. Rozstawił nogi i odbezpieczył broń.

- Ręce do góry - powiedział, ignorując krzyki zgromadzonych dookoła ludzi. - Chcę je widzieć.

- Jak sobie życzysz, saperze - odparł mężczyzna. Podniósł wolną rękę, a drugą powoli wyciągnął z kieszeni.

Geronimo popatrzył na jego dłoń i wyżej uniósł lufę kolta, celując w środek głowy przeciwnika.

Palce mężczyzny zaciskały się wokół odbezpieczonego granatu.

- Rzucę go i wszyscy zginiemy - powiedział radośnie mężczyzna na tyle głośno, aby usłyszeli go zgromadzeni wokół ludzie.

- Zginiesz, zanim granat spadnie na ziemię - ostrzegł go Geronimo.

- Mam nadzieję - odparł zamachowiec. Jakaś kobieta krzyknęła głośno.

Dwaj mężczyźni przewrócili drewnianą barykadę, usiłując wydostać się z tłumu.

Młoda kobieta w bluzie wyciągnęła dziecko z wózka i, drżąc ze strachu, stała nieruchomo zaledwie o kilka centymetrów od człowieka z granatem.

Dwaj policjanci za Geronimo wyciągnęli broń i wymierzili w zamachowca.

- Mówią, że jesteś najlepszy, saperze - odezwał się mężczyzna. - Myślisz, że to prawda? ‘

- Pozwól tym ludziom odejść - odparł Geronimo. - Wtedy pogadamy.

- Nie ma bomby, z którą byś sobie nie poradził - ciągnął mężczyzna. - Tak czytałem.

- Pozwól im odejść - powtórzył Geronimo. - Niech to zostanie między nami. Tylko w ten sposób zdołasz się dowiedzieć.

- Jeśli odejdą, to mnie zastrzelicie. I nadal nie będę znał odpowiedzi.

- I tak cię zastrzele, niezależnie od wszystkiego - powiedział Geronimo. - Ale obiecuję, że poznasz odpowiedź, zanim zginiesz. Jeśli pozwolisz im odejść.

- Chcę, żebyś odpou iedział mi teraz - zażądał mężczyzna. - Chcę przekonać się na własne oczy, czy jesteś tak dobry, jak mówią.



Geronimo wiedział, że zamachowiec się nie boi. W jego mrocznym, pełnym szaleństwa świecie strach nie istniał. Właśnie ten brak lęku dawał mu przewagę, większą nawet niż granat w dłoni.

Mężczyzna uśmiechnął się i zrobił pierwszy krok. Rzucił granat w stronę kobiety kurczowo przyciskającej do siebie dziecko.

Geronimo drgnął i strzelił. Trzy kule ważące szesnaście gramów każda, lecące z szybkością trzystu metrów na sekundę, trafiły mężczyznę w czoło i pierś.

Nie żył już, gdy jego głowa uderzyła o beton.

Granat odbił się od krzyczącej kobiety i upadł na ziemię.

Geronimo skoczył przed siebie i rzucił się na granat. Jedną ręką przycisnął do siebie chłodny metal, drugą zacisnął na medalionie.

Sekundę później granat eksplodował.

Spełniło się to, czego tak bardzo obawiał się Delgado Geronimo Lopez.

Przegrał z bombą i przeżył.

## 5. Kręgiel

Jimmy Ryan siedział z tyłu zaparkowanej czarnej furgonetki forda i obserwował, jak kobieta w szkarłatnych lakierowanych czółenkach przechodzi na czerwonym świetle przez Madison Ave-nue. Obcisła czarna spódnica sięgała jej do połowy ud; czarna bluzka przysłonięta była dopasowaną czerwoną marynarką od Lagerfelda. Gęste ciemne loki opadały na ramiona kobiety, zakrywając kołyszące się w jej uszach kolczyki z perłami. Szła pewnym siebie krokiem, a obcisły ubiór tylko podkreślał jej zgrabną sylwetkę.

- Chyba się zakochałem - mruknął Augie Calise, młody detektyw za kierownicą. - Od samego siedzenia i patrzenia na nią zdążyłem się zakochać.

Andy Fitz, detektyw siedzący po stronie pasażera, powoli potrząsnął głową.

- Masz żonę, palancie - przypomniał koledze.

- No i co z tego? - Calise nie odrywał wzroku od kobiety, która przeszła obok stanowiska portiera.

Ryan otworzył leżącą na kolanach walizkę. W środku znajdował się magnetofon „Sony SRS-P3”, a taśma o wysokim zakresie częstotliwości obracała się z jednego końca na drugi. Ryan zrobił głośniej, odchylił się i nasłuchiwał stukotu obcasów kobiety, która szła właśnie z recepcji do windy.

- Wspaniały dźwięk - stwierdził Fitz. - Zupełnie, jak byśmy byli tuż obok niej.

- Lepiej bym się czuł, gdybyśmy rzeczywiście byli tuż obok niej - powiedział Calise. - Jeśli ci faceci zwietrzą podstęp, zabrają wszystko oprócz jej zębów.

- Nie zorientują się, że jest na podsłuchu - odparł Ryan. - Chyba że ją rozbiorą do naga.

- Chętnie sam bym to zrobił, nawet gdybym nie podejrzewał, że jest na podsłuchu - westchnął Calise.

- Gdzie umieściłeś podsłuch? - chciał wiedzieć Fitz.

- W prawej miseczce jej stanika - poinformował go Ryan. - Nigdy go nie znajdują.

- W miseczce jej stanika? - Calise odwrócił głowę i z zawiścią popatrzył na Ryana. - Jak, do diabła, udało ci się tam dotrzeć?

- Tajemnica zawodowa - odparł z uśmiechem Ryan. - Gdybym ci to zdradził, Andy musiałby ci zamontować dwa kable za uszami.

Calise nie odwzajemnił uśmiechu.

- Przynajmniej mógłbyś mi pozwolić wyciągnąć stamtąd ten podsłuch - westchnął.

- Przykro mi, Augie. - Ryan przełączył dźwięk na słuchawki, które powiesił sobie na szyi. - Tylko mnie wolno jej dotykać. Moje ręce mają na to zezwolenie.

- A kto ci je dał? - Calise obserwował ruch na jezdni przed budynkiem.

- Urodziłem się z nim - odparł Jimmy Ryan.

Jimmy Ryan tuż po urodzeniu stracił rodziców - dwójka przerażonych nastolatków zostawiła go w nowojorskim szpitalu. Wspomnienia z dzieciństwa Jimmy'ego obracały się wokół wielu zimnych domów zastępczych, zamieszkanymi przez pozbawionych twarzy dorosłych, zbyt anonimowych, by zwać ich rodzicami, i zbyt znanych, by traktować ich jak obcych. Dorastając, chłopiec był cichy i samotny, nikomu się nie zwierzał i niechętnie zacieśniał więzy, wiedząc, że w każdej chwili mogą zostać zerwane przez nagły, ostry dzwonek telefonu. Telefony zawsze dzwoniły w nocy.

Wkrótce potem w pośpiechu pakowano znoszone ubrania chłopca do starej walizki i żegnano go z fałszywą serdecznością. Jazda samochodem do nowego domu zawsze przebiegała w ciszy. Skulony Jimmy siedział z tyłu i uważnie obserwował mijany krajobraz. Czuł się pusty i zagubiony.

Nigdy nie został z żadną rodziną dłużej niż rok. Jego los był taki sam jak los tysięcy dzieci w jego wieku, a to z powodu rozdętej biurokracji, w której wszystko kręciło się wokół pieniędzy. Dzieci tkwiące w trybach systemu opieki zastępczej wysyłano do rodzin, które zgodziły się nimi zająć maksymalnie przez jeden rok, w zamian za miesięczny czek o wartości siedemdziesięciu ośmiu dolarów na dziecko. Pieniądze te miały pokrywać wydatki związane z utrzymaniem wychowanka, częściej jednak szły na hazard i alkohol. W każdej

chwili dziecko, rodzic zastępczy albo urzędnicy mogli zerwać umowę i odesłać podopiecznego do innego, obcego mu miejsca, które znów miał nazywać domem.

Kiedyś, w ciągu ośmiu miesięcy, między czwartą a piątą klasą szkoły podstawowej Jimmy trafił do trzech różnych domów. Za każdym razem nowi rodzice witali go z szeroko otwartymi ramionami po to, by kilka tygodni później z ulgą pozbyć się chłopca.

Tryb życia Jimmy'ego nie zostawiał mu zbyt wiele czasu na hobby. Chłopiec nie miał kolekcji kart ze słynnymi baseballistami, ani też komiksów pochowanych na zakurzonych półkach i wyciąganych stamtąd w środku nocy. Nie dostał żadnych kociać do głaskania ani rybek, którymi mógłby się opiekować. Choć bardzo lubił czytać, miał niewiele książek. Wszystko dlatego, żeby łatwiej się było spakować.

Jimmy miał jednak pewną wielką pasję i uczepił się jej kurczowo, aby jakoś przebrnąć przez trudne lata dzieciństwa. Obdarzony niezwykłym talentem do wszystkiego, co elektryczne, chętnie przyjmował od przybranych rodziców zniszczone zabawki. Sterowane roboty, które porozbijały się na zbyt wielu ścianach, zniszczone magnetofony, tranzystorowe radia, w których wylały baterie - wszystkie te rzeczy trafiały w ręce Jimmy'ego.

Powoli i bardzo ostrożnie chłopiec rozbierał takie urządzenie na części, inaczej mocował kable i montował je w zupełnie nowy sposób. Gdyby miał czas i narzędzia, zdołałby nawet wzbogacić te rzeczy o dodatkowe elementy.

W wolnym czasie Jimmy rozczytywał się w czasopismach o elektronice, dostępnych w miejscowych bibliotekach, i pochłoniął olbrzymią liczbę książek na interesujący go temat. Całą wiedzę magazynował w głowie i nie dzielił się nią z nikim. Kiedy te wiadomości mogły okazać się użyteczne, Jimmy Ryan znajdował sposób, żeby je wykorzystać.

Pierwszy podsłuch założył, kiedy miał dwanaście lat.

Mieszkał u hydraulika, George'a Richardsa, który miał temperament choleryka i puszczałską żonę. Oboje dużo pili i często wyladowywali swoje frustracje na chłopcu. Żona, Elaine, zaczynała od oskarżeń wygłaszanych podniesionym głosem, a kończyła na jeszcze głośniejszej serii uderzeń, po których Jimmy musiał ukrywać pod ubraniem siniaki i krwiaki. Po takim ataku kobieta zmuszała go do milczenia, wzmacniając ostrzeżenia mocnymi klapsami.

Jimmy Ryan nigdy się nie skarżył.

Zamiast tego zainstalował podsłuch w sypialni znajdującego się w Peekski 11 jednopiętrowego domu Richardsów. Kabel oplatał drewnianą ramę olbrzymiego małżeńskiego łóża. Jimmy podłączył go do miniaturowego magnetofonu, ukrytego pod

biurkiem obok łóżka. Właśnie z tych taśm chłopiec poznawał ludzi, których miał nazywać mamą i tatą.

Opowiadali o rosnących długach i podżyrowanych pożyczkach. Rozbawiony Jimmy słuchał, jak George przechwala się, że naciąga klientów, i jak Elaine opowiada, że przekupiła swojego lekarza, aby w zamian za połowę pieniędzy z ubezpieczenia wystawił jej fałszywe świadectwa lekarskie. Najlepsze jednak taśmy, te, które miały wyrównać rachunki, zawierały nagrania Elaine i jej kochanka, Carla, prawnika specjalizującego się w handlu nieruchomościami, który był także jej szwagrem. Spotykali się popołudniami, dwa razy w tygodniu, i kończyli się kochać tuż przed powrotem Jimmy'ego ze szkoły. Wszystko, od miłosnych jęków po wyzwiska miotane na George'a, nagrało się na taśmie Jimmy'ego.

Tego wieczoru, gdy go odsyłano, Jimmy wziął w rękę swoją zniszczoną walizkę i stanął przed George'em i Elaine.

- Przykro nam, że nie wyszło - powiedziała Elaine, kończąc trzeci dzin z tonikiem.

Jimmy skinął głową i sięgnął do kieszeni wytartej marynarki. Chciał się upewnić, że wszystkie dwanaście taśm jest bezpieczne.

- Będziemy za tobą tęsknić. - George trzymał w dłoni butelkę piwa.

- Mam dla ciebie prezent - powiedział mu Jimmy. - Za to, co dla mnie zrobiłeś.

- Żartujesz? - George położył dłoń na ramieniu chłopca.

- Masz dla mnie prezent?

Odwrócił się do Elaine, popatrzył na nią surowo, po czym znowu przeniósł spojrzenie na Jimmy'ego.

Jimmy sięgnął do kieszeni i wyciągnął stamtąd kasety, starannie obłożone papierem w kwiaty i przewiązane wstążką.

- Chcesz, żebyśmy teraz otworzył? - spytał George, biorąc od niego paczkę.

- Może lepiej, żebyś poczekał. - Jimmy spojrzał na Elaine.

- Aż będziesz sam.

- Dziękuję - skinął głową George. - Nigdy ci tego nie zapomnę.

Jimmy zapiął płaszcz i sięgnął po walizkę.

- Wiem - powiedział.

Po raz ostatni przeszedł obok George'a i Elaine i skierował się w stronę drzwi wyjściowych, czekającego na niego auta i kolejnych rodziców.

Kobieta w czerwonych czółenkach zapukała do drzwi pokoju 1211. Zabrzęczała srebrna bransoleta na jej przegubie.

- Zupełnie, jak gdyby stukała w maskę samochodu - powiedział Calise. - Taki czysty dźwięk.

- Faceci z sekcji antynarkotykowej są na swoich miejscach?

- spytał Jimmy, z opuszczoną głową dostrajając dźwięk.

- Czterech siedzi w pokoju obok - odparł Fitz. - Trzech jest na schodach w korytarzu.

Jeśli wpakuje się w kłopoty, dotrą do niej w niespełna minutę.

- Chyba że zasną-mruknął Calise. - To możliwe w przypadku tych kretynów.

Drzwi otworzyły się i męski głos ciepło przywitał kobietę. Mówił po angielsku z silnym hiszpańskim akcentem.

- Weszła. - Jimmy wyprostował się i przekręcił czerwoną gałkę aż do oporu.

- Ile dasz jej czasu? - spytał Fitz.

- Tyle, ile będzie potrzebowała - odparł Jimmy. - Ci faceci to specjaliści. Najpierw ją sprawdzą. Muszą się upewnić, że nie jest podstawiona, zanim zaczną robić interesy.

- A ona? Czy jest dobra? - zainteresował się Calise.

- Odpowiem ci za pół godziny. - Jimmy znów nałożył słuchawki na uszy.

W wieku siedemnastu lat Jimmy Ryan wybrał się w dwuletnią podróż z kolejną rodziną zastępczą, którą tym razem była Armia Stanów Zjednoczonych. Podczas pobytu w Niemczech ciemnowłosa i ciemnooki Ryan mógł wreszcie realizować swoją pasję, przechodząc szkolenie jako specjalista od podsłuchu. Kadra oficerska była pod wrażeniem jego umiejętności i nalegała, by został w armii na kolejne cztery lata, kusząc go perspektywą wyjazdu do Meksyku i na Bliski Wschód. Znudzony wojskowym drylem i zmęczony tygodniami, w których nawet nie miał okazji zerknąć na ładną kobietę, Ryan uprzejmie podziękował i zakończył służbę.

Pojechał do Nowego Jorku i wziął udział w dwutygodniowym seminarium na temat podsłuchu w Wyższej Szkole Kryminalistyki, gdzie na tablicy ogłoszeń zauważył ulotkę dotyczącą pracy w służbach publicznych. Zerwał ją i przystąpił do egzaminu do nowojorskiej policji. Pół roku później, gdy pracował za biurkiem w małej firmie zajmującej się elektroniką, Ryan dostał list, który przetaił mu drogę do policji.

Jimmy spędził szesnaście nudnych miesięcy w policyjnym mundurze, po czym przeniesiono go do Manhattańskiej Sekcji do Walki z Narkotykami, gdzie pracował jako tajny agent, robiąc to, do czego przygotowywał się przez całe życie - zakładał podsłuchy i wysłuchiwał cudzych sekretów. Specyfika zawodu pozwalała mu uniknąć styczności z bronią, tym aspektem pracy w policji, na którym najmniej mu zależało. Lubił słuchać, podobało mu

się, że może znaleźć się na granicy światów innych ludzi, ale nigdy nie chciał przekraczać tych granic.

W policji było zbyt wielu facetów, którzy zdecydowali się na tę pracę, by móc pobawić się w kowbojów i w błyskawicznej strzelaninie zafundować sobie zastrzyk adrenaliny. Jimmy Ryan, o surowej i wręcz modelowej urodzie, z gęstymi ciemnymi włosami i uśmiechem Johna Garfielda, trzymał się na uboczu, z bezpiecznej odległości odwalając policyjną robotę. Nosił tylko jeden rewolwer, trzydziestkę ósemkę, i nigdy nie był zmuszony go użyć.

Pieniądze zaoszczędzone w armii plus te zarobione na nadgodzinach w policji pozwoliły Ryanowi na kupno jednorodzinnej domku na Staten Island, dziesięć kilometrów od dolnego Manhattanu. To było pierwsze miejsce, które mógł wreszcie nazwać własnym domem. Zapełnił je książkami, sprzętem elektronicznym, wieżami i radiami - wszystkimi zabawkami dzieciństwa, których kiedyś nie wolno mu było mieć.

Nieustannie pracował; wszyscy dowódcy tajnych grup w pięciu okręgach zabiegali o jego ekspertyzę. Ryan połączył miłość do komputerów z widowiskowością elektroniki i zamienił nudną rutynę policyjnej inwigilacji w prawdziwą sztukę. Mógł namierzyć każdego, od szefów mafii przez handlarzy narkotyków aż do skorumpowanych polityków. Potrafił umieścić urządzenie w każdym miejscu, od zderzaków samochodu do kadłuba jachtu, a dźwięk był niezmiennie czysty. Informacje na taśmach niemal zawsze wystarczały, by rozpoznać nagrane na nich głosy. Ryan stał się najlepszym specjalistą od podsłuchu w całej nowojorskiej policji.

Szacunek, jaki okazywali mu inni gliniarze, był bardzo ważny dla Jimmy'ego. Traktował współpracowników jak namiastkę prawdziwej rodziny.

Koledzy z pracy nazywali go Kręglem.

Ryan uwielbiał kręgle i był kapitanem oddziału specjalnego na Manhattanie. We wszystkie czwartkowe i niedzielne wieczory rzucał kulami w kręgielniach w całym Nowym Jorku, stając w szranki z innymi zespołami z miasta. Już od trzech lat był najlepszym graczem w policji, gromadząc niemal w każdej grze najwyższą liczbę punktów i zdobywając mnóstwo nagród.

Choć bardzo kochał swoją pracę, już zaplanował, co będzie robił po opuszczeniu policji.

Postanowił otworzyć niedaleko domu sklep z elektroniką i zawodowo zająć się grą w kręgle. Żadne z tych zajęć nie przyniosłoby mu zbyt wiele pieniędzy, ale obydwie sprawiłyby mu przyjemność.

To były zwyczajne marzenia.

Ryan spędził dzieciństwo w milczących miejscach, gdzie mieszały się twarze i nazwiska. To nauczyło go nie oddalać się zbyt od zimnego blasku rzeczywistości i wierzyć jedynie w to, co mogło przynieść mu pociechę, w to, co nigdy go nie zdradziło. Zimny, sterylny świat elektronicznych podsłuchów był wszystkim, na czym Jimmy Ryan mógł polegać. Lśniące, brązowe tory w zadymionych kregielniach były jego świątynią.

I, podobnie jak w domu i na komendzie, tylko w nich czuł się na swoim miejscu.

Mężczyzna o silnym hiszpańskim akcencie był wyraźnie zdenerwowany.

- Sama miałaś przynieść gotówkę - powiedział do kobiety w czerwonych czółenkach.

- Nie dałoby się - odparła zimno kobieta. Jej południowy akcent zniknął zupełnie pod śniegiem wielu nowojorskich zim.

- Mój przyjaciel się tym zajmie. Będzie tu za kilka minut.

- Nie prosiliśmy twojego przyjaciela, żeby przyniósł pieniądze - powiedział mężczyzna. - Prosimy ciebie.

- Znam go całe życie. Wierzę mi. Ty też możesz.

- Jak nikomu nie wierzę - odparł mężczyzna. - I dzięki temu żyję.

- Ponury sposób na życie - stwierdziła kobieta.

- Za to jedyny w moim zawodzie - powiedział mężczyzna.

- Zaufanie kończy się kulą w głowie.

- Podejrzewa ją - stwierdził Calise. - Słysząc to w jego słowach.

- Wchodzę - oznajmił Jimmy.

- Ty? - zdziwił się Fitz. - Od kiedy wkraczasz do akcji?

- Wy zajmiecie się sprzętem, a ja tam pójdę.

- Jako kto? - Calise spojrzał na Jimmy'ego.

- Hotel ma skomputeryzowany system telefoniczny - wyjaśnił Jimmy. - W dwie minuty znajdę suterene i zrobię spięcie w telefonach w apartamencie. Wtedy zapukam do drzwi i każę im sprawdzić telefony.

- W sportowej kurtce i z nazwiskiem na koszuli i dżinsach - powiedział Fitz. - Coś ty robił w nocy? Walnąłeś się kulą do kregli w łeb?

- Potrzebujemy i narkotyków, i faceta. - Jimmy położył aktówkę obok siebie i otworzył drzwi samochodu. - I czasu. To da nam ten czas.

- A co z maszyną? - spytał Calise. - Tylko ty wiesz, jak się to obsługuje.

- To się samo obsłuży - odparł Jimmy i popatrzył na obu policjantów. - Musicie tylko słuchać. I bądźcie tu, w razie gdybym was potrzebował.

- Czy ja cię kiedyś zawiodłem? - spytał Calise.
- Owszem.
- Kiedy?
- Zawsze, gdy cię potrzebowałem - odparł Jimmy i wysiadł z auta.
- Może dzisiaj coś spieprzę i będziesz miał szczęście - powiedział Calise.
- Liczę na to - westchnął Jimmy Ryan.

Zatrzasnął drzwi samochodu, zapiął swoją czarną kurtkę i przebiegł przez ulicę do luksusowego hotelu.

Osiemnaście sporych paczek z kokainą leżało w dwóch rzędach na szklanym stoliku do kawy. Kobieta w czerwieni siedziała na kanapie, paląc papierosa, i ze znudzonym wyrazem twarzy przyglądała się, jak mężczyzna z hiszpańskim akcentem rozpina marynarski worek. Ciemne oczy mężczyzny załśniły, gdy odwrócił worek i wysypał dwanaście grubych plików banknotów na paczki z narkotykami.

W pomieszczeniu znajdowali się jeszcze trzej inni mężczyźni.

Dwaj siedzieli przy barku, twarzami do towarzystwa zgromadzonego wokół stolika. Trzeci mężczyzna stał plecami do sypialni, trzymając ręce za jasną jedwabną marynarkę. Ciężkie powieki opadały mu na bladoniebieskie oczy albinosa.

- Zanim pójdziesz, chcę cię o coś prosić - powiedział mężczyzna. - O pewien drobiazg.

- Mam jakiś wybór? - spytała kobieta.
- Nie - odparł.
- Więc powiedz mi, co mam zrobić - westchnęła.
- Zdejmij ubranie - powiedział mężczyzna z hiszpańskim akcentem.

Kręgiel stał u drzwi, w każdej chwili gotów zapukać.

Jak tylko Calise i Fitz usłyszeli żądanie mężczyzny, wyskoczyli z furgonetki i popędzili w stronę budynku. Policjanci z sekcji antynarkotykowej zajęli swoje pozycje na schodach, a ich dowódca trzymał już dłoń na gałce drzwi. Trzej detektywi w sąsiednim apartamencie włożyli kamizelki i odbezpieczyli swoje czterdziestki czwórki.

Albinos otworzył drzwi po drugim pukaniu.

- Kim jesteś, do cholery? - powiedział, spoglądając z góry na sporo niższego Kręgiela.  
- Naprawiam telefony. - Kątem oka Kręgiel ujrzał policjantkę za lewym ramieniem albinosa. - Wasza linia siadła.

- Nikogo nie wzywaliśmy - warknął albinos i położył wielką rękę na krawędzi drzwi, gotów je zatrzasnąć. - Idź naprawiać inne telefony.



Kręgiel wycelował rewolwer w pierś albinosa, zanim tamten zdążył odetchnąć.

- Nie rozumiesz - powiedział. Ręka, w której trzymał broń, wyraźnie drżała. - Ja poważnie traktuję swoją pracę. A teraz mnie wpuść.

Albinos cofnął się o dwa kroki, trzymając dłonie przy biodrach.

- Dwa telefony - powiedział. - W sypialni i tutaj.

- Trzy, kutasie - odparł Kręgiel, wchodząc do pokoju. Popatrzył na kobietę w czółenkach, która zdjęła już żakiet i bluzkę. - Zapomniałeś o jeszcze jednym w łazience.

- Wejdziesz tu, a nie wyjdiesz - ostrzegł go albinos. - Sam tego dopilnuję.

- Naprawianie telefonów to ryzykowny zawód - zauważył Kręgiel, przypierając albinosa do ściany. - Ale za to jakie przynosi korzyści.

Hiszpan, Ramon, rzucił worek na stół do kawy i odwrócił się do mężczyzny z hiszpańskim akcentem, czekając na sygnał. Mężczyzna objął mocno kobietę w czółenkach i przycisnął ją do boku, ocierając się o jej spocone plecy. Albinos wysunął z rękawa otwarty nóż sprężynowy i zacisnął na nim palce.

Nawet nie drgnęli, gdy do apartamentu wpadła policja.

W drzwiach pojawili się Calise i Fitz, obaj z bronią w rękach. Za nimi przykucnęli trzej policjanci z sekcji antynarkotykowej, w kamizelkach kuloodpornych i ze strzelbami. Z sąsiedniego apartamentu wypadli czterej detektywi i stanęli po dwóch po obu stronach holu.

- Chyba mnóstwo osób chce skorzystać z waszych telefonów - zauważył Kręgiel i lekko odwrócił głowę ku gliniarzom.

Albinos natychmiast dostrzegł swoją szansę i postanowił ją wykorzystać.

Zacisnął palce na ręczce noża i zamachnął się nim. Ostrze rozcięło rękaw kurtki Jimmy'ego, zraniło go i rzuciło na ziemię.

Calise wpadł do pokoju, przeskoczył nad Jimmym i wystrzelił w pierś albinosa cztery kule ze swojej trzydziestki ósemki. Siła wystrzałów odrzuciła mężczyznę na ścianę. Nóż wypadł mu z ręki i zagrzechotał o podłogę.

- Mam nadzieję, że nie tą ręką rzucasz kule - powiedział Calise do Kręgla. \

Zanim Kręgiel zdążył odpowiedzieć: „Co ja bym bez ciebie zrobił”, pocisk z rewolweru Ramona, „Magnum Remington”, z szybkością czterystu metrów na sekundę trafił w mózg Calise'a. Z zastygłym na twarzy uśmiechem policjant runął na ziemię, przygniatając Ryana.

Jimmy czuł, jak ostatni oddech ulatuje z ciała Calise'a. Krew przyjaciela spływała po jego twarzy na kurtkę. Kręgiel spojrzał na facetów z sekcji antynarkotykowej, którzy klnąc,

wpakowali swoje magazynki w biały garnitur Ramona. Handlarz przebiegł przez pokój, potrącił po drodze krzesło i wylądował na stole obok baru.

Mężczyzna z hiszpańskim akcentem stał obok kobiety w czerwonych czółenkach i obejmował ją prawą ręką w pasie, lewą zaś przystawiał kolta kaliber.32 do jej głowy. Wszyscy policjanci mierzyli w niego.

- Wyjdę z nią - oznajmił - albo razem zginiemy.

Zacieśnił uścisk na kolbie rewolweru i głośno przełknął ślinę. Policjanci wciąż trzymali go na muszce. Kręgiel leżał nieruchomo, a krew z rany na głowie Calise'a nadal na niego spływała.

Ryan popatrzył na kobietę w czerwonych czółenkach. Bardzo powoli uniosła spódnicę, aż całkiem odsłoniła pończochy. Za delikatną koronką tkwił biały remington jet. Mężczyzna z hiszpańskim akcentem wyraźnie się pocił. Nerwowo wymachiwał rewolwerem, odrywał go od głowy kobiety, by wymierzyć w policjantów, po czym znowu celował w zakładniczkę. Kiedy po raz drugi oderwał broń od jej głowy, kobieta drgnęła. Wyciągnęła remingtona, przystawiła go do czoła mężczyzny i dwukrotnie pociągnęła za spust.

Martwy mężczyzna upadł u jej stóp.

Kobieta rzuciła broń na ziemię, przyklekła, podniosła żakiet i bluzkę, po czym wyszła przez otwarte drzwi, przez cały czas świadoma spojrzeń otaczających ją gliniarzy.

Kręgiel nie ruszał się z dywanu, zaplamionego krwią przyjaciela. Objął ramionami martwego policjanta, jakby obawiał się go wypuścić, i czekał, aż pojawią się obojętni ludzie z plastikowym workiem.

Budynek znajdował się na Upper West Side. Zbudowano go jeszcze przed wojną, miał sześć pięter i starą wysłużoną windę. Zdjęcia policyjne zrobione przez jednostkę specjalną wskazywały na to, że czteropokojowe mieszkanie na piątym piętrze służyło do prania brudnych pieniędzy ze sprzedaży narkotyków. Między dziewiątą rano i dwunastą w południe mieszkanie zawsze było puste. Młodzi ludzie, którzy wynajmowali je za trzy tysiące dolarów miesięcznie, pracowali w tym czasie na Broadwayu. Wywiadowcy chcieli, żeby Kręgiel założył podsłuch w pobliżu łóżka i zamontował kamerę gdzieś w okolicach biurka.

Miało to potrwać nie dłużej niż godzinę.

Kręgiel przycisnął kilkanaście guzików domofonu, licząc na to, że wpuści go jakiś zdenerwowany lokator.

Wszedł do windy i obserwował, jak czarne ciężkie drzwi zamykają się powoli, po czym wcisnął przycisk z piątką. Miał na sobie džinsy i grubą baseballową wiatrówkę, a także czapkę z daszkiem. W lewej ręce trzymał cienką skórzaną aktówkę. Wrzucił do ust dwa

kawałki cynamonowej gumi do żucia i wysiadł z windy na piątym piętrze. Z tylnej kieszeni spodni wyciągnął zwiniętą kartkę, by jeszcze raz sprawdzić numer mieszkania. Nabazgrano go czarnym atramentem w poprzek starego telegramu. Kręgiel przeczytał „6F” i ruszył wzdłuż korytarza.

W niecałe pół minuty otworzył zamek i wszedł do mieszkania.

Przeszedł przez długi hol wzdłuż dużego pokoju gościnnego i dwóch sypialni po lewej. Naprzeciwko niego znajdowała się łazienka. W mieszkaniu było niewiele sprzętów. Leżący pod kaloryferem chudy czarny kot prychnął na Kręgiela.

Na końcu holu Kręgiel skręcił w prawo i wszedł do największej sypialni, o pomalowanych na granatowo ścianach. W każdym rogu pokoju stały lampy błyskowe, a na biurku dwudzie-stopięciocalowy kolorowy odbiornik „Sony”. Środek pokoju zajmowało olbrzymie łóżko z baldachimem, i

Kręgiel rzucił na nie aktówkę, otworzył ją i zabrał się do pracy. Założył podsłuch w cienkim stojaku jednej z lamp, układając przewód od podstawy lampy wzdłuż kabli biegnących do głównego bezpiecznika.

Następnie wyjął z walizki minikamerę i podszedł do telewizora, planując umieścić ją w obudowie sprzętu.

Właśnie wtedy usłyszał kroki na korytarzu.

Idący nim człowiek, raczej mężczyzna niż kobieta, stąpał ciężko, a drewniane listwy trzeszczały przy każdym kroku. Kręgiel postawił obudowę telewizora na podłodze i ruszył w stronę łóżka, szukając radia, aby skontaktować się z obstawą.

Stał plecami do drzwi.

Nagle pojawił się w nich młody mężczyzna o potarganych brązowych włosach i nieprzytomnym spojrzeniu.

- Wiedziałem, że cię tu znajdę - powiedział. Kręgiel odwrócił się do niego, trzymając w dłoni radio.

- Mieszkasz tu? - spytał.

- Jestem mężem Sheili - wyjaśnił mężczyzna. - A ty stoisz w mojej sypialni.

- Nie znam żadnej Sheili. - Kręgiel nacisnął guzik przekaźnika.

- Powinieneś ją znać - odparł mężczyzna. - Pieprzysz ją od prawie roku.

- To jakaś pomyłka - stwierdził Kręgiel spokojnym głosem. Wciąż wpatrywał się w oczy nieznanego, usiłując znaleźć jakieś wyjście z dziwnej sytuacji.

- Ja ją kocham - powiedział mężczyzna. - Możesz to zrozumieć, skurwielu? Kocham ją.

- Posłuchaj - zaczął spokojnie Kręgiel. - Jestem gliną. Wyjmę teraz odznakę i ci ją pokażę. Dobrze?

Mężczyzna podniósł prawą rękę i wycelował ją prosto w Kręglę. W dłoni ścisnął dwudziestkę dwójkę.

- Niczego mi nie będziesz pokazywał - powiedział, odbezpieczając spust. - I nigdy więcej nie zobaczysz Sheili.

- Nie wiesz, co robisz. - Kręgiel był zdziwiony, że mówi tak spokojnie. Ani razu nie podniósł głosu. - Nie jestem tym facetem. Jestem gliną.

Wystarczyło jedno spojrzenie i Kręgiel zrozumiał, że oszalały mężczyzna nie słucha już głosu rozsądku.

W całym swoim zbudowanym na ostrożności życiu Jimmy Ryan popełnił tylko jeden błąd. Źle odczytał niewyraźne pismo na kartce. Wszedł do niewłaściwego mieszkania, do „6F”, zamiast do „6E”, i teraz znalazł się zaledwie o kilka centymetrów od rozwścieczonego, zazdrosnego męża, który oskarżał go o romans z kobietą, której Kręgiel nigdy nawet nie widział.

Pierwsza kula trafiła go w prawe ramię. Druga zmiażdżyła kość tuż nad prawym łokciem. Ostatnie dwie trafiły go w pierś i posłały na podłogę. Ból szalał w jego ciele niczym rwąca rzeka.

Młody mężczyzna stanął tuż nad nim. Zostały mu jeszcze dwie kule.

- Nigdy jej więcej nie zobaczysz - zapewnił Jimmy'ego Ryana.

- Na to wygląda - odparł Kręgiel.

Usłyszał wywiadowców, zanim jeszcze ich ujrzał. Wpadli do sypialni z gotową do wystrzału bronią w rękach. Kręgiel popatrzył na młodego mężczyznę, który opuścił rękę z rewolwerem. Dwaj agenci podbiegli do napastnika i wykręcili mu ręce, po czym zakuli go w kajdanki i odciągnęli. Przez ten cały czas mężczyzna nie spuszczał wzroku z Kręglę, a z jego twarzy nie zniknął uśmiešek wyższości.

Trzeci agent, Gennardp, podbiegł do Kręglę i podźwignął jego głowę, opierając ją na swoim ramieniu.

- Karetka już jedzie - zapewnił go.

- Myślisz, że będę jej potrzebował? - Kręgiel popatrzył na krew chlustającą z jego prawej ręki.

- Kto cię postrzelił? - spytał Gennardo.

- Jakiś dzieciak.

Kręgiel odwrócił spojrzenie od agenta. Popatrzył na lampę w rogu, odetchnął głęboki i się uśmiechnął.

Niewielkie urządzenie podsłuchowe, które umieścił w stojaku lampy, nagrało wszystko, co zdążył powiedzieć w ostatnim dniu pracy w policji.

Po raz ostatni założył urządzenie podsłuchowe jako funkcjonariusz policji Miasta Nowy Jork.

## 6. Wielebny Jim

Bobby Scarponi był narkomanem i alkoholikiem. Miał dwanaście lat, gdy pierwszy raz spróbował szkockiej. Dwa tygodnie później zapalił trawę. Poza umiejętnością wchłaniania niemal każdej ilości nielegalnych substancji, Scarponi słynął także z chronicznego wagarowania i gwałtownego usposobienia. Aby zdobyć pieniądze na swoje kosztowne hobby, kradł rowery i zabawki sąsiadów z Jamajki Południowej. Rodzice nie panowali nad chłopcem, wobec czego starali się ignorować skargi na kłopotliwego syna.

Bobby nigdy nie handlował narkotykami, ale był stałym klientem wielu miejscowych dealerów. Gdy wpadał w finansowe tarapaty i nie miał jak spłacić długu skradzionymi rzeczami, zawsze mógł liczyć na pomoc rodziców. W rezultacie pozbawiał Scarponich zabezpieczenia, marnotrawiąc dorobek ich życia i pozbawiając nadziei na przyszłość, która dla nich nie oznaczała niczego bardziej ambitnego niż trzypokojowy segment w Laguna Beach, wybudowany ze skromnej emerytury Alberta Scarpo-niego.

Mimo problemów i licznych kłopotów z policją, Bobby Scarponi był sympatycznym chłopcem. Na wzór uzależnionych, z którymi obcował, wcześniej nauczył się ukrywać swoje wykroczenia, zacierać ślady, maskować działanie narkotyków i udawać całkiem zwykłego nastolatka. Posiadał naturalny wdzięk, który w połączeniu z wyrazistymi rysami ukrywał spustoszenia poczynione w jego organizmie przez narkotyki.

W wieku szesnastu lat Bobby miał już za sobą cztery pobyty w klinikach odwykowych i trzy lata bezowocnej terapii. Na drabinie farmaceutycznej przeszedł już od słoików z klejem przez amfetaminę, kwas aż do kokainy. Pewnego pochmurnego kwietniowego popołudnia Bobby wkłuł igłę w sporą żyłę i po raz pierwszy poczuł działanie heroiny.

Teraz znalazł się na wąskiej ścieżce, która często prowadziła podróżnych na spotkanie ze śmiercią.

Bobby Scarponi nie był wyjątkiem.

Bobby usiadł obok swojej matki, Beatrice, na parkowej ławce w pobliżu pustego placu zabaw. Było zimno i późno, właśnie zaczął się poniedziałek. Matka Bobby'ego postawiła na

sztorc kołnierz brązowej kurtki, by ochronić się od wiatru, i wpatrywała się w zniszczoną trawę pod stopami. Była niewysoką szczupłą kobietą o gęstych, przedwcześnie posiwiałych włosach i smutnych, ciemnych oczach. W jej głosie pobrzmiwał lekki cudzoziemski akcent, pozostałość po latach spędzonych w nadmorskiej wiosce Panza we Włoszech.

- Nigdy dotąd nie skłamałam twojemu ojcu, Roberto - powiedziała. - Dziś był pierwszy raz.

- Spokojnie, mamó - odparł Bobby. - Wkrótce będzie po wszystkim. Zapłacimy i pójdziemy do domu.

- Nigdy nie będzie po wszystkim, figlio - westchnęła Beatrice. - Dopóki nie przestaniesz kupować tego, co oni sprzedają.

- Mamó, proszę. - Bobby podciągnął zamek wojskowej kurtki. - Żadnych kazań, dobrze? Wystarczy, że musimy siedzieć na mrozie i zapłacić za to gównó.

- Łamiesz ojcu serce. - Beatrice popatrzyła na syna. Trzymała rękę na jego kolanie, drgającym nerwowo z zimna i narkotycznego głodu. - Zabijasz go po trochu każdego dnia. Za każdym razem, gdy wstrzykujesz sobie to świństwo.

- To moje życie, mamó - powiedział Bobby, zmartwionym wzrokiem obrzucając spojrzeniem ulicę.

- Nasze życie - sprostowała Beatrice. - I teraz jest złe.

- Skończę z tym. - Bobby popatrzył na matkę i ujrzał łzy w kącikach jej oczu. - Obiecuję ci to. Nie podoba mi się to tak samo jak tobie.

- Miałam szesnaście lat, gdy pierwszy raz zobaczyłam twojego ojca - powiedziała. - Spojrzałam na niego i natychmiast się zakochałam. Teraz kocham go jeszcze bardziej. Nie mogę pozwolić, żeby zmarł i zostawił po sobie syna narkomana. Nie przeżyłabym takiej hańby.

- A ja? - zapytał Bobby ze smutkiem w głosie. - Czy wciąż mnie kochasz?

- Jestem tu, prawda? - odpowiedziała pytaniem. - Żeby dać obcym pieniądze z takim trudem zarobione przez twojego ojca.

- Oddam ci je - obiecał Bobby. - Przysięgam.

- Nie spłacaj długu pieniędzmi - powiedziała Beatrice.

- A jak?

- Zerwij raz na zawsze z tym życiem. Zerwij z narkotykami i z tymi, którzy je sprzedają.

- Powiedziałem, że z tym skończę - powtórzył Bobby. - To ostatnia spłata.

Beatrice ujęła syna pod brodę.

- Jeśli nie będziesz w stanie tego zrobić, weź na tyle dużo, żeby umrzeć - westchnęła.

- Chcesz, żebym umarł? - powiedział powoli Bobby. - Mówisz, że tego chcesz?

- Przecież i tak nie żyjesz, Roberto - odparła Beatrice. - Mówisz, chodzisz, jesz i pijesz, ale wewnątrz jesteś już martwy. Uprość to. Uprość to nam wszystkim. Przestań brać narkotyki albo pozwól, żebym miała grób, nad którym mogłabym się pomodlić.

Nagle z ciemności wyłonił się handlarz i stanął po lewej stronie Bobby'ego. Ubrany był w długi, ciemny, zapięty pod szyją płaszcz. Kapelusz z wywiniętym rondem zakrywał twarz mężczyzny, a jego ręce tkwiły w czarnych grubych rękawiczkach. Miał dwadzieścia kilka lat i długie, związane w kucyk włosy.

- Cześć, Ray - powiedział Bobby niespokojnym głosem i wstał. - Nie słyszałem, jak przyszedłeś.

- Masz moje pieniądze? - W zmęczonym głosie Raya pobrzmiwała złość.

- To moja mama. - Bobby wskazał Beatrice, która nie ruszyła się z miejsca, tylko z pogardą wpatrywała się w handlarza.

- Gównu mnie obchodzi, kto to jest - oznajmił Ray. - Przyniosłeś moje pieniądze?

- Większość. - Bobby spojrział przez ramię Raya. Przy hydrancie czekał zaparkowany samochód, a z jego rury wydechowej wydobywał się dym.

- Nie pytałem o większość - powiedział Ray. - Chcę wszystko. Natychmiast.

- Przyniosłam pięćset - odezwała się Beatrice najsilniejszym głosem, na jaki mogła się zdobyć. - Tylko tyle mamy.

- Brakuje tysiąca - warknął Ray.

- Resztę przyniosę za tydzień - obiecał Bobby.

- Jak to zrobisz, mądralo? - spytał Ray. - Mamusia dała ci już wszystko, co miała, a od nikogo innego nie dostaniesz ani grosza.

- To mój problem - odparł Bobby. - Jakoś sobie poradzę. Ray ruszył do Bobby'ego. Złapał chłopaka za przód kurtki i uniósł go o parę centymetrów.

- To nie tylko twój problem - powiedział. - Teraz to mój problem. I ja go rozwiążę.

Puścił Bobby'ego i popchnął go na matkę, która siedziała zeszywniała ze strachu, rękami zakrywając twarz. Ray minął chłopca i zatrzymał się przed Beatrice. Przykucnął i popatrzył w oczy kobiety, po czym z uśmiechem położył dłonie na jej kolanach.

- Mówisz prawdę?-zapytał. - Pięć stów to wszystko, co masz?

Beatrice skinęła głową, zbyt przerażona, by się odezwać.

Ray zdjął rękę z jej kolana i włożył ją do kieszeni. Pochylił się nad Beatrice i wyjął czarny nóż sprężynowy. Przycisnął guzik na dole rączki, uwalniając piętnaście centymetrów stali, wystarczająco ostrej, by przeciąć drewno.

- Chcę wszystkich moich pieniędzy, Bobby - powiedział, nie odrywając oczu od Beatrice. Był tak blisko, że czuła jego przesycony alkoholem oddech. - Dlatego zapytam cię jeszcze raz. Masz je dla mnie?

- Daj mi jeszcze jeden dzień. - Bobby zrobił dwa kroki, starając się ukryć panikę w głosie. - Jutro przyniosę resztę. Przysięgam.

- Kiedy jutro? - Ray przeciągnął ostrze noża po kurtce Beatrice.

- Spotkamy się tu o tej samej porze - odparł Bobby.

- Myślisz, że twój mały ćpun mówi prawdę? - spytał Ray Beatrice.

- Mój syn jest ćpunem - opowiedziała Beatrice i położyła dłoń na płaszczu Raya, mocno ściskając materiał. - Ale ty jesteś o wiele gorszy. Żerujesz na ćpunach. A to oznacza, że jesteś gorszy niż zwierzę.

- To sprawa między tobą a mną - wtrącił się Bobby. - Nie mieszaj jej do tego. Proszę.

- To ty ją przyprowadziłeś - odparł Ray.

- Zabieraj swoje pieniądze. - Beatrice wyciągnęła z kieszeni kopertę z pięcioma banknotami studolarowymi i wepchnęła ją Rayowi. - I idź stąd.

Ray wziął kopertę w wolną rękę i odwrócił się, by popatrzeć na Bobby'ego.

- Zapomnij o reszcie pieniędzy - powiedział mu. - To spotkanie wyrówna nasze rachunki. Jeśli będziesz chciał coś kupić, to nie ode mnie. Gdziekolwiek, byle nie u mnie. Zrozumiałeś?

- Jasne. - Bobby pokiwał głową. - Dzięki, Ray. Jestem ci wdzięczny.

Ray uśmiechnął się do Bobby'ego, odwrócił się do Beatrice, po czym złapał ją za włosy i mocno pociągnął. Bobby skoczył przed siebie, ale Ray znokautował go wolną dłonią. Następnie przystawił ostrze do gardła Beatrice. Jego oczy lśniły, a na twarzy pojawił się uśmiech. Handlarz przejechał ostrzem po szyi kobiety, od lewego ucha aż do końca szczęki po prawej stronie twarzy. Przyglądał się tryskającej krwi i trzymał Beatrice za włosy aż do chwili, gdy ujrzał, że uchodzi z niej życie. Wtedy ją puścił i kobieta opadła na parkową ławkę.

Ray Monte wyczyścił ostrze o kurtkę ofiary, zamknął go i odszedł w noc.

- Cała przyjemność po mojej stronie - powiedział do Bobby'ego, zostawiając chłopca z umierającą matką.



Bobby wziął Beatrice w ramiona, a jej krew spływała na niego. Nie płakał, nic nie mówił, tylko przyciskał ją do siebie, kołysząc się powoli. Nie dotykał matki od lat i nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz powiedział jej, że ją kocha. A jednak czuł, że wybaczyłaby mu wszystko, nawet własną śmierć.

Opuścił głowę, zbliżył usta do jej ucha i wyszeptał cicho słowa Partiry, włoskiej ballady, którą śpiewała mu na dobranoc, gdy był mały.

Siedzieli tak, aż nastał poranek i przyjechała policja.

Bobby Scarponi pochował swoje uzależnienie wraz z matką. Trzymał się z dala od ulicy i ciężko pracował w szkole. Walczył z nocnym pragnieniem, gdy marzył o igle pełnej heroiny, aby uciec od życia, które go otaczało.

Mieszkał wraz z ojcem w milczącym domu. Albert Scarponi pożegnał jedyną kobietę, jaką kochał, po czym odwrócił się plecami do jedynego syna. Mieszkali razem, ale ze sobą nie rozmawiali, gdyż ojciec żył cicho ze swoim żalem i gniewem, nie mogąc przebaczyć Bobby'emu, że zaprowadził matkę na ścieżkę, która doprowadziła do spotkania z nożem handlarza. Nienawiść Alberta dodatkowo syciła się tym, że syn nie chciał wskazać zabójcy Beatrice.

Ray Monte chodził wolny.

- Tylko nie myśl, że mógłbyś załatwić to sam, Bobby - ostrzegł chłopca jeden z detektywów. - Zabije cię tak samo, jak twoją mamę. ‘;

- Ten handlarz nie zabił mojej żony. - Albert popatrzył na detektywa. - On tylko trzymał nóż. Przyprowadził ją tam własny syn. Krew z jej krwi.

- Jeśli zmienisz zdanie, zadzwoń - powiedział drugi detektyw do Bobby'ego i położył wizytówkę na środku stołu. - Obojętne, o jakiej porze.

Obaj detektywi wyszli tylnymi drzwiami drewnianego domu, zostawiając Alberta i Bobby'ego Scarponich w ich osobnych światach.

Od tamtego czasu Bobby Scarponi wciąż miał na oku Raya Montego.

Widywał go czasem, jak chodzi po ulicach Queens, popija kawę i sprzedaje narkotyki, zawsze w pobliżu nowego samochodu z włączonym silnikiem. Bobby odsłużył dwa lata w wojsku, gdy Ray odsiadywał w Comden wyrok za napad. Obaj byli wolni niemal w tym samym czasie.

Ray Monte powrócił na ulice, znów gotów zająć główne miejsce na arenie handlu narkotykami. Sprzymierzył się z Irlandczykami pracującymi w okolicy Forest Hills i założył sklep na Sto Sześćdziesiątej Ósmej, sprzedając heroinę i kokainę handlarzom, którzy przejęli

okoliczny interes od włoskiej mafii. Brał swoją dolę ze sprzedaży trawy i lewych recept w okolicy i wysyłał swoich ludzi przeciwko wszystkim, którzy się temu sprzeciwiali.

Nigdy nie nosił pistoletu. Jedynie nóż.

Bobby Scarponi usiadł przy biurku naprzeciwko detektywa z długą, sięgającą prawego oka szramą na twarzy. Detektyw Sal Albano zapalił papierosa i opadł na skrzypiące drewniane krzesło.

- Dlaczego teraz mi to mówisz? - zapytał. - Czemu nie powiedziałeś mi wcześniej?

- Chciałem się przekonać, czy poradzę sobie w Akademii - odparł Bobby. - Gdybym opadł, nikt nie musiałby wiedzieć.

- Jak dawno temu przestałeś brać to gówno?

- W marcu minęło osiem lat - powiedział Bobby. - Na szesnaste urodziny zafundowałem sobie trzy działki. Dwa dni później moja mama już nie żyła.

- Nie jesteś pierwszym gliną, który próbował twardych narkotyków - stwierdził Albano. - Cholera, czasem mam wrażenie, że połowa tych skurwieli w mundurach nieźle grzeje.

- Nie wywalisz mnie? - spytał Bobby.

- Jesteś najlepszym gliną, jakiego kiedykolwiek szkolilem - odparł Albano. - A robię to na tyle długo, że odróżniam dobrych gliniarzy od złych. Dopóki będziesz czysty, nie wejdziesz ci w drogę.

- Prosiłem o przeniesienie do mojej dawnej dzielnicy. - Bobby, odprężony, odchylił się na krześle. Jego nieprzytomne niegdyś oczy były teraz trzeźwe i przejrzyste. - Jest taka możliwość?

- Zadzwoń w parę miejsc - powiedział Albano. - To nie powinien być problem. Tylko się zbytnio nie przyzwyczajaj. Tacy jak ty niedługo chodzą w mundurach. Mój stary kumpel na Brooklynie potrzebuje młodego gliniarza do pracy w charakterze wywiadowcy. Mówiłem mu o tobie. Czeka na telefon za jakieś pół roku.

- Nie potrzebuję aż tyle czasu na to, co mam zrobić. - Bobby wstał i wyciągnął rękę.

- Czyli na co? - spytał Albano.

- Na odszukanie dawnego przyjaciela - odparł Bobby Scarponi z policji Miasta Nowy Jork.

Silny kwietniowy deszcz padał na wóz patrolowy, który krążył po pustych ulicach z włączonymi światłami przeciwmgielnymi i wycieraczkami odgarniającymi strugi deszczu. Bobby Scarponi ściszył policyjne radio i wyłączył nawiew powietrza. Już czwarty miesiąc patrolował ulice i zdążył częściowo oczyścić teren. Złapał czterech dosyć ważnych handlarzy

i schwytał uzbrojonego przestępcę, który ukrywał się w jednej ze szkolnych pracowni. Przypomniał się okolicznym sprzedawcom, z których wielu pamiętało naszprycowanego nastolatka, kradnącego ich towar. Teraz wrócił tu, by ich bronić.

Dzieciaki na ulicy, znając jego przeszłość, wołały na niego Wielebny Jim - tak nazywał się jeden z bohaterów z serialu telewizyjnego Taxi. To przezwisko przyjęło się w dzielnicy Bob-by'ego. Scarponi nie miał nic przeciwko temu. Wiedział, że dzięki ksywie zapamiętają go na ulicy i być może kiedyś stanie się glina, do którego ludzie będą się zwracać o pomoc.

Upływ lat nie roztopił lodów pomiędzy Bobbym a jego ojcem. Wciąż mieszkali od jednym dachem, ale nie łączyło ich nic ponadto. Nawet widok Bobby'ego w policyjnym mundurze nie złagodził nienawiści Alberta.

Bobby Scarponi to rozumiał.

Pogodził się już z tym, że jest winien śmierci swojej matki, i codziennie walczył o to, by móc kontrolować gotujące się za maską chłodu emocje. Wiedział, że kiedyś je uwolni i wyegzekwuje to, co mu się należy. Być może wtedy właśnie spróbuje zawrzeć pokój z mężczyzną, którego dom zajmował, lecz miłość utracił.

Bobby Scarponi wiedział też, że w dniu, w którym otworzy klatkę i da upust emocjom, skierują się one przeciwko Rayowi Montemu.

Bobby zatrzymał wóz patrolowy dokładnie za zaparkowanym mercedesem i wrzucił jałowy bieg. Włożył parę cienkich czarnych rękawiczek i wziął do ręki brązowopolicijnąpałkę, owijając sznurek wokół przegubu.

Koło mercedesa stało czterech mężczyzn, wszyscy w długich szarych płaszczach i brązowych kapeluszach z opuszczonymi rondami. Na widok nadchodzącego Bobby'ego rozstąpili się z uśmiechem, lecz w ich oczach czaił się złowrogi błysk.

W środku stał Ray Monte. Opierał nogę o kołpak na tylnym kole, a w ustach trzymał cienkie cygaro.

- Świat jest jednak popieprzony - stwierdził - skoro rozdają ćpunom odznaki i broń.

Boby podszedł bliżej i zmierzył spojrzeniem wszystkich mężczyzn. Wiedział, że są uzbrojeni, a ich ochrona popija w małym, słabo oświetlonym barze tuż obok.

- Taki deszcz musi przeszkadzać w interesach - zauważył Bobby, wpatrując się w Raya.

- Ćpunom jest wszystko jedno - odparł Ray. - Zależy im tylko na działce. Chyba nie muszę ci tego przypominać.

- Pamiętam - powiedział Bobby.

- Przyszedłeś tu po łapówkę? - spytał z uśmiechem puciołowaty mężczyzna po lewej stronie Raya. - Zawsze przysyłają po nią nowych gliniarzy. Tak ich rozprawiczają.

- Nieźle ci idzie, Ray - stwierdził Bobby. - Wszyscy kupują od ciebie towar.

- Nie narzekam. - Ray wzruszył ramionami. Dym z cygara przenikał przez rondo jego kapelusza.

- Co się stanie, jeśli z tym skończysz? - spytał Bobby. - Kto przejmie twoje interesy?

- Wali mnie to. Nigdzie się nie wybieram.

- Pewnie zajmie się tym wujek Angie. - Z policyjnej czapki Bobby'ego kapała woda. - Odda twój teren któremuś z jamajskich gangów. Od nich skapnie mu więcej niż od ciebie.

- Zanim to się stanie, będę miał tyle forsy, żeby kupić całą Florydę. - Ray wyjął z ust cygaro i wyrzucił je do kałuży. - A ty będziesz laził po deszczu i zgarniał palaczy trawy.

- Ciągłe nosisz ten nóż? - spytał Bobby i przysunął się bliżej Raya. Trzej mężczyźni u jego boku zeszywnieli.

- Zawsze - odparł Ray. - Chcesz zobaczyć?

- Już raz widziałem - powiedział Bobby. - Wystarczy.

- Kiedy twoja matka zginęła, nie wydała z siebie żadnego dźwięku - zauważył Ray. - Po prostu umarła. Myślisz, że odszedłbyś tak samo?

- Sam ją załatwiłeś - odparł Bobby. - Nie potrzebowałeś pomocy. Teraz masz trzech ludzi. Może to przez te pieniądze zacząłeś się bać.

Ray Monte uśmiechnął się i popatrzył na mężczyzn.

- Idźcie do baru na drinka - powiedział. - Zamówcie też dla mnie. To nie potrwa długo.

Bobby i Ray patrzyli na siebie, czekając, aż trzej mężczyźni znikną w ciepłym półmroku starego baru.

- Chcesz mnie załatwić, policjancie? - spytał Ray. - Nie mam broni.

- Onateżnic nie miała - odparł Bobby. Deszcz padał coraz mocniej.

- Miała syna, żeby jej bronił. - Głos Ray a był zimny, przepełniony nienawiścią. - Tyle że on nic nie zrobił. Patrzył tylko, jak umierała.

- Od tamtego dnia codziennie widzę jej śmierć - powiedział Bobby i wydobyl nóż spod kurtki policyjnej. - Co dzień i co noc.

Ray Monte wyciągnął z kieszeni spodni swój nóż i go otworzył. Ten dźwięk od lat prześladował Bobby'ego. Obaj mężczyźni krążyli wokół siebie ostrożnie, po czym jednocześnie skoczyli.

Nóż wszedł w pierś głęboko, minął mięśnie i kości, przeciął żyły i arterie. Dwie dłonie przytrzymały go mocno i wepchnęły jeszcze głębiej. Przeciwnicy patrzyli na siebie, a zacinający deszcz mieszał się z obfitymi strumieniami krwi. W jednych oczach czaił się smutek i łzy, z drugich powoli uchodziło życie. Obaj mężczyźni oparli się o tylne drzwi mercedesa, a ich mokre ciała przywarły do siebie. Umierający charczał cicho.

- Ty też nie narobiłeś hałasu - zauważył Bobby Scarponi i puścił Raya Montego. Patrzył, jak jego ciało osuwa się o bok mercedesa i pada na chodnik, z głową przy całorocznej oponie firmy Firestone.

Bobby przeszedł do radiowozu, wsiadł, wrzucił pierwszy bieg i odjechał na posterunek.

Jego zmiana dobiegła końca.

Trzy miesiące po śmierci Raya Montego Bobby Scarponi zdjął mundur i znalazł się w brooklyńskiej jednostce wywiadowczej. Miał dwadzieścia pięć lat i był najmłodszym spośród wywiadców, którzy krążyli po dzielnicy, udając potencjalne ofiary kryminalistów. Bobby uwielbiał aktorstwo, więc zabrał się do nowej pracy z równym zapałem, jak kiedyś do narkotyków. Co więcej, ryzyko związane z tym zajęciem sprawiało mu przyjemność.

Dla gliniarza nazywanego Wielebnym Jimem był to kolejny szczebel na drabinie kariery.

Błyskawicznie nauczył się doskonale wcielać w nowe role - od pijanego biznesmena z Wall Street, drzemiącego na stacji metra, przez obdartego pijaka śpiącego na wywietrzniku metra, aż do ćpuna krążącego po ulicach w poszukiwaniu porzuconych drobniaków. Był doskonałym aktorem i wykorzystywał swój talent do granic bezpieczeństwa, gdy prowokował podejrzanych do działania.

Właśnie jako członek jednostki wywiadowczej Bobby Scarponi wychylał się przez barierkę w Brooklyn Heights, patrząc ponad spokojną rzeką na błyszczące światła Manhattanu. Miał posklejane włosy, porwane i brudne ubranie oraz dwie plastikowe torby na śmieci obwiązane wokół stóp. Łyknął szybko z wypełnionej mrożoną herbatą butelki po burbonie i odwrócił się, żeby popatrzeć na dwie młode dziewczyny, siedzące na ławce za nim i popijające gorącą czekoladę. Starsza z nich, mniej więcej szesnastoletnia, trzymała papierosa w dłoni w rękawiczce. Rozmawiając, obie chichotały.

Bobby zszedł kilka schodków, powłóczęc nogą i trzymając dłoń na poręczy. Kątem oka ujrzał swój cel, schowany za drzewem, zaledwie o skok od dziewczyn na ławce.

- Mamy towarzystwo - powiedział do górnego guzika porwanego płaszcza. Nadajnik był przyczepiony do taśmy owiniętej wokół pasa mężczyzny. - Jakies półtora metra od ofiar.

Dwieście metrów dalej, wewnątrz czarnego plymoutha, ukrytego za budynkiem gospodarczym, siedzieli dwaj policjanci z bronią na kolanach i z pustymi kubkami po kawie u stóp.

- Jesteś pewien, że to on? - zapytał kierowca, T.J. Turner. - Może to jakiś menel się odlewa. >

- Menele szczają w spodnie - wyszeptał Bobby. - Właśnie dlatego są menelami.

- Ty pewnie coś wiesz na ten temat, Wielebny - odezwał się Tommy Mackens. - W życiu nie spotkałem gliny, który by tak chętnie chodził w zaszczanych ciuchach. /

- Nieważne, co nosisz, ważne, jak to nosisz - odparł Wielebny Jim.

- Uważaj na tego faceta - powiedział T.J. - Bardziej rajcuje go ból niż ewentualne zdobycze.

- Znalazł sobie dwie łatwe ofiary - zauważył Wielebny. - Raczej nie będą z nim walczyć.

- Poza tym nienawidzi meneli - roześmiał się Tommy. - Może ci nieźle przyłożyć.

- Przygotuję się na to - odparł Bobby Scarponi.

Odsunął się od poręczy i zatoczył, śpiewając pijackim, łamiącym się głosem Żegnaj, kosie. Nie patrzył na dziewczyny, ignorując ich paplaninę, lecz wsłuchiwał się uważnie w szelest liści i odgłos kroków.

Znajdował się niecałe dwadzieścia metrów od ławki, gdy mężczyzna za drzewem ruszył do akcji i stanął przed dziewczynami, które na widok broni natychmiast umilkły. Był wysoki i dobrze zbudowany, prawdziwa góra mięśni pod ubraniem. Na twarzy miał gogle, a na dłoniach rękawiczki, by nie zostawić odcisków palców.

- Nie rób nam krzywdy - jęknęła jedna z dziewcząt. Gęste brązowe loki zakrywały jej szczupłą twarz.

- Taka krzywda, jaką wam zrobię, może być nawet przyjemna - odparł mężczyzna twardym, niskim głosem. - Wstańcie i powoli przejdźcie za to drzewo.

Dziewczęta drżały tak bardzo, że nie były w stanie ruszyć się z miejsca. Kurczowo trzymały się ławki, a po ich policzkach spływały łzy. Mężczyzna podszedł bliżej i potracił lufą skroń jednej z dziewcząt, dotykając jasnych włosów, upchniętych pod różową czapką z wełny. Dziewczyna nie odwróciła twarzy.

- Mogę wam to wepchnąć w cipy. - Mężczyzna zachichotał jak mały chłopiec. - Żywym czy martwym, wszystko mi jedno. Idziecie czy mam was zawlec?

- A teraz zaśpiewam Żegnaj, kosie\ Śpiewamy razem! - Bobby stał teraz za nimi z szerokim uśmiechem na twarzy i butelką po burbonie.

Mężczyzna odwrócił się do Bobby'ego z dłonią na rewolwerze i gniewem w oczach.

- Zabieraj się stąd, menelu - powiedział.

Uniósł trzydziestkę ósemkę, trzymając ją zaledwie parę centymetrów od piersi Bobby'ego, i mocniej przycisnął palec na spuście.

Bobby znalazł się już wystarczająco blisko. Lewą ręką odtrącił rewolwer i rozbił butelkę na głowie przeciwnika. Gdy szkło pękło na czaszce, mrożona herbata zalała gogle mężczyzny.

Uderzenie jednak tylko go oszołomiło.

Rzucił się na Bobby'ego i wraz z nim runął na ziemię, po czym dwukrotnie mocno uderzył policjanta w skroń i raz w usta.

- Zabiję cię, menelu - powiedział, zaciskając dłoń w rękawiczce na gardle Bobby'ego.

- Zabiję cię, kurwa.

- Mówię ci - wykrztusił z trudem Bobby - że nie jestem menelem.

Obie dziewczyny nie ruszały się miejsc, wpatrzona w rozgrywającą się przed nimi walkę. T.J. i Tommy uruchomili silnik i z włączonym kogutem wyłonili się zza budynku, wzbijając w powietrze kurz i liście.

Bobby lekko odwrócił głowę w prawo i zauważył leżącą tuż obok trzydziestkę ósemkę. Obie nogi zacisnął wokół pasa mężczyzny. Dwukrotnie uderzył go pięścią w twarz, niemal bez efektu. Oddychał z trudem, gardło miał całkiem ściśnięte, a płuca rozrywał mu ból. Reflektory samochodu oświetliły potężną sylwetkę mężczyzny. Niczym gład przygniatał klatkę piersiową Bobby'ego.

Bobby zamknął oczy, nabrał w płuca trochę powietrza, i wyprostowawszy palce prawej ręki, rozerwał kołnierz płaszcza. Obmacując dłonią czarny asfalt, zdołał dosięgnąć trzydziestki ósemki.

T.J. i Tommy, obaj z bronią w rękach, wysiedli z auta.

- Puść go - powiedział spokojnym głosem Tommy. - Nawet o tym nie myśl.

- Nie możecie mnie powstrzymać - odparł mężczyzna. Jego oczy zalsniły, gdy zacieśniał uścisk na gardle Bobby'ego.

- Ja mogę - wycharczał cicho Bobby., Po czym włożył lufę rewolweru w usta mężczyzny. Mężczyzna popatrzył na Bobby'ego i ujrzał jego pełne determinacji, skupione spojrzenie.

Spojrzenie, jakie widział przed śmiercią Ray Monte.

Spojrzenie człowieka, który jest gotów zabić.

Mężczyzna powoli rozluźnił uścisk i przycisnął ręce do boków. T.J. i Tommy podeszli do niego i przystawili mu broń do głowy. Tommy założył kajdanki na jeden z szerokich przegubów mężczyzny, po czym wykręcił mu drugą rękę i także unieruchomił ją w kajdankach.

- Dobra, Wielebny - powiedział T.J., trzymając mężczyznę na muszce. - Wyjmij mi gnata z ust.

- Co za skurwiel - wykrztusił Bobby między jednym a drugim atakiem kaszlu. Rewolwer obijał się o zęby mężczyzny. - Widzicie, co mi zrobił?

- Omal cię nie zabił - przytaknął Tommy uspokajającym tonem. - Ale jednak nie zabił. Puść go, to zawieziemy go na posterunek, spisujemy zeznania dziewczyn i w końcu coś zjemy.

- A jeśli starczy czasu - dodał T.J., mocno trzymając skutego mężczyznę za kurtkę - to wrócimy tu i poszukamy kogoś innego, kto także chciałby cię zabić.

- Zapomnij o zabijaniu. - Głos Bobby'ego załamywał się ze złości. - Ten pieprzony skurwiel mnie obsikał!

Bobby siedział na kanapie w dużym pokoju z puszką doktora Peppera w dłoni. W telewizji nadawano mecz z rozgrywek jesiennych pomiędzy Olbrzymami a Orłami. Dźwięk był wyłączony, gdyż ze stojącej w rogu pokoju wieży dobiegało Drown in My Own Tears Ronniego Earla i Broadcasterów. Na zewnątrz gęsty śnieg otulał ulice.

Albert Scarponi wszedł do pokoju i siadł na skraju kanapy. W prawej ręce trzymał szprycer z czerwonego wina, wody i lodu.

Miał na sobie biały sweter i czarne džinsy, a na stopach podbite futrem kapcie. Jego twarz pokrywał trzydniowy zarost, a lewa ręka była nieco spuchnięta - znak, że w tym roku zimowy atak reumatyzmu zaczął się wcześniej.

Siedzieli jak zwykle w milczeniu, pochłonięci grą i muzyką.

Albert oderwał wzrok od ekranu i popatrzył na syna, jak gdyby zauważył go po raz pierwszy.

- Jutro nabożeństwo żałobne - powiedział, obserwując, jak Harry Carson obejmuje rozgrywającego Eaglesów. - Jeśli chcesz, pojedziemy razem. Nie ma sensu, żebyśmy brali dwa samochody. Nie w taką pogodę.

Dźwięk głosu ojca poruszył Bobby'ego. Przywykł już do muru milczenia, który ich otaczał, i nie był teraz pewien, jak zareagować na nagły wyłom, jaki uczyniła ta próba rozmowy.

- Na pewno? - spytał, podnosząc nogi ze stolika do kawy i wpatrując się w ojca.

Albert odwrócił głowę od odbiornika i położył silne ręce na kolanach.



- Chyba już czas, żebyśmy poszli razem - powiedział.

- Najpierw zazwyczaj kupuję kwiaty - zauważył Bobby.

- Różowe róże - skinął głową Albert.

- Przepraszam, tato. Przepraszam, że ci ją zabrałem. Albert wpatrywał się w syna, a w kącikach jego oczu pojawiły się łzy.

- Przez wszystkie te lata obwiniałem cię za to, co się stało - powiedział. - Teraz myślę, że może tak musiało być, żeby pewne rzeczy się wyprostowały. Może poszła tam, bo uważała, że to jedyny sposób, aby zawrócić syna ze złej drogi.

- Ten facet, który zabił mamę, nie żyje - odezwał się Bobby.

- Wiem.

- Zabiłem go - dodał.

- To też wiem - powiedział Albert. - Nie wiem tylko, jak by poczuła się twoja matka, gdyby o tym ^wiedziała.

- A jak ty się czujesz?

- Jestem z ciebie dumny, Bobby - stwierdził Albert, po raz pierwszy od śmierci żony zwracając się do syna po imieniu.

Podarte kartony leżały na kupie w kącie, tuż przy ścianie kamienicy, a obok zalegały grudy brudnego śniegu i porwane plastikowe worki na odpadki. Szeleściły w podmuchach zimnego wiatru, który hulał po ulicach.

Bobby Scarponi opierał się plecami o cegły i drżał z zimna pod kartonami. Siedział zwinięty w kłębek i obiema rękami obejmował termos z gorącą kawą. Miał na sobie dzinsy, dwa swetry i grubą błękitną wiatrówkę, a na głowie czapkę kibica Czerwonych Skarpet. Tuż obok stało małe radio.

- Widzisz już coś? - Wśród trzasków dał się usłyszeć głos detektywa Tony'ego Cliftona, który siedział w zaparkowanym za rogiem, ciepłym samochodzie.

- Tak. Jak życie przelatuje mi przed oczyma - mruknął Bobby, po czym wyprostował nogi i postawił między nimi termos. - Wciąż jest za wcześnie. Ci faceci nigdy nie wychodzą, zanim nie skończą się telenowele.

- Cadillac nadal stoi przed budynkiem? - dopytywał się Clifton.

- Pusty i z opuszczonymi szybami. - Bobby zerknął poprzez wyludnioną ulicę na wściekle zielony, najnowszy model cadillaca z rejestracją z Florydy. - Stoi tak cały dzień.

- Te auta rzucają się w oczy jak gołe cyce - mruknął Clifton. - A przecież tacy faceci powinni mieć odrobinę zdrowego rozsądku.

- To nie jest zjazd członków mensy, Tony - zauważył Bobby. - To handlarze narkotyków. Chyba że twój informator pomylił godziny.

- Mój człowiek nigdy się nie myli - odparł Clifton. - Siedź spokojnie i pozwól im dobić targu.

- Musi ci być tam ciepło. - Bobby roztarł zgrabiąle ręce o dzinsy.

- Jak w Miami w lipcu - powiedział Clifton.

- Nie mogę się doczekać, kiedy będę taki stary i powolny jak ty, Tony. Wtedy usiądę sobie w zdezelowanym wozie i będę wdychał gorące, śmierdzące powietrze, a jakiś prawdziwy glina odwali całą brudną robotę.

- Coś ci powiem, Wielebny - odparł Clifton. - Jeśli zrobi się jeszcze zimniej, podjadę pod monopolowy i zbiorę więcej pudeł. Potem dorzucę je do tych, które już masz.

- Powiem ci tylko dwa słowa, Tony-odezwał się drżącym z zimna głosem Bobby. - Tlenek węgla.

Nagle jego spojrzenie obiegło ulicę.

- Mamy ruch - mruknął do radia.

W wejściu do budynku pojawili się trzej mężczyźni. Trzymali ręce w kieszeniach i rozglądali się po pustej ulicy. Zielony cadil-lac stał dokładnie naprzeciwko nich. Mężczyzna w środku, niski i łysy, o imponujących czarnych wąsach, podszedł do auta, otworzył drzwi po stronie pasażera i wszedł do środka. Włożył do ust cygaro z plastikowym ustnikiem i zapalił.

Bobby przykląkł na kartonie i obserwował mężczyzn.

- Są z nimi jacyś cywile? - spytał Clifton.

- Tym bym się zbytnio nie przejmował - odparł Bobby. - Każdy w tej okolicy to potencjalny przestępca.

- Na wszelki wypadek nie mieszajmy w to innych - powiedział Clifton.

- Szmugler siedzi już w aucie - zameldował Bobby.

- Jego łącznik nie może być zbyt daleko - stwierdził Clifton. - Handlarze nie cierpią czekać na mrozie.

- Powiedz mi coś, czego nie wiem - wyszeptał do siebie Bobby i oparł radio o nogę.

Beżowy buick z namalowanymi na drzwiach błyskawicami zaparkował tuż za cadillakiem i wyłączył silnik. W środku tłoczyło się pięciu mężczyzn, lecz okna auta były zamknięte, a para z oddechów i papierosowy dym wypełniały wnętrze pojazdu.

- Elvis jest w budynku - powiedział Bobby do radia, po czym wyjął z kabury trzydziestkę ósemkę i przełożył ją do prawej ręki.

- Siedz spokojnie, Wielebny - polecił mu Clifton. - Niech robią, co mają zrobić. To nie potrwa długo.

Dwaj mężczyźni w płaszczach wyszli zza śmietnika przy wejściu do budynku i ruszyli w stronę zaparkowanych samochodów. Ten po lewej, z pochyloną głową, wygrzebał z kieszeni kluczyki i otworzył bagażnik cadillaca. Mężczyzna po prawej w rozpiętym płaszczu, którego poły powiewały na wietrze, stał obok bagażnika buicka i wyciągnął rękę, by podnieść maskę, gdy kierowca otworzył ją od środka.

Bobby odsunął wieko kartonu i przyglądał się, jak obaj mężczyźni wyciągnęli identyczne aktówki, podeszli do siebie i dokonali wymiany.

- Houston, zaczęło się - powiedział Bobby do radia. - Podjedź tu i ich zgarnij.

- Nie ruszaj się ze swoich kartonów, Wielebny. - Clifton zamocował czerwonego koguta na dachu sedana i wrzucił pierwszy bieg. - Jesteśmy tuż obok.

Postaraj się nie przejechać po drodze żadnych niewinnych przechodniów - odparł Bobby i odwrócił daszek baseballowej czapeczki.

- Za późno - roześmiał się Clifton i rzucił radio na deskę rozdzielczą.

Bobby Scarponi nie zauważył dwóch nastolatków.

Ukryty w swoim domku z kartonowych pudeł, zwracał uwagę jedynie na oba samochody, transakcję i czekał na to, co lada chwila miało się rozpocząć. Nie widział chłopców, którzy z pobliskiej stacji benzynowej przy dźwigali dwa czerwone, pełne benzyny kanistry bez korków. Umysły chłopców skwierczały od mieszaniny anielskiego pyłu i kleju. Obaj pragnęli jedynie podpalić chałupę z kartonów i siedzącego w niej menela. Skradali się cicho niczym koty, najpierw polewając benzyną krawędzie, a potem całą ścianę kamienicy.

Jeden z nich zapalił zapalną, a drugi przechylił się przez chwiejną poręcz i wlał benzynę do małego otworu, przez który Wielebny Jim obserwował transakcję.

Potem obaj chłopcy się roześmiali.

Bobby wiedział, że już po jego karierze, gdy tylko poczuł smak benzyny i zapach oparów. Nawet nie drgnął. Ogarnął go spokój. Patrzył, jak zapalną spada obok jego ramienia. Poczł nagłą falę gorąca i ujrzał żółto-niebieskie płomienie.

Wyskoczył ze swego piekła w palącym się ubraniu, jak żywa pochodnia. Cały w dymie i płomieniach, przetoczył się po chodniku, zostawiając kawałki tłącej się skóry i płonącej tkaniny.

Słyszał ryk syren, wystrzały z broni i dochodzące ze wszystkich stron krzyki.

Wtedy Bobby Scarponi przestał się ruszać, a jego zwęglona głowa zawisała nad popękany krawężnikiem. Partner Bobby'ego ukląkł obok z bronią na kolanach i ze złością krzychał coś do Boga.

Wielebny Jim niczego nie widział i nie słyszał.

Raz jeszcze pogrążył się w mroku.

## KSIĘGA DRUGA

Kocham wojnę, odpowiedzialność i napięcie. Pokój będzie dla mnie piekłem.

Generał George S. Patton

7. Dwudziesty pierwszy lutego 1982

Trzymając w obu dłoniach filcowy kapelusz, mężczyzna wszedł przez podwójne drzwi lokalu Nunzia. Zmrużył oczy, czekając, aż jego wzrok przyzwyczai się do osłabionego blaskiem świateł pomieszczenia. Stał obok baru i przyglądał się pustym stolikom, po czym spojrzał na małe stoliki po lewej stronie, ustawione w dwóch rzędach po pięć. Jego wzrok błądził ponad głowami dwojga młodych, zjadających zimne przystawki, oraz trzech kobiet w średnim wieku, pochylonych nad sporymi kieliszkami z czerwonym winem.

Twarz, której wypatrywał, należała do mężczyzny siedzącego przy ostatnim stoliku, plecami do ściany. Nad nim wisiały oprawione w ramki portrety Rocky'ego Marciana, Jersey'ego Joe Walcott'a i Carmen Basilio. Przed mężczyzną stała parująca miska soczewicy i kiełbasy, a w jego prawej ręce tkwił kieliszek, wypełniony do połowy San Pellegrino. ‘

Człowiek przy stoliku wznosił lewą rękę, by zwrócić na siebie uwagę przybysza.

- Chyba przydałby ci się jakiś drink, Carlo - powiedział Grzmot Frontieri.

Carlo Santori położył kapelusz na parapecie, zdjął płaszcz, po czym przewiesił go przez oparcie jednego z drewnianych krzeseł. Grzmot wykonał ruch, jak gdyby coś nalewał, i przy stoliku natychmiast pojawił się kelner z butelką Chianti.

- O jaką przysługę ci chodzi? - spytał bardzo cicho Grzmot.

- Jenny zniknęła - odparł z trudem Carlo. Jego głos drżał, a ręce zaciskały się na krawędzi stolika.

Grzmot odłożył łyżkę i nabrał powietrza, czując ukłucie bólu w miejscu, gdzie kawałek metalu wciąż tkwił w częściowo usuniętym płucu. Następnie przeciągnął się i potarł prawą nogę, tę z bliznami po trzech operacjach.

- Co to znaczy „zniknęła”? - zapytał.

- Wyjechałem z Annie na weekend. - W oczach Carla pojawiły się łzy. - Na wybrzeże. Zostawiliśmy Jenny i Tony'ego samych w domu. Nie przyszło mi do głowy, że coś może się stać. Jezu, przecież cały czas byliśmy pod telefonem. Wystarczyło zadzwonić.

- Co się stało? - spytał Grzmot. To był głos policjanta. Grzmot nie spuszczał wzroku z twarzy przyjaciela.

- Pojechali autobusem do Nowego Jorku. - mówił Carlo. Z trudem podniósł kieliszek z winem do ust. - To był pomysł Tony'ego. Wiesz, jak to jest. Chcieli połączyć po mieście, trochę się zabawić bez rodziców na karku.

- Daleko dotarli? - Grzmot sęczył swoje pellegrini, nie zwracając uwagi na wino.

- Na dworzec autobusowy - odparł Carlo. - Tony wszedł do ubikacji, powiedział Jenny, żeby nie ruszała się z miejsca. Kiedy wyszedł, już jej nie było.

- Kiedy to się stało?

- Trzy dni temu. - Carlo przygryzł wargę. - Tony wszędzie jej szukał. Kiedy stracił nadzieję, zadzwonił do mnie. Ledwie go rozumiałem. Wciąż wrzeszczał do telefonu: „Tatusiu, zgubiłem ją... Zgubiłem ją”.

- Kto zadzwonił po policję? - spytał Grzmot, wypijając resztki wody. - Ty czy Tony?

- On - odrzekł Carlo. - Kiedy wróciliśmy, Tony był już w centrum. Zabraliśmy go stamtąd, usiedliśmy przy telefonie i czekaliśmy. Czekaliśmy jeszcze, kiedy Annie kazała mi do ciebie zadzwonić.

- Kto się tym zajął?

- Śledztwo prowadzi Maloney - wyjaśnił Carlo. - Znasz go?

Grzmot potrząsnął przecząco głową.

- Od jakiegoś czasu już się tym nie interesuję - powiedział.

Carlo dopił wino i siedział w milczeniu, wpatrując się w przestrzeń. Po chwili spojrzał na Grzmota, a na jego twarzy pojawiły się rumieńce.

- Powiedz mi, że ona żyje - wykrztusił. |- Błagam cię. Powiedz, że moje dziecko żyje.

- Nie mogę ci powiedzieć tego, czego nie wiem - odparł Grzmot, po czym wyciągnął rękę i ścisnął ramię Carla. - Musiałbym zgadywać.

- No to zgaduj. - Po twarzy Carla ściekały łzy.

- Nie masz tylu pieniędzy, żeby mogło chodzić o okup. - Grzmot zacieśnił uścisk. - Jenny chyba też nie jest z tych, co wieją z domu. Przynajmniej nie taką ją zapamiętałem.

- Czyli co pozostaje? - Carlo wytarł oczy rękawem swetra. - Powiedz prawdę, Grzmot. Jak bym chciał kitu, mógłbym spytać pierwszego lepszego gliniarza.

- Zgwałcili ją i zostawili, żeby umarła. - Oczy Grzmota niczym rozżarzone węgle wwiercały się pod czaszkę Carla. - Albo ją sprzedadzą handlarzom żywym towarem.

Carlo nawet nie drgnął. Wydawało się, że jest niemal wdzięczny za te słowa.

- Chcę, żebyś sprawdził, co się naprawdę stało - powiedział. - Nie chcę się tego dowiedzieć od jakiegoś pieprzonego nieznajomego.

- Jestem kulawym, emerytowanym gliniarzem z połową płuca. - Grzmot rozluźnił uścisk. - Już od prawie dwóch lat nie pracuję. Jedyne, co mogę zrobić, to zadzwonić w kilka miejsc i upewnić się, że idziemy właściwym tropem.

- Dla nich Jenny to tylko kolejne nazwisko - powiedział Carlo, a protest jeszcze wzmocnił jego smutek. - Dla ciebie jednak to człowiek. Znam cię całe życie, Grzmot. Wątpię, żebyś poprzestał na tych kilku telefonach.

Carlo wstał, sięgnął po płaszcz i kapelusz, po czym popatrzył z góry na Grzmota.

- Będę w domu, z Annie - powiedział. - Ona też na ciebie liczy.

- Stawiasz na niewłaściwego konia, Carlo - westchnął Grzmot. - To nierozsądne.

- Stawiam na przyjaciela - powiedział Carlo. Odwrócił się i wyszedł z knajpy, w której miejsca przy stolikach zapełniły się już zmarzniętymi i zgłodniałymi klientami.

Grzmot odwrócił wzrok i wyjrzał na smagane wiatrem ulice surowej, zimowej nocy. Znowu potarł nogę - ból zawsze narastał, gdy temperatura spadała poniżej zera. Powrócił myślami do dnia, w którym obudził się w szpitalnym łóżku, w pogrążonym w ciemnościach pokoju. Wtedy stał nad nim główny inspektor, z uśmiechem na twarzy, złotą odznaką i niewielkim medalem w ręce.

- Już po wszystkim, Grzmocie - wyszeptał. - Teraz możesz odpocząć.

Grzmot odpoczywał tak już dwa lata. Nie wyważał drzwi, nie przepędzał ćpunów, nie łapał handlarzy. Tęsknił za tym wszystkim. Za policyjnymi akcjami, wdzieraniem się do ciemnych pokoi, balansowaniem na linii oddzielającej życie od śmierci. Teraz były to tylko wspomnienia.

Grzmot miał czterdzieści lat, ale z powodu blizn i pogruchotanych kości jego ciało było o dziesięć lat starsze. Carlo przyszedł i poprosił go, by wziął udział w grze, w którą być może nie potrafił już grać. I nie powinien. Najrozsądniej byłoby, gdyby zadzwonił do przyjaciela i powiedział mu prawdę, wyznał, że czuje się zbyt zmordowany, zbyt obolały, aby zrobić to, co należy. Że teraz był biegaczem, który ledwo chodził.

Przyznać przed przyjacielem i przed samym sobą, że nie jest już gliną.

Grzmot nie bał się śmierci. Bał się porażki. Pogodził się już z tym, że jest kaleką pozbawionym pracy, którą uwielbiał. Nigdy jednak nie pogodziłby się z tym, że kogoś zawiódł.

Spojrzał w zasnucone chmurami, nocne niebo i obserwował, jak płatki śniegu zaczynają opadać na ziemię.

Davis „Snajper” Winthrop stał za szklanymi drzwiami i przyglądał się lokatorowi z mieszkania 17B, który zaparkował zielonego jeepa przed wejściem do budynku. Patrzył, jak mężczyzna wyskakuje z auta, po czym przedziera się przez błoto i śnieg, a następnie czeka, aż Snajper otworzy mu drzwi. Mężczyzna miał niewiele ponad dwadzieścia lat, a jego strój bardziej pasował na safari niż do mieszkania na Upper East Side. Wręczył Snajperowi klucze do jeepa.

- Z tyłu leży kilka paczek - powiedział zarożumiałym tonem. - Przynieś mi je, dobrze? Będę czekał na górze.

- Nie mogę odchodzić od drzwi - odparł Snajper, ale chłopak już go nie słuchał, gdyż zniknął za rogiem.

Snajper podniósł kołnierz brązowego portierskiego płaszcza. Nasunął czapkę na czoło i włożył brązowe rękawiczki, po czym otworzył drzwi i wyszedł na chłód. Zerknął na tył jeepa, na którym stłoczono sześć solidnie owiniętych taśmą pudeł. Gdy Snajper poniosł maskę i sięgnął po najbliższej leżące pudło, roztrąbiły się klaksony samochodów.

Nikogo nie obchodziło, kim kiedyś był - znali go tylko z obecnej pracy. Po strzelaniu w windzie rany Snajpera goiły się przez osiem miesięcy. Ixkarze musieli usunąć mu pół żołądka i nerkę. Już zawsze miał czuć odrętwienie w gardle, spowodowane przez odprysk kuli, który poszarpał fragment strun głosowych. Snajper dostał też dwie kule w prawe biodro, przez co bieganie było dla niego bolesne, a chodzenie przykre. Również mięśnie jego prawego ramienia nigdy nie miały odzyskać dawnej sprawności.

Snajper nie był już gliną, o czym co dwa tygodnie przypominał mu wysyłany do domu czek z rentą. Teraz eks-policjant zajmował się jedynie otwieraniem i zamykaniem drzwi oraz przypominaniem starszym paniom, aby zapięły płaszcze, zanim wyjdą na chłód. Nigdy nie rozmawiał o swojej pracy, po prostu ją wykonywał. Wręczał paczki i pranie uśmiechniętym twarzom, które nie chciały znać jego imienia, otwierał drzwi dostawcom przynoszącym chińskie jedzenie albo pudła z pizzą, a w rozmowach z doręczycielami przesyłek uskarżał się na Knicksów i Jankesów. Potem szedł do domu, do rodziny, i starał się o wszystkim zapomnieć.

Z trudem łapiąc oddech i naprężając z całej siły mięśnie pleGÓw, zdołał jakoś donieść pierwsze pudło do drzwi. Trzy razy w tygodniu uczęszczał na fizykoterapię, aby utrzymać swoje ciało w jako takiej kondycji. Wciąż ćwiczył, nie bacząc na ból, jaki mu to sprawiało, i jadł, ile zdołał zmieścić w tym, co zostało z jego żołądka. Był kaleką - ale bardzo upartym.

Przeniesienie pudeł pod drzwi mieszkania 17B zajęło mu bitą godzinę. Gdy naciskał dzwonek, cały spływał potem i ciężko oddychał. Mężczyzna, który otworzył drzwi, trzymał w ręce kieliszek białego wina.

- Już myślałem, że o mnie zapomniałeś - powiedział i wskazał niewielki pokój. - Wstaw je tam. Tylko ostrożnie.

Snajper zastosował się do polecenia. Nie chciał, by właściciel mieszkania widział jego wysiłek. Zamykał oczy za każdym razem, gdy chwycił go ból. Wstawił ostatnie pudło do pomieszczenia i wyszedł na korytarz, odwracając się plecami do lokatora.

- Czekaj - powiedział mężczyzna.

Snajper odwrócił się i patrzył, jak mężczyzna sięga do kieszeni. Lokator wyciągnął stamtąd gruby plik banknotów, wyjął z niego jednodolarówkę i wręczył ją Snajperowi.

- To za fatygę - oznajmił i zamknął drzwi.

Snajper nie ruszał się z miejsca. Pot spływał mu po twarzy, prawa ręka drżała, żołądek kurczył się z bólu, a on stał w bezruchu, trzymając w dłoni jednodolarówkę.

Zmiał banknot, rzucił go na wycieraczkę przed drzwiami i przeszedł do windy, aby zjechać na dół. I skończyć zmianę.

Grzmot zaparkował swojego cadillaca na wolnym miejscu obok hydrantu i wrzucił luz, nie wyłączając silnika. Wycieraczki powoli odgarniały silne strumienie deszczu. W samochodzie rozbrzmiewała Little Sister Ry Coodera. Grzmot włożył do ust pięć kawałków gumy miętowej „Wrigley’ s” i obserwował nadchodzącego mężczyznę w brązowej kurtce z postawionym kołnierzem. Człowiek pochylał głowę, chroniąc się przed deszczem.

Znajdował się o jakieś trzy metry od samochodu, kiedy Grzmot otworzył drzwi po stronie pasażera. Uśmiechnął się, widząc, jak mężczyzna wyciąga z rękawa skórzanej kurtki czterdziestkę czwórkę i celuje w kierownicę.

- Myślałem, że już wyszedłeś z wprawy - stwierdził Grzmot. Mężczyzna schował broń, wszedł do samochodu i zatrzasnął za sobą drzwi.

- Masz szczęście, że jestem w dobrym nastroju - odparł Snajper, jedną ręką opuszczając kołnier. Deszcz skapywał na brązową tapicerkę wozu.-Zauważyłem cię już na rogu. Zastrzeliłbym cię jeszcze przed zmianą świateł.

Grzmot popatrzył na byłego partnera i się uśmiechnął. Przez te wszystkie lata od przejścia na emeryturę wciąż się przyjaźnili, pomagając sobie w ciężkich chwilach terapii i bezczynności.

Ojciec Snajpera przegrał batalię z rakiem niecałe pół roku po tym, jak jego syna postrzelono w windzie. Razem spędzili ten czas, gdy ojciec umierał, a syn żałował niekiedy,



że wciąż żyje. Rozmawiali ze sobą, płakali, czasem się śmiali, zacieśniając jeszcze bardziej i tak silne więzy. Właśnie podczas tych miesięcy ojciec Snajpera przekonał się, jak bardzo jego synowi zależało na pracy.

Teraz Snajper przynajmniej miał zajęcie, które wypełniało mu wolny czas. Grzmot nie mógł tego o sobie powiedzieć. Nie chciał podjąć żadnej ze standardowych robót dla byłych gliniarzy, odrzucił ofertę pracy jako ochroniarz, barman, goryl, nie zamierzał także zostać prywatnym detektywem i za niewielkie pieniądze ścigać dłużników. Grzmot mógł albo być gliniarzem, albo nie mieć nic. Teraz też stał przed podobnym wyborem.

- Nie przyniosłeś mi kawy - powiedział do Snajpera. - A mam ochotę na małą czarną.

- Ja ci muszę wystarczyć, też jestem czarny - odparł Snajper. - Poza tym już nie piję tego świństwa.

. - I pewnie także nie palisz.

- Papierosy świetnie robią komuś z jedną nerką i rozwalonym płucem - powiedział Snajper. - Mam miętówki. Chcesz jedną?

- Wystarczy mi guma. - Grzmot wrzucił pierwszy bieg i ruszył spod hydrantu.

- Dokąd jedziemy? - spytał Snajper, wkładając do ust miętówkę.

Grzmot zignorował pytanie i zatrzymał się na czerwonym świetle.

- Pracujesz dziś przy drzwiach?

- Zaczynam za dwie godziny.

- Nie możesz powiedzieć, że jesteś chory?

- Zależy.

- Od czego?

- Od tego, czego ci trzeba - odparł Snajper.

Grzmot włożył prawą rękę do kieszeni kurtki, wyciągnął fotografię Jennifer Santori i wręczył ją Snajperowi.

- Ma dwanaście lat, a ja powinienem ją znaleźć - powiedział Grzmot.

- Porwana? - Snajper popatrzył na uśmiechniętą dziewczynkę.

- Trzy dni temu - wyjaśnił Grzmot. - Na Port Authority. Gliny nic nie znalazły. Jej ojciec to mój stary przyjaciel. Zadzwoił do mnie, żeby sprawdzić, co zdołam wskórać, a ja zadzwoniłem do ciebie.

- Stań przy tej budce na następnym rogu - powiedział Snajper. - Obok sklepu.

Grzmot zatrzymał auto pomiędzy wgniecionym chevroletem i volkswagenem z naklejkami Metsów i Jankeśów na obu zderzakach. Snajper przeszukał kieszenie w poszukiwaniu drobnych i otworzył drzwi po stronie pasażera.

- Skoro wychodzisz-zawołał Grzmot - możesz mi kupić kawę?

- Nie, do cholery - odparł Snajper i zatrzaskał za sobą drzwi.

Grzmot ze Snajperem przeszukiwali ulice przez dwa dni i dwie noce. Wpadali w stare miejsca, aby przestraszyć kilku dawnych znajomych, a kończyło się na tym, że tylko wpatrywali się w puste oczy. Przejeżdżali obok starych zakątków i widzieli nowych graczy - graczy, którzy nawet nie zaszczycili jednym spojrzeniem dwóch byłych gliniarzy. Dwa lata poza grą to szmat czasu, a pseudonimy „Grzmot” i „Snajper” zniknęły już z pamięci ludzi i niewiele dla nich znaczyły. Obaj policjanci czuli się staro, nie na czasie i wciąż dręczył ich ból. Im mniej jednak znajdowali, tym bardziej rosła ich determinacja.

Kończył się właśnie drugi dzień poszukiwań, gdy zauważyli chudego jak patyk alfonsa w czarnym skórzanym płaszczu i fioletowym kapeluszu z zamszu. Uśmiechnął się na widok dwóch byłych policjantów, zmierzających w kierunku jego rewiru na Times Square. Deszcz przestał padać, teraz tylko mżyło.

- Nie wiedziałem, że lubicie się zabawić - powiedział i uśmiechając się, odsłonił rząd srebrnych zębów w dolnej szczęce.

- Cleve, ten blaszany uśmiech na pewno się wszystkim podoba. - Snajper poklepał alfonsa po plecach i wskazał na jego usta.-Nie przejmuj się, że się śmieją. Przyzwyczaisz się do tego.

- Możecie mi dokuczać, sukinsyny - odparł Cleve. - I tak się cieszę, że was widzę.

- Szukamy dziewczyny. - Grzmot wsunął rękę do kieszeni spodni.

- Nie wiem, co lubisz, Człowieku-Grzmocie, ale na pewno coś dla ciebie znajdę. - Cleve nie przestawał się uśmiechać.

- Znajdź dla mnie zaginioną dziewczynę, dupku. - Grzmot wetknął zdjęcie za klapę płaszcza Cleve'a. - Pięć dni temu przyjechała autobusem z Jersey i zniknęła.

- Nie zatrudniam uciekinierek, Grzmot - odparł Cleve. - Moje kurczaczki są w porządku. Żenię się z każdą, którą przelecę.

- Ona nie uciekła z domu - wtrącił Snajper. - Porwano ją.

- Żeby ją sprzedać czy zamordować? - spytał Cleve. Spoglądał ponad ramieniem rozmówców, aby upewnić się, czy dziewczęta nie próżnują.

- Ty w tym siedzisz - odparł Grzmot. - Nie my.

- Ulica już nie jest taka jak wtedy, gdy z niej odeszliście. - Cleve potrząsnął głową, a w jego głosie zabrzmiała nostalgia. - Przez ten zasrany crack wszyscy dostają zajoba.

- Zostaw to sobie dla Mike'a Wallace'a - powiedział Snajper. - My chcemy tylko, żebyś wydusił z siebie kilka nazwisk.

- Nie muszę nic dla ciebie robić, Supermacho. - Na twarz Cleve'a powrócił uśmiech. - Nie możecie mnie aresztować. Wasze odznaki są już nieważne.

- Nigdy nie zastrzeliłem alfonsa. - Grzmot przeniósł wzrok z Cleve'a na stojące obok różowego lincolna dwie dziwki w obcisłych spodniach i sztucznych futerkach, drżące na piętna-stocentymetrowych obcasach. - A ty, Snajper?

- Postrzeliłem jednego w ramię - przyznał Snajper. - W hiszpańskim Harlemie. Biegł po ulicy i wydzierał się jak stara baba.

- Po ulicy szwenda się około setki kutasów - odparł Cleve. - Nie jestem książką telefoniczną. Nie znam ich wszystkich.

Grzmot oderwał wzrok od dziwek i podszedł do Cleve'a. Przybliżył usta do lewego ucha alfonsa.

- Bądź dobrym kumplem - wyszeptał. - Podaj nam ze trzy nazwiska.

- Znam tylko ich ksywy. - Spojrzenie Cleve'a krążyło między Grzmotem a Snajperem.

- To nam wystarczy - stwierdził Snajper.

- Zainteresowałbym się Portorykańcem, który każe na siebie mówić Wrona. - Cleve ściszył głos. - Pracuje na pętli autobusowej. Dostarcza chłopców starym ciotom. Czasem sam zabiera do domu jakiegoś chłopaczka.

- Świetnie ci idzie, Cleve - powiedział Grzmot. - Nie przerywaj.

- Jest jeszcze jeden białas, który jeździ fordem na rejestracji spoza stanu - ciągnął Cleve. Uniósł klapę płaszcza i wyciągnął z kieszeni papierosa. - Podejrzany interes. Ma więcej tatuaży niż skóry. Nie przegapilibyście go nawet, gdybyście byli kompletnie ślepi.

- Rozumiemy - powiedział Snajper.

- Zajmuje się dziewczynami, które nawiały z domu - mówił Cleve, zapalając jednocześnie papierosa. - Trzyma je przez jakiś tydzień, żeby go rozgrzały, a potem sprzedaje zagranicznemu spedytorowi.

- Masz miłych przyjaciół - stwierdził Grzmot. - Powinienem cię zastrzelić już za samą znajomość z nimi.

- Po prostu chodzimy po tych samych ulicach, Grzmot - odparł Cleve. - Nie zadaję się z takim śmieciami. Jestem czysty. Trzymam forszę w kieszeniach, kutasa w cipie, a dupę z dala od więzienia.

- Powinieneś prowadzić własny talk show - powiedział Grzmot. - Wracamy do tematu, Romeo. Jeszcze jedno nazwisko.

- Jest tu taki brat, co mówi na siebie „X”. - Cleve rzucił na ziemię na wpół wypalony papierosa. - Wiecie, jak Malcolm X.

- Minus religia - powiedział Snajper.

- Ma tyle wspólnego z Malcolmem, ico ja z papieżem - mruknął Cleve. - Ten sukinsyn porywa uciekinierki i sprzedaje je ludziom z przedmieścia, którzy je pieprzą, aż dziewczyny zajądą w ciążę. Wtedy sprzedają i matkę, i dziecko. Dwoje w cenie jednego.

- Jezu Chryste - mruknął Snajper.

- Pracuje tu na stałe? - spytał Grzmot.

- Widuję go na tyle często, żeby się zdenerwować - odparł Cleve. - Nie zawsze sprzedaje to, co zgarnie.

- Dlaczego?

- Czasem towar jest zbytnio zniszczony - wyjaśnił Cleve. - Kupcy niekiedy rezygnują z transakcji, jeśli rozumiecie, o co mi chodzi. Jemu nie wystarcza pieprzenie. Lubi zadawać ból.

- Ma jakiś stały punkt? - spytał Grzmot.

- Słyszałem, że pozbywa się towaru u handlarza w Ósmej Alei, na końcu dworca - odparł Cleve. - Tam bym szukał. Ale ja nie jestem takim supergliną jak wy dwaj.

- Dzięki za informacje, Cleve - powiedział Grzmot. - Jeśli kiedyś noga ci się powinie, obiecujemy przyjść z wizytą.

- Przyniesiemy ciastka tobie i twojej więziennej dziewczynie - dodał Snajper.

- Jak gdyby samo zapuszkowanie nie było wystarczająco przykre. - Srebrny uśmiech Cleve'a zaślnił w świetle ulicznej latarni.

- Jeszcze jedno. - Grzmot skinął głową w stronę Snajpera.

- Dałem wam trzy namiary - zirytował się Cleve. - Za darmo więcej nie zrobię.

- Ale to nic nie będzie cię kosztowało, Cleve - uśmiechnął się Grzmot. - To tylko drobna przysługa.

- Czego chcesz? - Cleve ruszył powoli w stronę samochodu i czekających dziwek. - Byle szybko.

- Telefonu twojego dentysty - odparł Grzmot.

Grzmot przytknął ostrze noża do ucha handlarza. Lewą rękę zacisnął na gardle mężczyzny, dźwigając go znad podłogi. Dealer był chudy, miał wyłupiaste oczy i długie, tłuste włosy, zakrywające połowę twarzy.

Znajdowali się w pustej męskiej toalecie na Port Authority.

Na wszelki wypadek Snajper blokował drzwi wejściowe. Szkliste spojrzenie handlarza wędrowało od jednego do drugiego mężczyzny, usiłując odnaleźć w pamięci facetów, którzy bez ostrzeżenia porwali go z ulicy i zawlekli w pierwsze lepsze otwarte drzwi.

- Wiem, że nie jesteście handlarzami - powiedział. - I nie sędzę, żebyście byli glinami.

- Jesteśmy księżmi - wyjaśnił mu Snajper.

- I pragniemy ocalić twoją pieprzoną duszę. - Grzmot oparł mężczyznę o brudną ścianę i dźwignął go jeszcze wyżej. - Teraz musisz myśleć wyłącznie o tym, jak nas uszczęśliwić.

- Weźcie wszystko - odparł handlarz wysokim głosem. - Wystarczy dla dziesięciu, może dwunastu.

- Sprzedajesz prochy jednemu wałowi, który każe na siebie mówić „X”. - Snajper wskazał palcem nóż tkwiący w uchu handlarza. - Daj nam jego nazwisko, chyba że chcesz przez resztę życia czytać z ruchu warg.

- Jeśli szukacie lasek, to nie ma sprawy, mogę wam pomóc - odparł handlarz. - X jest najlepszy. Znajdzie świeżą dupę nawet na pustyni.

Grzmot przeciągnął ostrzem noża wzdłuż ucha handlarza. Cienki strumyk krwi spłynął mu po szyi.

- Wcale nie jesteście księżmi - mruknął mężczyzna. Grzmot jeszcze mocniej ścisnął go za gardło. Handlarz zaskowyczał, a jego oczy niemal wyszły mu z orbit.

- Chcę od ciebie tylko nazwisko - powiedział Grzmot. - Zrozumieliśmy się?

Handlarz skinął głową, a Grzmot poluzował uścisk.

- Malcolm Juniper - wydyszał mężczyzna. - Razem siedzieliśmy w Attica.

- Gdzie sypia? - spytał Snajper i wrzucił do ust kilka tabletek maaloxa.

- Tu i tam - odparł handlarz. - Nie ma stałego miejsca. Wypuścili go dopiero parę tygodni temu.

- A gdzie dziś będzie spał? - spytał Grzmot, ocierając ostrze noża o podartą aksamitną kurtkę handlarza. Pochwili wyjął z kieszeni spodni chusteczkę i podał ją mężczyźnie. - Wytrzyj krew z ucha, jak już odpowiesz na pytanie.

- Mieszka w motelu na Trzydziestej Dziewiątej. - Handlarz przyłożył chusteczkę do ucha. - Zapłacił za cztery dni.

- Kiedy?

- Wczoraj. Może przedwczoraj.

- Obyś się nie mylił - powiedział Grzmot.

Odwrócił się i podszedł do drzwi, wsuwając do kieszeni nóż.

- Myślicie, że trzeba będzie zakładać szwy? - spytał handlarz, przykładając zakrwawioną chusteczkę do rany. - Głęboko mnie zaciąłeś.

- Lekarzami też nie jesteśmy - odparł Snajper i zamknął za sobą drzwi.

Malcolm Juniper miał dwadzieścia siedem lat. Mijały właśnie cztery tygodnie, odkąd wyszedł z więzienia w Attica, po odsiedzeniu trzech lat za gwałt i molestowanie seksualne, gdy po przeciwnej stronie ulicy spostrzegł zapłakaną dziewczynkę. Uśmiechnął się, zaciągnął jointem i uruchomił silnik wiśniowego chryslera. Wrzucił pierwszy bieg i podjechał do zatłoczonego skrzyżowania. Nie zwracał prawie uwagi na ruch uliczny - już zwietrzył ofiarę.

- Chyba potrzebujesz pomocy, skarbie.-To były pierwsze słowa Malcoma do Jennifer Santori. Mężczyzna przechylił się przez siedzenie i rozmawiał z dziewczynką przez otwarte okno.

- Nic mi nie jest - wykrztusiła. Wpatrywała się w jego pokryte bliznami, spękane usta i zaciśniętą na kierownicy dłoń.

- Gdyby nic ci nie było, nie stałabyś na deszczu-roześmiał się Malcolm. - Siedziałybyś w jakimś bezpiecznym, ciepłym miejscu. Razem z rodziną.

- Jestem tu razem z rodziną - powiedziała Jennifer.

- Widzę tylko ciebie.

- Z bratem. - Jennifer spojrzała ponad samochodem, na odległe ulice. - Jestem tu razem z bratem. Musiał iść do toalety. Kazał mi tu poczekać.

Jennifer kłamała. Zgubiła się i było to po niej widać. Głupio zrobiła, że nie zaczekała na Anthony'ego przed drzwiami toalety, tak jak jej polecił. Jednakże siedział tam tak długo, zupełnie jak w domu, a ona po prostu nie mogła już czekać. Nie przy tych wszystkich ludziach, którzy jamijali. Niektórzy spoglądali na nią z uśmiechem, inni patrzyli nie widzącym wzrokiem, a ich brudne ubrania obwiązane były sznurkiem i szmatami. No i ten koszmary smród, powalający odór moczu, zaschniętego na ścianach i podłodze. Jennifer przycisnęła dłoń w rękawiczkę do ust i powstrzymała wymioty.

Musiała się stąd wydostać. Choćby na kilka minut.

Wyjechała windą na świeże powietrze. Już podczas powolnej, skrzypiącej jazdy odetchnęła głęboko. Nad głową dziewczynki słychać było gardłowe wrzaski gazeciarzy sprzedających poranne dzienniki. Jennifer ostrożnie wysiadła z windy i chwilę później wmieszała się w tłum ludzi pędzących w rozmaitych kierunkach. Uśmiechała się i na krótki moment jej ciekawość wzięła górę nad strachem przed nieznanym.

Wędrowała po ulicach miasta, o którym tyle słyszała, a które widziała może z dziesięć razy w życiu. To o tym mieście jej brat mówił z takim zachwytem. To właśnie temu miastu jej ojciec dzień w dzień stawiał czoło z drzeniem i niepokojem. Matka odwiedzała je jedynie przy wyjątkowych okazjach. Teraz Jennifer była tu sama, szła wraz z ludźmi, którzy nazywali to miasto domem, razem z głodnymi i zamożnymi, ze zrozpaczonymi i z marzycielami.

Przemierzyła aż trzy ulice, zanim zimna świadomość zastąpiła dreszcz przygody. Jennifer odwróciła się, usiłując odnaleźć drogę powrotną. Wystarczyło parę chwil, dwa niewłaściwe skręty i szybki bieg na zmieniającym się świetle, zanim uświadomiła sobie, co się dzieje.

Cudowny weekend, jaki zaplanował jej brat, trafił w ciemny zaułek.

I w tym ciemnym zaułku czaił się Malcolm Juniper.

- Lepiej, żebyś poczekała w jakimś suchym miejscu - powiedział Malcolm i pochylił się, by otworzyć drzwi po stronie pasażera.

Światło dla pieszych zmieniło się na zielone, ale dziewczynka nie ruszyła się z miejsca.

- Pewnie gdzieś wstąpił, żeby coś zjeść - stwierdziła.

- Cóż, nie widzę go tutaj. Chodź, skarbie-dodał Malcolm, otwierając szerzej drzwi. - Pozwól, że obwiezę cię po okolicy. Brat pewnie czeka po drugiej stronie.

Jennifer zawahała się, zanim wsiadła do samochodu, zbyt przerażona, żeby pamiętać o ostrzeżeniu ojca. Mocno zatrzęsnęła za sobą drzwi.

Malcolm Juniper wyszedł ze sklepu i ujrzał, że zmierzają ku niemu Grzmot i Snajper. Nawet z tej odległości obaj mężczyźni, jeden kulejący na prawą nogę, a drugi oddychający z trudem przez usta, wyglądali mu na gliny. Malcolm ścisnął dużą papierową torbę z sześciopakami piwa i skręcił za róg, wiedząc, że ci dwaj ruszą za nim. Nawet gdyby go złapali, nic na niego nie mieli. Nie był uzbrojony, regularnie chodził na spotkania ze swoim kuratorem i dowiadywał się o pracę w trzech knajpach. Był wzorowym zwolnionym warunkowo więźniem i ostatnim facetem, którego można by podejrzewać o porwanie.

Jednakże Malcolm Juniper był także zatwardziałym kryminalistą, który większość dorosłego spędził życia za kratkami. Jego instynkt samozachowawczy podpowiadał mu teraz, że tropiący go mężczyźni nie zamierzają zastanawiać się nad prawdopodobieństwem jego winy i recytować mu jego praw. Wyglądali tak, jakby szukali informatora, przez co Malcolm mógł mieć kłopoty na ulicy, albo wiedzieli o dziewczynce, za co do końca życia mógł tkwić w więzieniu. Tak czy inaczej, Malcolm nie chciał mieć z nimi do czynienia. Nie dzisiaj.

Przeszedł na światłach i ruszył w stronę skrzyżowania Czwartej i Ósmej. Ulice pełne były ludzi, wysypujących się z dworca i zmierzających do pracy. Samochody zakorkowały boczne uliczki, wszyscy dojeżdżający z Jersey usiłowali zaparkować na płatnych miejscach za dwanaście dolców dziennie. Dwaj mężczyźni znajdowali się teraz bliżej, jakieś sześć metrów za Malcolmem. Wyglądało na to, że to biały uczyni pierwszy ruch,

czarny nie wyglądał na kogoś, kto rzuca się na ludzi na ulicy. No, ale w końcu najgorszy łomot Malcolm dostał od czarnych glin, więc pewnie i ten mógłby mu przyłożyć.

Malcolm był wystarczająco trzeźwy, aby zdać sobie sprawę z tego, że nie pobije tych facetów, a nie miał ochoty na ich gadkę, podobnie jak i nie pozwoliłby zawlec się na komendę, żeby oskarżono go o coś, czego nie zrobił. Zostało mu więc jedno wyjście i skorzystał z niego, gdy tylko przeszedł przez Czterdziątą Pierwszą i skręcił w prawo, zmierzając Dziewiątą Aleją w kierunku mniej zatłoczonych ulic.

Rzucił torbę z piwem przez ramię i zaczął biec ku budynkom przy West Side Highway.

:- Królik wystartował, Grzmot - wrzasnął Snajper i rzucił się w pogoń za Malcolmem.

- Spróbujmy tym razem zostawić go przy życiu - powiedział Grzmot, biegnąc obok kolegi - Tak dla odmiany.

- Mówisz jak cywil - odparł Snajper, starając się zignorować ból w piersi.

- Biegnie do autostrady. - Grzmot mrugał z bólu, jaki czuł w uszkodzonej nodze. - Musimy przeciąć mu drogę, jak tylko dotrze do Dziesiątej.

- Jeśli my dotrzemy do Dziesiątej - zauważył Snajper i zwolnił. Z każdym głębszym oddechem czuł coraz mocniejsze klucie w piersi.

- Przy nas to Jessie Owens. - Frustracja w głosie Grzmota była równie przenikliwa jak ból w jego nodze.

- Przy nas każdy to Jessie Owens. - Snajper przejechał dłonią po czole, ścierając krople zimnego potu.

Zatrzymali się obok postoju taksówek, z trudem łapiąc oddech, po czym pochylili się z dłońmi na kolanach i wykrzywionymi z bólu twarzami. Malcolm Juniper dawno zniknął z ich pola widzenia. ‘

Snajper cofnął się o krok i oparł obolałe ciało o taksówkę.

- Co my robimy? - zapytał ze złością. - Jesteśmy skończeni, człowieku. To już nie dla nas. Już po nas, po tobie i po mnie, i mamy na to dowód na papierze.

- Po prostu trochę zardzewieliśmy - wyrzeźbił Grzmot, chodząc dookoła i żałując, że ból w piersi i nodze nie zniknął równie szybko, jak Malcolm. - Musimy się przyzwyczaić.

- Mamy mnóstwo czasu - powiedział Snajper z rozrzewnieniem. - Ja na pracę portiera, ty na żarcie makaronu.

- Nie uciekniesz od tego. - Grzmot złapał Snajpera za kurtkę. - To wszystko, co wiem. I wszystko, co mam.



- Przykro mi z powodu córki twojego przyjaciela - powiedział Snajper i powoli odsunął rękę Grzmota. - Chciałem pomóc. Ale ona mnie nie potrzebuje. Potrzebuje policjanta, który jej pomoże. Prawdziwego policjanta. Nie kogoś, kto usiłuje sobie przypomnieć, jak się pracowało w policji.

Snajper poklepał Grzmota po ramieniu, postawił kołnierz kurtki i ruszył w stronę Ósmej Alei. Grzmot stał nieruchomo i obserwował przyjaciela. Wciąż ciężko oddychał, choć ból nieco zelżał. Po twarzy mężczyzny spływały łzy. Nie zwracając uwagi na spojrzenia taksówkarzy, podszedł do wejścia do budynku. Przed mieszkaniem w suterenie stały trzy pojemniki na śmieci. Grzmot podniósł pokrywę najbliższego pojemnika na wysokość piersi i rzucił ją na ulicę. Patrzył na torby z odpadkami, jak trzepoczą na wietrze, a kawałki tłustej folii i papierowych ręczników przylepiają się do zaparkowanych aut. Widział potrzaskany samochód, który toczył się w kierunku stromej zjazdu i z łoskotem stanął przy znaku „zakaz parkowania”.

Grzmot Frontieri popatrzył na kierowców, którzy w milczeniu odwzajemnili jego spojrzenie. Odetchnął głęboko i z rękami w kieszeniach i wciąż obolałymi od biegu nogami odszedł w kierunku cichej ulicy. Teraz nie miał nic prócz czasu.

8.

Malcolm Juniper stał w ciemnym rogu jednopokojowego mieszkania i przyglądał się Jennifer Santori. Twarz dziewczynki była zalana łzami i posiniaczona, nagie ramiona rozciągnięte, a nadgarstki zakute w przymocowane do kaloryfera kajdanki. Jennifer była naga od pasa w dół. Jej szczupłe nogi niemal dotykały bioder, a cała drobna postać drżała w zimnej pustce pomieszczenia.

- Musisz być kimś wyjątkowym - powiedział Malcolm i wbił wzrok w jej nie rozwinięte jeszcze piersi - skoro te gliny tak mnie ścigały.

Jennifer popatrzyła na człowieka, któremu uwierzyła, że pomoże jej znaleźć brata, i usiłowała znaleźć właściwe słowa, by błagać go o wolność. Wytężyła wzrok, żeby usunąć z pola widzenia niewyraźne cienie i dostrzec Malcolma Junipera. Piekło ją w gardle, bolało całe posiniaczone ciało, i najbardziej na świecie pragnęła znowu znaleźć się w New Jersey, w domu, który tak często uważała za nudne więzienie.

Wydawało się jej, że minęły miesiące, odkąd Malcolm, odgrywając samarytanina, z zatroskanym wyrazem twarzy obwoził ją przez ponad godzinę wokół Port Authority. W pewnej chwili zatrzymał się i wyszedł z auta, żeby kupić jej pepsa i hot doga w całodobowym fast-foodzie. Wrócił z jedzeniem i z uśmiechem na ustach zapewnił, że jej brat lada moment się odnajdzie.

Jennifer czuła się zmęczona, oczy piekły ją z niewyspania. Długa jazda autobusem zawsze ją oszałamiała. Dodatkowo niepokój spowodowany zgubieniem brata sprawił, że zwinęła się na tylnym siedzeniu, jak sugerował jej Malcolm, podczas gdy on kontynuował poszukiwania, rozglądając się za chłopcem, którego wcale nie miał zamiaru odnaleźć.

Jennifer ocknęła się z dłonią Malcolma na ustach. Znęcał się nad dziewczynką przez prawie trzy godziny, bijąc ją po twarzy i rękach, a w chwilach odpoczynku rzucając jej na uda i piersi zapalone zapalki. Wlał jej do gardła tanią whisky, rechocząc radośnie, gdy dziewczynka się zakrzuszyła. Zapalił fajkę z crac-kiem i wdmuchnął Jennifer do płuc dym z palonego narkotyku, przytrzymując jej głowę i niemal wtłaczając ją jeszcze głębiej w tylne siedzenie samochodu.

Auto stało na opuszczonym parkingu niedaleko targu mięsnego na Czternastej Ulicy. Okna samochodu były zamknięte i zaparowane od oddechów i dymu, a słabe światło latarni ledwie docierało do wnętrza pojazdu. Malcolm przykuł rękę dziewczynki do jednej klamki, a nogę do drugiej, zatkał usta Jennifer chusteczką, po czym poszedł kupić papierosy. Wkrótce wrócił z innym mężczyzną, zgarbionym, obdartym i szalonym, i pozwolił mu ją wziąć za cenę „Big Maca” i dużej coli.

Zemdlała w trakcie tego gwałtu, pozwalając, aby ból, narkotyki i alkohol zabrały ją w krainę snu.

Gdy się obudziła, była przykuta kajdankami do kaloryfera, a jej głowa pękała z bólu. Powoli otworzyła oczy i ujrzała układające się w pokoju regularne cienie, utworzone przez padające z zewnątrz smugi światła. Nogi miała jak z kamienia, a ręce zmarznięte i ociążałe, przykute do rury nad głową. Oddychała ciężko, jej płuca i nozdrza zdawały się wypalone przez kokainę i whisky.

Malcolm Juniper stanął nad nią z na wpół obłąkanym uśmiechem. Miał na sobie tylko brązowe skarpetki. W prawej ręce trzymał fajkę z crackiem, a w lewej kuchenny nóż.

- Kończą się nam zapasy. - Przesunął fajkę przed jej oczyma. - Zaraz nadciągną posiłki. Junior przyniesie taki towar, że oczy wyjdą ci z orbit. Już za chwilę.

Jennifer wpatrywała się w niego, przygryzając dolną wargę i wbijając zęby w obolałe, popękane usta, po których ściekały maleńkie krople krwi.

- Zamierzasz mnie zabić? - spytała.

Słowa wydobyły się z niej powoli, każde otulone warstwą bólu i wstydu. Tak bardzo chciała się rozplakać, wołać o pomoc, nie mogła jednak znaleźć w sobie siły. Zamiast tego, wzięła głęboki, bolesny oddech i zapytała ponownie:

- Zamierzasz mnie zabić?

Malcolm Juniper przykucnął i położył fajkę między nimi, na podłodze. Przystawił ostrze noża do szyi Jennifer i przycisnął je mocno, a wolną ręką potarł jej ramię.

- Zabicie cię byłoby marnowaniem pieniędzy-powiedział najbardziej kojącym tonem, na jaki było go stać.-Za dużo jesteś warta. Jasne, że cię wykończę. Ale nie tak, jak myślisz.

- Chcę tylko wrócić do domu-powiedziała Jennifer, czując jego kwaśny, ciepły oddech na policzkach. - Nikomu o tym nie powiem. Ani o tobie. Powiem im tylko, że się zgubiłam.

- Niedługo pojedziesz do domu, maleńka - ciągnął Malcolm uwodzicielskim głosem. - Tyle że to będzie inny dom. Ale teraz to nieważne. Teraz musimy myśleć o Juniorze i o tym, jak go uszczęśliwić.

- Dlaczego mi to robisz? - zaszlochała Jennifer, bardziej z zakłopotaniem niż ze złością.

- Trzeba dobrze płacić za dobry towar - odparł Malcolm, patrząc gdzieś ponad głową dziewczynki, zatopiony we własnych myślach. - Nikt nie ma lepszego towaru niż Junior. Jest tego wart. Niezależnie od ceny, jest tego wart.

- Dlaczego? Powiedz mi dlaczego? - powtarzała Jennifer w cichym pokoju, dygocąc od przejmującego chłodem wiatru, który wślizgiwał się przez popękane ściany pomieszczenia.

- Junior nie jest normalny, jak ty czy ja-ciągnął Malcolm, odsuwając nóż od szyi Jennifer. - W dupie ma pieniądze. Nie można tak po prostu zapłacić mu za towar. Jeszcze mniej obchodzą go cipy, więc nie ma sensu proponować mu ciebie.

Jennifer zamknęła oczy i usta i oddychała przez nos, usiłując zwalczyć nudności.

- Junior jest religijny. - Malcolm wstał i dotknął nożem ręki Jennifer. - Ten kutas łązi i cały czas się modli. Wierzy w to całe voodoo, gdzie zabija się koty czy psy, pije ich krew i pali ciała. Ale zawsze zatrzymuje coś dla siebie. Kość, ząb, paznokieć, oczy. Wiesza je na złotym łańcuchu na szyi. Zatrzymuje wszystko, co mu się podoba.

Jennifer zakaszlała i wypluła na podłogę kłęb gęstej żółci, tuż obok leżącej fajki. Malcolm nie zwrócił na to uwagi. Powoli przejechał nożem między palcami dziewczynki.

- Myślę, że powinniśmy dać Juniorowi jakiś prezencik - powiedział. - Coś, co sobie powiesi na tym łańcuchu. Wiesz, co to będzie za prezent, prawda, skarbie?

Oczy Jennifer rozszerzyły się gwałtownie. Nagły strach kazał jej przylgnąć do ściany i zacisnąć dłonie w pięści. Malcolm gwizdał Sittin' by the Dock of the Bay i jednocześnie rozprostowywał palce lewej ręki Jennifer. Usiłowała go kopnąć i ugryźć, ale łokciem odpychał jej głowę. W końcu złapał ją za palec wskazujący.

- Nie walcz ze mną, maleńka - powiedział nieobecny głosem. - To tylko podarunek.

Grzmot stał mniej więcej pośrodku alei, oparty plecami o plakat Jimiego Hendrixa. Jadł zimny kawałek pizzy z anchois, w drugiej ręce trzymał kubek z gorącą kawą. Miał na sobie rozpiętą czarną skórę, jasne džinsy, glany i niebieską czapkę Jankesów. W kieszeni skóry trzymał dwudziestkę dwójkę, a za paskiem džinsów czterdziestkę czwórkę. Jadł pizzę, popijał kawę i przyglądał się ulicy, pełnej śpieszących do pracy robotników i nawalonych ćpunów, którzy szwendali się obok wejść do klatek schodowych i marzyli o miejscu, gdzie mogliby sobie wstrzyknąć kolejną działkę.

Grzmot przełknął ostatni kawałek pizzy, strzepnął okruchy do pustego kubka i wyrzucił go do otwartego pojemnika na śmieci.

Odetchnął głęboko i wyszedł z alejki.

Przez całą noc nie spał, tylko siedział w fotelu w swoim cichym mieszkaniu i wyglądał przez otwarte okno. Po raz pierwszy, odkąd mógł sięgnąć pamięcią, Grzmot był przestraszony. Przywykł już do życia z bólem spowodowanym kalectwem, i zamiast brać przepisane przez lekarza proszki, znieczulał się winem z piwniczki Nunzia. To niejasne niezadowolenie zżerało Grzmota i zmieniało go w kłębek nerwów. Czuł się niepotrzebny i bezradny.

Przechodząc na rentę, Grzmot nie oczekiwał wiele, toteż nie był rozczarowany tym, że nie wręczono mu wyróżnienia, żadni wysocy rangą oficerowie nie uścisnęli mu ręki i nie podziękowali za wszystkie godziny, które spędził przykucnięty, czekając, aż zdoła oddać strzał lub sam zostanie zastrzelony. W całej swej karierze złapał ponad osiem tysięcy przestępców, z których aż dziewięćdziesiąt cztery procent powędrowało do więzienia, ale urzędniczka, która wręczała mu decyzję o przyznaniu renty, podstemplowała ją tylko i odwróciła się do swojej kawy i teleno-weli, nie skinąwszy mu nawet głową.

Zdrowy rozsądek podpowiadał Grzmotowi, że dziewczynka albo już nie żyje, albo dawno zniknęła z tej okolicy, lecz tkwiący w nim gliniarz odsuwał na bok zdrowy rozsądek i dopuszczał do głosu wewnętrzne przeczucie, jakiego nabrał podczas pracy w policji. Jeśli Jennifer żyła i miała zostać odnaleziona, to Grzmot Frontieri był jedynym ze wszystkich byłych i czynnych gliniarzy, który mógł pomóc jej wrócić do domu. Wierzył w to z całych sił, ukrytych w osłabionym ciele, które tak niedawno zawiodło go podczas bezowocnego pościgu na Manhattanie.

Właśnie dlatego nie spał przez całą noc i dlatego znowu się tu znalazł. Wyłonił się z alejki na rogu Harlemu i ruszył w kierunku burdelu, zarządzanego przez ważącą sto siedemdziesiąt kilogramów madame ze szklanym okiem.

Jeśli miała to być ostatnia podróż Grzmota Frontieriego w roli policjanta, nie zamierzał wyjechać w nią taksówką, walcząc o każdy oddech, i w towarzystwie kierowców - cudzoziemców, równie obojętnych na jego sytuację jak gryzpiórki na komendzie. Po latach zasadzek, pościgów i strzelanin Grzmot chciał odejść w bardziej chwalebny sposób.

Zakończenie wymagało, by odnalazł Jennifer Santori. Pomyślał, że jeśli będzie miał trochę szczęścia, może zdoła umrzeć w chwale.

Grzmot przeszedł na czerwonym świetle przez skrzyżowanie

I pomaszerował przed siebie, przyglądając się napływającym taksówkom, które poszukiwały pasażerów ze śródmieścia. Po chwili znalazł się nieopodal dobrze utrzymanej kamienicy. Słyszał kroki skradającego się tuż za nim mężczyzny i widział zbliżający się potężny cień. Zatrzymał się i odwrócił.

- Tylko mi nie mów, że mogłeś mnie w każdej chwili zastrzelić - powiedział.

- Już w alei - odparł Snajper. - Strzał w głowę i leżałbyś w śmieciach.

- Myślałem, że jesteś za stary i zbyt zmęczony na to gównu. - Grzmot popatrzył na przyjaciela. - Czy może na dodatek ogłuchłem?

- Powiedziałem, że jestem zbyt stary i zmęczony - przyznał Snajper. - Tak jak ty.

- Ale przyszedłeś.

- Razem rozwiązaliśmy każdą sprawę, nad którą pracowaliśmy - powiedział Snajper. - Zwolnili nas z pracy, bo byliśmy ranni. Nie dlatego, że nie dawaliśmy sobie rady.

- Idę zobaczyć się z Bel. - Grzmot skinął głową w kierunku kamienicy. - Wejdiesz?

- Tylko pogadać? - Snajper dołączył do Grzmota. - Jeśli po coś więcej, to lepiej tu zaczekam.

- Nie robię z Bel nic, co nie wymagałoby rozmowy - odparł Grzmot, wchodząc po schodach kamienicy. - Gdy to się zmieni, poproszę cię, żebyś mnie stamtąd zabrał.

- Zrobię to, kiedy obudzisz się obok Bel - powiedział Snajper.

Bel zamieszała drewnianą łyżką kawę w wielkim kubku. Szklane oko kobiety załśniło w świetle wiszącego w jadalni żyrandola. Grzmot i Snajper tłoczyli się na wyściełanej aksamitem, czerwonej sofie. Pięciopokojowe mieszkanie było czyste i umeblowane ze smakiem. W oknach wisiały czerwone aksamitne zasłony, drewniane podłogi zaś przykryte były puszystymi dywanami. Z sufitu zwisały ozdobne lampy z energooszczędnymi żarówkami, przysłoniętymi wykrochmalonymi, białymi chusteczkami. W pomieszczeniach roztaczał się zapach kadzideł, mieszając się z różnymi aromatami perfum i pochłaniając swąd marihuany.

Bel usiadła w fotelu, opierając się na miękkich, wypchanych poduszkach. Była dużą kobietą o ujmującym sposobie bycia. Niemal przezroczysta koszula nocna i kwiecisty fioletowy szlafrok ledwie przykrywały fałdy jej czarnej skóry. Kobieta miała długie paznokcie, każdy pomalowany na inny kolor. Jej pulchna gładka twarz nie była umalowana. Duże stopy Bel zwinęła wygodnie pod szlafrokiem.

Wyjęła pozłocaną zapalniczkę i zapaliła lorda z filtrem. Kiedy zaciągnęła się głęboko, maleńkie kłęby dymu wydobyły się z oczodołu ze szklanym okiem. Przez cały czas Bel mieszała kawę i uśmiechała się do dwóch eks-detekty wów.

- Chcecie się najać jako ochroniarze? - zapytała głosem zdradliwym jak fala na oceanie. - Żeby mi pomóc chronić dziewczęta przed złym towarzystwem?

- Nie przyszliśmy tu pracować, Bel - odparł Grzmot. - Szukamy dziewczynki.

- Niemal wpychałam je wam w ramiona, gdy byliście gliniarzami. - Bel podparła brodę wielką dłonią, w której nadgarstki zniknęły pod zwałami tłuszczu. Nie przestawała się uśmiechać. - Wtedy was nie interesowały. Może teraz, kiedy się zestarzelicie, macie większą ochotę na mały trójkąt.

- Bez obrazy, ale nie chcemy żadnej z twoich dziewczyn - powiedział Snajper.

- Nie obraziłam się, skarbie. - Bel przełknęła dwa duże łyki kawy. - Aleja pilnuję własnych interesów. Chcecie dziewczynę kogoś innego, to idźcie do kogoś innego.

Grzmot wstał, wyjął z kieszeni kurtki zdjęcie Jennifer Santori i położył je na okrągłym stoliku, koło popielniczki Bel, po czym powrócił na swoje miejsce obok Snajpera.

- Sześć dni temu porwano ją z Port Authority - powiedział Snajper. - Mamy zamiary na tego, kto to zrobił. To gnida, która każe mówić na siebie „X”. Naprawdę ma na imię Malcolm i zajmuje się handlem żywym towarem. Sprzedaje dziewczyny, które uciekły z domu, i takie, które się zgubiły.

- Chyba wiecie o tym Malcolmie wszystko, co sama mogłabym wam powiedzieć - stwierdziła Bel. - Poza tym wiecie, że jestem czysta. Zatrudniam tylko profesjonalistki. Nie kupuję świeżego mięsa.

- Chcemy, żebyś nam powiedziała, kto to robi, Bel - odezwał się Grzmot. - Od paru lat mamy fajrant.

Bel podniosła zdjęcie Jennifer i przyjrzała mu się uważnie zdrowym okiem.

- Ładna dziewczynka - powiedziała. - Dwanaście, może trzynaście lat. No i jest biała. Ludzie chętnie za to dopłacą.

- Właśnie z tymi ludźmi chcielibyśmy się spotkać - odparł Grzmot.

- W tym biznesie nigdy nie brakowało chętnych. - Bel odłożyła zdjęcie obok popielniczki i zapaliła nowego papierosa. - To jak sprzedaż samochodu, Kiedy podpiszesz dokumenty, ładujesz forszę do kieszeni i nigdy więcej nie oglądasz swojego wozu. To samo z żywym towarem. Tyle że w grę wchodzi większe pieniądze i nie podpisuje się żadnych dokumentów.

- Gdybyś była Malcolmem, komu chciałabyś sprzedać dziewczynkę? - spytał Snajper.

- Skarbie, gdybym była Malcolmem, połknęłabym trutkę na szczury. - Na pulchnej twarzy Bel pojawił się wyraz pogardy.

- No to spróbujmy inaczej - stwierdził Grzmot. - Z którym facetem twoja dziewczyna trafiłaby najgorzej?

Bel popatrzyła na Grzmota i Snajpera. Papieros zwisał z kącika jej ust, a szklane oko wpatrywało się w detektywów martwym spojrzeniem. Kobieta odetchnęła głęboko, wypełniając płuca dymem, i oparła szyję na jednej z miękkich poduszek.

- Walt Billing - powiedziała. - Na ulicy nazywają go Juniorem. To biały z bogatym tatusiem i chorym upodobaniem do dziwnej biżuterii.

- Jak chorym? - spytał Snajper.

- Kolekcjonuje części ciała. - Bel mówiła teraz niemal szeptem. - Wiesz je sobie na szyi, przegubach, kostkach. Bóg jeden wie, gdzie jeszcze. Kiedy Junior ma ochotę dodać coś do swojej kolekcji, wymienia narkotyki na dziewczynę. Najczęściej taką, którą gliny spisały na straty. Jeśli ta mała ze zdjęcia miałaby wylądować u Juniora, to lepiej módlcie się obaj, żeby już nie żyła.

- Gdzie dokonuje transakcji? - Grzmot znowu wstał, postawił kołnierz kurtki i wsunął rękę do kieszeni.

- Głównie na Manhattanie. - Bel dopiła resztkę swojej kawy. - Raczej trzymaj się z dala od przedmieść. Dziwię się, że na niego nie wpadliście przez te wszystkie lata, kiedy ścigaliście grzeszników.

- Gdybyśmy na niego wpadli, to nie rozmawialibyśmy teraz o nim-powiedział Snajper i skinął głową Bel, po czym podszedł do zamkniętych na dwa zamki drzwi.

- Dzięki za informację, Bel - powiedział Grzmot.-Mogę coś dla ciebie zrobić?

- Potraktuj to jako przysługę dla starego przyjaciela. - Bel wyduła grube wargi i cmoknęła do Grzmota. - Ale coś ci powiem. Jeśli usłyszę, że Junior wylądował w drewnianej skrzynce, twarz mnie rozboli od uśmiechów.

- Lubię wywoływać uśmiech na twarzy kobiety - powiedział Grzmot.

Malcolm i Junior zamówili po dużym soku z papai. Obaj opierali się o ladę budki na Times Square i patrzyli, jak chudy czarny nastolatek z ogoloną głową sięga po dwapapierowe kubki.

- Tylko dobrze wyciśnij, mój mały - powiedział Malcolm do chłopaka. - Chcę wypić sok, nie pianę.

Nastolatek popatrzył tępo na Malcolma i pokiwał głową.

- Dlaczego nie przyprowadziłeś dziewczyny? - spytał Junior. - Wiesz, że nie znoszę kupować kota w worku.

Był wysoki i potężnie zbudowany. Trzy razy w tygodniu pod okiem osobistego trenera ćwiczył ciało w modnej siłowni w śródmieściu. Miał niewiele ponad dwadzieścia lat i przystojną, gładką twarz, zwieńczoną grzywą gęstych, jasnych, świetnie ostrzyżonych i zaczesanych do tyłu włosów. Nosił wyłącznie drogie, importowane ubrania, kupowane mu przez pobłażliwą matkę, którą widywał najwyżej pięć razy w roku.

- Nie mogę pozwolić sobie na ryzyko - odparł z szerokim uśmiechem Malcolm. - Ale dam ci posmakować.

Oczy Juniora rozszerzyły się, gdy Malcolm sięgnął ręką do kieszeni i wyjął z niej zrolowany papier toaletowy, po czym wręczył pakunek Juniorowi.

- Co tam jest? - spytał Junior, podniecony niczym mały chłopiec podczas wigilii.

- Prezent - wyjaśnił Malcolm. - Żeby ci udowodnić, że mam serce na właściwym miejscu.

Junior ostrożnie odwinął papier, odwróciwszy się plecami do Malcolma i nastolatka. Następnie zawinał go i włożył do kieszeni koszuli.

- Dziękuję ci - powiedział, patrząc na Malcolma. - Naprawdę ci dziękuję.

- Nie ma sprawy - odparł Malcolm.

Junior wziął swój kubek z napojem od nastolatka.

- Czego za nią chcesz? - spytał i upił duży łyk, nie zwracając uwagi na cienką smugę pomarańczowej piany nad górną wargą.

- Towaru na tydzień - odrzekł Malcolm. - Muszę zniknąć z ulicy na parę dni. Zanurzyć się w jakimś niezłym towarze, ale przy okazji nie wykorkować. Dlatego spotkałem się z Juniorem. Zawsze dajesz mi to, co najlepsze.

- Tydzień to wygórowana cena, Malcolm. - Junior pokręcił głową i dokończył sok. - Nie wiem, za kogo mnie uważasz, ale nie dam się wykorzystać.

- Wiem, kim jesteś. - Malcolm popatrzył na Juniora, trzymając w dłoniach na wpół pusty kubek



W oczach Juniora pojawił się chłód, a mięśnie wokół jego szczęki zacisnęły się mocno.

- Co takiego? - zapytał zimnym głosem. - Kim, według ciebie, jestem?

Malcolm od razu wyczuł nagłą zmianę w Juniorze. Zbyt wiele słyszał o temperamencie rozmówcy, by nie zdawać sobie sprawy z tego, że może skończyć na ulicy martwy, z kubkiem nie dopitego soku w dłoni.

- Jesteś biznesmenem, Junior - uśmiechnął się jak umiał najszerzej. - Tym właśnie jesteś. Biznesmenem. Jednym z najlepszych w okolicy.

Junior wrzucił pusty kubek do kosza po lewej stronie. Napięcie jego ciała znikło, ramiona rozluźniły się, a oczy znowu miały łagodny wyraz.

- No, dobrze - powiedział. - Możemy ubić interes.

- O której?

Junior wyciągnął rękę i popatrzył na swojego „Rolexa”.

- Byle po siódmej - rzucił przez ramię, odchodząc w stronę schodów, które miały go zabrać ze stacji na Times Square i zanieść na ulicę. - I umyj ją, zanim przyjdziecie.

- Osobiście użyję całe mydło - odparł Malcolm, uśmiechnął się i zgarnął leżące na ladzie drobne. - Będzie czysta i świeża jak nowo narodzone dziecko.

Grzmot zamachał odznaką przed oczyma portiera i przyłożył palec do jego drżących ust.

- Billings - powiedział. - Piętro i numer mieszkania.

- Szesnaście A - odparł portier. Tuż pod rondem jego czapki pojawiły się krople potu.

- Ale nie ma go w domu. Wyszedł.

- Masz klucz? - spytał Grzmot.

- Dozorca ma wszystkie klucze - powiedział portier. - Mieszka w głębi korytarza. Pierwsze drzwi za skrzynkami pocztowymi.

- Idź do niego i zażądaj klucza do 16A - polecił mu Grzmot. - Powiedz, że lokator się zatrzasnął i że zwrócisz klucz za parę minut.

- A jeśli mi nie uwierzy?

- To powiedz, że jest tu nienormalny gliniarz, który tylko czeka na to, żeby mu wpakować kulę w brzuch - oznajmił Snajper.

- Idź, dziecko - powiedział Grzmot do trzęsącego się ze strachu portiera i włożył odznakę do kieszeni. - Przekonaj go. Zastąpimy cię tutaj. Ten oto mój przyjaciel zna się na tym.

Grzmot i Snajper stali za okrągłą, mahoniową recepcją i wpatrywali się w skomputeryzowany system telefoniczny i rząd kamer, kontrolujących budynek z każdej strony.

- Czy wszystkie strzeżone budynki są wyposażone w takie wynalazki? - spytał Grzmot, przełączając obraz z różnych kamer.

- Te bogate tak - skinął głową Snajper. - To całkiem nowy system. Na pewno nie ma jeszcze roku. Facet w recepcji steruje windą. Mówisz mu, na które piętro, a on przyciska guzik.

- Więc możesz wysiąść tylko na tym piętrze, które on wciś-nie - powiedział Grzmot.

- Co zapobiega włamaniom - stwierdził Snajper. - No i można sprawdzić, kto i o której pojechał na dane piętro.

- To działa w obie strony? - zainteresował się Grzmot. - W te i we w te?

- Tylko przy wchodzeniu. To twoja sprawa, o której wychodzisz. Wszyscy wiedzą tylko, kiedy przyszedłeś.

- To, czego nie widzi facet w recepcji, widzą kamery. - Grzmot przejechał dłonią po monitorach. - Każdy zaułek.

- Zupełnie jak w budynku, w którym pracuję - powiedział Snajper. - Mogę powiedzieć, kto i o której godzinie wyrzucił śmieci.

- Jeśli coś się przydarzy Juniorowi, musimy dopilnować, żeby to się stało w mieszkaniu - stwierdził Grzmot. - Ostatnią rzeczą, na jakiej mi zależy, są nasze gęby na taśmie.

- Sfilmują nas, jak będziemy wchodzili - zauważył Snajper.

- No to rozegramy to na ulicy. - Grzmot spojrzał na powracającego portiera. - Albo jeszcze gdzie indziej. Tak czy inaczej, przyszliśmy tu tylko po to, żeby porozmawiać z tym facetem.

- Ty porozmawiasz - stwierdził Snajper. - Ja posłucham.

- Nieważne, czy będziesz mówił czy nie. - Grzmot poklepał Snajpera po plecach i uśmiechnął się do niego. - Jeśli nas przyłapią, to ty za to bekniesz.

- Czemu tak myślisz?

- Białe zawsze da sobie radę - odparł Grzmot. - To czarna obrywa.

- Jakbym słyszał swojego ojca - mruknął Snajper i wyłączył kamery filmujące korytarz na szesnastym piętrze.

- I mojego - dodał Grzmot.

Wyszli z recepcji, skinęli głową portierowi, wyjęli klucze z jego dłoni, po czym ruszyli ku otwartym drzwiom windy.

Stali na środku trzypokojowego mieszkania z widokiem na Manhattan, pełnego mebli ze skóry i metalu, kosztownych obrazów, rzeźb spoczywających na antycznych kolumnach i dzieł sztuki o tematyce sakralnej, przedstawiających ofiary z ludzi i zwierząt.

- Nie trzeba być bardzo byстрыm, żeby się zorientować, że Junior ma pierdolca - odezwał się Grzmot.

- Kozi łeb na ścianie to zawsze jakaś wskazówka - dodał Snajper. - No i trudno nie zauważyć tych ozdób nad kominkiem.

Grzmot odwrócił się i wbił wzrok w okrągły wzór utworzony z różnych części ciała, przybitych do ściany nad kominkiem. Zasnęta krew po obu jego stronach tworzyła rdzawe zacieki. Na dębowym stole nieopodal kominka znajdowało się mnóstwo świeczek różnej wielkości. \*

- Wiele z tego ma tylko kilka dni. - Grzmot podszedł do ściany i przyjrzał się uważnie eksponatom. - Ten facet lubi świeże mięso.

W tej samej chwili klucz Juniora zachrobetał w zamku.

Jeśli nawet Junior był zaskoczony ich widokiem, to nie pokazał tego po sobie.

Wyjął klucz z zamka, włożył go z powrotem do kieszeni i delikatnie zamknął za sobą drzwi. W prawej ręce trzymał zapalonego papierosa. Rzucił swój płaszcz z owczej wełny na oparcie krzesła w jadalni. Miał na sobie beżowe spodnie z mankietem, brązowe mokasyny z frędzlami, rozpinaną koszulę Cal-vina Kleina w kolorze ecru i brązową marynarkę marki Hickey-Freeman. Czuło się od niego pieniądze i dobre pochodzenie.

- Wyglądacie za głupio na złodziei. - Junior uśmiechnął się i usiadł w skórzanym fotelu. - Więc pewnie jesteście gliniarzami. Mam rację?

Grzmot podszedł do Juniora i wpatrywał się w niego przez kilka sekund, zanim wierzchem dłoni uderzył go w twarz. Trzaśnięcie rozległo się echem w pokoju. Na twarzy Juniora, od skroni do szczęki, wykwitła czerwona pręga.

- Muszę ci zadać kilka pytań - powiedział Grzmot spokojnym głosem, czując, jak znowu budzi się w nim instynkt gliny. - I chcę odpowiedzi, jakich oczekuję.

- A jeśli gównu wam powiem? - odparł Junior tylko odrobinę mniej arogancko. - Co wtedy, dupki?

Grzmot cofnął rękę i ponownie uderzył Juniora w to samo miejsce, tyle że mocniej. Po dolnej wardze mężczyzny pociekła cienka strużka krwi.

- To ja zadaję pytania - powiedział Grzmot. - Ty masz odpowiadać.

Junior wierzchem dłoni otarł krew z ust i popatrzył na Snajpera.

- A co tu robi ten czarnuch? - zapytał z pogardliwym uśmiechem. - Notatki?

Tym razem Grzmot trzasnął go w czoło. Głowa Juniora odskoczyła i uderzyła o oparcie fotela, a na środku czoła, tuż nad krwawiącym nosem, pojawiła się wielka czerwona plama.

- Bądź grzeczny - poradził mu Grzmot. - To się będzie liczyło przy wyroku.

- Obaj nie macie pojęcia, w co się pakujecie. - Junior starał się, by jego głos brzmiał groźnie. Krew spływała mu po brodzie i skąpy wała na koszulę. - Błędne pojęcia. Jeśli mój ojciec się o tym dowie, jeszcze przed zmierzchem traficie do więzienia.

- Tatusz tu czasem wpada? - spytał Snajper. - Ogląda sobie twoją kolekcję? Czy tylko płaci, kiedy jego rąbnięty synek wpakuje się w kłopoty?

- Będziesz tylko mokrą plamą na chodniku, zanim twój ojciec w ogóle się zorientuje, co się z tobą dzieje - powiedział Grzmot. - Opowiadaj o swoim bogatym tatusiu tym, których łatwo zastraszyć. Chcę znać nazwiska i adresy i dostanę je od ciebie. Jeśli nie, sam zacznę wieszać części twojego ciała na ścianie. Skiń głową, jeśli zrozumiałeś.

Junior pokiwał głową. Krew wciąż skąpy wała mu na koszulę. Jego arogancja ustąpiła miejsca zaniepokojeniu.

Grzmot oderwał dwa górne guziki koszuli Juniora, odsłaniając złoty łańcuch na jego szyi. Powoli brał w palce elementy łańcucha. Głównie były to zasuszone części zwierząt - pazury, zęby, kawałki skóry.

Grzmot znieruchomiał, gdy ujrzał palec.

To był ludzki palec, niedawno odcięty. Na paznokciu nadal lśnił różowy lakier. Skóra była świeża, gładka i pozbawiona blizn. Palec należał do kogoś młodego, a brak odcisków świadczył o tym, że tym kimś była dziewczynka.

Junior szybko zauważył ciężkie spojrzenie, które pojawiło się w oczach Grzmota.

- Nie wiem, skąd to się wzięło. - W jego głosie pojawił się strach. - Przysięgam. To prezent.

- Ej, Snajper - powiedział Grzmot, nie odrywając oczu od Juniora.

-? Tak, Grzmot? - Na twarzy Snajpera pojawiło się obrzydzenie.

- Chyba właśnie obmyśliłem plan B - odparł Grzmot.

Malcolm przytknął zapalniczkę do plastikowej fajki i zamknął oczy, czekając, aż kłęby dymu wypełnią mu płuca i dotrą do mózgu. Jego usta rozciągnęły się w uśmiechu, gdy położył rozgrzaną fajkę na kolanach i popatrzył na mężczyznę z długą blizną po prawej stronie twarzy. Mężczyzna skrzyżował nogi i spoglądał na pustą uliczkę.

Obaj siedzieli na tylnym siedzeniu nowego, czterodrzwiowego cadillaca ze skórzanymi siedzeniami i nieźle zaopatrzonym barkiem. Kierowca w granatowym uniformie trzymał silnik na jałowym biegu i ogrzewał samochód.

- Nigdy nie paliłem takiej czystej koki - wybełkotał Malcolm i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Mężczyzna oderwał wzrok od okna i popatrzył na Malcolma. Jego oczy ukryte były za ciemnymi, dokładnie zasłaniającymi oczy okularami słonecznymi.

- Daj mi to, czego potrzebuję, Malcolm - powiedział, ledwie poruszając wargami - a umrzesz z czystym towarem w fajce.

- Nie mógłbym chcieć więcej. - Malcolm roześmiał się nerwowo.

- Ktoś taki jak ty nie powinien - zgodził się mężczyzna. Zjawił się przed Malcolmem na Ósmej Alei, przy wejściu do tunelu Lincolna; elegancki mężczyzna w eleganckim garniturze. Stał przy nowym aucie i chciał pogadać o interesach. Powiedział, że dostał namiary na Junipera od Smileya Glimmera i czeka tu, gdyż pragnie poczęstować Malcolma taką ilością koki, jaką ten zdoła wypalić. W zamian za to handlarz miał usiąść z nim, palić i posłuchać.

Malcolm śpieszył się do swojego mieszkania. Zaplanował, że zmyje z siebie smak dziewczyny za pomocą tygodniowego zapasu koki, który Junior miał mu dostarczyć w ramach zapłaty. Jednakże obietnica spróbowania krystalicznej kokainy, która kosztowała więcej, niż Malcolm zarabiał przez cały rok, okazała się zbyt kusząca, by z niej zrezygnować. Poza tym uznał, że parę sztuków poprawi mu nastrój, pozwoli jeszcze bardziej cieszyć się dziewczyną, zanim oddają Juniorowi.

Kierowca mi leżał, mężczyzna zaś wypowiadał jedynie krótkie zdania. Teraz włożył rękę do kieszeni i wręczył Malcolmowi jeszcze dwie bryłki kokainy.

- Masz na później - powiedział. - Dobrze ci zrobią na sen.

- Czym handlujesz? - spytał Malcolm, chowając bryłki do kieszeni.

- Dziewczynami. - Mężczyzna włożył fajkę do ust Malcolma i przypalił ją złotą zapalniczką na gaz. - Im młodsze, tym lepsze.

- Tylko takimi się zajmuję. - Malcolm zaciągnął się głęboko. Dym położył się jasnoszarym cieniem na miękkiej skórze za jego oczyma.

- Jest jeszcze coś. - Mężczyzna uśmiechnął się po raz pierwszy.

- Czyli co? - spytał Malcolm.

- Dzieci - odparł mężczyzna.

- Dzieci? - Malcolm trzymał fajkę o kilka centymetrów od ust. - Jakie dzieci?

- Takie, które płaczą, dopóki się ich nie ukołysz - odparł mężczyzna i znowu zaczął wyglądać przez okno. - Takie, które sprawiają, że mężczyźni zaczynają się uśmiechać, a kobiety chcą je przytulić.

- Te dzieci też cię interesują? - zapytał Malcolm, wciąż zdziwiony słowami nieznanego.

Mężczyzna odwrócił się i popatrzył na niego. Zdjął okulary, a spojrzenie jego ciemnych oczu przedarło się przez opary dymu wprost do przytępi ałych zmysłów Malcolma. Nieznajomy włożył dłoń do kieszeni i wyciągnął stamtąd czarną wizytówkę.

- Moją szefową - powiedział.

Wręczył wizytówkę Malcolmowi, który popatrzył na nią szklanym wzrokiem, niezdolny, by odczytać wydrukowane białymi literami nazwisko i adres w Arizonie.

- Zatrzymaj ją - powiedział mężczyzna. - I zapamiętaj to nazwisko. Jeśli będziesz coś miał, zadzwonisz pod ten numer i ktoś cię odszuka.

- Ile? - spytał Malcolm i wsunął wizytówkę do kieszeni dzinsów.

- Dziesięć tysięcy za dzieciaka. - Mężczyzna znowu włożył okulary. - Pięć tysięcy za dziewczynę, która go urodzi. Dwadzieścia za oboje.

- Zawsze lubiłem dzieci - pokiwał głową Malcolm i uśmiechnął się szeroko. - Teraz lubię je jeszcze bardziej.

- Mogą cię uczynić bogaczem - stwierdził mężczyzna. - Jeśli będziesz sprytny.

- Jestem ćpunem, nie idiotą - odparł Malcolm.

- O tym zadecyduje wizytówka w twojej kieszeni. - Mężczyzna pochylił się i włożył między palce Malcolma polaroidowe zdjęcie. Malcolm podniósł zdjęcie na wysokość oczu i, mrugając, usiłował skoncentrować wzrok.

Na zdjęciu było męskie ciało, zwęglone i rozciągnięte na pustej plaży.

- Co to jest? - spytał Malcolm.

- Nie co, tylko kto - poprawił go mężczyzna. - Zgubił wizytówkę i pozwolił, żeby ktoś inny zobaczył nazwisko. To zmusiło mnie, bym go poszukał. Długo go szukałem, a on długo umierał.

- To, co jest na wizytówce, pozostanie do mojej wiadomości. - Malcolm trzeźwo popatrzył na zdjęcie. - Daję głowę.

- Trzymam cię za słowo, Malcolm - powiedział mężczyzna. - Pamiętaj o tym.

Ściśnięty między Grzmotem a Snajperem Junior szedł powoli ulicą niedaleko miejsca, w którym policjanci zaparkowali samochód. Zimne podmuchy wiatru uderzały o jego przeopcone ubranie. Drżąc, głębiej wsunął ręce do kieszeni.

- Podaliśmy wam adres. - Junior odwrócił głowę od wiatru. - Po co wam jeszcze jestem potrzebny?

- Na wypadek, gdybyś skłamał - odparł Grzmot. - Nie chce mi się wracać taki kawał tylko po to, żeby cię zabić.

- Nie pierdol - powiedział Junior. - I tak mnie zabijesz.

- Nie wiem jak on, ale ja mam taki zamiar - oznajmił Snajper.

- Będziesz ze mną współpracował - stwierdził Grzmot. - Pójdiesz z nami i wskażesz palcem swojego kumpla Malcolma. Pojedzie w radiowozie i dostanie parę miesięcy w Riker. Będzie miał mnóstwo czasu, żeby opowiedzieć braciom, że go wystawiłeś.

- To niesprawiedliwe. - Junior przeniósł wzrok z Grzmota na Snajpera. - Mówiliście, że muszę tylko wskazać budynek i podać wam numer mieszkania. Nie mówiliście, że mam z wami iść. Obiecywaliście. - Jego głos zamienił się w pisk.

- To będzie dla ciebie lekcja, Junior. - Grzmot zacieśnił uścisk na ramieniu mężczyzny. - Nigdy nie wierz w to, co ci mówi glina.

- Twój tatuś ma wystarczająco dużo forsy, żeby kupić sędziego albo przekupić jakąś zastraszoną rodzinę - powiedział Snajper. - Ale nie ma takich pieniędzy, które mogłyby uratować ulicznego kapusia.

- Zupełnie, jak gdybyś chodził z pistoletem przystawionym do głowy - zgodził się Grzmot. - Prędzej czy później wypali.

- Nie musicie tego robić. - W głosie Juniora pojawiła się panika. - Kto powiedział, że pokażę wam właściwy budynek? Jeśli bym chciał, tobyście zapierdalali po okolicy przez całą noc.

- Lepiej tam chodźmy, zanim mnie noga rozboli - stwierdził Snajper. - Robię się wtedy nieprzyjemny.

Junior przeleciał przez drewniane drzwi do mieszkania Malcolma i z okrzykiem bólu wylądował okrakiem na podłodze, tuż obok zakrwawionego noża. Za nim w progu pojawili się Grzmot i Snajper, trzymając w wyciągniętych rękach broń, wycelowaną wprost w głowę Malcolma.

- Odejdź od dziewczynki - powiedział Grzmot, patrząc na nieruchome ciało dziecka. - Stań plecami do ściany, z opuszczonymi rękami..

Malcolm puścił włosy Jennifer i przywarł do ściany. Oddychał przez usta, a całe jego ciało było napięte i lśniło od śmierdzącego potu.

Grzmot wsunął broń do kabury na biodrze i podszedł do córki przyjaciela. Przykłęknął i ujął w dłonie jej maltretowaną twarz, po czym wytarł z niej krew i śluz. Położył dłoń na

szyi dziewczynki i poszukał pulsu. Serce biło bardzo powoli, zaledwie utrzymując Jennifer przy życiu.

- Musi jak najszybciej trafić do lekarza. - Grzmot obiema rękami objął głowę dziewczynki. Pragnął jednocześnie się rozplakać i zabić Malcolma, lecz opanował się i odwrócił do mężczyzny. - Gdzie kluczyki? Nie chcę słyszeć nic poza właściwą odpowiedzią.

Malcolm wpatrywał się w lufę pistoletu Snajpera.

- W przedniej kieszeni moich dżinsów - odparł. Grzmot oparł głowę Jennifer o ścianę i podszedł do leżących na środku pokoju spodni Malcolma. Podniósł je i wyjął z nich maleńkie, srebrne kluczyki. Razem z nimi wyciągnął czarną wizytówkę z białymi literami, po czym włożył ją do kieszeni i wrócił do Jennifer. Właśnie wtedy zauważył, że u ręki brakuje jej palca.

Malcolm przejechał wyschniętym językiem po jeszcze bardziej wysuszonych ustach. Pot spływał mu po krzyżu, a prawa część twarzy wykrzywiła się w dziwnych skurczach.

Grzmot uwolnił Jennifer i delikatnie ujął ją za rękę. Wyjął z kieszeni chusteczkę i obwiązał dłoń dziewczynki. Kiedy Jennifer wydała z siebie słaby okrzyk bólu, wziął ją w ramiona i podniósł.

- Trochę nas poniosło - powiedział Malcolm. - To się czasem zdarza.

Grzmot wiele widział, odkąd po raz pierwszy przypiął policyjną odznakę. Znał ohyde sączącą się po ulicach, które odwiedzał - widział mężczyzn zabijających ukochane kobiety nad ostatnim sztachem z fajki z narkotykiem; handlarzy, którzy sprzedawali ćpunom truciznę i mieli to gdzieś, że ich klienci umrą po jej zażyciu; morderców zabijających bezbronnych ludzi dla gotówki i beztrosko odchodzących w mrok; radykałów tak przepelnionych nienawiścią, że mordowali niewinnych w imię jakiejś nieokreślonej idei. Widział to wszystko i przez te lata powoli nauczył się rozumieć.

To, co oglądał przez kilka ostatnich dni, było jednak całkiem nową formą zła. Mężczyzna, który stał tuż przed nim, i ten drugi, na kolanach, nie przypominali znanych mu ludzi. Każdy z nich gotów był pogрузić się w przerażającej otchłani okrucieństwa.

Wielu kryminalistów natknęło się na Grzmota i wielu z nich aresztował z prawdziwą przyjemnością. Kilku zabił, gdyż był do tego zmuszony. Nigdy jednak nie pragnął zabić człowieka z czystej, emocjonalnej potrzeby eliminacji zła.

Aż do chwili, gdy trafił na Juniora i Malcolma.

- Zabieram dziewczynkę - powiedział teraz spokojnie. - Wkrótce przyjedzie policja i wyprowadzi stąd ciebie i twojego przyjaciela.

Cofnął się o dwa kroki i na moment przymknął powieki.



- Naucz się modlić, Malcolm - dodał. - Módl się o długi wyrok i o to, żebym umarł na dzień przed twoim wyjściem na wolność.

- Może nie będę musiał modlić się tak bardzo, jak myślisz - odparł Malcolm.

Grzmot spojrział w oczy Malcolma i ujrzał, jak pojawia się w nich pewność siebie. Nawet nie drgnął, tylko mocniej objął Jennifer i przycisnął jej głowę do piersi, jakby przeczuwał, co się zaraz stanie.

Jeden strzał położył temu kres.

Padł z czterdziestki czwórki Snajpera i przebił się przez środek głowy Juniora.

Z ust Juniora wydobył się niski, gardłowy dźwięk. Gęste, ciemne strugi krwi spryskały twarz Malcolma i tył głowy oraz szyję Grzmota. Grzmot odwrócił się i ujrzał, jak Junior pada twarzą na podłogę, a w jego głowie widnieje olbrzymia dziura. Nóż wyslizgnął się z dłoni chłopaka. Za nim stał Snajper z rozkraczonymi nogami i wyciągniętą prawą ręką, a z lufy jego pistoletu unosiła się smużka dymu.

- Nie wolno ci strzelać podejrzanemu w plecy - pouczył go Grzmot. - A może opuściłeś tę lekcję?

- To nie był podejrzany. - Snajper włożył broń do kabury i podszedł do Grzmota, ignorując ciało na podłodze. - I wcale nie strzeliłem mu w plecy. Strzeliłem mu w głowę.

- Podaj mundurowym swoją wersję - powiedział Grzmot.

- Zadzwońię ze szpitala i ją potwierdzę. Później złożę szczegółowe zeznanie.

- Powiem im, co widziałem. - Malcolm cały się trząsał. - Przysięgam na Boga, wszystko im powiem. Chyba że mnie wypuścicie. I to zaraz.

- Popatrz sobie na tę wielką dziurę w głowie Juniora - poradził mu Snajper i odwrócił się od niego na moment, żeby zamknąć drzwi za Grzmotem i dziewczynką w jego ramionach.

- A potem przypomnij sobie, że wciąż jeszcze zostało mi pięć naboji.

Snajper oparł się plecami o ścianę i skrzyżował ręce na piersi. W oddali słyszał coraz donośniejsze wycie policyjnych syren.

- Nie wyglądasz na kogoś, kto zdradziłby brata - powiedział Malcolm. - Nie jesteś typem, który przelewa własną krew.

Snajper oderwał się od ściany i podszedł prosto do Malcolma. Syreny wyły już bardzo głośno. Snajper wyciągnął broń z kabury, odbezpieczył ją i wetknął pod brodę nagiego mężczyzny.

- Nie płynie w nas ta sama krew - powiedział, ledwie poruszając ustami, i jeszcze mocniej wepchnął pistolet w miękkie ciało. - Wierz mi, zabiłbym każdego brata, gdyby był takim ścierwem jak ty. Nawet własnego.

Zabrał pistolet, przeszedł nad ciałem Juniora i podszedł do wyjścia. Otworzył drzwi mieszkania, przywarł do połamanych zawiasów, oparł głowę o drewno i wbił wzrok w zwisającą z sufitu nagą żarówkę.

9.

Grzmot siedział przy swoim stoliku u Nunzia i pochylał się nad wielką miską makaronu w sosie pesto. Obok Snajper spokojnie kroił na kawałki gruby, dobrze przysmażony kotlet cielęcy. Nun-zio Goldman, z kieliszkiem czerwonego wina w dłoni, siedział plecami do zamkniętego okna i przyglądał się obu mężczyznom.

Nunzio wiedział, że jego dwaj przyjaciele sporo przeszli w ciągu ostatnich kilku dni. Mógł to wyczytać z ich twarzy. Czytanie z ludzkich twarzy było jego specjalnością. Całe życie lawirował po obu stronach prawa, a jednak zdołał uniknąć bardzo wielu problemów. Dobrzy policjanci, tacy jak Grzmot i Snajper, ufali mu. Wiedzieli, że przyjmował zakłady przez telefon i że hazard w Upper West Side koncentrował się za kontuarem jego restauracji, ale to ich nie interesowało. Matka Grzmota przez całe życie codziennie stawiała dolara na jakiś numer, czasem nawet wygrywała. W sezonie piłkarskim ojciec Snajpera co tydzień stawiał dziesięć dolców na ukochanych Olbrzymów. To właśnie sprawiało, że obaj przyjaciele nie uważali działalności Nunzia za przestępstwo. Nie wtedy, gdy pokątny hazard w stanie Nowy Jork był legalny i kusił ludzi, by stawiali pieniądze, które mogli łatwo stracić. W oczach Grzmota i Snajpera wszyscy ludzie w taki czy inny sposób próbowali naciągnąć innych.

Skorumpowani gliniarze od czasu do czasu usiłowali zastraszyć Nunzia, lecz zawsze odchodzili z pustymi rękami. Nunzio robił wszystko, by zebrać o nich jak najwięcej informacji. Jeśli okazywali się zbyt skorumpowani, przekazywał te informacje właściwym ludziom. Jeśli zależało im tylko na tym, żeby sobie trochę dorobić, mówił im, co o nich wie, i dawał im do wyboru - albo znikną mu z pola widzenia, albo przygotowują się na spotkanie z Wydziałem Wewnętrznym.

W świecie Nunzia nic nie było czarne albo białe, istniały jedynie rozmaite odcienie szarości, on zaś poruszał się zręcznie po tych mrocznych obszarach. Był przestępcą, który nienawidził narkotyków i wszystkiego, co się z nimi wiązało, ale czuł się dobrze w towarzystwie najemnych morderców, zabijających ludzi równie łatwo, jak on kroił szynkę na kawałki. Prowadził uczciwą restaurację, traktował swoich klientów z szacunkiem i serwował im najlepsze dania, na jakie mógł sobie pozwolić. Jednocześnie wraz z księgowym spędzał długie godziny na fałszowaniu ksiąg rachunkowych, prowadził dwa zestawy tych ksiąg i

oszukiwał na podatkach. W centrum skomplikowanego wszechświata Nunzio Goldman starał się wieść jak najprostsze życie.

- Co wam grozi za sprzątnięcie Juniora? - spytał Grzmota i Snajpera.

- Jego ojciec twierdzi, że zaskarży cały wydział. - Grzmot przerwał i napełnił usta makaronem.-Już wynajął najdroższych adwokatów.

- Wie, że to wy? - spytał Nunzio.

- Wie to, co mu powiedziano - odparł Snajper. - Dwóch byłych detektywów usłyszało plotkę, że pewna dziewczynka jest przetrzymywana wbrew swojej woli w opuszczonym budynku.

- Kiedy wkroczyliśmy, Junior spanikował i ruszył na mnie z nożem - dodał Grzmot. - No i Snajper go zastrzelił.

- To tatusiowi nie wystarczy - mruknął Nunzio. - Będzie chciał dorwać zabójców synka.

- Jak chcą, to mogą mi odebrać rentę. - Grzmot oderwał kawałek chleba. - Mam to w dupie. I tak nie da się cofnąć tego, co zrobili tej małej.

- Tatusi użyje swojej forsy, żeby przemawiała przeciwko wam. Ja użyję swojej przeciwko niemu. Zobaczymy, czyją forszę będzie lepiej słychać. - Nunzio upił łyk wina.

- Jak się ma Jennifer?

Grzmot odłożył widelec, wypił trochę wody, po czym ze smutkiem popatrzył na Nunzia.

- Wszyscy pieprzeni lekarze wmawiali rodzicom, że dzieciaki mogą wydobrzeć po czymś takim - odparł.

- Mówi coś? - spytał Nunzio. - Czy w ogóle może mówić?

- Niosłem ją przez ulicę do samochodu. - Głos Grzmota aż drżał z przejęcia. - Nie mogłem się otrząsnąć, w takim była stanie. Tyle krwi, siniaków, ciężko było znaleźć kawałek zdrowej skóry. Kłąłem sam do siebie, rzygać mi się chciało od tego wszystkiego. Nagle otworzyła jedno oko, popatrzyła na mnie i powiedziała: „Dziękuję”.

- Żałuję tylko, że nie zostawiłem tam martwego Malcolma - powiedział Snajper. - Byłoby mniej o obu.

- A co się z nim teraz stanie? - zapytał Nunzio.

- Z Malcolmem? Dostanie pewnie dziesięć lat. Nawet przy litościwym sędzią i wariackich papierach.

- To chyba za mało - stwierdził Nunzio.

- Zawsze jest za mało - westchnął Grzmot. - Niezależnie od tego, ile dostają, to zawsze za mało.

- Jeśli ta rodzina czegoś potrzebuje, daj im znać, że zrobię dla nich wszystko, co w mojej mocy. - Nunzio dokończył wino i wstał od stolika.

Obaj policjanci patrzyli, jak właściciel restauracji idzie w stronę baru, witając się po drodze z klientami.

- Ile naprawdę Nunzio ma forsy? - spytał Snajper, odchylając się na krzesło.

- Tyle, ile potrzebuje - odparł Grzmot. Znieruchomiał na chwilę, po czym sięgnął do kieszeni swojej błękitnej koszuli. Wyjął stamtąd wizytówkę, którą zabrał Malcol-mowi, i położył ją na stole.

- Lucia Carney - przeczytał Snajper. - Czy to powinno mi coś mówić?

- Posługuje się czterema nazwiskami. - Grzmot podniósł wizytówkę i włożył ją z powrotem do kieszeni. - Trzykrotnie wychodziła za mąż. Wszyscy trzej mężowie nie żyją.

- Do trzech razy sztuka - zauważył Snajper.

- Pracuje w Arizonie - ciągnął Grzmot. - Prowadzi przedszkole. Rodzice przywożą dzieciaki o siódmej, odbierają o szóstej wieczorem. Zarabiajakieś piętnaście, może dwadzieścia tysięcy rocznie.

- Ma własne dzieci? - spytał Snajper.

- Nie może - odparł Grzmot. - W wieku dwudziestu lat miała nieudaną skrobankę. Spaprali jej narządy rodne. Mieszkała z pewnym handlarzem narkotyków na Południu. Nie wiadomo, co robiła wcześniej.

- Mam ochotę na jeszcze jedną pepsi - oznajmił Snajper. - Chcesz czegoś oprócz tej wody?

- Zamów dwie pepsi i dużą butelkę „Pellegrino” na stół - powiedział Grzmot, po czym odsunął krzesło i ruszył w kierunku męskiej toalety. - Przyniosę je, kiedy przyjdzie reszta.

- Jaka reszta? - spytał Snajper, zastanawiając się, co Grzmot zamierza zrobić i dlaczego poświęcił tyle czasu na grzebanie w życiorysie jakiejś trzykrotnej wdowy, która spędza życie na pilnowaniu cudzych dzieci.

- Nie przejmuj się. - Grzmot przystanął pomiędzy pustymi stolikami. - Polubisz ich. To gromada kalek. Zupełnie jak my dwaj.

W głębi duszy Grzmot Frontieri nigdy nie przestał być gliną. Każdy jego czyn, każdy ruch, każde spojrzenie kojarzyło się z policjantem. Otrzymane od ulicznych informatorów wskazówki regularnie przekazywał jednostkom specjalnym i był jednym z niewielu ekspolicjantów, którzy mieli czelność samodzielnie dokonywać aresztowań. Niedługo po

przejściu na rentę dostrzegł, jak dwóch nastolatków napadło na starszą kobietę na Sześćdziesiątej Szóstej Ulicy, niedaleko Central Parku. Złapał ich obu, zabrał im noże kieszonkowe i postawił małolátów pod murem. Zastanawiał się, jak ich przypilnować i jednocześnie zawiadomić policjantów. Gdy pomógł kobiecie wstać i oparł ją o zaparkowany samochód, zatrzymał chłopaka, który szedł do domu z pobliskiej prywatnej szkoły.

- Jak się nazywasz? - spytał przejętego ucznia.

- Joshua - odparł chłopak.

Grzmot wyciągnął z kabury służbowy rewolwer i podał go Joshui.

- Przypilnuj, żeby się nie ruszyli - powiedział tylko, wskazując dwóch nastolatków pod murem.

- A jeśli się ruszą? - spytał Joshua, trzymając rewolwer w drżących dłoniach.

- Zastrzelisz ich - odparł Grzmot i pokiwał do budki na rogu, skąd zadzwonił na najbliższy posterunek.

Uwolnienie Jennifer Santori sprawiło, że Grzmot odżył. Był zdenerwowany i zdeustowany tym, co widział, ale jednocześnie znowu czuł się jak policjant. W umyśle Grzmota zapaliła się czerwona lampka, a adrenalina w jego ciele buzowała na tyle silnie, że niemal nie czuł bólu od ran. Możliwość złapania przestępcy warta była ryzyka śmierci od kuli. Wiedział, że właśnie to utrzymywało go przy życiu.

Ryzyko.

Po odnalezieniu wizytówki w kieszeni Malcolma Grzmot spędził trzy dni na zbieraniu informacji o Lucii Carney. Najpierw spotkał się z agentem specjalnym z Wydziału do Walki z Narkotykami, Tonym Malazantem, który za czasów Grzmota zajmował się zakupami kontrolowanymi. Przy dwóch kawach w restauracji w centrum Malazante opowiedział Grzmotowi o nowym rodzaju kokainy, która właśnie trafiła na ulicę. Handlarze nazywali ją crackiem, ćpuny rajem, a policjanci największym problemem od czasów złotej epoki heroiny. Do Nowego Jorku crack trafił pod koniec 1981 roku. Od tego czasu zwiększyła się liczba aresztowań, a zapotrzebowanie na narkotyk wciąż rosło.

- Jaka jest różnica między tym a zwykłym narkotykiem? - spytał Grzmot.

- Ten jest tańszy - odparł Malazante. - Za pięć dolców jesteś na haju przez pięć minut. Nie musisz mieć za wiele gotówki, żeby być przez cały dzień nabuzowany. Wystarczą drobne kradzieże.

- Kto w tym siedzi?

- Jak dotąd wszyscy oprócz Włochów - odparł Malazante, popijając kawę. - Zapotrzebowanie jest tak duże, że handlarz może zacząć w poniedziałek, a do piątku będzie dla niego pracowało dwudziestu ludzi.

- Skąd to jest? - Grzmot trzymał wizytówkę Lucii w prawej dłoni.

- Z tego samego miejsca, co inne gówny - odparł Mala-zante. - Z Ameryki Południowej. Z południowo-wschodniej Azji. Wprost zalewa ulice. Przypływa crack i wypływa gotówka, zazwyczaj tego samego dnia.

- I tu wkracza Lucia - zauważył Grzmot. - Jaka jest jej pozycja na rynku?

- Zaczynała od zera. - Malazante oparł potężne plecy o podarte oparcie. - Teraz jest w pierwszej trójce. Ma dużą ekipę ludzi, dobrze zarządzaną i w pewnym sensie wyjątkową.

- Co w niej wyjątkowego?

Malazante dokończył kawę i przysunął się bliżej do przyjaciela.

- Mogę ci pomóc. Grzmot, ale tylko do pewnego stopnia - powiedział. - Nie wiem, co planujesz, i nie chcę wiedzieć. Nie rozmawialiśmy o tym i nie zostawiłem tej teczki na swoim krześle. Jeśli ktoś spyta, to powiesz, że się spotkaliśmy, wypiliśmy kawę i rozmawialiśmy o moich dzieciach.

- Nie masz dzieci - przypomniał mu Grzmot.

- No więc nie rozmawialiśmy. - Malazante zaczął zbierać się z miejsca.

Dawna dziewczyna Grzmota z FBI podarowała mu dane dotyczące cracka i tajny raport o Lucii Carney. W zamian za zachowanie anonimowości i, od czasu do czasu, obiad u Nunzia dziewczyna obiecała pomoc także w przyszłości. Grzmot spędził cały dzień nad komputerem w Komendzie Głównej Policji, zestawiając nazwisko Lucii ze znanymi bossami narkotykowych karteli i najpotężniejszymi dealerami. Przedtem jednak zjadł skromny lunch z zastępcą szefa wydziału, Kenem Wolfsonem, bystrym, przystojnym mężczyzną, kolekcjonującym rzadkie komiksy

I znanym wśród przestępców jako glina, który lubi kończyć sprawy, zadając możliwie jak najmniej pytań. Wolfson zgodził się być informatorem Grzmota, pod warunkiem że pozostanie anonimowy. Grzmot weźmie na siebie ryzyko, a ludzie Wolfsona splendor za ewentualne sukcesy. Kiedy to ustalili, Ken otworzył szufladę i wręczył Grzmotowi wszystkie policyjne informacje o Lucii Carney.

Łącznik z Wydziału do spraw Alkoholu, Tytoniu i Broni Palnej przekazał Grzmotowi dane dotyczące kilku kwater Lucii. Znajomy sąsiad, obecnie pracujący w jednostce Służb Specjalnych w Marylandzie, dał Grzmotowi raport dotyczący szczegółów prania przez Lucie brudnych pieniędzy.

W ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin, przy użyciu wszystkich dostępnych źródeł, Grzmot Frontieri wiedział o Lucii Carney równie wiele, co każdy gliniarz w kraju. Przystudiował też medyczne dokumenty dotyczące cracka i uzależnienia od tego narkotyku. Czytał o mrówkach i pralniach brudnych pieniędzy, a także o kobietach transportujących dla Lucii pieniądze i narkotyki

I o mężczyznach zabijających dla jej kaprysu. Im więcej się dowiadywał, tym bardziej rosła jego determinacja. Gniew Grzmota nie wynikał z tego, że Lucia była królową narkotykowego kartelu. Słyszał przecież o innych kobietach, zajmujących się dystrybucją narkotyków w tym biznesie.

Nie chodziło też o pieniądze, jakie na tym zarabiała, choć były to astronomiczne sumy, sięgające miliardów dolarów rocznie. Chodziło o to, jak to robiła.

Doktor Carolyn Bartlett siedziała ze skrzyżowanymi nogami na szarym składanym krześle. Blond włosy zaczesła w ciasny kok. Pokój był pograżony w cieniu, oświetlony jedynie fluorescencyjną żarówką, umocowaną na środku ściany, tuż za łóżkiem na kółkach. Doktor Bartlett przeczytała już zawartość żółtej teczki, którą ścisła teraz w dłoniach. Teczka pełna była szczegółowych notatek i obserwacji, poczynionych przez lekarzkę w ciągu kilku ostatnich dni.

Choć doktor Bartlett miała dopiero trzydzieści sześć lat, była ordynatorem oddziału gwałtów i urazów w szpitalu psychiatrycznym. Przez cztery lata pracy na tym oddziale miała okazję ujrzeć wszystkie niewyobrażalne okropności.

Tak przynajmniej myślała do popołudnia, gdy przywieziono Jennifer Santori.

Widok tej dziewczynki, jej stan, ponury wyraz twarzy mężczyzny, który ją przywiózł, sprawiły, że po raz pierwszy doktor Bartlett postawiła sobie pytanie, czym się tak naprawdę zajmuje i czy to w ogóle przynosi jakieś efekty.

Zamknęła teczkę i położyła ją na podłodze obok swoich czarnych butów od Ferragamo, po czym przeciągnęła obiema rękami po wykrochmalonej pościeli na łóżku. Nabrała powietrza w płuca i dotknęła miękkiej ręki dziewczynki, która spała w tej pościeli.

Przyglądała się milczącej, zabandażowanej twarzy. Co jakiś czas ciało dziewczynki drżało nerwowo. W jej prawą rękę wkłuto trzy wenflony, metry bandaży spowijały mnóstwo ran. Lewa ręka dziecka tkwiła w sięgającym łokcia gipsie. Miejsce, w którym powinien być palec wskazujący, zionęło pustką.

Doktor Bartlett przysunęła się bliżej i delikatnie dotykała każdej rany. Miała jasnyniebieskie oczy, jędrne, atletyczne ciało i twarz, która nie zdradzała wieku. W trakcie czterech spędzonych tu lat lekarzka widziała mnóstwo skutków przemocy, nigdy jednak

czegoś podobnego. Pielęgniarki i stażyści przez dwa dni zmywali zakrzepłą krew i dopiero po trzech dobach Bartlett wydobyła z dziewczynki coś więcej niż tylko skinięcie głową.

Złożyła wizytę podejrzanemu. Zawsze to robiła, choć większość lekarzy na oddziale była temu przeciwna. Bartlett jednak uważała za istotne, by móc przyjrzeć się i drugiej stronie, w skazanej na porażkę próbie zrozumienia, czemu tacy mężczyźni - to byli zawsze mężczyźni - robili to swoim ofiarom.

Niewiele wyniosła ze spotkania z Malcolmem Juniperem, mniej więcej tyle samo, co ze spotkań z innymi. Uśmiechnął się, poprosił o kawę, nawet spytał o zdrowie Jennifer. Bartlett odwróciła się do niego plecami, gdy chciał poznać numer jej telefonu, i zostawiła go z uśmiechem na twarzy i spojrzeniem, które powiedziało jej wszystko, czego chciała się dowiedzieć. Wyszła z celi, myśląc o swoim ojcu, który spędził w nowojorskiej policji dwadzieścia lat, podczas służby zabił dwóch ludzi i pracował na trzech etatach, żeby jego marzenie o córce z dyplomem medycyny mogło się stać rzeczywistością. Zastanawiała się, jak długo żyłby Malcolm Juniper, gdyby zamknięto go w jednym pomieszczeniu z Richiem Bartlettem.

Doktor Bartlett z powrotem usiadła na krześle. Wciąż wpatrywała się w twarz Jennifer. Było jeszcze za wcześnie na koszmary, ale lekarka wiedziała, że już czają się na dziewczynkę, która w tak krótkim czasie doświadczyła tylu okropności. Wiedziała też, że rodzice dziecka wkrótce zaczną zadawać pytania i błagać, by to właśnie ona powstrzymała owe koszmary, ale lata pracy, wszystkie książki i raporty sprowadzały się do jednego, przerażającego stwierdzenia - nie potrafiła cofnąć traumy. Miała ona stanowić część Jennifer Santori aż do końca jej dni.

Doktor Bartlett mogła jedynie pomóc Jennifer uporać się z koszmarami. Tylko taką pociechę była jej w stanie zaoferować.

Pozostał jednak poważniejszy problem, ten, który dręczył doktor Bartlett od chwili, gdy trzy dni wcześniej wręczono jej dokumenty dotyczące Jennifer. Wiedziała, że policja, biuro prokuratora okręgowego i każdy mecenas przydzielony do tej sprawy będzie domagał się zeznań Jennifer, niezbędnych, by posłać Malcolma Junipera do więzienia. Bez Jennifer Santori w sądzie nie zapadnie żaden wyrok. Nawet nie będzie sprawy. Dla Jennifer jednak złożenie zeznań oznaczało uwolnienie koszarów. Musiałaby siedzieć obok sędziego, gorzej, na wprost Malcolma Junipera i opowiadać ze szczegółami, co jej zrobił, a także odpowiadać na wszystkie pytania wymyślone przez jego obronę. Pytania, mające na celu wytrącenie dziewczynki z równowagi i doprowadzenie do tego, by pozbawiony sumienia człowiek wyszedł na wolność.



Doktor Bartlett wstała i podeszła do Jennifer. Pogłaskała ją po głowie, uważając, by nie dotknąć bandażu. Delikatnie odsunęła opadające kosmyki włosów dziecka. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek zdoła sprawić, żeby na tej ładnej buzi znowu pojawił się uśmiech.

Doktor Bartlett pochyliła się i dwukrotnie pocałowała Jennifer w policzek. Ścisnęła jej zdrową dłoń i wyszła z pokoju. Szła ze zwieszoną głową. Podjęła decyzję.

10.

Siedzieli stłoczeni wokół stolika na tyłach baru. Grzmot zajął szczyt stołu, oparty plecami o boazerię, tuż pod zdjęciem, na którym Nino Benvenuti i Emile Griffith walczyli o tytuł mistrza wagi ciężkiej. Po lewej stronie Grzmota siedział Snajper. Miał zaintrygowany wyraz twarzy i trzymał w ręce duży kieliszek lodowatej pepsy.

Przy stoliku znajdowały się też cztery inne osoby, trzech mężczyzn i atrakcyjna kobieta w obcisłych dżinsach, białym swetrze i kurtce z miękkiej skóry. Snajper wiedział, że wszyscy oni są policjantami. Poznał to po ich wyglądzie i zachowaniu. Każdy z nowo przybyłych wszedł do pomieszczenia pewnym krokiem i przywitał się z Grzmotem uściskiem ręki i ostrożnym skinieniem głowy.

Jeśli byli kalekami, jak twierdził Grzmot, to z powodzeniem zdołali to ukryć. Ich wygląd o niczym nie świadczył, może z wyjątkiem siedzącego w rogu faceta - młodego, ciemnowłosego mężczyzny w bluzie z kapturem. Ten człowiek nie mógł zamaskować czerwonej, poparzonej skóry na szyi, dłoniach i prawej stronie twarzy.

Snajper rozpracował także nieznanego naprzeciwko siebie. Ten wysoki i muskularny mężczyzna siedział z rękami rozłożonymi na obrusie, a przed nim stała szklanka odtłuszczonego mleka i miseczka z kostkami lodu. Inni zamówili piwo, wino lub wódkę. Tylko dwa typy gin zamawiają mleko w restauracji - ci, którzy usiłują pozostać trzeźwi - a ten facet nie wyglądał na kogoś z chorobą alkoholową - i ci, których postrzelono w żołądek. Snajper był gotów się założyć, że w kieszonce wojskowej kurtki mężczyzna trzyma kilka paczek „Maaloxów” i na wpół opróżnioną buteleczkę „Zantaca”.

Zgromadzeni przy stole ludzie nie gawędzili ze sobą przyjaźnie. Wszyscy czekali, aż Grzmot rozpocznie rozmowę. On jednak wcale się nie śpieszył. Siedział tylko i uważnie przyglądał się każdemu z obecnych. Kieliszki i szklanki były już prawie puste, a przysadzisty facet w sportowej kurtce kończył trzeciego papierosa, kiedy pojawił się Nunzio z tacą pełną drinków. Postawił ją na blacie, zamknął za sobą drzwi i usiadł na stołku w rogu.

- Zamknięte, Grzmot - oznajmił. - Właśnie odprowadziłem ostatnią parę.

- Masz może jakieś precelki? - spytał facet w sportowej kurtce, Jimmy „Kregiel” Ryan, biorąc z tacy butelkę Budweisera.

- Później zjemy - odparł Grzmot. - Jak pogadamy.

- O czym? - zapytał Delgado „Geronimo” Lopez, ten ze szklanką mleka.

- O wielu sprawach, Geronimo. Zaczniemy od historii o pewnej pani. Jeśli was zainteresuje, opowiem wam o nas.

- Czy Grzmot nazwał cię Geronimo? - zainteresował się mężczyzna w powyciąganej bluzie z kapturem, Bobby „Wielebny Jim” Scarponi. - Jak ten Indianin?

- Przeszkadza ci to czy tylko cię interesuje? - Geronimo posłał Wielebnemu twarde spojrzenie.

- Ani jedno, ani drugie, Wodzu - odparł Wielebny Jim. - Z całym szacunkiem.

- Wszyscy jesteśmy w tej samej sytuacji i nie możemy deptać sobie po odciskach - zaczął Grzmot. - Każdy w tym pomieszczeniu był kiedyś gliną. Najlepszym w swoim wydziale. Siebie także wziąłem pod uwagę. Teraz wszyscy jesteśmy kalekami na rencie. Wszyscy, poza Nunziem, który siedzi tam, w rogu.

- A on kim jest? - spytała kobieta, Mary „Pani Columbo” Silvestri.

- Przyjacielem - odparł Grzmot. - Przyjaciele będą nam potrzebni.

- Czy to oznacza, że drinki są za darmo? - zapytał Wielebny Jim.

- Powiedział, że jestem przyjacielem, nie idiotą - wyjaśnił mu Nunzio.

- Wiesz, jak ocieplić atmosferę-powiedziała pani Colum-bo do Wielebnego Jima.

- Robię, co mogę. - Mrugnął do niej.-Tylko tyle potrafię.

- Jesteśmy ci do czegoś potrzebni, Grzmot - odezwał się Geronimo. - Nie do tego, żeby tu siedzieć i pić. Powiedz nam, o co chodzi.

- Ja i Snajper skończyliśmy właśnie pewną sprawę - oznajmił Grzmot. - Zaczęło się od przysługi dla przyjaciela, a zaprowadziło nas dużo dalej.

- Słyszałam o tym - wtrąciła pani Columbo. - Na ulicy porwano dziewczynkę. Złapaliście porywacza, a jego współnik jakoś dostał się pod lufę twojego pistoletu.

- Porywacz miał w kieszeni wizytówkę pewnej kobiety - ciągnął Grzmot. - Lubi, żeby nazywać ją Lucią Carney. Przynajmniej w tym tygodniu.

- Co robi? - spytał Wielebny Jim.

- Mówiłem wam przez telefon o jej przedszkolu - odparł Grzmot. - To przykrywka przed Urzędem Skarbowym.

- Więc czym się jeszcze zajmuje? - zapytał Geronimo.

- Sprowadza do kraju kokainę - powiedział Grzmot. - Kokainę i crack. A potem pierze zarobione pieniądze. Znajomy z komendy głównej twierdzi, że Lucia ma co najmniej

czterystu ludzi rozsianych po całym kraju. Połowa z nich to mrówki - same kobiety. Druga połowa to ochrona.

- Co to są mrówki, do cholery? - zapytał Nunzio.

- Ci, co przewożą narkotyki i gotówkę - mruknął Wielebny Jim.

- Nazywa swoje mrówki Klubem Opiekunek - dodał Grzmot.

- Jest taka seria książek dla dzieci - zauważyła pani Columbo. - Ostatnio kupiłam dwie dla siostrzenicy.

- Właśnie - przytaknął Grzmot. - Kobiety, które dla niej pracują, są porządne i czyste. Nie notowane, nigdy nie siedziały i nie brały narkotyków.

- Jak organizują transport? - spytał Snajper.

Grzmot wziął głęboki oddech i jeszcze raz przyjrzał się twarzom zgromadzonych w pomieszczeniu osób.

Wiedział, że będzie ścigał Lucie Carney. Podjął tę decyzję w chwili, gdy przejrzał jej kartotekę w komputerze Wydziału do Walki z Narkotykami. Nie wiedział jednak, czy zdoła przekonać tych ludzi, by do niego dołączyli. Wybrał ich bardzo starannie, kierując się nie tylko własnym instynktem, lecz także biorąc od uwagę ich życiorysy. Wszyscy byli uzależnieni od adrenaliny, a dziennej dawki tego hormonu zostali pozbawieni na długo przedtem, zanim byli gotowi sami z niej zrezygnować. Teraz wszyscy dryfowali, żyjąc od renty do renty, dorabiając sobie na stanowiskach, na których im wcale nie zależało, i czując się bliżej śmierci niż życia.

Czekała ich mroczna przyszłość, pełna żalu, wspomnień i niezrealizowanych możliwości.

Grzmot o tym wiedział.

Mógł się założyć, że oni również.

- Martwe dzieci - powiedział w końcu, gdy wszyscy przy stole wydawali się na tyle skoncentrowani, by zrozumieć jego odpowiedź. A ta odpowiedź zrobiła na nich wrażenie.

- Jak? - spytał cicho Snajper.

- Wyszukuje dzieci w każdy możliwy sposób - odparł Grzmot. - Po doświadczeniach z Malcolmem i Juniorem wiemy, że nie brakuje śmieci, gotowych porwać dzieciaka.

- Handlarze wykorzystują dziewczyny, które uciekły z domu - wtrącił Wielebny Jim. - Zawsze tak było. Najpierw robią z nich narkomanki, a potem wywalają na ulicę, żeby zarabiała dla nich na prochy. Niektóre z dziewczyn zachodzą w ciążę, a potem oni sprzedają dzieciaka. Rynek nie jest jednak na tyle duży, żeby wystarczyło dzieci dla wszystkich mrówek.

- Crack zmienił reguły gry. - Grzmot wstał i oparł ręce na stole. - Lucia dotarła wszędzie. Ma takie uciekinierki, ale zamiast wysyłać je na ulice, każe swoim ludziom je zapładniać i przekazywać sobie dzieci.

- Resztę kupuje pewnie na czarnym rynku - dodała pani Columbo. - W ten sposób można zdobyć pięć, dziesięć tysięcy dzieci rocznie.

- Co najmniej - potwierdził Grzmot. - A kiedy i to nie wystarcza, kradnie je. Z domów, tylnych siedzeń samochodów, z wózków. Ludzie Lucii potrafią je ukraść z każdego miejsca.

- Ile z tego ma? - spytał Geronimo.

- Federalni obliczyli, że co najmniej dwieście pięćdziesiąt milionów - odparł Grzmot.

- Rocznie? - spytał Kręgiel.

- Miesięcznie.

Zapadło pełne szacunku milczenie.

- A co z dziećmi? - spytał w końcu Snajper. - Co z nimi robi?

- Trzyma je, aż skończą sześć, siedem miesięcy. Wtedy je zabija.

- Nie wiem, czy chcę słuchać dalej - wtrąciła pani Columbo, kończąc swoją szkocką i żalując, że nie ma po ręką jeszcze jednej.

- Mnie też to nie rozbawiło - powiedział Grzmot. - Ale tak się właśnie dzieje i należy to powstrzymać.

- Posługują się martwymi dziećmi do transportu - dodał Wielebny Jim. - Otwierają je, wyjmują im wnętrzności, a w ciałach w jedną stronę przywożą kokainę, a z powrotem gotówkę.

- Wiedziałeś o tym? - Kręgiel odstawił pustą butelkę po piwie.

- Słyszałem plotki - przyznał Wielebny Jim. - Nie wiedziałem, czy to prawda.

- To prawda - powiedział Grzmot. - Kiedy w samolocie usiądziesz koło kobiety ze śpiącym niemowlęciem w ramionach, niczego nie będziesz podejrzewał.

- Pewnie się tylko uśmiechniesz i powiesz jej, że ma ślicznego malucha - dodał Snajper. - I nawet nie zauważysz, że dziecko przespało cały lot.

- Dorastałem wśród twardych ludzi - westchnął Nunzio. - Prawdziwych twardzieli. Niektórzy byli przestępcami, nielegalnymi bukmacherami, właścicielami burdeli, kilku nawet kogoś zabiło. Ale nie znam nikogo, kto robiłby coś takiego.

- Czy federalni nad tym pracują? - spytała pani Columbo.

- Pracują - odparł Grzmot. - Bardzo się starają. Ale nie można skazać kogoś, kogo się nie złapało. Zresztą oni nie chcą mrówek. Chcą Lucii.

- A co o niej wiemy? - zapytał Snajper. - Poza tym, że zabija dzieci i grzebie swoich mężów?

- Mam dostęp do wszystkiego, co wiedzą federalni - oznajmił Grzmot. - A od nich lokalne wydziały. Raporty, inwigilacja, podsłuch. Przekażę wam to, czego się dowiem. Niewiele tego, ale wystarczy, żebyśmy mogli zacząć.

- Co zacząć? - zapytał Geronimo. Mięśnie jego twarzy były napięte.

- Zająć załatwiać Lucie i jej opiekunki.

W pomieszczeniu znowu zapadła cisza. Nagle pani Columbo wybuchnęła gorzkim śmiechem.

- Od tego są gliniarze - stwierdziła. - Prawdziwi gliniarze. Nie tacy jak my.

- Prawdziwi gliniarze nie mogą tego zrobić - zauważył Grzmot.

- Dlaczego? - spytał Geronimo.

- Bo muszą przestrzegać prawa - odparł Grzmot. - My nie musimy.

- Co czyni z nas przestępców, nie gliniarzy - powiedział Kręgiel.

- Mówimy o potężnym gangu - wtrącił Wielebny Jim. - Mają pieniądze i więcej ludzi do dyspozycji. Nie damy im rady. Przynajmniej ja nie.

- Rozumiem, że niektórzy z was się denerwują.

- Ja się nie denerwuję, Grzmot - powiedziała pani Columbo. - Ja się boję. Pewnie wszyscy się boimy. Miałeś rację, mówiąc wcześniej, że byliśmy najlepsi w tym biznesie. Ale już nie jesteśmy. Budzę się z bólem i z bólem kładę się spać. Tak samo jak wszyscy inni tutaj. To chyba nie najlepiej, skoro mamy ścigać królową gangsterów.

- Sześć glin, kalekich czy nie, przeciwko gangowi złożonemu z czterystu ludzi to dosyć kiepskie proporcje. - Snajper po raz pierwszy w życiu żałował, że nie pali.

- Zapomniałeś o kimś, Snajper - wtrącił Nunzio.

- Przepraszam - popatrzył na niego Snajper. - Sześcioro i jeszcze pół kontra cztery setki.

- Tak lepiej. - Nunzio z zadowoleniem pokiwał głową.

- Przyznaję, że gdy pracowałem, nie zawsze przestrzegałem reguł - odezwał się Geronimo. - Ale tu chodzi o coś więcej niż naginanie zasad. To łamanie prawa. Tej granicy nigdy nie chciałem przekraczać.

- Podam ci najbardziej przekonujący powód, jaki przychodzi mi do głowy - powiedział Grzmot. - Nie ma nic wspólnego z Lucią.

- Bez owijania w bawełnę, Grzmot - wtrąciła pani Columbo. - Mów wprost.

- To sprawi, że znowu poczujemy się żywi. - To Snajper udzielił im odpowiedzi, uprzednio skinąwszy głową w kierunku Grzmota. - Poczujemy się tak, jak kiedyś, zanim odsunięto nas od pracy. Dlatego warto wrócić. Nawet jeśli mielibyśmy zginąć. Czy właśnie to zamierzałeś powiedzieć?

- Mniej więcej - potwierdził Grzmot.

Siedzieli w ciszy, starając się przetrwać to, co przed chwilą usłyszeli. Każde z nich rozważało zadanie, które zaproponował im Grzmot. W pomieszczeniu było ciepło, wszystkim chciało się pić. Kręgiel zdjął sportową kurtkę i rzucił ją obok krzesła. Geronimo odchylił się i solidnie przeciągnął. Pani Columbo nie spuszczała wzroku z Grzmota, jednocześnie szczęśliwa i zła, że właśnie ją wybrał. Wielebny Jim przejechał dłonią po pokrytej bliznami szyi i pochylił głowę. Snajper wpatrywał się w pusty kieliszek.

- Nunzio, czy muszę kogoś zabić, żeby dostać coś do picia?

- Wielebny Jim pierwszy przełamał milczenie.

- Tylko w niedzielę. - Nunzio wstał, otworzył drzwi i ruszył do baru.

- Już się zdecydowałeś? - spytał Grzmota Snajper.

- Nie mam rodziny, jak niektórzy z was - odparł Grzmot.

- Nie mam pracy, na której by mi zależało. Mam tylko odznakę. Dla mnie to łatwa decyzja.

- Odznaka nie oznacza, że możesz łamać prawo - stwierdził Kręgiel.

- Wciąż robię to, co przysiągłem robić - odpowiedział Grzmot. - Walczę ze złem. Tyle że teraz walczę w inny sposób.

- Przez ten sposób możesz szybko zginąć - zauważył Wielebny Jim.

- Więc odejdę na swoich warunkach. Mogę przestrzegać takiej umowy i nie będę jej zmieniał. Teraz czekam tylko na inne podpisy.

- I szukasz chętnych między rannymi - westchnął Snajper. Grzmot skinął głową.

- Bo są najbardziej niebezpieczni - powiedział.

11.

Nowiutki, stiukowy dom był duży, dobrze oświetlony i solidnie strzeżony. Za dziesiątkami krzaków, drzew i ogromnych roślin, które zajmowały pół hektara terenu, ukryto ruchome jupitery. W garażu parkowały dwa terenowe auta, a pod wielką palmą na podjeździe w kształcie koła stał czarny mercedes.

Dom był niepodpiwniczony, podobnie jak wiele innych, tak popularnych wśród tysięcy nowych twarzy, przybywających co roku do skalistej Sedony i okolicznych regionów w Arizonie. Został zaprojektowany i zbudowany przez jedną z miejscowych firm, a następnie

sprzedany mężczyźnie o nazwisku Garrison Cross, który zapłacił za niego gotówką i nigdy nie postawił w nim nogi. Meble zamówiono z katalogów i domów wysyłkowych, wysłano do magazynu w Phoenix i opłacono za pobraniem. Rośliny na terenie posiadłości pochodziły ze szklarni Scottsdale. Opłacono je i przewieziono statkiem, a następnie posadzono w środku nocy.

Pokoje w domu były duże i rozległe. Centralny hol, pokój gościnny i jadalnia zdominowały cały parter. Dębowe schody prowadziły do trzech sypialni na pierwszym piętrze. We wszystkich pomieszczeniach oprócz kuchni znajdowały się świetliki i gazowe kominki. Przemysłowe kamery na ścianach nagrywały każdy ruch pod każdym możliwym kątem. Dwa owczarki niemieckie czystej krwi miały prawo wstępu do wszystkich pomieszczeń. Na zewnątrz poranne powietrze było świeże i rześkie, a znad wybrzeża wiała chłodna bryza. Kilometr od domu turyści, którzy właśnie wysypali się z fast-foodów, stali już w kolejce do jeepów, obwozących chętnych po Red Rock, gotowi wytrząść się na szlakach turystycznych.

Największe zamieszanie panowało w kuchni, dużym, przestrzennym pomieszczeniu z wykuszowymi oknami, wentylatorami na suficie i rzutnikami wideo z trzema ekranami przymocowanymi do granitowego blatu, który znajdował się na lewo od olbrzymiej kuchenki mikrofalowej. Dwie niezbyt młode kobiety w podomkach i kapciach dreptały cicho po wyłożonej terakotą podłodze, nosząc foliowe, dwukilogramowe torby z kokainą. Wyjmowały je z leżącego na kuchennym stole dużego tornistra, a następnie układały w równych kupkach tuż obok zlewu. W trzech kątach kuchni stali trzej mężczyźni w dobrze skrojonych garniturach, ciemnych okularach i z rękami skrzyżowanymi na piersiach bezgłośnie liczyli stosiki.

W tornistrze zostały jeszcze dwie torebki, gdy do kuchni weszła Lucia Carney.

Na jej widok ochroniarze opuścili ręce. Przechodząc, Lucia uśmiechnęła się do mężczyzn, a w powietrzu zawisł ciężki zapach jej chanelowskich perfum. Ciemne włosy kobiety zaczesane były do tyłu i opadały na ramiona czarnej sukienki od Karla Lagerfel-da. Lucia włożyła buty na dziesięciocentymetrowych obcasach, a rozcięcie sukni ukazywało jej mocne, pięknie wyrzeźbione łydki. Paznokcie na dłoniach i stopach kobiety pomalowane były na ciemnoczerwono. Miała opaloną, nieskazitelną cerę, a w jej oczach, na pozór uwodzicielskich i kuszących, czaił się daleki i przerażający chłód.

Lucia miała trzydzieści osiem lat, ale wyglądała o wiele młodziej. Wspaniałą figurę zawdzięczała codziennym, trwającym dwie godziny forsownym ćwiczeniom. Świadomość, że wzbudza w mężczyznach jednocześnie pożądanie i strach, sprawiała jej wielką przyjemność.

Właśnie to pomagało jej utrzymać się przy życiu w tym niebezpiecznym zawodzie. Dla Lucii Carney przetrwanie zawsze było najważniejsze.

Urodziła się w szpitalu w Houston w Teksasie; była trzecim dzieckiem robotników-emigrantów, którzy mieli mało pieniędzy i jeszcze mniej nadziei. W wieku lat siedmiu pojechała do Galveston, by wraz z ciotką i jej obłożnie chorym mężem zamieszkać w drewnianym domu bez bieżącej wody i z toaletą obok szopy. Ciotka, niegdyś piękna, obecnie wyniszczona przez życie, za dnia pracowała jako kelnerka w miejscowej knajpie. Nocami prostytuowała się w sypialni, podczas gdy jej mąż siedział w kuchni obok nakręcanego korbką gramofonu i słuchał Hanka Williamsa i Patsy Cline.

Lucia uczyła się kiepsko i częściej opuszczała lekcje, niż na nie przychodziła. Jeszcze zanim skończyła dziesięć lat, pomagała ciotce obsługiwać klientów w knajpie, oddając napiwki, lecz jedząc tyle placka z wiśniami, ile tylko chciała. Ciotka dziewczynki szybko zauważyła, jakim wzrokiem patrzą na Lucie zmęczeni mężczyźni przychodzący do knajpy i jak chętnie mała z nimi flirtuje.

Miesiąc po swoich dwunastych urodzinach Lucia została przeniesiona z knajpy do pracy w szopie koło domu. Tam, w nikłym świetle dwudziestopięciowatowej żarówki, siedząc na drewnianej ławeczce, plecami do skrzypiącej ściany, uprawiała seks oralny z każdym mężczyzną, który zapłacił jej ciotce pięć dolarów za wejście. Zawsze ubrana była w niebieską sukienkę w kwiaty - gwiazdkowy prezent od matki, białe, ozdobione koronką skarpetki, czarne buciki ze sprzączką, codziennie czyszczone wodą i śliną. Nigdy nie otwierała oczu, a ręce zaciskała mocno na ostrych kantach ławki. Tak mocno, że leciała jej krew.

W wieku czternastu lat Lucia zostawiła ciotkę i wyniosła się z pieniędzmi, zarobionymi na obstawianiu zakładów dla wuja i z napiwkami od wdzięcznych klientów. Nie wzięła ze sobą niebieskiej sukienki i czarnych bucików.

Wiele przystanków i wielu niewłaściwych mężczyzn później została partnerką dealera narkotyków, z którym zamieszkała w Lexington w Kentucky. Chudy jak patyk, ciemnowłosy młody człowiek z dziwnym uśmiechem i z wytatuowanym na plecach duszkiem Casparem był pierwszym mężczyzną w życiu Lucii, od którego nie żądała zapłaty za seks. Nazywał się Otis Fraimer, ale mówiła na niego Jerry, on zaś nie miał nic przeciwko temu. Wiedziała, że ich związek długo nie potrwa, że wystarczy pukanie do drzwi lub niewłaściwy zakup, aby trafili do więzienia, a może nawet zginęli, ale dobrze się czuła z Jerryem. Nie przeczuwała, że jej chłopak skończy, leżąc bezwładnie na kierownicy płonącego samochodu, z dwiema kulami w sercu i poderżniętym gardłem. Nie rozpaczała zbyt długo.



Przestała, gdy rywal Jerry'ego i człowiek odpowiedzialny za jego śmierć, pięćdziesięcioletni były sierżant artylerii z niedowładem nogi i ujmującym uśmiechem, zaproponował, żeby została jego pełnoprawną współniczką. Harry Corain zamierzał rozszerzyć swoje narkotykowe imperium, przenieść je poza biedne rejony południowego Kentucky i skierować na urodzajne tereny pobliskiego Ohio, gdzie w Cincinnati i Columbus nie brakowało chętnych na towar. Lucia, wtedy siedemnastoletnia i zmęczona biedą, weszła z nim w spółkę i sprawnie zorganizowała ludzi Harry'ego w małe zespoły tragarzy i pakowaczy, nalegając, żeby nie było wśród nich narkomanów i ćpunów. Resort siłowy pozostawiła Harry'emu i jego młodszemu bratu, Terry'emu, zabijając, który świetnie władał nożem, ale gorzej językiem.

Lucia zajmowała się obsługą wszystkich transakcji.

Zyskała sobie lojalność mrówek i sprzedawców, oferując im drobny procent ze sprzedaży, wbrew protestom braci Corain. Zatrudniła chorego na raka, doświadczonego handlarza z Canton, o nazwisku Delroy Rumson, żeby nauczył ją wszystkiego o praniu brudnych pieniędzy i inwestowaniu czystej gotówki w pewne i wolne od podatku papiery wartościowe. W zamian za uzyskaną przez pół roku wiedzę Lucia obiecała, że po śmierci Delroya będzie wpłacać co miesiąc osiemset dolarów do domu opieki, w którym mieszkała opóźniona córka Rumsona, Dorothy.

Była to pierwsza z wielu nie dotrzymanyh przez Lucie obietnic.

Lucia poślubiła Harry'ego Coraina w 18 kwietnia 1964 roku. W dniu swoich dwudziestych urodzin, tydzień po ślubie, powiedziała mężowi, że jest z nim w ciąży, choć nie miała zamiaru urodzić dziecka ani zbyt długo pozostać żoną Harry'ego. Po prostu zyskała więcej czasu na poznanie i wykorzystanie jego znajomości do budowy własnego interesu.

Pewnego słonecznego letniego poranka, gdy Lucia była w drugim miesiącu ciąży, przejechała przez granicę Kentucky do Cincinnati i poddała się aborcji w piwnicy walącego się jednopiętrowego domu, niecały kilometr od Bulwaru Ezzarda Charlesa. Ze względu na swoje zamiłowanie do alkoholu, narkotyków i łapówek doktor Ranyon B. Travis już dawno stracił prawo wykonywania zawodu, a teraz zarabiał na życie, usuwając niechciane dzieci za trzysta dolarów gotówką, płatne z góry. Travis cieszył się dobrą opinią wśród narkomanów i dziwek pracujących nad rzeką, ponadto trzymał język za zębami, może dlatego, że lata picia i ćpania sprawiły, że miał kłopoty z pamięcią.

Travis siedział całą noc z nieletnią uczennicą, zdążył wypić ćwiartkę dzinu i wziąć dwa gramy koki, gdy Lucia pojawiła się w holu, z którego schodziło się do piwnicy. Lekarz ubrał się szybko, przemył twarz wodą, połknął dwie pięciusetmiligramowe tabletki

benzedryny i przygotował kobietę do zabiegu. Po pięciu minutach poczuła silny, kłujący ból w okolicach macicy i natychmiast zrozumiała, że lekarz o drżących dłoniach i mrocznej przeszłości dokonał rzezi na jej wnętrznościach.

Wyszła z domu, zostawiając na biurku lekarza zmięte trzysta dolarów. Po nogach spływała jej krew, nie reagowała na przeprosiny Trávisa. Zmuszała ciało, żeby parło naprzód i ignorowało rosnący ból, który zagnieździł się w niej w miejsce płodu. Już w dzieciństwie Lucia nauczyła się nie płakać z powodu życiowych przeciwności i tej nocy także nie uroniła ani jednej łzy. Zamiast płakać, znalazła ukojenie w myślach o zemście.

Harry znalazł ją na podwórzu domu i natychmiast odwiózł do pobliskiej kliniki, w której nie zadawano zbyt wielu pytań. Po trzech dniach zagoiły się zewnętrzne rany, ustało krwawienie, opadła gorączka i minęło niebezpieczeństwo infekcji.

Lucia uśmiechała się i wpatrywała w płyny spływające z kroplówki do żyły w ręce, podczas gdy przejęty stażysta mówił jej, że nigdy nie będzie mogła mieć dzieci. Pocieszała ją świadomość, że w tej samej chwili doktor Ranyon B. Travis, niegdyś ordynator oddziału ginekologiczno-położniczego w szpitalu w północnym Chicago, wisiał na murze w alejce na tyłach domu, z grubymi łańcuchami oponowymi na przegubach rąk, zaklejonymi ustami i na siłę otwartymi oczyma. We wnętrznościach lekarza tkwił jego własny skalpel. Ból był tak nieprawdopodobny, że przed śmiercią doktor Travis odgryzł sobie język.

Latem 1966 roku Lucia spędziła długi weekend w Nowym Orleanie, po raz kolejny starając się rozszerzyć swe narkotykowe imperium. Wtedy właśnie poznała Carla Porfina, siedząc samotnie przy jednym ze stolików w barze swojej przyjaciółki, Anny Cortese. Przysiadła się do niego na drinka, a następnie spędzili razem noc. Do popołudnia następnego dnia Lucia znalazła kolejnego męża i sposób na wydostanie się z Kentucky.

Carlo Porfino związany był z mafią w Nowym Jorku i Chicago. Handlował wszystkim, co tylko można sobie wyobrazić. Stanowił przeciwieństwo Harry'ego w każdym tego słowa znaczeniu. Szastał gotówką, aby pokazać Lucii, co znaczy dobra zabawa. Szybko przekonał się, że dziewczyna nie była zwykłym, poderwanym w barze kociakiem. Miała nosa do narkotyków, łączyła w sobie wrodzony talent do przekonywania ludzi, by dla niej pracowali, z bezwzględnością, niezbędną w tym biznesie.

Choć Lucia chciała podbić nowe tereny, nie miała zamiaru rezygnować z tego, co zdołała stworzyć w Kentucky i Ohio. Zamieniła w entuzjazm początkową obojętność Carla, gdy opowiedziała mu o stu tysiącach dolarów na miesiąc, które zgarniali Harry i Terry, nie wyczerpując w pełni możliwości rozrastającego się rynku. Lucia zawarła z Carlem umowę. Miała dostawać dwadzieścia pięć procent ze wszystkich operacji na Środkowym Zachodzie,

plus dodatkowe dziesięć procent za jego południową część, w zamian za dogładanie interesów ze swojej nowej centrali w Nowym Orleanie. To była okazja, której kobieta taka jak Lucia nie mogłaby przepuścić.

Wyszła za Carla pewnego popołudnia 27 lipca 1967 roku, w małym kościele obok cmentarza sprzed wojny secesyjnej. Tego samego dnia policja w Kentucky znalazła pływające w żelaznej kadzi, porażone prądem ciało Harry'ego Coraina. Obok pływała jego odcięta lewa ręka. Niecałe trzy metry dalej znaleziono młodszego brata Harry'ego, Terry'ego, z trzema kulami z Magnum w głowie. W prawej dłoni wciąż zaciskał nóż.

Dwudziestotrzyletnia Lucia wkrótce miała zarobić swój pierwszy milion. Stworzyła podwaliny krajowej sieci narkotykowej, która piętnaście lat i jednego męża później miała się rozwinąć w potężne imperium, obejmujące czterdzieści sześć stanów i osiem państw. Lucia Carney, w chwili gdy stała w wielkiej, przestronnej kuchni w Sedonie, dostawała czterysta milionów rocznie od międzynarodowych karteli narkotykowych i przestępczych rodzin, które powierzały jej transport kokainy i bezpieczny przelew zysków.

Była ich kokainową królową, piękną kobietą o pociągającym uśmiechu i lodowatym sercu. Nazywali ją Smokiem, od tatuażu na prawej łopacie, przedstawiającego czarnego, zionącego ogniem smoka. Był to urodzinowy prezent od Carla, który wytatuował sobie identycznego, ale większego smoka na piersi. Lucia lubiła Carla. Dobrze się razem bawili, a on zawsze traktował ją z szacunkiem. Pomógł jej skontaktować się ze wszystkim swoimi współnikami i przedstawił ją południowoamerykańskim kontrahentom. Nauczył ją, jak rozrabiać kokę, nie obniżając jej jakości. Był także mistrzem ukrywania zysków, zawsze zostawiał po sobie trop, który prowadził do bardziej chciwego handlarza.

Lucia często tęskniła za Carlem i czasem żałowała, że kazała go zabić. Stał jednak na przeszkodzie jej interesom, a na to nie mogła pozwolić nikomu.

Zwłaszcza mężowi.

Pomysł, aby posłużyć się niemowlętami, przyszedł jej do głowy pewnego wieczoru, gdy oglądała w telewizji reklamę produktów Johnson & Johnson. W kręgach narkotykowej arystokracji, w których obracała się Lucia, łatwo było zdobyć i przetransportować dzieci, a jeszcze łatwiej się ich pozbyć. W połowie lat siedemdziesiątych czarny rynek handlu niemowlętami kwitł; ten ponury proceder przynosił miliardowe zyski rocznie.

Pół roku po obejrzeniu reklamy Lucia była już znaczącą figurą w dziecięcym przemyśle. W ośmiu stanach otworzyła kliniki przyjmujące niezamężne i ciężarne nastolatki z biednych rodzin. Dziewczyny pragnęły dobrych domów dla swoich dzieci, trochę gotówki i tego, by nikt nie dowiedział się o ich ciąży. Poprzez osoby trzecie Lucia wybierała jedynie

kobiety, których stan zdrowia był bez zarzutu. Po urodzeniu wysyłano dzieci do domów, w których przez pół roku miały zapewnioną dobrą opiekę. Następnie przyjeżdżali po nie ludzie Lucii i zostawiali je w miejscu przerzutu narkotyków - zazwyczaj niedawno zakupionym domu w jakiejś spokojnej okolicy, gdzie dzieci zabijano.

Lucia nigdy nie miała wyrzutów sumienia z powodu okropności swoich czynów. Dla niej niemowlaki były jedynie narzędziem, bezpiecznym i niedrogim środkiem transportu, dzięki któremu mogła swobodnie przewozić duże ilości narkotyków i gotówki. Jeśli przez to konkurencja w narkotykowym interesie obawiała się jej jeszcze bardziej, tym większe były zyski Lucii.

Z biegiem czasu, gdy zapotrzebowanie na dzieci do transportu zaczęło przewyższać jej możliwości, Lucia posłała swoich ludzi na ulicę. Tam znalazła setki chętnych, którzy pragnęli zarobić na tym chwilowym boomie. Mieli oko na dziewczęta, które uciekły z domów, pierwsze kandydatki do zajścia w ciążę i porzucenia lub sprzedania dziecka. Śledzili statystyki narodzin w szpitalach zlokalizowanych w biednych rejonach, gdzie dokumentacja była równie marna jak ochrona danych, co czyniło z każdego noworodka idealny cel. Zdobywali listy z opieki społecznej i wyszukiwali na nich matki uzależnione od narkotyków, po wyrokach lub mające co najmniej trójkę dzieci. Emisariusze Lucii oferowali im dużo więcej pieniędzy niż państwo.

Przywódcy narkotykowych karteli byli tak zadowoleni z tej makabrycznej, lecz bezpiecznej metody transportu, że ofiarowali za darmo dzieci urodzone przez swoje prostytutki. Członkowie wielu innych gangów chętnie sprzedawali Lucii kobiety, które im się znudziły, od przyjaciółek do podstarzałych żon, a czasami nawet własne córki.

Wszystko w imię zysku.

I wszystko kosztem niewinnych.

12.

W milczeniu jedli kolację, na którą podano smażonego łososia. Podczas posiłku Nunzio wstawał i wychodził do kuchni, po czym wracał z dużą miską sałatki albo nową butelką wina. Kiedy nadeszła pora na owoce i kawę, większość byłych policjantów zdążyła już przetrwać słowa Grzmota. Siedzieli teraz dookoła wielkiego stołu ustawionego na środku restauracji, przy zaciągniętych roletach i tylko trzech włączonych lampach, każde pogrążone w wewnętrznej walce.

Geronimo obracał między palcami medalion na szyi, ten sam, który wiele lat wcześniej podarowała mu matka, by chronił go przed złem. Zastanawiał się, czy inni czują taką samą pustkę, jak on. Dni płynęły nieciekawie, spędzał je w pracy, na której mu nie

zależało. Noce były koszmarem, zimny pot mieszał się z nie wysłuchanymi modlitwami i krzykiem w ciemności. Żałował, że przeżył wybuch, który sprawił, że na zewnątrz sprawiał wrażenie całego człowieka, choć naprawdę ocalała jedynie połowa.

Od tamtego dnia nie zbliżał się do żadnej bomby. Dokumenty, dzięki którym przeszedł na rentę, przygotowano, gdy wciąż leżał w szpitalnym łóżku, czekając na szóstą z czternastu operacji, w trakcie których lekarze bezskutecznie usiłowali zesztukować z powrotem mięśnie jego brzucha i wnętrzości. Codzienna fizykoterapia była stałym elementem jego życia, podobnie jak ból, który usiłował ignorować. Przepisane przez lekarzy proszki stały w rzędach na trzech półkach apteczki w dwupokojowym mieszkaniu w Ozone Park. Geronimo żył dzięki środkom na nadkwa-sotę i sile woli.

Pracował w Unger Electronics na Lower East Side, a jego szefem był otyły mężczyzna ze schorowanym kręgosłupem, Carl Ungerwood. To rodzinne przedsiębiorstwo utrzymywało się głównie dzięki popularności serwisu komputerowego, gdzie pracował Geronimo. To były jedyne przewody, z jakimi chciał mieć do czynienia po wybuchu. W szafce w przedpokoju nadal trzymał ukryty zapas dynamitu, raczej na pamiątkę, niż do użytku.

Carl Ungerwood był porywczym człowiekiem. Jego temperament dochodził do głosu głównie z powodu problemów z byłą żoną, która sądownie domagała się przejęcia części interesu. Często wygłaszał przemowy w obecności Geronimo, przeklinając i kierując jadowite uwagi pod adresem człowieka, którego miasto uważało niegdyś za bohatera. W takich chwilach Geronimo milczał, a jego oczy miały ponury, nieobecny wyraz. Traktował te wyzwiska jako dalszy ciąg kary za to, że przegrał pojedynek z mężczyzną z granatem. Regularna płaca w Unger Electronics nie liczyła się dla niego tak bardzo jak fakt, że nie zdołałby znaleźć innej pracy, która byłaby równie odległa od tego, co robił w nowojorskiej policji.

W przeciwieństwie do Grzmota, Geronimo nie żałował, że nie jest już gliną. Tęsknił jedynie za dreszczem, który towarzyszył mu przy rozbieraniu bomby. Wyznaczał sobie limity czasowe podczas pracy z komputerami i odliczał w myślach sekundy, reperował zniszczone modemy i wymieniał zerwane przewody. To jednak nie było to samo. Komputer nie krył w sobie żadnej tajemnicy, w przeciwieństwie do bomby, którą ktoś tak zdolny jak Geronimo mógł zrozumieć, kontrolować, czuć jej siłę lub zginać w szponach jej mocy. Gdy Geronimo zostawał sam na sam z bombą, jego życie i śmierć nabierały wymiaru duchowego. To było lepsze niż powolne umieranie na stołku na zapleczu zakurzonego sklepu ze sprzętem elektronicznym.

Geronimo nie mógł wypowiadać się w imieniu pozostałych, ale czuł, że ich decyzja dotycząca przystąpienia do walki z Lucią jest tylko kwestią czasu. Nie dla niego. Dla wojownika, takiego jak Geronimo, było to przeznaczenie.

- Robi się późno. - Grzmot zerknął na zegarek. - Długo to trwało, więc teraz będę się streszczał. Proszę was tylko, żebyście przemyśleli to, co mam wam do powiedzenia. Poważnie przemyśleli, a potem mnie zawiadomili. Niezależnie od waszej decyzji, nie zamierzam stwarzać problemów.

- Kiedy chcesz znać odpowiedź? - spytała pani Columbo.

- Niekoniecznie jutro-odparł Grzmot.-Zdecydujcie się, kiedy będziecie gotowi. Ale zdecydуйте się szybko.

Pani Columbo tęskniła za pracą w wydziale zabójstw. Bardzo tęskniła. W najlepszym wypadku obecne zajęcie - sprzedaż ubezpieczeń w kabinie ustawionej w śródmiejskim biurowcu - było jej obojętne. Gdy pani Columbo pracowała w policji, zawsze odbierała telefon po pierwszym dzwonku i czekała, aż głos po drugiej stronie słuchawki oznajmi jej, że znaleziono ciało i trzeba złapać mordercę. Teraz pozwalała, by dzwonek rozlegał się pięć lub sześć razy, bo wiedziała, że telefonuje ktoś, kto chce znać wysokość rat za ubezpieczenie samochodowe albo poprosić o przedłużenie spłaty. Przestała czytać kryminały i oglądać je w telewizji. Nie szukała już kroniki policyjnej w gazetach i wiadomościach. Pani Columbo obawiała się robić cokolwiek, co przypominałoby jej o tym, jak uwielbiała pracę w policji.

Wiedziała, że powinna być szczęśliwa. Miała męża, który ją kochał i o nią dbał, a także dorastającego syna. Chodziła na zebrania komitetu rodzicielskiego oraz na rozgrywki Małej Ligi. Trzeba było wystawiać szkolne sztuki i organizować wyprzedaże charytatywne. I choć pani Columbo włączyła wszystkie te zajęcia do swojego rozkładu dnia, nie wzbudzały w niej one żadnych emocji. Podobnie traktowała sesje fizykoterapii, wykonując trudne ćwiczenia z chłodną sprawnością i nadzieją, że czucie wkrótce całkowicie powróci do dolnej połowy ciała i ustaną silne bóle w nogach.

W każdą niedzielę pani Columbo i jej bliscy jedli obiad z krewnymi. Pełne ludzi jadalnie wyglądały dla niej tak samo, niezależnie od tego, czy znajdowała się na ranczu swojej szwa-gierki w Nassau County czy u szwagra w Bergen County Tudor. Rozmowa zawsze krążyła wokół rodziny, rachunków, dawnych sprzeczek, sportu i emerytury - zwykłego życia klasy średniej. Pani Columbo przysłuchiwała się rozmowie i sama zabierała głos, ale jej słowa były puste. Może dlatego, że nigdy nie rozmawiano o nie zidentyfikowanych zwłokach, pływających nocą w rzece. Nikogo przy tych stołach nie

obchodziło, czego należy szukać na miejscu zbrodni ani jak analizować kroki mordercy, by odgadnąć, kim był.

Pani Columbo fatalnie się czuła. Nie była już policjantką

I przypominał jej o tym każdy pełen bólu oddech. Teraz Grzmot siedział naprzeciwko niej i proponował, by wróciła do zawodu. Pani Columbo sączyła kawę i zastanawiała się, czy rany okaleczyły tylko jej ciało. Obawiała się, że odebrały jej również zdolności.

- Wciąż nie powiedziałaś nam, czego od nas chcesz - odezwał się Kręgiel, kończąc piąte piwo.

- Chcę, żebyśmy dopadli Lucie - odparł Grzmot. - Ludzie przy tym stole kontra wszystko, co ona reprezentuje.

- Sześć kalek z policji i kelner kontra armia przemytników narkotyków, którzy lubią zabijać gliny jeszcze bardziej niż sprzedawać swój towar. - Wielebny Jim pochylił się i położył dłoń na ramieniu Grzmota. - Nie chciałbym dawać ci rad, ale może powinieneś lepiej to przemyśleć.

Wyprostował się, nie spuszczać wzroku z Grzmota. Wciąż nie rozumiał, co robi na tym spotkaniu. Jasne, kiedyś był wspaniałym wywiadowcą, uwielbiał przebierać się i naśladować rozmaite akcenty, ale to było na długo, zanim ogień spalił jego skórę. Wielebny Jim bardzo chciał stać się częścią tego, o czym mówił Grzmot, ale wiedział, że została mu jedynie wyszczekana gęba i stary rewolwer, a to nie zaprowadziłoby ludzi przy stole zbyt daleko. Nie była to tylko sprawa oparzeń, w grę wchodziły również osłabione mięśnie, poparzone płuca i bez przerwy łzawiące lewe oko. Pozostali nie mieli pojęcia, ile musiał wycierpieć, żeby przebrnąć przez każdy dzień. Zimą owijał ciało gazą, by zimne powietrze nie drażniło popalonej skóry, inaczej miał wrażenie, że dotyka jej suchym lodem. Latem nosił koszulę z długim rękawem, żeby ochronić się przed boleśnie piekącymi promieniami słońca. Grzmot proponował mu, żeby znowu został policjantem, mimo że w niektóre poranki Wielebny Jim wątpił nawet, czy jeszcze jest człowiekiem.

Czekały go jeszcze trzy przeszczepy skóry i wiele miesięcy fizykoterapii. Mimo to nie miał nadziei na poprawę. W niektóre noce godzinami przewracał się z boku na bok, leżąc w pustym łóżku w zimnym mieszkaniu. Wpatrywał się w sufit i zastanawiał, po co w ogóle żyje. Tak łatwo byłoby otworzyć szufladę w biurku, wyjąć trzydziestkę ósemkę i wpakować sobie kulę. Zamiast tego sięgał po ukryte pod łóżkiem kartonowe pudełko. Otwierał je i na mokrą od potu pościel wysypywał jego zawartość - zdjęcie z wręczenia dyplomu w Akademii Policyjnej, kopię odznaki policyjnej, kilka kolorowych wstążek, trzy listy pochwalne i nóż,

którym zabił mordercę swojej matki. Nie było tego wiele, ale wystarczało, żeby utrzymać go przy życiu.

Wielebny Jim nie spuszczał oczu z Grzmota. Wreszcie zrozumiał, czemu się tu znalazł. Grzmot wiedział, że Wielebny nadal chciał być policjantem. Nadal chciał być mężczyzną. Mimo blizn i całej reszty.

- Nie wchodzimy w to na ślepo - powiedział Grzmot.

- Tego nam właśnie brakuje - zauważył Kręgiel. - Ślepego.

- Wszyscy mamy jakieś powiązania - ciągnął Grzmot. - Zwłaszcza wśród federalnych i miejscowych policjantów. Możemy korzystać z dokumentacji, podsłuchu, mieć dostęp do komputera. Z drugiej strony Nunzio skontaktuje nas z właściwymi ludźmi. Podziela się z nami tym, czego nie wiedzą federalni. Wystarczy jeden telefon, żeby zdobyć to, czego nam potrzeba.

- Dlaczego wszyscy tak się rwą do pomocy? - zapytała pani Columbo.

- Tak samo jak my chcą dopaść Lucie - odparł Grzmot. - Ale muszą postępować zgodnie z regułami. My nie musimy. Na swój sposób gliniarze są równie niepełnosprawni jak my. Może nawet bardziej.

- A jeśli nas nie zabiją? - zapytał Snajper. - Jeśli nas tylko złapią?

- Wyrok to nic miłego dla gliniarza - zauważył Wielebny Jim, wyjmując z ust zapalną i wkładając ją z powrotem do kieszeni.

- Założymy księgę - stwierdził Grzmot. - Wpiszemy tam nazwiska wszystkich, którzy nam pomogli - od gliny, który szepnie nam choć słówko na temat Lucii, do człowieka, który powieli tajne dokumenty.

- Jeśli nas złapią, pokażemy księgę prokuratorowi - dodał Snajper.

- Pokażemy mu jej kopię - poprawił go Grzmot. - Powiemy, że jest ich jeszcze przynajmniej sześć. To powinno dać mu do myślenia.

- To niczym polisa ubezpieczeniowa - powiedział Nunzio.

Wszyscy uśmiechnęli się lub roześmieli, słysząc tę uwagę.

Wszyscy oprócz Kręgla.

Jimmy wciąż miał zatroskany wyraz twarzy. Uważał, że nie pasuje do reszty, tak jak nie pasował do żadnego towarzystwa, w którym się znalazł. Wiedział, dlaczego go zaproszono. Nietrudno było się tego domyślić. Grupa potrzebowała kogoś, kto dobrze sobie radził z urządzeniami podsłuchowymi, i właśnie z tego powodu po krótkim rozeznaniu Grzmot zwrócił na niego uwagę. Ci ludzie jednak byli twardzi, zaprawieni w bojach, nie obawiali się opróżnić magazynka w zatłoczonym pokoju. Kręgiel wybrał inną drogę.



Jedynie, co łączyło go z policjantami siedzącymi przy stole, to kalectwo. Może nie czuł tak wielkiego bólu, jak inni, ale pewny siebie mężczyzna, który niecałe dwa lata wcześniej wszedł do niewłaściwego mieszkania, gdzieś zniknął. Na jego miejscu pojawił się ktoś inny, z trzema ranami po kulach w kilku ważnych życiowych organach. Ten ktoś wracał do zdrowia bardzo powoli, dochodząc do punktu, w którym znowu mógł głęboko oddychać przy minimalnym natężeniu bólu. Prawa ręka Kręglu była zdrętwiała od łokcia w dół. Cierpiał też na ciągle migreny i zdarzało się, że łykał aż pięć tabletek butanolu dziennie. Kręgiel żył z renty, spłacił hipotekę i zainwestował w kręgielnię. Trzy razy w tygodniu, popołudniami, wpuszczał za darmo okoliczne dzieciaki i pozwalał im grać tak długo, jak chciały. Wymagał od nich jedynie, żeby posprzątały po sobie i odłożyły buty i kule na swoje miejsce. Towarzystwo dzieci sprawiało mu przyjemność. Były one dla niego namiastką rodziny, której tak pragnął. Bardzo chciał się dopasować, stanowić część grupy. Tak właśnie kiedyś czuł się w pracy, a teraz w towarzystwie dzieci. Zrozumiał, że właśnie to proponował mu Grzmot. \*

Dla człowieka takiego jak Kręgiel najważniejsze było poczucie przynależności. Z tym pragnieniem jednak mieszał się głęboko ukryty strach. Kręgiel sądził, że już nigdy nie będzie musiał się z nim zmierzyć. Był to strach przed bronią.

Podobnie jak inni członkowie grupy, Kręgiel nigdy nie obawiał się śmierci. Nie chciał jednak znowu odnieść ran, nie sądził, że mógłby ponownie doświadczyć tego bólu i ująć z życiem. Nie wiedział też, czy umiałyby zrobić to, co wydawało się takie proste dla pozostałych - mianowicie, czy potrafiłyby zabić człowieka. Dla niego ryzyko wiązało się z założeniem podsłuchu, przeprowadzaniem przewodu, a zamiast naciskać spust, wolał włączać taśmę. Właśnie w tym osiągnął mistrzostwo. Dla tej grupy jednak ów talent mógł się okazać niewystarczający.

- Kiedy zaczynamy? - spytał Geronimo i przyjrzał się twarzom sąsiadów, próbując ustalić, czy są zainteresowani.

- Ja w poniedziałek rano - odparł Grzmot. - Będę w piwnicy Nunzia. Tam ukryjemy wszystko, czego nam potrzeba. Każdy, kto przyjdzie, zaczyna ze mną.

- Zamierzasz jakoś nazwać naszą grupę? - spytał Wielebny Jim.

- „Kaleki” brzmi nieźle - rzucił Kręgiel. - Ale ten gang z Los Angeles mógłby nam przyłożyć za plagiat.

- Nie pomyślałem o nazwie - przyznał Grzmot. - Czy to ważne?

- Lucia może chcieć wiedzieć, kim jesteśmy - powiedział Wielebny Jim. - Kto rozpieprza jej interes. Byłoby miło, gdybyśmy mogli się jej przedstawić. Poinformować ją, z kim prowadzi wojnę.

- „Apacze” - oznajmił Geronimo śmiertelnie poważnym tonem. - Powinniśmy nazwać się Apaczami.

- Bo płynie w tobie odrobina indiańskiej krwi? - spytał Snajper. - Ja mam dużo więcej afrykańskiej, a nie zamierzam wam wciskać pierdoł rodem z Korzeni.

- W tym przypadku wszyscy mamy w sobie indiańską krew. - Geronimo przenosił wzrok z jednej twarzy na drugą. - W tradycji Apaczów plemię opuszcza ranionego w bitwie wojownika. Zostawia go, by sam zadbał o siebie. Staje się zbyt dużym ciężarem dla plemienia. To my, Snajper. My wszyscy.

- Dostaniemy też koszulki i czapeczki? - dopytywał się Wielebny Jim. - Wiecie, z naszym logo?

- A co z Nunziem? - zapytał Kręgiel. - Kim on będzie?

- Zwiadowcą - odparła pani Columbo i oparła głowę na ramieniu restauratora.

- No to nazwa już jest. - Grzmot wstał i sięgnął po kurtkę. - W poniedziałek rano zobaczę, kto przyjdzie i czy mamy zespół.

Wszyscy wstali, nałożyli kurtki i czapki, po czym uścisnęli sobie dłonie i ruszyli ku drzwiom. Szli powoli, a każde z nich zastanawiało się nad decyzją.

Geronimo i Grzmot czekali na Nunzia. Przyglądali się, jak zamyka restaurację.

- To prawda? - spytał Grzmot.

- Co?

- O tych Apaczach. Że zostawiają rannych.

- A skąd mam wiedzieć, do cholery? - Geronimo uśmiechnął się po raz pierwszy tego wieczoru.

Grzmot włożył kurtkę i odwzajemnił uśmiech.

- Cóż, dziś to prawda - powiedział.

- No jasne. - Geronimo wyszedł z restauracji. - Najpierw Custer, potem Wounded Knee, a teraz Apacze.

13.

Rozebrany do pasa Bobby Scarponi zarzucił ręcznik na szyję i przyjrzał się sobie w lustrze. Światło z nie osłoniętej żarówki rzucało na niewielką łazienkę kontrastujące cienie. Mężczyzna przeciągnął dłonią wzdłuż czerwonych blizn na górnej części klatki piersiowej, szyi i policzku. Blizny była twarde i szorstkie w dotyku - wieczna pamiątka płomieni, które zmieniły jego życiową drogę. ‘

Wielebny Jim mieszkał w Queens, w dwupokojowym mieszkaniu w domu należącym do pewnego stolarza i jego o wiele za młodej żony. Takie mieszkanie byłoby w sam raz dla

młodego człowieka w okresie życiowego startu, nie zaś szczytem marzeń dla kogoś, kto kończył swoją wędrówkę.

Wielebny Jim wyszedł z łazienki, minął niewielką kuchnię i stanął przy otwartym oknie obok łóżka. Białe firanki kołysały się na wietrze. Popatrzył w dół, na spokojną ulicę pełną zaparkowanych samochodów i oświetloną blaskiem z wielu domów, podobnych do tego, w którym mieszkał. Tak właśnie spędzał większość nocy, oczyma wyobraźni widząc matkę umierającą u jego boku, otaczające go płomienie, usta zbyt popalone, by krzyczeć.

Bał się zasypiać. Sen jedynie ożywiał jego wizje, powodował, że Bobby budził się skąpany w pocie i łzach, z porozdzieraną pościelą czy skórą. Dlatego rzadko sypiał. Rzadko odpoczywał. Rzadko uciekał od piekła, jakim były dla niego przeszłość, teraźniejszość i przyszłość.

Wielebny Jim często myślał o samobójstwie, ale wiedział, że gdyby rzeczywiście kiedykolwiek miał pójść tą drogą, stałoby się to tuż po śmierci matki. Nie należał do ludzi, którzy odeszliby z listem pożegnalnym, torbą na głowie i sznurem wokół szyi. Wolał walkę i musiał znaleźć lepsze rozwiązanie.

Plan Grzmota wydawał się wyjściem, którego poszukiwał.

Wielebny Jim odwrócił się od okna i podszedł do lodówki. Wyciągnął z niej puszkę budweisera, otworzył ją, po czym pociągnął dwa długie łyki. Po chwili oparł się plecami o zimną ścianę i sięgnął po telefon, wolną ręką wystukując znajomy numer. Poczekał do ósmego dzwonka i odłożył słuchawkę. Ojciec zawsze głęboko spał - z wiekiem jego sen stał się jeszcze głębszy.

Wielebny Jim skończył piwo, wrzucił pustą puszkę do kosza, po czym jeszcze raz wziął do ręki słuchawkę. Głos po drugiej stronie odezwał się po trzecim dzwonku. Grzmot wymamrotał coś na powitanie i czekał. Wielebny Jim odetchnął głęboko i rozejrzał się po mieszkaniu, ściskając słuchawkę tak mocno, jak gdyby chciał ją zmiażdżyć.

- Wchodzę w to - powiedział w końcu. Po drugiej stronie Grzmot milczał. - Dobranoc.

Wielebny Jim odłożył słuchawkę, wolno powrócił do otwartego okna i z ulgą czekał na pojawienie się porannego słońca.

Mrówka z niemowlęciem na rękach wysiadła z taksówki i popatrzyła na trzypiętrową kamienicę na Manhattanie. Powoli podeszła do wejścia, a taksówka odjechała w nowojorską noc. Kobieta słyszała szcęk odsuwanej rygla we frontowych drzwiach. Lodowaty, nocny wiatr rozwiewał jej spódnicę. W drzwiach pojawił się wielki mężczyzna w czerwonej koszuli z jedwabiu i w czarnych skórzanych spodniach. Kiedy kobieta przeszła obok niego, skinął jej głową na powitanie.

- Którędy? - zapytała mrówka. Kątem oka ujrzała błysk czterdziestki czwórki, która tkwiła w kaburze pod pachą mężczyzny.

- Proszę iść po schodach - odparł, zamykając drzwi i odwracając się do niej. - Drugie drzwi po lewej stronie.

- Wszyscy są na miejscu? - Ruszyła w kierunku głównego korytarza. Jej obcasy stuknęły na drewnianej posadzce.

- Wszyscy, którzy powinni - powiedział mężczyzna i zniknął za rogiem, gdzie znajdował się lokal z barem i stołem do gry w bilard.

Mrówka pośpiesznie ruszyła po stopniach, obiema rękami trzymając dziecko. Chciała jak najszybciej wypełnić zadanie. Skręciła za róg u szczytu klatki schodowej i popchnęła drugie drzwi na korytarzu. Weszła do mieszkania i położyła nieruchome dziecko na dużym drewnianym stole obok sześciu ogromnych stosów studenckich banknotów. Każdy stos owinięty był białym szpagatem. Cztery mężczyźni, siedzący na krzesłach w tym wyłożonym dębowa boazerią i zastawionym książkami pokoju, wstali i podeszli do stołu.

- Ile masz czasu? - spytał Paolo, najmniejszy z mężczyzn, wyciągając ku kobiecie na wpół opróżnioną paczkę „Marlboro”.

- Za dwie godziny odlatuje samolot do Atlanty. - Ruchem głowy podziękowała za papierosa. - Dokonam wymiany na lotnisku i złapię połączenie do Los Angeles.

Paolo odwrócił się od mrówki i kiwnął głową do trzech mężczyzn, tłoczących się wokół pieniędzy.

- Poczekamy na was na dole - powiedział.

- Jak długo? - spytał jeden z tej trójki.

- Najwyżej pół godziny - odparł Paolo i ujął mrówkę pod ramię, po czym wyprowadził ją z mieszkania, cicho zamykając za sobą drzwi.

Joe Silvestri rzucił poduszką o ścianę. Druga odbiła się od zamkniętego okna i wylądowała na biurku, przewracając lampę.

- To robiłaś przez ten cały pieprzony czas? - krzyknął Joe. Jego gniew skierowany był przeciwko żonie, Mary, która w zapiętej po szyję koszuli siedziała pod kołdrą. - Planowałaś to w bezsenne noce?

- Proszę cię, przestań się wydzierać - powiedziała Mary. W przeciwieństwie do męża, trzymała swoje emocje na wodzy. - Obudzisz Frankiego.

- Nie wystarczyło ci, że omal nie zginęłaś? - wrzeszczał Joe, miotając się po małej sypialni boso i w czerwonych bokserkach. - To, że omal nie pozbawiłaś go matki, nie

wystarczyło, żebyś dała sobie z tym spokój? Wiem, że cię to gównem obchodzi, ale po tych wszystkich latach mogłabyś wziąć pod uwagę to, że zostawiłabyś i mnie.

- To wszystko jest ważne. - Mary nie spuszczała oczu z męża. Rozumiała, że Joe musi wyładować złość, i starała się, aby jej słowa nie pogłębiły jeszcze jego frustracji wynikającej z tego, że nigdy nie miał takiej żony, jakiej pragnął. - Nawet nie myśl, że tak nie jest.

- Jeśli to zrobisz, Mary, wiedz, że wszystko między nami skończone. - Joe zatrzymał się przy łóżku. - Wiele z tobą przeszedłem, ale na to się nie zgodzę. Skoro szukasz śmierci, niech pomoże ci ktoś inny.

- Spójrz na mnie, Joe. - Mary starała się, żeby jej słowa nie zabrzmiały jak prośba o pomoc. - Mam blizny na całym ciele. W łazience nie mogę na siebie patrzeć bez płaczu. Nienawidzę siedzieć w pracy i nienawidzę o niej myśleć, gdy jestem gdzie indziej.

- Niewiele osób ginie od kuli podczas sprzedaży polis ubezpieczeniowych - parsknął Joe i usiadł na brzegu łóżka, z dala od żony. - Poza tym tam cię lubią. Odwalasz kawał dobrej roboty wśród dobrych ludzi.

- Nie tego pragnę - powiedziała cicho Mary. - I nie tego mi potrzeba.

- A czego pragniesz, samobójczej misji? Potrzebujesz dać się zabić i łamać prawo?

- Ja już nie żyję, Joe. - Mary odrzuciła kołdrę i przesunęła się na łóżku, żeby usiąść bliżej męża. - Powinieneś to wiedzieć. I wiedzieć. Nigdy nie będę taką żoną, jakiej pragniesz. Zwłaszcza nie w takim stanie, jak teraz.

- Nie musisz mi tego mówić. - Joe wbił spojrzenie we fioletowy dywan. - Wiem to już od dawna.

- Muszę spróbować znowu stać się policjantką-taką, jaką byłem - powiedziała Mary. - Wyłącznie po to, by poczuć, że żyję-

- A co z nami? - Joe popatrzył jej prosto w oczy. - Co ze mną i Frankiem? A co ze mną i tobą?

- Oba was bardzo kocham-odparła Mary. - Ale kocham was za to, kim jesteście i czym jesteście. I tylko o to proszę w zamian. Po tych wszystkich latach musisz wiedzieć, że nie jestem gospodynią domową. Ani tym bardziej agentem ubezpieczeniowym.

- A już na pewno nie kucharką. - Joe potrząsnął głową i uśmiechnął się z przymusem, obejmując żonę ramieniem.

- Jestem policjantką, Joe. - Mary oparła głowę na jego policzku. - Czy tego chcesz czy nie, zakochałeś się w policjantce.

- I wciąż ją kocham - stwierdził Joe. - Niezależnie od tego, co ty o tym myślisz.

- Więc pozwól mi to zrobić - wyszeptała Mary. - Proszę.

- Chcesz, żebym ci pozwolił dać się zabić - westchnął Joe. - Każdy uznałby, że to bardzo wiele. Zwłaszcza mąż.

- Mąż to jedyna osoba, którą kiedykolwiek o coś prosiłam - powiedziała Mary. - Chcę, żebyś pozwolił mi znowu poczuć, że żyję.

- Kto powie Frankiemu? - zapytał Joe po długiej chwili milczenia.

- Oboje - odparła Mary z nikłym uśmiechem. - Ty i ja. Rano, kiedy będziesz robił naleśniki.

- Wygląda na to, że znowu będę musiał wrócić do gotowania.

- A ja do bycia policjantką - Mary oparła się na poduszce, trzymając Joe za rękę i ciągnąc go w swoją stronę.

- Nie daj się zabić, Mary - powiedział Joe. - Tylko o to cię proszę.

- To duży krok naprzód w stosunku do tego, o co mnie zazwyczaj prosileś. - Teraz Mary uśmiechała się już szeroko.

- A co to było? - Joe wśliznął się pod kołdrę obok żony.

- Żebym nie przypalała jajecznicy - przypomniała mu Mary.

W półmroku cichego pokoju przytulili się mocno, pocałowali i jeszcze bardziej nakryli kołdrą, przy każdym dotknięciu odnajdując ciepło i pociechę.

Mrówka spostrzegła Ericę, która stała tyłem do kiosku i trzymała w rękach tabliczkę z wypisanym na niej nazwiskiem „Ste-vens”. Podeszła do kobiety, posłała jej szybki uśmiech i wręczyła jej chłopczyka.

- Twój samolot odleci z terminalu obok - powiedziała Erica. - To dwa przystanki stąd.

Ubrana była w czarny kostium ze zbyt mocno wypchanymi poduszkami w marynarce. Na szyję zarzuciła cienki szal, a na nogi włożyła sandały. Przy chodzeniu wyraźnie oszczędzała prawą nogę. Trzymała dziecko w zgięciu ramienia jak paczkę, a nie jak niemowlę.

- Chcesz, żebym coś przekazała Leo? - spytała.

- Że potrzebuję wakacji - odparła mrówka bez cienia uśmiechu. - Ciągają mnie od trzech tygodni. Ledwo trzymam się na nogach.

- To szczyt sezonu - powiedziała Erica. - Jest za dużo pieniędzy do zarobienia, żeby sobie odpuścić.

Na przystanek zjechał autobus lotniskowy i nagrany głos powiadomił pasażerów o planowanym odlocie. Mrówka weszła do pojazdu, złapała za poręcz i spojrzała na Ericę, przesyłając jej zmęczony uśmiech.

- Wracam we wtorek - powiedziała.

Odwróciła się plecami, a drzwi się zamknęły, zostawiając dwóch spóźnionych pasażerów.

Erica została na przystanku i patrzyła na odjeżdżający pojazd, trzymając na rękach dziecko, a w nim sto dwadzieścia pięć tysięcy dolarów gotówką.

Geronimo usiadł na wilgotnym pnium na pustej plaży i wpatrywał się w obmywające piasek fale. Skrzyżował nogi i odchylił głowę ku rozgwieżdżonemu niebu. Na okrytych granatowym swetrem plecach czuł podmuchy zimnego wiatru, który zawiewał mu na twarz ciemne pasma włosów.

Ten niewielki kawałek ziemi był ulubionym miejscem Geronima. Prywatna plaża leżała z dala od wielkich drewnianych domów na Ocean Parkway, tuż pod zjazdem z autostrady Brooklyn/Queens. To było jego wytchnienie, miejsce, w które przychodził, żeby się wyciszyć, odświeżyć słonym powietrzem i bryzą. To było miejsce, w którym czuł się bezpieczny i wolny od trosk swego życia.

Geronimo wolno leczył się z ran odniesionych podczas wybuchu granatu. Wśród krwi, dymu i okrzyków przerażenia zostawił na tamtej brooklydskiej ulicy rozerwany żołądek, kawałki wątroby i nerki i całe jelito cienkie. Miesiące rehabilitacji były bolesne i frustrujące i człowiek o słabszej woli szybko by się poddał. Geronimo jednak kwitł podczas tej walki i postawił sobie za punkt honoru wyjść z niej w jak najlepszej kondycji.

Ledwie zdolny do trawienia miękkich pokarmów i chłodnych płynów, znowu musiał nauczyć się jeść. Pierwsze operacje mające na celu pozszywanie jego żołądka były nieskuteczne i bolesne. Mimo to Geronimo nie zamierzał się poddać. Co tydzień odwiedzał sztab specjalistów, a co wieczór indiańskiego szamana, którego metody leczenia były stare jak świat.

Geronimo wierzył w medycynę naturalną i w uzdrawiające moce od dawna uśpionych duchów. To był jeden z powodów, dla których spędzał tak wiele czasu w swojej samotni na plaży, pogrążony w cieniu gwiazd.

Powoli - wracał do zdrowia, wierząc, że pomogą mu duchy dawnych wojowników, i czerpiąc ze studiowania ich dziejów moc, której mu obecnie brakowało, oraz siłę ducha, którą niemal stracił po wypadku.

Kiedy nie zajmowali się nim lekarze ani nie pogrążał się w mistycznych rozmyślaniach, trzymał się na uboczu i modlił do bóstw matki. Jego modlitwy były nie tylko prośbami o zdrowie. Błagał, aby stworzono go na nowo, by mógł umrzeć, jak mu to było przeznaczone.

W walce.

W głębi duszy wiedział, że prośba nigdy nie zostanie spełniona. Jego przyszłość miała być równie nijaka i mroczna jak pustka, którą odczuwał w żołądku. Miał wieść żalosne życie, pozbawione treści i działania.

Tęsknił za pełnymi napięcia chwilami z bombą, drogocennymi, rzadkimi sekundami, gdy był zupełnie sam, o drgnienie ręki od natychmiastowej śmierci. Podczas tych godzin spędzonych przed bombą, w czasie uciekającym z każdym tyknięciem zegara Geronimo wiedział, że naprawdę żyje i panuje nad wszystkim. Wtedy właśnie czuł się najbardziej zjednoczony z duchami swych przodków. Oddałby wszystko, by znów tego doświadczyć. I o to się modlił.

To była rozpaczliwa modlitwa samotnego człowieka.

Dopiero podczas kolacji z Grzmotem, w restauracji, w której nie mógł nic jeść, Geronimo zrozumiał, że jego rozpaczliwa modlitwa być może została wysłuchana.

Lucia trzymała w dłoni pusty kieliszek i wpatrywała się w ocean, podczas gdy młody kelner nerwowo nalewał jej ze stalowego dzbanka idealnie schłodzone martini. Kobieta leżała na błękitnym szeslongu, ustawionym na słonecznym pokładzie „Maraboo”, ponadtrzydziestometrowego jachtu, który dostała w prezencie ślubnym od czwartego męża, Geralda Carneya. Czarny kostium bikini odsłaniał mocno opaloną skórę Lucii. Krople potu perliły się na jej szczupłych ramionach, zgrabnych nogach i płaskim, muskularnym brzuchu.

Jacht zakotwiczone pięć kilometrów od wybrzeża Bermudów. Znajdowała się na nim siedmioosobowa załoga - kelner, kucharz, niania i czterech uzbrojonych ochroniarzy. Nianię sprowadzono do opieki nad ośmioletnią córką Carneya z poprzedniego małżeństwa. Dziewczynka, Alicia, bawiła się na białym ręczniku po lewej stronie Lucii, ubrana w kostium kąpielowy w grochy i otoczona armią lalek Barbie.

Gerald Carney ze skrzyżowanymi nogami siedział naprzeciwko żony. Biała koszula zwisała nad jego pulchnym brzuchem. Carney miał sześćdziesiąt jeden lat i był emerytowanym bankowym doradcą inwestycyjnym. Uwielbiał pieniądze i potrafił być dyskretny. Poznał Lucie na wiosnę 1980 roku, gdy przyszła do jego biura na Manhattanie, by dowiedzieć się, jak najlepiej ukryć swoje finansowe machinacje. Wiedział, że zajmowała się narkotykami, i słyszał pogłoski o tym, że przyczyniła się do zejścia poprzednich mężów. Jednakże przez czterdzieści lat inwestowania, prania pieniędzy i ukrywania prawdziwych dochodów Gerald Carney miał do czynienia z różnymi ludźmi. Niegodziwi klienci uczynili z niego bardzo bogatego człowieka.

Carney i Lucia szybko przenieśli się z rozmowami o interesach do pobliskiego baru, a po paru tygodniach do sypialni w penthousie Geralda na Park Avenue. Pobrali się w to samo



dżdżyste popołudnie, w które uprawomocnił się rozwód Carneya z pewną damą z East Side. Zdecydowali, że będą prowadzili osobne domy. Lucia wolała pracować w swoich bazach w Miami i Sedonie, a Carney krążył między Manhattanem a Los Angeles. Zadawał żonie niewiele pytań dotyczących jej interesów, ona nie zadawała mu żadnych. Ufała mu jednak we wszystkich sprawach finansowych. W niespełna rok Gerald niemal podwoił jej ukryty majątek sięgający pięciu milionów dolarów. Nowy mąż nigdy nie poznał żadnego z jej partnerów w interesach, a przy tych rzadkich okazjach, gdy oboje przebywali w tym samym mieście, Lucia nie odgrywała roli gospodyni. Ich małżeństwo polegało na wspólnocie interesów, w której od czasu do czasu było miejsce na chwile namiętności.

Właśnie o takim związku Lucia zawsze marzyła.

Bajka stała się rzeczywistością.

Kręgielnię Cross Bay zamknięto już na noc. Zewnętrzne światła były przygaszone, a drzwi zaryglowane. Wewnątrz wielkie logo Budweisera rzucało zielony cień na tory. Wszystkie, oprócz jednego, spowijał mrok. Z szafy grającej dobiegały dźwięki utworu Ry Coodera.

Jimmy Ryan pochylił się nad wielką kulą do kręgli, którą trzymał w dłoni. Jego stopy mocno przylegały do podłoża. Zrobił trzy kroki naprzód, zamachnął się kulą i płynnym ruchem lewej ręki posłał ją na tor. Przykucnął, gdy kula odbiła się od drewna i pomknęła ku kręglom, przewracając osiem i omijając jedynie trzeci i czwarty. Ryan powoli podszedł do tablicy rozgrywek, pociągnął z butelki Amstela i znieruchomiał, napawając się ciszą swojej kręgielni.

Kupił udziały w tym lokalu trzy miesiące przed strzelaniną i został pełnoprawnym współnikiem dwóch emerytowanych strażaków z Ozone Park. Dochód z kręgielni plus renta pozwoliły Kręglowi na dostatnie życie i zamieszkanie w spokojnej okolicy, tak jak tego zawsze pragnął. Poza tym, mógł grać w kręgle siedem dni w tygodniu, i to bez uszczuplania zawartości kieszeni. Nie miał żony ani rodziny, lecz tak wiele lat spędził w samotności, że brak bliskich więzów z ludźmi nie wydawał mu się już istotny. Otaczało go mnóstwo przyjaciół, z których większość, podobnie jak on sam, była miłośnikami kręgli. W przeciwieństwie do innych policjantów - inwalidów, których od czasu do czasu spotykał, Kręgiel nie tęsknił za pracą. Czasami, gdy go wzywano, nadal zakładał podsłuch dla wydziału, zadowolony, że odniesione obrażenia nie pozbawiły go dawnych zdolności.

Wyjął kulę z podajnika, zajął pozycję i strącił pozostałe dwa kręgle. Po zapisaniu rezultatu otwarcia wziął głęboki oddech, wdychając z lubością zapach starej kręgielni, i rozejrzał się dookoła. Patrzył na rzędy kul, lśniących w świetle neonu Budweisera. Za

Kręglem wisały zniszczone buty do gry, jedne brzydsze od drugich. Powieszono je tam w dwunastu rzędach, w zależności od rozmiaru i stopnia zużycia. Kręgiel uwielbiał przebywać w tym miejscu, zwłaszcza gdy było ciemne i puste i gdy miał dwanaście torów tylko dla siebie.

Kręgielnia była jego domem, miejscem, gdzie mógł się schronić i rzucać kulą wystarczająco długo, by wymazać z pamięci wszystkie miejsca, w których był, i wszystkie twarze, o których chciał zapomnieć.

Ale najbardziej potrzebny był jako policjant.

Skoro Kręgiel nie mógł już dłużej wypełniać wielkiej pustki jako członek wydziału, mógł to zrobić jako jeden z Apaczów. Byłby ich siatką ochronną, zakładałby podsłuch w ukrytych miejscach. Brakujący od lat kawałek układanki w jego życiu teraz trafiłby na na swojej miejsce.

Po trzech grach, jednym piwie i dwóch kawach Kręgiel zdecydował się przyłączyć do zespołu policjantów - inwalidów. Postanowił, że będzie zakładał podsłuch, aby pomóc Apaczom dorwać Lucie Carney. Zignoruje swój strach przed bronią i skryje się za tarczą elektronicznych urządzeń podsłuchowych.

Te trzy gry były najlepsze, odkąd Kręgiel przeszedł na rentę. Najlepsze, odkąd zaczął rzucać lewą, a nie prawą ręką.

Grzmot siedział naprzeciwko szarego metalowego biurka, wypełnionego książkami, teczkami i gazetami. Trzymał ręce w kieszeniach i żuł spory kawałek miętowej gumy, obserwując, jak doktor Carolyn Bartlett sięga do swojej aktówki i wyciąga z niej zniszczoną szarą teczkę z wypisanym czarnym długopisem nazwiskiem Jennifer Santori. Kobieta położyła ją na kupce sześciu podobnych teczek, otworzyła, przebiegła wzrokiem pierwszą kartkę, po czym odchyliła się na zniszczonym obrotowym fotelu. Popatrzyła na Grzmota zmęczonym wzrokiem, a na jej twarzy pojawiło się napięcie.

- Doceniam to, że pan przyszedł. - W głosie lekarki zabrzmiało zmęczenie.

- Byłem w okolicy - odparł niedbale Grzmot i opanował pokusę, żeby zrobić balona z gumy. - W sądzie spotkam się z rodzicami Jenny. Obejrzę sobie proces tego sukinsyna.

- Wiem - powiedziała doktor Bartlett. - Mówili mi.

- Kiedy pani z nimi rozmawiała? - Grzmot wyprostował się na krześle, a w jego policyjnym umyśle zabłysło czerwone światelko.

- Zadzwońłam do niech wczoraj wieczorem. - Umalowanym paznokciem lekarka wskazała brązową kanapę i stół do kawy obok Grzmota. - Zazwyczaj nie piję, panie Frontieri. Żeby do nich zadzwonić, musiałam się jednak napić.

- Proszę mi mówić „Grzmot”. - Wyciągnął ręce z kieszeni i popatrzył na dwa puste kubki do kawy, kieliszek do wina i na wpół opróżnioną butelkę ciepłego chardonnay. Poduszki na kanapie były pogniecione, a w rogu leżał cienki, zrolowany koc. - To chyba musiał być trudny telefon. Wygląda na to, że spędziłaś tu całą noc.

- Potrzebuję twojej pomocy - powiedziała Carolyn.-Jeśli i ty będziesz się sprzeciwiał, to tylko utrudni życie nam wszystkim.

- Nie wiem, o co ci chodzi, ale to mi się pewnie nie spodoba, prawda?

- Nie. - Potrząsnęła głową i popatrzyła mu w oczy. - Nie spodoba ci się i znienawidzisz mnie za to, że to robię. Zaryzykuję jednak, bo w grę wchodzi życie tej dziewczynki.

- Też musisz się napić, zanim mi to powiesz? - zapytał Grzmot.

- Poprosiłam kancelarię prokuratora okręgowego, żeby zrezygnowali z oskarżenia Malcoma Junipera - powiedziała Carolyn najbardziej stanowczym głosem, na jaki było ją stać.

- Dlaczego? - Grzmot nawet nie drgnął, starając się opanować emocje.

- Żeby go skazać, musieliby wezwać Jennifer na świadka - odparła Carolyn. - Nie mogę na to pozwolić.

- Dlaczego nie?

- W chwili obecnej trzeba wielu lat - lat terapii - zanim Jennifer znajdzie się w takim stanie, by mogła żyć ze wspomnieniem tego, co się stało. Jeśli pozwolę jej zeznawać, zgodzę się na to, żeby zaatakowali ją jego adwokaci, zmusili, aby jeszcze raz przeżyła każdy najmniejszy szczegół; gwarantuję ci, że przez resztę życia będzie jedynie warzywem. Nie mogłabym żyć z tą świadomością. Mam nadzieję, że ty także.

Grzmot zachował spokój, ale jego ręce zacisnęły się w pięści, a w oczach pojawił się gniew.

- A co z Malcolmem? - spytał. - Jeśli Jennifer nie będzie zeznawać, on wróci na ulicę i znowu to zrobi. Jakiejś innej dziewczynce. Będziesz mogła żyć z tą świadomością?

- Żyję z nią codziennie, odkąd znalazłam się w tej cholernej pracy. - W głosie Carolyn brzmiała frustracja. - Pomagałam składać do kupy zbyt wiele takich Jenny. Musiałam też siedzieć i patrzeć, jak zbyt wielu Malcolmów wychodziło z sądu jako wolni ludzie.

- Czego chcesz ode mnie?

- Porozmawiaj z jej rodziną - powiedziała Carolyn. - Przekonaj ich, że powinni to zrobić dla swojego dziecka. Jeśli chcą, abym jej nadal pomagała, muszą to zrobić.

Grzmot odetchnął głęboko i przejechał ręką po twarzy. Przypomnił sobie pólżywą Jennifer, pobitą i zakrwawioną, przykutą do rury od kaloryfera.

- Przez wszystkie lata pracy miałem szczęście - powiedział cicho. - Zazwyczaj widywałem jedynie złych facetów. Ścigałem ich, ile wlezie, bo wiedziałem, że za każdym takim złym facetem kryje się niewinna ofiara. Kiedy więc chwytałem złego, w ten sposób pomagałem ofierze.

- Wciąż pomagasz ofierze - odezwała się ze współczuciem Carolyn. - Bardziej niż myślisz.

- Teraz pomagamy też Malcolmowi - stwierdził Grzmot. - Bardziej niż myślisz.

- Wolisz, żebym pozwoliła Jenny zeznawać? - spytała Carolyn. - Wolałbyś, żeby jeszcze bardziej ją torturowano tylko po to, żeby go skazać?

Grzmot pochylił głowę i wbił wzrok w cienkie, wystrzępione włókna wykładziny.

- Nie - odparł niemal szeptem. - Nie chcę, żeby dalej krzywdzili tę małą.

- Więc porozmawiaj z jej rodzicami - powiedziała Carolyn. - Możesz im powiedzieć to, czego ja nie mogę.

- Ojciec Jenny przyszedł do mnie, bo wiedział coś, czego ja nie wiedziałem - odezwał się Grzmot.

- Co?

- Wiedział, że dorwę Malcoma i ocalę jego dziecko.

- I dorwałeś go - powiedziała Carolyn. - Ty i twój partner ocaliliście życie dziewczynce. Nie zapomnij o tym.

- Możliwe. - Grzmot wstał i zapiął kurtkę. - Ale popełniliśmy jeden błąd. Fatalny błąd.

- Jaki? - Carolyn także wstała i wyciągnęła rękę.

- Zostawiliśmy go przy życiu - powiedział Grzmot. Potrząsnął dłonią Carolyn Bartlett, odwrócił się i powoli wyszedł z gabinetu.

Snajper skoczył pod tablicę, cofnął się o krok i patrzył, jak piłka wpada do kosza. Jego syn, Eddie, ruszył w kierunku piłki, złapał ją obiema rękami i odrzucił ojcu.

- Twoja kolej - powiedział z uśmiechem Eddiemu. - Rzucaj.

Eddie, który miesiąc wcześniej skończył trzy lata, dwukrotnie odbił piłkę o beton, po czym potknął się, wyciągnął przed siebie ręce i runął na kolana.

- Co ci się stało? - Snajper podniósł synka i otrzepał mu ręce z kurzu.

- Upadłem - wyjaśnił Eddie ze smutną miną i wzruszył ramionami.

- Tak czy owak, gra skończona. - Snajper szybko uściskał syna. - Chyba wiesz, co to oznacza?

- Zwycięzca kupuje lody. - Na twarz Eddiego powrócił uśmiech.

- Nie pamiętam, kto wygrał-powiedział Snajper. - A ty?

- Nie liczyłem, tato - zachichotał mały. - Ty liczyłeś.

- Wygląda na to, że znowu ja stawiam - westchnął Snajper i usadowił synka w zgięciu ramienia, wolną ręką kozłując piłkę. Wyszli z ogrodzonego boiska i ruszyli w kierunku budki z lodami, zaparkowanej na rogu ulicy.

Kupili podwójne lody waniliowe, po czym usiedli tyłem do czarnego muru boiska, wyciągnęli nogi i wystawili twarze ku słońcu. Eddie brudził sobie brodę i policzki i co jakiś czas przykładał do twarzy zwinięty plik serwetek. Teren dookoła był cichy i pusty, jedynie dwaj pijaczkowie odsypiali noc na ławkach po prawej stronie.

- Mama się wścieka? - spytał Eddie, patrząc z napięciem na rozpuszczające się lody.

- Tak - odparł Snajper. - Wścieka się na mnie.

- Dlaczego?

- Nie chce, żebym zrobił pewną rzecz.

- Dlaczego?

Snajper popatrzył na wymorusanego lodami syna, na jego niewinną, słodką twarzyczkę i płonące ciekawością oczy. Wyciągnął rękę, podniósł małego i wytarł lody z jego buzi. Następnie usadowił synka między nogami i oparł jego głowę o swoją pierś.

- Jaką pracę ma tatuś? - zapytał i pocałował Eddiego w czubek głowy.

- Wpuszczasz ludzi do budynków - odparł chłopiec, patrząc na niego. - Prawda?

- Jestem portierem - przytaknął Snajper.

- Przedtem byłeś policjantem. Mama mówi, że sławnym.

- Nie byłem sławny - sprostował Snajper. - Byłem dobry. To co innego.

- Mama mówi, że nie lubisz otwierać drzwi. Dlatego się na ciebie wścieka?

- Portierowanie to przyzwoite zajęcie. - Snajper popatrzył na park, na huśtawki i zjeżdżalnie, i dalej, na zatłoczone samochody zmierzające w kierunku Manhattanu. - Tyle że nie dla mnie.

- Mama mówi, że znowu chcesz być policjantem.

- I dlatego się wścieka - wyjaśnił mu Snajper. - Boi się, że mnie zastrzelą.

Eddie podskoczył na kolanach ojca i odwrócił się do niego.

- Nie chcę, żebyś umarł, tatusiu. - W jego głosie słychać było lęk.

Snajper objął obiema rękami twarzyczkę syna i patrzył na niego przez kilka sekund, żałując, że nie potrafi odgonić tego strachu.

- Chcę, żebyś był ze mnie dumny - powiedział. - Tak, jak ja jestem dumny z ciebie. Kiedy dorośniesz, chcę, żebyś robił to, co podpowiada ci serce. Przede wszystkim musisz robić to, co czujesz. Dowiesz się, co to jest; wcześniej czy później, ale na pewno się dowiesz. Tak jak ja się dowiedziałem. Wtedy mnie postrzelili i to utraciłem.

- Mama mówi, że ty i wujek Grzmot macie źle w głowach - stwierdził Eddie.

- Mama ma rację. - Snajper uśmiechnął się do syna. - Mamy źle w głowach. Ale w dobry sposób. Tacy ludzie są czasem potrzebni.

- A czy źli ludzie też mają źle w głowach?

- Zawsze - zapewnił go ojciec. - Dlatego robią to, co robią. I czasem tacy jak ja i wujek Grzmot muszą ich powstrzymać.

- Znowu będziesz policjantem? - spytał mały.

- Nigdy nie przestałem nim być. - Snajper oparł plecy syna o swój tors. - Ale nie zacznę być policjantem, zanim się nie upewnię, że nie masz nic przeciwko temu. Zanim nie będę wiedział, że mnie wesprzesz. Wszyscy dobrzy policjanci potrzebują wsparcia. I właśnie o to cię proszę.

- Dostanę odznakę? - spytał Eddie, podnosząc głowę.

- Nawet lepiej. - Snajper sięgnął do kieszeni kurtki i wyciągnął z niej skórzane pudełeczko, wewnątrz którego leżała kopia złotej odznaki detektywa. - Zrobiłem ci kopię własnej odznaki. Teraz jesteś moim partnerem.

- Wujek Grzmot jest twoim partnerem. - Eddie wziął odznakę od ojca, a jego oczy rozszerzyły się z zachwytu.

- Wujek Grzmot jest moim przyjacielem - odparł Snajper. - Poza tym ty nie masz tylu nałogów. No i jak będzie? Wchodzisz w to? Będziesz mnie krył?

- Tak, tatusiu. - Eddie zarzucił ramiona na szyję ojca

I uściskał go mocno. W prawej ręczce ścisnął odznakę ojca.

Snajper przytulił syna i oparł głowę na jego ramieniu.

Siedzieli nieruchomo w chłodnym wietrze poranka, tyłem do pobazgranego sprayem muru, otoczeni przez nagie drzewa, nieruchome huśtawki, śpiących pijaków i zatłoczone ulice.

W sali sądowej panowała ponura cisza. Policjanci sądowi ze skrzyżowanymi ramionami stali tyłem do niewielkiej grupki oczekujących nawyrokludzi. Sędzia Geraldine Waldstein, szczupła kobieta o ciemnych, gęstych włosach i ostrych rysach twarzy popatrzyła na oskarżonego. Malcolm Juniper siedział na drewnianym krześle, ubrany w swój jedyny garnitur z szarego, sztucznego jedwabiu, białą koszulę i cienki czarny krawat. Adwokat

Malcolma, Jerry Spiegelman, zajął miejsce obok swojego klienta i wpatrywał się w otwartą teczkę.

Grzmot usiadł w trzecim rzędzie, tuż za rodzicami Jennifer, Carlem i Annę. Snajper zdecydował się poczekać na zewnątrz. Jak większość policjantów, źle się czuł w sali sądowej. Była to jedna z nielicznych wspólnych cech ludzi stojących po obu stronach prawa. Grzmot wbił spojrzenie w tył głowy Malcolma, ale myśli policjanta błądziły zupełnie gdzie indziej. Znow widział się w mundurze, gdy jako nowicjusz chodził po Harlemie wraz ze swym mentorem, Żelaznym Mikiem Tragattim. Dzień w dzień Tragatti wbijał Grzmotowi do głowy najważniejszą, jego zdaniem, lekcję.

- Widzisz tych ludzi? - pytał Żelazny Mike, wskazując pałką kupców z Harlemu, otwierających sklepy i przygotowujących się do obsłużenia klientów. - To ci, których mamy bronić. Oni są dobrzy. Żli to ci, którzy im kradną. Tych zamykamy. Sądy nazywają to sprawiedliwością. Ludzie nazywają to bezpieczeństwem. My nazywamy to naszą pracą. Proste.

Przez dwa dziesięciolecia Grzmot Frontieri wierzył w te słowa. Wierzył w nie, gdyż kiedyś były prawdziwe. Teraz to się skończyło. Nie mogły być prawdą, gdy siedział w sądzie i wpatrywał się bezradnie w matkę i ojca, którzy trzymali się za ręce i płakali, słuchając słów sędziny, matki dwójki dzieci.

Słów, dzięki którym oprawca ich córki miał się znaleźć na wolności.

Sędzia Waldstein wysławiała się krótko i bezpośrednio. Wcześniej, za zamkniętymi drzwiami, dała upust swojej złości i frustracji.

- Nic więcej pan nie ma? - zapytała Kevina Gilberta, przydzielonego do sprawy zastępcy prokuratora okręgowego.

- Nie bez dziewczynki, Wysoki Sądzie - przyznał Gilbert. - Bez niej mam tylko dwóch byłych policjantów, którzy w ogóle nie powinni tam być i gapić się na jednego trupa i jednego golasa.

- Ma pan zeznania doktor Bartlett - przypomniała mu Waldstein. - I zdjęcia z miejsca przestępstwa.

- To wszystko jest zbyt zimne i bezosobowe - powiedział Gilbert. - Ława przysięgłych powinna zobaczyć Jennifer. Tylko w ten sposób uzyskam wyrok skazujący.

- Tracimy czas - zauważył Jerry Spiegelman. - Pora wypuścić niewinnego człowieka na wolność.

- Ja o tym zadecyduję, mecenasie - syknęła sędzia Waldstein.

W sali sądowej sędzia Waldstein skrywała gniew za maską chłodu. Jej oczy były wilgotne i pełne napięcia, gdy ogłosiła wyrok, który zniweczył spokój wszystkich.

- Oddalam sprawę - powiedziała ze smutkiem. Malcolm Juniper uderzył otwartą dłonią o blat zniszczonego stołu. Jerry Spieglman zamknął teczkę i wrzucił ją do brudnego plecaka.

Annę Santori pochyliła głowę i ukryła twarz w dłoniach, po czym zaszlochała cicho.

Carlo Santori odwrócił się i popatrzył na Grzmota Frontierie-go. Było to spojrzenie człowieka, który przegrał.

Grzmot wziął głęboki oddech, wstał i odwrócił się plecami do wymiaru sprawiedliwości, przysięgając sobie, że jego noga nigdy już nie postanie w sądzie.

Malcolm Juniper zbiegał radośnie po zniszczonych betonowych schodach budynku Sądu Kryminalnego na Manhattanie. Przeskakiwał po dwa stopnie na raz. Nagle zatrzymał się, gdy zauważył Grzmota i Snajpera, którzy czekali na niego na chodniku, wygrzewając plecy w promieniach zimowego słońca.

Malcolm uśmiechnął się jeszcze szerzej i zaczął schodzić znacznie wolniej. Odwrócił się tyłem do obu mężczyzn i wiatru. Z kieszeni marynarki wyciągnął papierosa, przypalił go tanią plastikową zapalniczką i przygryzł zębami. W kąciu jego ust pojawił się dym, nie przysłonił jednak szyderczego uśmiechu pod adresem dwóch byłych gliniarzy, którzy wychodzili ze skóry, żeby go wsadzić do więzienia.

- Szukacie innych niewinnych ludzi? - spytał Malcolm. - Czy też chcecie mnie przeprosić?

- Wypuścili cię sędzia i prokurator - powiedział Grzmot, patrząc wprost na Malcolma.

- Ja nie. \*

- Jestem wolny od dwóch minut, a wy, frajerzy, zaczynacie mnie prześladować. - Malcolm rzucił papierosa na ziemię, zaledwie parę centymetrów od brązowego buta Snajpera.

- Mój adwokat nie pozwoli na to gównu. - Odwrócił się, szukając wzrokiem mężczyzny o gęstych włosach i twarzy upstrzonej krostami, wągrami i bliznami po trądziku. - Prawda, Jerry?

Jerry Spieglman zrobił krok do przodu, mniej skory do konfrontacji z Grzmotem i Strzelcem. Był niskiej klasy adwokatem i zaczynał karierę od spraw z samego dna półświatka.

- Nie ma potrzeby niepokoić mojego klienta - powiedział. - Sąd oczyścił go z zarzutów.

- Są na to lekarstwa. - Snajper wskazał palcem pooraną twarz Jerry'ego. - Jeśli nic z tym nie zrobisz, trędowaci ustąpią ci pola.



- Jedynym powodem, dla którego nie wniesiemy przeciwko wam oskarżenia, jest to, że mój klient chce mieć to za sobą - ciągnął Jerry, bezskutecznie starając się, aby zabrzmiało to groźnie. - Jeśli jednak będziecie tak postępować, zmusicie nas do tego.

- Powiem to grzecznie - wtrącił ze swadą Malcolm. - Chuchnijcie tylko koło mnie, a to wy wylądujecie w kajdankach. Rozumiecie, gliniarze? A może te kule, które was trafiły, rozpieprzyły wam słuch?

- Poza tym i tak macie dość kłopotów - dodał Jerry nieco pewniej, wierząc, że jednak nie grozi mu fizyczne niebezpieczeństwo. - Więcej wam nie trzeba. Z pewnością nie z naszej strony.

- Co masz na myśli? - spytał z zainteresowaniem Grzmot.

- Jak to mamy dość kłopotów?

- Zostaliście pozwani w procesie z powództwa cywilnego - oznajmił rzeczowym tonem Jerry. - Razem w komendą policji, rodziną Santorich i Miastem Nowy Jork. Malcolma aresztowano bez żadnej przyczyny. Ktoś musi za to zapłacić.

- Ty wniosłeś pozew? - spytał z niedowierzaniem Snajper. - Ty?

- Zgadza się, kalekie, pierdołowate matoly. - Malcolm zapalił kolejnego papierosa. - I wcale nie chcę was widzieć za kratkami. Nic by mi to nie dało. Chcę, żebyście tkwili na ulicy, zaharowy wali się na śmierć i oddawali mi ciężko zarobioną forszę. To was zeżre, zabije szybciej niż jakikolwiek pistolet.

Jerry stał pomiędzy Grzmotem a Malcolmem i nerwowo przekładał plecak z jednej ręki do drugiej. Grzmot zrobił dwa kroki do przodu i położył rękę na ramieniu adwokata.

- Chcę zamienić słowo z twoim klientem - powiedział, mocno zaciskając palce na marynarce Jerry'ego. - Na osobności. Wiem, że nie masz nic przeciwko temu. Nie myślę się, prawda?

- To rozsądna propozycja - odparł Jerry, rzucając szybkie spojrzenie na Malcolma. - Nawet ty nie jesteś na tyle stuknięty, żeby spróbować coś zrobić na oczach tych wszystkich przechodniów.

- Dookoła widzę tylko kurwy i pazernych adwokatów - powiedział Snajper, zaglądając w twarze mijających ich ludzi. - - To nie Watykan.

- Jeśli będę ci potrzebny, znajdziesz mnie przy skrzynce na listy - powiedział Jerry do Malcolma, po czym opuścił głowę i powoli odszedł.

- Potrzebowałem cię w środku, Jerry - odparł Malcolm i podszedł bliżej do Grzmota. Zaciągnął się papierosem i wydmuchał dym wprost na twarz policjanta. - Nie tutaj. Nie z tymi kalekimi ćwokami. Mam ich w dupie.

Grzmot zignorował dym i zbliżył się jeszcze bardziej do Malcolma, tak że czuł jego oddech, śmierdzący nikotyną i przetrawioną kawą, i widział drobinki marihuany na jego dolnych zębach.

- Sąd może przyznać ci wszystkie moje pieniądze - powiedział niskim, pełnym napięcia głosem. - Mogą ci dać każdego centa. Wydasz je sobie, na co tylko będziesz chciał. Postawisz je na coś, kupisz narkotyki, przepieprzysz. Gównu mnie to obchodzi. Pójdiesz swoją drogą, ja swoją i będziemy sobie żyli. Ale spróbuj tylko jeszcze raz tknąć tę dziewczynkę albo zabrać cokolwiek jej rodzinie, azabiję cię w taki sposób, o jakim jeszcze nie słyszałeś.

Oczy Malcolma rozszerzyły się w fałszywym zdumieniu.

- Czyżbyś mi groził, kaleko? - spytał.

- Nie. - Grzmot nawet nie drgnął. - To nie groźba. To obietnica.

Nunzio nalał Grzmotowi i Snajperowi drugą kolejkę amaretto z lodem, po czym położył sobie butelkę na kolanach.

- On skarży-powtarzał Snajper.-Ten skurwysyn skarży miasto!

- A miasto się z nim ułoży, to pewne. - Nunzio ze smutkiem pokiwał głową. - Utrzymają to w tajemnicy, ale na pewno będą chcieli go spławić. Najlepiej to zrobić, wręczając mu czek i prosząc, żeby sobie poszedł.

- Żaden człowiek nigdy nie patrzył na mnie w taki sposób, jak dziś ojciec Jenny. - Grzmot ścisnął kieliszek. - Wszystko było na jego twarzy. Wszystko, co przeszedł ten dzieciak, spoglądało na mnie.

- Zrobiłeś, co do ciebie należało - powiedział Nunzio. - Obaj zrobiliście. Ale więcej ludzi maczało palce w tej sprawie. Nad tym nie macie kontroli. Możecie z tym żyć albo o tym zapomnieć. Tak czy owak, już po wszystkim.

Grzmot nic nie odpowiedział, tylko wstał i powędrował w kierunku baru. Z dużego lustra, wiszącego nad baterią butelek z alkoholami, spojrzała na niego zmęczona twarz.

- On wygrał, a my przegraliśmy - zauważył Snajper. - A kiedy dostanie czek, przegramy ponownie. Każdego dnia życia będzie wygrywał.

- Faceci tacy jak Malcolm nie żyją zbyt długo - powiedział z powagą Nunzio. - Przytrafiają się im różne rzeczy. Niewiele trzeba. Jedyne telefonu do właściwego człowieka.

Zarówno Grzmot, jak i Snajper milczeli. W lustrze Grzmot napotkał spojrzenie Nunzia i obserwował jego pozbawioną emocji twarz. Rozumiał wagę wypowiedzianych słów. Snajper oderwał wzrok od okna, spojrzał w oczy Grzmota i lekko skinął potakująco głową.

Grzmot odwrócił się od baru i ruszył w kierunku siedzącego na skraju taboretu Nunzia. Zatrzymał się nagle, położył ręce na drewnianym krześle, podniósł je nad głowę i z całej siły rzucił w lustro nad barem. Trafił w sam środek, a potłuczone kawałki szkła, małe i duże, wylądowały na drewnianej podłodze i kontuarze.

- Zapłacę za to, Nunz - powiedział Grzmot z opuszczoną głową i zwieszonymi po bokach rękami.

- Na mój koszt - odparł spokojnie Nunzio. - Policzę ci tylko za krzesło.

Grzmot uniósł głowę i popatrzył na przyjaciela. Oczy policjanta pełne były łez, a twarz zaczerwieniona.

- Muszę iść - oznajmił Nunzio. - Wy możecie zostać tak długo, jak chcecie. Rozwalcie lokal, jeśli to wam poprawi humor.

- Dokąd idziesz? - spytał Grzmot, patrząc na starego mokrymi od łez oczyma.

- Zadzwoń - odparł Nunzio. - Znaleźć właściwego człowieka.

To był ruch, który obaj, Grzmot i Snajper, chcieli wykonać, ale nie mogli, i Nunzio o tym wiedział. Nie mogli zlecić morderstwa, podnieść słuchawki, wyszeptać nazwiska i w ten sposób pozbyć się wroga. Nawet tak odrażającego jak Malcolm Juniper. Byli twardymi gliniarzami, ale nie bezlitosnymi. Dlatego potrzebowali Nunzia w swoim zespole. On już wykonywał takie telefony. Dorastał w mrocznym świecie swojego ojca, gdzie skinienie głową lub błysk światła oznaczał koniec czyjegoś życia. Nunzio wiedział, że ci po drugiej stronie kuli rzadko byli niewinnymi ludźmi, których można by oszczędzić. Już w młodym wieku nauczył się, że każdy taki telefon dotyczył kogoś, kto miał umrzeć.

Nunzio zatrzymał się na rogu Dziewięćdziesiątej Szóstej Ulicy i Amsterdam. Wszedł do budki telefonicznej, wziął słuchawkę do ręki, wrzucił drobne do otworu na monety i wystukał numer.

Mineły trzy dzwonki, zanim podniesiono słuchawkę.

- Tak? - odezwał się głos po drugiej stronie.

- Malcolm Juniper-powiedział Nunzio.-Dziś wieczorem. Odwiesił słuchawkę i przeszedł przez ulice, kierując się do kiosku na rogu, żeby kupić popołudniówkę. Owiewało go zimne, rześkie powietrze, nucił pod nosem jakąś chwytną melodię. Telefon był już tylko wspomnieniem.

Malcolm Juniper potknął się, gdy włożył rękę do kieszeni spodni, szukając klucza do wynajętego na tę noc pokoju w śródmiejskim hotelu.

Ten pokój był prezentem od Jerry'ego, podarunkiem za zwycięstwo dnia. Adwokat nawet dorzucił Malcolmowi trzy pogniecione banknoty studolarowe na poczet przyszłej

wypłaty. Jerry twierdził, że miasto pójdzie na ugodę i zaproponuje sześciocyfrową, wolną od podatku kwotę, jeśli zgodzą się ustąpić, zachować milczenie i zrezygnować z procesu. Malcolm był jak najbardziej za czekiem na dużą sumę, ale pragnął więcej. Chciał, żeby policja nękała Grzmota i Snajpera, może odebrała im rentę, prześladowała ich i nauczyła rozumu.

Nauczyła tych kalekich gliniarzy, żeby nie porywali się na takiego gracza jak Malcolm Juniper.

Przez ostatnie trzy godziny na ulicy Malcolm pochłonał tyle cracka, że mógł posłać swój mózg na tygodniowe wakacje. Zamówił sobie orientalną dziwkę, która miała pojawić się w jego pokoju za niespełną godzinę. Przezornie poprosił madame o kogoś drobnego, niedużego i chętnego do ostrej zabawy.

Malcolm miał ochotę pobalować.

Wyciągnął w końcu klucz i drżącą ręką wsunął go do zamka. Otworzył drzwi prowadzące do pogrążonego w ciemnościach, jednoosobowego pokoju i wszedł do środka, prawą ręką obmacując ścianę w poszukiwaniu wyłącznika światła. Przytrzymał otwarte drzwi stopą, żeby lampa z korytarza oświetlała wnętrze.

Stał na drżących nogach i wpatrywał się w czarną pustkę hotelowego pokoju. Po chwili głęboko odetchnął i parsknął krótkim śmiechem. Ciepło cracka, który krążył w jego ciele, połączone ze słodkim zapachem pełnego kwiatów pokoju, pomogło mu się pozbyć całego napięcia i złości. Udało mu się. Był szczęśliwy, a za kilka tygodni miał się stać bogaty.

Życie nieźle się zapowiadało.

Z cienia w korytarzu wyszedł mężczyzna i stanął tuż za Malcolmem Juniperem. Poruszał się płynnie, a ubrany był cały na czarno, od kapelusza, który skrywał jego czoło i oczy, aż po buty, które wyciszały jego kroki. Stał za Malcolmem i rozglądał się po korytarzu - mroczne widmo, bez świadków wypełniające swą misję.

Mężczyzna przycisnął zimny metal tłumika do karku Malcolma. Ciało handlarza wygięło się i zeszywniało. Nieznajomy położył dłoń w rękawiczce na plecach Malcolma i popchnął go do pokoju. Nie padły żadne słowa, nie posypały się oskarżenia, gdyż obaj mężczyźni rozumieli cel tej wizyty.

Nie będzie żadnego balowania.

Nie będzie czego oblewać. Nie będzie dziwki do pieszczot i dręczenia przez całą noc. Nie będzie wielkich pieniędzy. Ani niewinnej krwi do przelania.

Podróż Malcolma dobiegła końca.

Mężczyzna w czerni zamknął drzwi i przekręcił zamek. Szczęk przeładowywanej broni sprawił, że powieki Malcolma zatrzepotały.

Teraz była to tylko kwestia czasu.

### KSIĘGA TRZECIA

Uderzcie dla mnie w werble tragedii. Uderzcie w werble tragedii i śmierci, I niechaj jak burza zadźwięczy pieśń chóru, By moje ostatnie zagłuszyć westchnienie.

Uderzcie dla mnie w werble tragedii, Niech białe skrzypce zagrają jęklawie, Lecz jeden dźwięk trąbki, jasny jak słońce Niech pomknie wraz ze mną w mrok, w którym ginę.

Langston Hughes. Purpurowa fantazja (tłum. Leszek Kwiatkowski)

14. Siedemnasty kwietnia 1982

Czteropokojowe mieszkanie na drugim piętrze wychodziło na wąską, cichą i spokojną uliczkę w Queens. Liście wciąż lśniły od popołudniowego deszczu. Po obu stronach uliczki ciasno parkowały samochody z włączonym alarmem i skreconymi w stronę chodnika kołami. Tylko dwa auta, stojące naprzeciwko budynku, nie były puste. \*

W pierwszym, czarnym czterodrzwiowym buicku „LeSabre” z zasuniętymi szybami siedział wyprostowany mężczyzna i palił cienkie cygaro. Co jakiś czas zerkał na zegarek i sprawdzał, czy pistolet kaliber dziewięć milimetrów, wepchnięty w siedzenie obok, znajduje się na swoim miejscu. Mężczyzna był poirytowany, przejmował się tym, że ludzie w mieszkaniu zostawili mu niewielki margines błędu. Nerwowo żuł cygaro, a unoszący się dym wypełniał wnętrze samochodu. Kierowca niedawno przybył do tego kraju, i dopiero co zabrał się do pracy, która mogła zakończyć się kulką w głowie albo długim wyrokiem więzienia w stanie, którego nazwy nawet nie potrafiłby wymówić.

Pieniądze sprawiły, że warto było zaryzykować.

Trzysta dolarów gotówką za zawieszenie mrówki na lotnisko, kolejne dwieście za zatankowanie i oczekiwanie na parkingu na kolejnego pasażera, i jeszcze trzysta za powrót do miejsca wyjazdu. Osiemset dolarów w niespełna cztery godziny, trzy razy w tygodniu. Plus tysiąc dolarów, które zarabiał w warsztacie samochodowym na Long Island. Tak Gregor Stavlav, przebywający od niespełna trzech miesięcy w Stanach i poszukiwany w rodzinnej Grecji, wylądował w środku amerykańskiego marzenia.

Samochód zabuickiem był wgnieciony, zardzewiały i brudny. Gregor zerknął na to auto w lusterku i natychmiast o nim zapomniał. Czymś takim mógł jeździć student albo drobny złodziej, który lata świetności miał już za sobą. Człowiek z pieniędzmi nie wsiadłby do takiego wozu, a już na pewno nie trzymałby go na własność.

No i z pewnością nie był to samochód policyjny.

Tyle wiedział Gregor, a szczylił się znajomością aut i ludzi, którzy nimi jeździli.

Dałby za to głowę.

Wielebny Jim kochał swojego siedmioletniego AMC gremlin-a, uwielbiał go prowadzić, lubił nawet jego wygląd. Był bardzo dumny ze skórzanej tapicerki wykonanej na zamówienie - z obniżką - przez przyjaciela z Washington Heights i wcale nie przejmował się zrujnowanym wyglądem karoserii. Dla niego to było idealne auto.

Leżał teraz, rozciągnięty na przednim siedzeniu, z głową na oparciu na drzwiach, a butami na drzwiach po stronie pasażera i z dwiema policyjnymi trzydziestkami ósemkami na piersi. Włożył do magnetofonu kasetę Cliftona Cheniera i Zodiac Ramblers i słuchał, wyjątkowo cicho, jak śpiewali The Things I did for You. Wielebny Jim zamknął oczy i kilka razy głęboko odetchnął.

Nie miał pewności, czy jest gotowy na to, co zaplanowali Apacze. To była pierwsza jego akcja od czasu, gdy omal nie spłonął, i choć ogarnął go strach, tym razem nie poczuł przyływu adrenaliny. Wiedział, że inni członkowie grupy są w pobliżu, na swoich pozycjach, gotowi do ataku, a każdy z nich przeżywa najprawdopodobniej emocjonalne rozterki, podobne do tych, które szalały w nim samym. Wiedział, że wszyscy gliniarze wahają się przed przystąpieniem do akcji, ale z niezrozumiałych dla siebie powodów czuł się nieswojo.

Wielebny Jim zawsze uwielbiał przyływ emocji związany z wkraczaniem do akcji na ślepo, z niepewnością, czy pojawi się cel lub czy nadciągną posiłki. To stanowiło część gry, w której ryzyko było równie ważne co zwycięstwo. Zamiast się bać, witał to z radością. Jednakże nie tym razem.

Leżąc obok kierownicy w starym gremlinie, Wielebny Jim zastanawiał się, czy już nie za późno, aby znowu stać się gliną. Czy nie stracił zbyt wiele z tego, co było mu potrzebne.

Sprawdził godzinę na swoim elektronicznym zegarku.

Była dwudziesta pięćdziesiąt sześć.

Za niecałe cztery minuty miał poznać odpowiedź.

Grzmot i Snajper siedzieli po przeciwległych stronach schodków pożarowych, plecami do ściany. Przedzierał ich padający z kuchni snop światła. Obaj mieli na sobie cienkie czarne kurtki ze skóry, grube czarne swetry i czarne rękawiczki. Grzmot trzymał w prawej dłoni rewolwer kaliber.38, a drugi, identyczny, tkwił w tylnej kieszeni jego dżinsów. Snajper miał dwie czterdziestki czwórki w kaburach pod pachami.

Grzmot zerknął do kuchni i ujrzał, że dwaj ludzie Lucii Carney rozmawiają ze sobą podniesionymi głosami. Znał rozkład mieszkania a także personalia obu mężczyzn, z

zapieczętowanej koperty, którą otrzymał tego ranka z Głównej Komendy Policji. Mężczyźni nazywali się Albert i Freddie. W jednym pokoju przebywało niemowlę, które zamierzano wysłać tego wieczoru. Jeśli informacje w kopercie były zgodne z prawdą, teraz miało nastąpić pierwsze poważne uderzenie Apaczów na Lucie Carney.

- Jeszcze dwie minuty. - Snajper zerknął na zegarek, po czym zamknął oczy i oparł głowę na murze z czerwonej cegły.

- Mam nadzieję, że Geronimo nie utracił swoich zdolności - powiedział Grzmot. - Inaczej będzie ciężko.

- To nie o niego się martwię - mruknął Snajper, nie otwierając oczu.

- A o kogo? - spytał Grzmot.

- O siebie.

Geronimo klęczał, trzymając w dłoni krótki zwój drutu. Do drzwi prowadzących do mieszkania przymocowana była spora kula plastiku. Pani Columbo i Kręgiel stali po obu ich stronach, przy samej ścianie, i z bronią gotową do strzału obserwowali klatkę schodową oraz drzwi do innych mieszkań.

- Uda ci się? - spytała pani Columbo i popatrzyła na Geronima, który wkręcał lont w materiał wybuchowy.

- Łatwiej jest je detonować, to pewne - odparł spokojnie Geronimo.

- Jak długo będzie się palił ten lont? - chciał wiedzieć Kręgiel.

- Dziesięć sekund. - Geronimo wyciągnął z kieszeni zapalniczkę i popatrzył na Kręgiela.

- Jeśli prawidłowo to zamontowałem.

- A jeśli nie? - zapytał z niepokojem w głosie Kręgiel. - I nie wybuchnie?

- Wtedy zapukamy - powiedział Geronimo - i zobaczymy, czy nam otworzą.

Drzwi do mieszkania eksplodowały i rozpadły się na sześć dużych części, przy okazji wrywając fragmenty ściany po obu stronach. Gips, kawałki kafelków i tumany kurzu zakotłowały się w wąskim przedpokoju i kuchni. Wybuch bomby zatrzęsł mieszkaniem, a ludzie przy kuchennym zlewie rzucili się szukać kryjówki.

Rozciągnięci na podłodze przy popękanych ścianach i poprzewracanych stołach, mężczyźni szybko się pozbierali i wyciągnęli przed siebie broń.

Grzmot i Snajper drgnęli na odgłos wybuchu, nie ruszyli się jednak ze swoich miejsc na schodkach pożarowych, czekając przez umówione półtorej minuty, aż opadnie dym, a Geronimo, Kręgiel i pani Columbo zajmą dogodne pozycje. Szkło nad nimi pękło, ale nadal widzieli, jak mężczyźni w kuchni zaczynają się przegrupowywać.

- Znowu czujesz się młody? - zapytał Grzmot Snajpera, który właśnie wyciągał broń z kabury.

- Tak młody, że mógłbym się zakochać - odparł Snajper.

Grzmot uniósł jedną ręką ramę kuchennego okna do wysokości pasa, wypuszczając z mieszkania kłęby białego dymu. Przykucnął i wycelował rewolwer w otwarte okno.

- Nadszedł czas, żeby im pokazać, że wróciliśmy - powiedział.

- I przekonać się, czy kogokolwiek to obchodzi - stwierdził Snajper i wszedł za nim do środka.

Wielebny Jim słyszał huk eksplozji i usiadł, czekając, aż Gregor wyskoczy z samochodu. Oba rewolwery wycelował w tył głowy mężczyzny, oczekując, że Gregor wypadnie z auta i co sił w nogach popędzi ku schodom. Gregor jednak nie ruszał się z miejsca i wciąż trzymał w ustach cygaro. Wnętrze samochodu było już całkiem zadymione.

Nawet jeśli wybuch nie zrobił wrażenia na kierowcy, to cztery strzały z broni Alberta sprawiły, że Gregor błyskawicznie się wyprostował. Odkręcił szybę, wystawił głowę i popatrzył w okna mieszkania. Szyja mężczyzny lśniła od potu, usta były całkiem wyschnięte, ale nie dotknął leżącej na siedzeniu pasażera broni. Tego nie było w umowie. Nie uciekł z Grecji po to, żeby go pochowano w Ameryce.

Gregor cofnął głowę z powrotem do samochodu, rzucił cygaro na chodnik, zamknął okno, przekręcił kluczyki w stacyjce i odjechał z ulicy. Wielebny Jim uśmiechnął się, widząc, jak kierowca znika w mrokach nocy, a następnie z bronią w ręce wyskoczył z gremlina i ruszył ku wejściu do budynku. Po chwili odwrócił się i rozejrzał po ulicy. Wciąż widział tylne światła auta Gregora. Zastanawiał się, czy przerażony kierowca, wielbiciel amerykańskich dolarów, nie postąpił słusznie.

Przynajmniej miał przeżyć tę noc.

Grzmot wytoczył się z okna i wystrzelił dwie kule, które trafiły Freddiego w prawe ramię i klatkę piersiową, i posłały go na podłogę. Snajper wpadł do pomieszczenia tuż za Grzmotem i wyskoczył za Albertem, przystawiając lufy obu pistoletów do jego szyi.

Geronimo i pani Columbo wystrzelili osiem naboju w kierunku dwóch mężczyzn przy zlewie. Trzy kule przeszły kuchenne szafki i utkwiliły w grubych ścianach. Pięć kul trafiło do celu i powaliło mężczyzn na kuchenną posadzkę.

W drzwiach pojawił się Wielebny Jim i z rewolwerem w wyciągniętych dłoniach czekał, aż któryś z przeciwników się poruszy. Zamienił szybkie spojrzenie z Kręglem, który z bronią u boku wciąż tkwił na swoim miejscu za stolikiem.



- Weźcie narkotyki - powiedział Albert spokojnym głosem, najwyraźniej niezbyt wzruszony strzelaniną i zmasakrowanymi trupami dookoła. - Weźcie, co chcecie.

- Słyszeliście, co pan powiedział. - Grzmot skinął głową czwórce Apaczów przy drzwiach. - Weźcie narkotyki.

Pani Columbo i Geronimo natychmiast włożyli broń do kabur i, mijając leżące na podłodze ciała, podeszli do zlewu i leżących obok stosików kokainy. Wyjęli noże, przedziurawili celofanowe paczuszki, po czym wysypali ich zawartość do zlewu, odkręcili kran i patrzyli, jak zimna woda zmywa proszek.

- Właśnie zniszczyliście ponad dwieście tysięcy dolarów - odezwał się Albert. Wydawał się bardziej przygnębiony utratą kokainy niż ludzi wokół siebie.

- Która godzina? - spytał Grzmot.

- Za trzy minuty pojawią się gliny. - Kręgiel trzymał w dłoni policyjne radio, na którym wychwytywał wszystkie wezwania. - Może parę sekund wcześniej.

Grzmot zrobił kilka kroków i stanął naprzeciwko Alberta.

- Jest tam dziecko? - zapytał, patrząc na sypialnię. Albert skinął głową. Pani Columbo ruszyła do sypialni.

- Kim, do diabła, jesteście? - Albert nie spuszczał oczu z Grzmota.

- Mam dziecko i ubranka - oznajmiła po chwili pani Columbo, wyłaniając się z sypialni. Na jednej ręce trzymała niemowlę, a w drugiej ścisnęła niebieską piżamkę, pieluchy, podkoszulek wielkości chustki do nosa i koronkowe skarpetki.

- Została minuta - oznajmił Kręgiel. - Lepiej się wynieśmy. Oni nigdy nie przyjeżdżają na czas. Schowaj dziecko pod kurtkę - powiedział do pani Columbo. - Ubierzesz je w samochodzie.

Snajper oderwał pistolety od szyi Alberta i schował je do kabur. Grzmot po raz ostatni omiół spojrzeniem mieszkanie, po czym skinął głową pozostałym. Wyszli przez otwarte okno, pierwszy Geronimo, potem Kręgiel, pani Columbo z dzieckiem i Wielebny Jim. Snajper stał z jedną nogą na schodkach, a drugą wciąż na kuchennym linoleum.

- Zostawimy go przy życiu? - spytał Grzmota, wskazując głową Alberta.

- Zostawimy - odparł z uśmiechem Grzmot. Wciąż patrzył na człowieka Lucii. - Będzie żył, żeby powiedzieć Lucii, co tu zaszło.

Po raz pierwszy tego wieczoru wyraz oczu zdradził Alberta. Wzmianka o Lucii rozbiła zimną maskę przestępcy. Teraz został mu tylko strach.

- Na pewno się ucieszy, kiedy jej opowiesz, że stałeś tu i przyglądałeś się, jak obcy ludzie wywalają do zlewu jej wartość dwieście tysięcy dolarów prochy. - Grzmot odszedł od

Alberta i wystawił nogę za okno. - Nie mam pojęcia, czy każe cię zastrzelić czy zamęczyć na śmierć. Ty pewnie wiesz lepiej niż ja.

Grzmot wyszedł przez okno, ale gdy już był na schodkach, odwrócił się raz jeszcze.

- Gliniarze też nie uwierzą w twoją historyjkę - powiedział. - Niezależnie od tego, co im opowiesz. Życzę ci miłej nocy.

Zamknął za sobą okno i zniknął w ciemnościach, zostawiając Alberta w pełnym trupów mieszkaniu. Przestępca słyszał, jak w oddali wyją policyjne syreny. Nie miał żadnych złudzeń co do swojej przyszłości.

Lucia odłożyła słuchawkę na widełki i przez kilka minut wpatrywała się w telefon. Promienie słońca środkowej Arizony odbijały się od wody w basenie i wpadały przez otwarte drzwi, rzucając ciepły blask na twarz kobiety. Jej włosy były mokre i gładko zaczesane do tyłu. Złote spinki przytrzymały dwa zwinięte koki. Lucia stała na środku pokoju gościnnego, opalona i połyskująca od potu, a ramiączka kosztownego, dwuczęściowego kostiumu zwisały luźno z jej ramion; Wyglądała jak spokojna kobieta, zadowolona z siebie i z otoczenia.

Jedynie jej zwężone oczy i płytki oddech zdradzały wściekłość.

Lucia przejechała wypielegnowanym paznokciem po gładkiej powierzchni telefonu, jak gdyby pieściła ramię kochanka. Nagle wyciągnęła obie ręce i podniosła telefon z lakierowanego stolika do kawy. Szarpiąc gwałtownie aparatem, wyrwała wtyczkę z gniazdka, po czym zamachnęła się i rzuciła telefonem przez cały pokój. Urządzenie przeleciało przez otwarte drzwi i z głośnym pluskiem wylądowało po płytkiej stronie trzynastometrowego basenu.

Hałas zwabił dwóch ochroniarzy, którzy opalali się nad wodą.

- Lecimy - poleciała im Lucia nienaturalnie spokojnym głosem. - Najbliższym samolotem.

- Dokąd? - spytał ochroniarz z czarną kozią bródką i wytatuowaną na prawym ramieniu twarzą Lucii.

- Do Nowego Jorku. - Z szeroko rozstawionymi nogami i rękami na biodrach Lucia wpatrywała się w basen. - Chcę tam być dziś wieczorem.

- Bierzemy ładunek? - spytał drugi ochroniarz.

- Nie - popatrzyła na niego Lucia. - Żadnego ładunku. Ale wcześniej zorganizuj transport niektórych ze swoich narzędzi. Być może będziemy musieli przygotować parę rzeczy.

Obaj ochroniarze skinęli głowami i wyszli z pokoju, by przystąpić do swoich obowiązków. Lucia spacerowała boso w słońcu, usiłując zebrać myśli. Napad na melinę w Queens był pierwszym posunięciem wymierzonym przeciw niej i jej ludziom. To wzbudziło gorycz, lecz nie tylko. Nasuwało też pytania. W tym interesie pytania były równie groźne, jak odbezpieczona broń.

Grupa, która napadła na mieszkanie, składała się z profesjonalistów. Nie zostawili po sobie żadnych odcisków palców. Łuski pochodziły ze zwykłej, niczym nie wyróżniającej się broni. Wszystko dokładnie wyliczono, od podłożenia bomby do precyzyjnej strzelaniny. To nie była robota drobnych ulicznych dealerów, którzy chcą zrobić wielki interes, ani ekipy renegatów, dążących do przejęcia kontroli nad interesem. Albert by sobie z nimi poradził. Tkwił w tym biznesie od tylu lat, że znał wszystkich na ulicy, od najlepszych do najgorszych.

Lucia zapaliła papierosa i wyszła na zalany słońcem taras, wypuszczając kłąb dymu na gorące, suche powietrze. Usiadła i zanurzyła stopy w przejrzystej, chlorowanej wodzie. Teraz była już dużo spokojniejsza niż w chwili, gdy zadzwonił Albert. Wystawiła twarz do słońca i zatopiła się w myślach.

Złodzieje nie wzięli niczego oprócz dziecka. Bez żadnego wahania wysypali do zlewu kokainę o wartości dwustu tysięcy dolarów. Nie chodziło im więc o pieniądze ani o narkotyki. No i na pewno nie musieli strzelać, żeby wdrzeć się do mieszkania w Queens i zabrać dziecko, za które trzy miesiące wcześniej zapłaciła jakiejś dziwce sześćset dolarów.

Nie, ten napad zaplanowano z logiczną precyzją.

Co oznaczało, że chodziło o sprawę osobistą.

Kimkolwiek byli ci ludzie, zamierzali dorwać Lucie i nie bali się jej. Chcieli, żeby to wiedziała. Może wspierał ich ktoś potężniejszy, a może działali na własną rękę, brawurowo wymierzając sprawiedliwość. A może sięgało to jeszcze głębiej.

Może ktoś, kogo skrzywdziła, szukał zemsty; jakaś młoda dziewczyna albo krewny dziecka.

Nie miało to dla niej znaczenia. Postanowiła, że zrobi wszystko, co w jej mocy, żeby się pozbyć przeciwników. Lucia Carney siedziała na szczycie góry wartej sześćset milionów dolarów i przeszła zbyt wiele, żeby pozwolić się z niej strącić.

Grupa, która ostrzelała kryjówkę, czekała na bitwę.

Lucia postanowiła wypowiedzieć jej wojnę.

Wrzuciła papierosa do czystego basenu, popatrzyła w dół na swoje odbicie i uśmiechnęła się do siebie. Znowu wyglądała na szczęśliwą kobietę.

W powietrzu unosił się zapach śmierci.

15.

Grzmot odchylił się wraz z krzesłem, aż dotknął ściany i patrzył, jak pani Columbo karmi niemowlę butelką pełną ciepłego mleka z proszku. Inni Apacze siedzieli wokół stołu w głównej sali restauracji Nunzia, popijając drinki i ponownie przeżywając w myślach niedawne wydarzenia.

- Dobrze wyglądasz z dzieckiem na rękę - uśmiechnął się Grzmot.

- Już od dawna nie trzymałam żadnego tak blisko - powiedziała pani Columbo.

Pomyślała o czasach, gdy Frankie był w tym samym wieku co maleństwo na jej rękę, a Joe chodził za nimi z uśmiechem i aparatem fotograficznym. To był dla nich bardzo dobry okres, pełen ciepła i miłości. Przyszło jej do głowy, że chciałaby, aby te czasy wróciły.

Grzmot nie przestawał się uśmiechać. Patrzył na panią Columbo i dziecko, myśląc o tym, co mogłoby się zdarzyć.

- Zadzwoiłeś do opieki społecznej? - spytał Geronimo.

- Na razie nie jest nam potrzebna - odparł Grzmot, nie odrywając wzroku od pani Columbo i zadowolonego niemowlaka w jej objęciach.

- Widzę, że już wszystko dla nas przygotowałeś, Grzmot - zauważył Wielebny Jim. - Najpierw rozbijamy narkotykowy gang, a potem niańczymy dzieci. Nigdzie nie znajdziesz takiego drugiego zespołu.

- Wyglądamy dla was na parę? - Grzmot podszedł do pani Columbo i objął ją ramieniem.

- Parę czego? - spytał Kręgiel, kończąc piwo.

- Ja bym się nabrał. - Snajper natychmiast zrozumiał, o czym myślał Grzmot. - Pobraliście się po maturze, dwoje dzieci dorosło i wyniosło się z domu, brakuje wam pieniędzy, no

1 ostatnią rzeczą, jakiej potrzebujecie, jest jeszcze jedno dziecko.

- Tym się zajmują teraz portierzy? - spytał Wielebny Jim. - Oglądają telenowele?

- Pracuję po nocach - odparł Snajper. - I słucham radia.

- Ja i żona zafundowaliśmy sobie dzieciaka, na którego nas nie stać. - Grzmot powoli obszedł stół dookoła. - Brakuje nam pieniędzy i nie możemy go zatrzymać. Ale chcemy mieć pewność, że dziecko znajdzie dobry dom, pełen dobrych ludzi, którzy chętnie zaopiekują się maluchem. Gdzie możemy poszukać takiego domu? Do kogo się zwrócić?

- Stawiałbym na Lucie - rzucił Wielebny Jim.

- Cholera jasna - westchnął Kręgiel. - Chyba was popieprzyło.

- Możliwe. - Grzmot stanął przy stoliku, pomiędzy Geronimem i Kręglem. - Ale nie widzę żadnego innego wyjścia.

Pani Columbo instynktownie mocniej przytuliła dziecko.

- Naprawdę chcesz je ponownie sprzedać? - zapytała Lucii? - zapytała.

- Między nią a sprzedawcą jest wiele poziomów - zauważył Geronimo. - To nie to samo, co wejście do warzywniaka i rozmowa z właścicielką. Lucia trzyma się z dala od transakcji, a jeszcze dalej od zabójstwa.

- Nie będziemy się spieszyć - powiedział Grzmot. - Zaczniemy od samego dołu i stopniowo będziemy piąć się w górę.

- A gdzie jest sam dół? - spytał Kręgiel. - Oni chyba nie zamieszczają ogłoszeń.

- Znajdźcie faceta nazwiskiem Saldo. - Nunzio otworzył szarą teczkę i wyjął z niej sześć zdjęć przedstawiających mężczyznę o gęstych, ciemnych włosach i długiej bliznie po prawej stronie twarzy. - To on wręczył Malcolmowi wizytówkę Lucii. To jej główny nowojorski łącznik z rynkiem dzieci. Dużo płaci i zadaje niewiele pytań.

- Czym ty się właściwie zajmujesz, Nunzio? - spytał Wielebny Jim, patrząc z podziwem na starszego mężczyznę.

- Słuchaniem - odparł Nunzio.

- Kręgiel, do jutrzejszego ranka dostarczymy ci adres i numer rejestracyjny jego wozu - oznajmił Grzmot.

- Jeszcze przed obiadem założę mu podsłuch - obiecał Kręgiel. - Osobisty też?

- Jak chcesz mu założyć osobisty podsłuch, do cholery? - spytał Grzmot. - Przecież nawet nie znajdziesz się w pobliżu tego faceta.

- Nie muszę. - Wiara we własne możliwości wzięła górę nad nieśmiałością Kręgla. - Nawet nie muszę go widzieć.

- No to co zrobisz? - zainteresował się Wielebny Jim. - Wyślesz mu urządzenie i poprosisz, żeby je sobie przyczepił?

- Przecież gdzieś pierze swoje ciuchy - zauważył Kręgiel. - Jak tylko dostanę jego adres, dowiem się, gdzie. Zainstaluję podsłuch, zanim włoży ubranie.

Grzmot zerknął na Snajpera, który odwzajemnił jego spojrzenie i uśmiechnął się szeroko.

- Przeczucie mi mówi, że facet nie pracuje na East Side - powiedział. - Wkrótce się dowiemy. W razie czego chcę, żebyście obstawili to miejsce.

- Jeśli tam jest dozorca albo portier, przekonam go, że muszę naprawić windy - oznajmił Wielebny Jim. - Wyglądam na tyle niechlujnie, że nie zwrócą na mnie uwagi.

- Nie powinieneś mieć z tym problemów - zgodził się Nunzio.

- Wejź tam w dniu, w którym wywożą śmieci - powiedział Geronimo. - Mniej więcej w tym samym czasie.

- Dlaczego? - spytał Grzmot.

- Mam przyjaciela w przedsiębiorstwie oczyszczania miasta - odparł Geronimo. - Pozwoli mi pojechać razem ze śmieciarzami. W ten sposób będę widoczny, ale nikt mnie nie zauważy. W razie problemów mogę się przydać.

- W ten sposób kryjemy budynek i teren przed nim - stwierdził Grzmot. - Tobie zostaje dach, Snajper. Jeśli intuicja ci podszepta, że coś jest nie tak, nie wahaj się ani chwili.

- A ja? - spytała pani Columbo. - Co ja mam robić w tym czasie?

- Nic-uśmiechnął się Grzmot. - Jesteś moją żoną, a moja żona na pewno nie będzie pracować.

Pani Columbo popatrzyła na dziecko, podniosła je na wysokość oczu i pocałowała jego rozgrzany, zarumieniony policzek.

- Twój ojciec to dupek - zagruchała, po czym oparła dziecko na ramieniu i poklepała je po plecach. Chwilę później malec wydał z siebie głośne beknięcie.

- To jego komentarz - powiedziała ze śmiechem pani Columbo.

Lucia siedziała u szczytu długiego na trzy metry stołu, a przed nią leżała otwarta żółta teczka. Po lewej stronie kobiety stała kryształowa popielniczka z tłącym się papierosem i kielich do wina pełen merlota, rocznik 1980. Lucia patrzyła przez całą długość stołu na prywatnego detektywa, który wiercił się nerwowo po przeciwnej stronie. Miał na sobie tani brązowy garnitur, wytarty na mankietach, brązową przybrudzoną koszulę i niedbale zawiązany, kremowy krawat. Mężczyzna był chudy i łysiejący, a na czubku jego głowy błyszczały kropelki potu. Cicho bębnił drobnymi palcami o blat stołu. Za nim stali trzej ochroniarze Lucii, skryci w cieniu zaciągniętych brokatowych zasłon, które chroniły pokój przed popołudniowym słońcem. Przed mężczyzną stała duża szklanka wody z lodem. Nawet jej nie dotknął.

- Bierze pan dwieście pięćdziesiąt dolarów za godzinę plus wydatki, panie Singleton - powiedziała spokojnym głosem Lucja. - Oczekuję, że w zamian ma mi pan coś do pokazania.

- Wszystko jest w teczce - odparł Tracę Singleton. - Może pani sama zobaczyć.

- Nie chcę sama oglądać. - Głos Lucji zabrzmiał nieco bardziej szorstko. - Chcę, żeby mi pan powiedział.

- Ten napad na pani mieszkanie zorganizowała grupa policjantów. - Singleton wytarł pot nad górną wargą. - Na własną rękę.

- Skąd pan wie, że to byli policjanci? - spytała Lucia, zaciągając się papierosem.

- To tajemnica - uśmiechnął się z wyższością Singleton.

- I jeden z powodów, dla których jestem tak dobry w tym, co robię. Musi mi pani zaufać.

- A jeśli panu nie zaufam? - zapytała Lucia. - Co się wtedy stanie?

- Wtedy raczej nie będziemy mogli robić razem interesów - odparł, zerkając na trzech mężczyzn, którzy przez cały czas stali całkiem nieruchomo.

Lucia odepchnęła krzesło i przeszła wzdłuż stołu, przeciągając palcami prawej ręki po jego ciemnym blacie. Minęła Singletona i podeszła do jednego z trzech mężczyzn. Popatrzyła na niego i uśmiechnęła się, powoli sunąc ręką wzdłuż jego koszuli z błękitnego jedwabiu, do góry i w bok, aż natrafiła na uchwyt lugera kaliber dziewięć milimetrów. Wyciągnęła broń z paska ochroniarza i oparła ją na brzuchu, wciąż tyłem do Singletona.

- Mówił pan prawdę? - zapytała. Zimnym, spokojnym wzrokiem patrzyła na ochroniarza, lecz pytanie skierowane było do Singletona.

- O czym? - Detektyw odwrócił się lekko na krzesło, opierając łokieć na poręczu z antycznego drewna.

- O tym, że wszystko, co powinnam wiedzieć, znajduje się w teczce?

- Wszystko. - Arogancja Singletona przytępiała nieco na skutek panującego w pokoju nieznośnego upału. - Jak zawsze powtarzam - biorąc mnie, bierzesz, co najlepsze.

- Miał pan rację co do jeszcze jednej rzeczy. - Lucia odwróciła się od mężczyzny w jedwabnej koszuli.

- Kiedy pani mnie lepiej pozna, przekona się, że rzadko kiedy się mylę. - Singleton odzyskał już swadę i mrugnął do Lucii. Półmrok w pokoju skrywał przed jego wzrokiem broń w rękach kobiety. - A o czym teraz pani mówiła?

- Że nie będziemy mogli robić razem interesów. - Lucia uniosła dłoń i wycelowała rewolwer w Singletona.

Wskazującym palcem nacisnęła spust i wystrzeliła dwa naboje. Oba trafiły w czoło detektywa. Krew i kawałki czaszki ochlapały ozdobną czerwoną tapetę. Ciało Singletona osunęło się na krzesło i znieruchomiało, jak gdyby mężczyzna zapadł w nagłą drzemkę.

Lucia oddała lugera mężczyźnie w niebieskiej koszuli. Wziął broń za rękojęść i włożył do kabury na biodrze.

- Niech ktoś posprząta pokój - poleciła Lucia. Wróciła na swoje miejsce przy stole i wzięła do ręki teczkę. - Mam sporo czytania.

- Gdzie jest teraz pani mąż, pani Connors? - Dobrze ubrany mężczyzna za biurkiem uśmiechnął się szeroko do pani Columbo.

- Usiłuje znaleźć miejsce do zaparkowania. - Pani Columbo założyła nogę na nogę. Grzmot kazał jej założyć obcisłą minispódniczkę i odsłonić nogi, by przyciągnąć uwagę mężczyzny. - To niełatwe w tej okolicy.

- Skąd się pani dowiedziała o naszej agencji? - Mężczyzna nie przestawał się uśmiechać. Uważnie lustrował wzrokiem panią Columbo i niemowlę w jej ramionach.

- Od mojej przyjaciółki, Carmelli - odparła pani Columbo. - Mówiła, że pomogliście jej sześć czy siedem miesięcy temu. Znaleźliście dobry dom dla dziecka i zapłaciliście gotówką. Bez żadnych pytań. Czy to też prawda?

- Co?

- O tych pytaniach - powiedziała. - Kiedy przyjdzie tu Richie, a pan zacznie go wypytywać o jakieś szczegóły, to, przepraszam za wyrażenie, wkurwi się i wyjdzie.

- To nie byłoby zbyt rozsądne - stwierdził mężczyzna. - Wyjdzie tak, jak wejdzie, bez pieniędzy i z dzieckiem, którego nie chce.

- I tu się pan myli - oznajmiła pani Columbo. - Przepraszam, jak pan ma na imię?

- Edward.

- Widzisz, Eddie, mój mąż chce tego dziecka. To ja go nie chcę. Już się namęczyłam z poprzednią dwójką i mam dość. Teraz muszę tylko znaleźć jakąś stałą i dobrze płatną pracę.

- Jakiego rodzaju?

- Nieważne. - Pani Columbo rozejrzała się po pustym pomieszczeniu. - Lata temu, zanim wylądowałam z Richiem, robiłam wiele rzeczy. Było mi wszystko jedno, co. Oczywiście, wtedy wyglądałam dużo lepiej, ale i dziś zrobiłabym wszystko, byleby zarobić. Nie powinnam ci tego mówić. Carmella powiedziała...

- Czy twój mąż o tym wie? - przerwał jej Edward. Rozłożył ręce na biurku, a uśmiech nie zniknął z jego twarzy.

- Żartujesz? Poczekaj, aż go poznasz. Kocham tego faceta, ale Richie ma szczęście, jeśli zdoła namacać rękami własną dupę. Niektórzy ludzie tacy już są. Pracując tu, na pewno takich spotkałeś.

- Paru. - Edward Glistner odchylił się na krześle i położył ręce na głowie.

- No to wiesz, o czym mówię - stwierdziła pani Columbo i przejechała palcem pod fałdkami na bródce dziecka.



- Mógłbym załatwić ci pracę. - Edward lekko odwrócił głowę, słysząc szcęk opróżnianych przez śmieciarzy pojemników na odpadki. - Jeśli rzeczywiście jesteś tak zainteresowana, jak twierdzisz.

- No to mów. - Pani Columbo popatrzyła nad ramieniem Edwarda i ujrzała przechodzącego przez ulicę Grzmota. - Byle szybko. Zanim przyjdzie Richie.

- Nie chcesz, żeby wiedział?

- Najpierw ja muszę wiedzieć - odparła. - Jak się dowiem, o co chodzi, zobaczę, czy to zniesie.

- Chodzi o to, czego podobno szukasz. - Edward zerknął na wiszący na ścianie zegar. - Stałe godziny i niezła pensja.

- Co musiałabym robić? - spytała pani Columbo.

- Wróc jutro - powiedział Edward. - Bez Richiego. Wtedy porozmawiamy o szczegółach.

- Jakaś wskazówka? - Pani Columbo obdarzyła Edwarda najbardziej ponętym ze swoich uśmiechów.

- Lubisz latać? - Edward odwzajemnił uśmiech, a następnie wstał, żeby przywitać się z Grzmotem, który właśnie wszedł do pokoju.

Kręgiel czekał na zewnątrz pralni Harry'ego Sabena i obserwował blondynkę w obcisłych legginsach, która zostawiała trzy marynarki i dwie pary spodni Saldo. Patrzył, jak Harry, stary i przygarbiony od zbyt wielu lat spędzonych za ladą, wypełnia kwitek, bardziej zainteresowany biustem blondynki niż krojem ubrań Saldo. Dziewczyna wzięła kwitek, uśmiechnęła się do Harry'ego, po czym wyszła ze sklepu, kierując się na wschód.

- Dzień dobry - przywitał się Kręgiel i zamknął za sobą drzwi.

- Czym mogę służyć? - spytał Harry. W jego głosie słychać było ślady spędzonego w Rosji dzieciństwa.

- Właściwie chodzi o to, czym ja mogę panu służyć - odparł Kręgiel. Sięgnął do kieszeni kurtki i wyciągnął stamtąd policyjną odznakę.

- Jest pan gliną? - Harry zmrużył oczy, przyglądając się odznace zza grubych szkielec.

- Prowadzę sprawę gangu, który zajmuje się wszywaniem metek znanych producentów - odparł Kręgiel. - Ktoś tak doświadczony jak pan na pewno wie, o co chodzi. Bierze się tanią marynarkę, przyczepia taką metkę i sprzedaje trzy razy drożej.

- Słyszałem, że niektórzy tak robią-pokiwał głową Harry.

- Więc pewnie pan wie, że chodzi o spore pieniądze.

- Wyobrażam sobie - odparł Harry. - Ale co ja mogę zrobić?

Kręgiel przysunął się do Harry'ego.

- Czy policja może panu ufać? - zapytał ściszym głosem.

- Tak. - Harry natychmiast także ściszył głos. - Jestem całym sercem za policją. Chętnie widziałbym was więcej.

Kręgiel pokiwał głową.

- Zgoda - powiedział. - Zaryzykuję.

- To żadne ryzyko - odparł Harry. - Zabiorę ze sobą do grobu to, co mi pan powie.

- Była tu przed chwilą jedna blondynka. Na pewno ją pan zauważył.

- Nawet w moim wieku.

- Należy do gangu - wyjaśnił Kręgiel. - Te ubrania, które zostawia, tak naprawdę nie są markowe. Robią je w pewnym sklepie w Bronksie.

Harry wziął do ręki należąca do Saldo czarną marynarkę od Armaniego.

- Wygląda jak prawdziwa - powiedział. - Nawet w dotyku. Ma powszywane wszystkie metki.

- Za parę godzin mogę panu przynieść całe pudło takich metek. - Kręgiel przechylił się i złapał ubrania Saldo. - To najłatwiejsze.

- Zamierza je pan zabrać - spytał przejętym głosem Harry.

- Proszę się nie martwić - odparł Kręgiel. - Zwrócę je panu po południu, wyczyszczone i wyprasowane. Na którą mają być gotowe?

- Na szóstą.

- Doskonale. - Kręgiel wetknął ubrania pod ramię i wyciągnął dłoń do Harry'ego. - Doceniam pańską pomoc.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Harry uśmiechnął się i potrząsnął ręką Kręgla.

- Do zobaczenia za kilka godzin. - Kręgiel ruszył do drzwi. - Czy możemy coś dla pana zrobić?

- Czy pralnia, w której pierzecie te rzeczy, jest dobra? - spytał Harry, wychodząc zza lady.

- To specjalna pralnia - powiedział Kręgiel. - Bardziej przypomina myjnię samochodową niż pralnię.

- No to możecie coś dla mnie zrobić - odrzekł Harry. - Potrzebuję drobnej przysługi.

- Jakiej?

- Muszę usunąć plamę z czarnej sukni pani Babcock. Prałem ją już trzy razy, a plama wciąż tam jest. Nie mam pojęcia, co ta kobieta na siebie wylała, ale nie mogę tego wywabić. Może tej waszej pralni się uda?

Kręgiel uśmiechnął się do Harry'ego.

- Proszę mi dać tę sukienkę - powiedział. - Będzie jak nowa.

- Jesteście fantastyczni. - Harry pośpieszył na zaplecze, żeby przynieść suknię.

- Mam nadzieję - mruknął Kręgiel.

Geronimo podnosił wielkie kartonowe pudło po telewizorze Zenith, z drutami i zardzewiałym klimatyzatorem w środku, gdy nagle dostrzegł źle zaparkowany samochód. Czarny, najnowszy model lincolna z włączonym silnikiem i zakręconymi szybami zastawił toyotę corollę i niebieskiego renault.

Geronimo cisnął pudło na śmieciarkę i włączył dźwignię zgniatania. Nie spuszczał wzroku z lincolna. Kierowca śmieciarki wrzucił pierwszy bieg i ruszył ku następnemu śmietnikowi. Kryjąc się w cieniu auta, Geronimo szedł ze spuszczoną głową i twarzą wtuloną w kołnierz roboczej kurtki.

- Ten źle zaparkowany samochód wygląda podejrzanie - wyszeptał w maleńki mikrofon przyczepiony do kołnierza. - Słyszysz coś ze środka?

- Saldo siedzi z tyłu - usłyszał w mikrofonie rzeczowy, przerywany trzaskami głos Kręgla. Cienkie przewody urządzeń podsłuchowych biegły wzdłuż jego szyi aż do małej skrzynki przyklejonej do pleców. - Jest z nim dwóch ochroniarzy, obaj z przodu. Wszyscy mają broń.

Kręgiel parkował na północnym rogu ulicy. Ubrany był w brązowy mundur funkcjonariusza Wydziału Transportu i siedział za kierownicą zniszczonej furgonetki holowniczej.

- Ochroniarze zawsze mają broń - dał się słyszeć głos Wielebnego Jima. - Dlaczego teraz miałyby być inaczej?

Pracował już przy trzecich oknach. Przechylił się lekko, żeby wrzucić gumową wycieraczkę do wiadra z wodą i wziąć do ręki papierowy ręcznik.

- Ci dwaj zaczaili się tu na nas - powiedział Kręgiel. - Ktoś ich uprzedził. Wiedzą, że zaplanowaliśmy akcję. Nie mają jednak pojęcia kiedy ani kim właściwie jesteśmy.

- Czy Grzmot i pani Columbo wiedzą o tym? - spytał Snajper, siedząc w kucki pod żelaznymi drzwiami, które prowadziły z dachu na ostatnie piętro kamienicy.

- Mają wyłączone mikrofony - odparł Kręgiel. - Za duże ryzyko.

- Twój ruch, Snajper - powiedział Geronimo. - Wejdziemy, kiedy zechcesz.

- Byle szybko - wtrącił Wielebny Jim. - Kończą mi się i okna, i woda.

- Kręgiel, słyszysz mnie? - spytał Snajper.

- Słyszę.

- Podjedź tyłem do budynki i odholuj ten samochód - powiedział Snajper. - Geronimo?

- Jestem - odparł Geronimo, podnosząc z chodnika wielki worek ze śmieciami.

- Kryj Kręglu - polecił mu Snajper. - Spróbujmy załatwić to bez ofiar. Nie potrzeba nam strzelaniny na ulicy. Wielebny?

- Słucham.

- Wejdz i nie rób zbyt wiele hałasu - powiedział Snajper. - Na wypadek, gdybym miał kłopoty.

- A co z Grzmotem i panią Columbo? - spytał Kręgiel.

- Mają swoją robotę - odparł Snajper. - Tak jak my.

- A Saldo? - spytał Geronimo. - Jak to rozegramy?

- Pojedzie na przejażdżkę na holu - stwierdził Snajper. - Bardziej prawdopodobne, że będzie mówił, siedząc w samochodzie. Kręgiel da nam znać, czy facet powie coś, czego warto by wysłuchać.

- Czy podsłuch Saldo mnie złapie, jeśli podejść bliżej? - spytał Geronimo.

- Nie przejmuj się - odpowiedział Kręgiel. - Jak tylko znajdziesz się przy aucie, to cię wyłączę.

- Coś jeszcze? - chciał wiedzieć Wielebny Jim.

- Tak - odparł Snajper. - Nie daj się zabić.

Kręgiel wrzucił wsteczny bieg i podjechał tyłem blisko zderzaka lincolna. Boczna szyba po stronie kierowcy otworzyła się i pojawiła się w niej nalana twarz mężczyzny w okularach przeciwsłonecznych.

- Co jest, dupku? - spytał facet z hiszpańskim akcentem, patrząc, jak Kręgiel bierze dużą drewnianą blokadę i umieszcza ją pod przednimi kołami lincolna.

- Zablokował pan inne samochody - odparł Kręgiel. - To niezgodne z przepisami.

- Siedzę w aucie - zauważył kierowca. - Mogę je przestawić.

- Trzeba było o tym wcześniej pomyśleć - stwierdził Kręgiel. - Już za późno, założyłem blokadę.

- O czym ty, kurwa, gadasz? - Twarz kierowcy poczerwieniała ze złości. - Nie musisz nikogo holować. Przystawię ten pieprzony samochód.

- Założyłem blokadę - upierał się Kręgiel. - Nie można przestawić auta z założoną blokadą.

- Pierdolę cię i twoją blokadę - oznajmił mu kierowca.

Tuż obok lincolna zatrzymała się śmieciarka. Z kabiny wyskoczył Geronimo, trzymając w ręce pistolet kalibru czterdzieści cztery z dokręconym tłumikiem. Zapukał dwukrotnie w szybę po stronie pasażera. Okno opuściło się do połowy, a z wewnątrz wyleciały kłęby dymu, które spowijały twarz mężczyzny w jasnym garniturze.

- Czyżbyśmy teraz złamali prawo śmieciarzy? - spytał mężczyzna lekko poirytowanym głosem.

Rozwścieczony mężczyzna za kierownicą miarowo walił dłonią w deskę rozdzielczą. Miał dziobatą twarz i włosy koloru słomy, zwisające po obu stronach twarzy.

- Nie cierpię tego zasranego miasta! - wrzasnął. - Patrz, kto się przypieprzył. Pierdolony śmieciarz i kierowca furgonetki.

- Wiedziałeś, że trzeba zdać specjalny egzamin, żeby dostać tę pracę? - spytał go Geronimo.

- Mam to w dupie! - wydarł się mężczyzna.

Geronimo wetknął głowę do samochodu i rozejrzał się dookoła, przyglądając się obu mężczyznom z przodu i usiłując przeniknąć wzrokiem ciemności otaczające tylne siedzenie, gdzie mimo całego zamieszania Saldo siedział całkiem spokojnie.

- Teraz pojedziesz nad jezioro - powiedział do niego Geronimo. - Zobaczysz, spodoba ci się. Opuścisz sobie okna i popodziwiasz wodę. Tam ci będzie lepiej niż tutaj. Czy przedstawiłem wystarczająco jasny obraz?

Saldo z obojętnym wyrazem twarzy skinął głową.

- Nie jesteś żadnym pieprzonym śmieciarzem - stwierdził kierowca.

- Nie zdałem egzaminu - wzruszył ramionami Geronimo.

- No to kim jesteś? - spytał mężczyzna na fotelu pasażera.

- To glina - odparł Saldo. - Obaj to gliny.

- Gliny? - powtórzył kierowca. - Kierowca furgonetki też? -| Wielu z nas pracuje na dwa etaty - wyjaśnił mu Geronimo.

- Powiedz tylko słowo - kierowca popatrzył w lusterku na Salda - a natychmiast sprzątniemy tych gnojów.

Geronimo uniósł rękę i pokazał im czterdziestkę czwórkę.

- Nie bądźmy głupi-powiedział do Salda.-Oni próbują zabić mnie, ja spróbuję zabić ciebie, a obaj wiemy, że nie warto. Więc lepiej trzymajmy się planu i rozkoszujmy wycieczką.

Saldo wpatrywał się w Geronimo ciemnymi oczyma, czując, jak przód samochodu podnosi się do pionu.

- Zostaniemy w aucie - powiedział obu mężczyznom z przodu.
- Miło się z tobą rozmawiało - oznajmił Geronimo.
- Mam nadzieję, że do tego wrócimy - odparł Saldo. - Wkrótce.

Geronimo wycofał się, a obaj mężczyźni z przodu patrzyli ze złością, jak Kręgiel podnosi przednie koła samochodu.

- Proszę zgasić silnik - polecił im Kręgiel.
- Chętnie zgasiłbym ciebie - powiedział kierowca.
- Ej, i tak się denerwuję. - Kręgiel uśmiechnął się do nich niewinnie. - Nigdy jeszcze nie holowałem samochodu. Nie chciałbym zgubić was gdzieś po drodze.

Masywne drewniane drzwi trzypiętrowej kamienicy otworzyły się do połowy. Mężczyzna w ciemnoszarych spodniach i czerwonych szelkach na czarnej koszuli przytrzymał mosiężną gałkę. Zmrużył oczy, obserwując zamieszanie wokół lincolna. Przesunął wolną rękę do krzyża, zaciskając palce na kolbie kolta kaliber.32. Widział, jak facet z przedsiębiorstwa transportowego przymocowuje samochód i zaczyna go holować. Dwaj mężczyźni z przodu auta wymachiwali rękami, podczas gdy cień Salda nawet nie drgnął. Mężczyzna wyjął kolta z kabury i go odbezpieczył.

- Zrobione. - Wielebny Jim zeskoczył z jednego z okiennych parapetów wprost przed drzwiami, zasłaniając mężczyznę widok. - A teraz najlepsza część. Wypłata.

- Spieprzaj mi z oczu - syknął mężczyzna i przycisnął broń do prawej nogi.
- Ty też nie jesteś piękny - oznajmił z uśmiechem Wielebny Jim. W lewej ręce trzymał wiadro, wypełnione do połowy wodą. - Zapłać mi trzydzieści dolców, a stanę się niewidzialny.

Mężczyzna popatrzył na Wielebnego Jima i podniósł kolta na wysokość piersi.

- Wypierdalaj stąd - powiedział. - Natychmiast. Wielebny Jim nie przestawał się uśmiechać.

- To tylko okna - stwierdził.

Odwrócił się plecami do mężczyzny, wciąż zasłaniając mu widok. Nagle zamachnął się wiadrem i z całej siły rąbnął nim o skroń mężczyzny, który runął jak długi w wejściu. Broń wypadła mu na podłogę. Wielebny Jim wszedł do budynku i szybko wciągnął mężczyznę na korytarz, zamykając za sobą drzwi.

- Jesteśmy wewnątrz - oznajmił przez mikrofon.
- Jacy „my”, do cholery? - spytał Snajper.
- Wpadłem na jednego kolegę - wyjaśnił Wielebny Jim.

Snajper stał plecami do kwiecistej tapety w korytarzu, przyciskając dwa pistolety do piersi. Nasłuchiwał, jak trzech mężczyźni w pokoju po prawej stronie narzekają na zbyt długie godziny pracy, niskie płace i niewielkie możliwości awansu. Snajper zrobił dwa kroki w bok i stanął pewnie w progu, trzymając broń na wysokości pasa. Mężczyźni popatrzyli na niego i znieruchomieli.

- Jeśli szukasz pieniędzy, wybrałeś niewłaściwe piętro - oznajmił jeden z nich, z gęstą czarną brodą i ogoloną głową.

- Słyszałem - odparł Snajper.

- To agencja adopcyjna - dodał największy z nich, wysoki mężczyzna w średnim wieku, ubrany w oliwkową koszulę i beżowe spodnie. - Tu się przychodzi po dzieci, nie po forszę.

- A ja przyszedłem po broń. - Snajper wszedł do pokoju. - Wyjmijcie ją powoli, połóżcie napodłódze i pchnijcie w moim kierunku, rękojeścią do mnie.

- Znajdziemy cię, facet - odezwał się trzeci, młody mężczyzna z gęstym wąsem i lekką wadą wymowy. - Wytropimy cię i spalimy.

- Moje życie jest okropnie nudne - odparł Snajper. - Przynajmniej je trochę ożywicie. A teraz dawać rewolwery.

Mężczyźni wyjęli broń z kabur, przyklękli i popchnęli ją w stronę Snajpera. Rewolwery zazgrzytały o podłogę i wylądowały tuż obok butów policjanta.

- Tylko trzy - powiedział Snajper.

- Ilu nas widzisz? - spytał mężczyzna z brodą.

- Widzę zawodowców - odparł Snajper. - Ludzi, którym się płaci za zabójstwa na zlecenie. Tacy noszą więcej niż jeden rewolwer.

- Może nie jesteśmy tacy dobrzy, jak myślisz, świrze - powiedział ten z wadą wymowy. - Może dopiero zaczynamy. Jeszcze się nie wyrobiliśmy.

Snajper go jednak nie słuchał. Patrzył w oczy trzeciego mężczyzny, ubranego w ciemny garnitur i rozpinaną koszulę. Jego oczy powiedziały mu wszystko, co chciał wiedzieć.

Ktoś stał za nim, gotów zrobić mu krzywdę.

Grzmot obejmował dziecko obiema rękami i patrzył, jak malec uśmiecha się i gaworzy. Pani Columbo grzebała w dużej torebce z imitacji skóry, szukając chusteczki. Gdy ją znalazła, jedną ręką otarła oczy i wydmuchała nos. Druga jej dłoń wciąż tkwiła w torbie, zaciśnięta na trzydziestce ósemce.

- Naprawdę nie chcę oddać tego malucha - powiedział Grzmot. - Ciężko pomyśleć, że nigdy więcej go nie zobaczę.

- Będzie żył w dobrym domu - odparł Edward swoim najbardziej profesjonalnym tonem. - Mogę was o tym zapewnić.

Grzmot popatrzył na dziecko, a następnie przeniósł wzrok na Edwarda.

- Na pewno? - spytał.

- Na naszych listach znajdują się najlepsi ludzie, którzy pragną dziecka. - Edward był już zniecierpliwiony nie kończącymi się pytaniami Grzmota. - Dziecko będzie chodziło do prywatnych szkół, podróżowało do Europy i żyło w takich warunkach, jakich pan i pańska żona nie mogliby mu zapewnić.

- Posłuchaj go, skarbie - odezwała się pani Columbo. - To, co mówi, ma sens.

- Zgoda. - Grzmot oddał jej dziecko. - No to chyba ubijemy interes - powiedział, po czym odsunął krzesło i wstał.

- I co teraz? - spytała pani Columbo.

- To bardzo proste - odparł Edward spokojnym i opanowanym głosem. - Dacie mi dziecko, ja wam pieniądze i tak się rozstaniemy.

- Ile? - zainteresowała się pani Columbo.

- Zazwyczaj płacę sześćset - powiedział Edward. - Dziś jednak mam dobry dzień. Niech będzie tysiąc.

- Tysiąc dolarów? - Pani Columbo uśmiechnęła się szeroko. - Richie, słyszałeś? Da nam tysiąc.

- Wspaniale, skarbie. - Grzmot zerknął w okno nad ramieniem Edwarda i ujrzał odholowywanego lincolna.

- To więcej, niż zarobiliśmy w zeszłym miesiącu - cieszyła się pani Columbo. - Nie wiem, jak ci dziękować, Eddie.

Edward otworzył środkową szufladę biurka, wyciągnął stamtąd kopertę i odliczył dziesięć studolarowych banknotów. Wręczył pieniądze Grzmotowi, który je złożył i wsunął do przedniej kieszeni dżinsów.

- Zostawiłem w bagażniku pieluchy i ubranka - powiedział. - Przynieść je?

- Nie ma potrzeby - odparł Edward. - Jesteśmy dobrze zaopatrzeni.

- Więc nie pozostało mi nic, tylko się pożegnać - stwierdził Grzmot.

Nachylił się i pocałował zwinięte w ramionach pani Columbo dziecko.

- Zaczekam na zewnątrz - powiedział i ze spuszczoną głową ruszył ku drzwiom. - Tylko nie siedź zbyt długo.



- Przyjdę za minutę - zapewniła go pani Columbo. Poczekała, aż Grzmot zamknie za sobą drzwi. Dopiero wtedy wstała i wręczyła dziecko Edwardowi. Mężczyzna sięgnął po malca i posadził go na kolanach, tyłem do siebie.

- Nie zapomnisz o mnie, co? - spytała Edwarda pani Columbo.

Potrząsnął przecząco głową.

- Zadzwoń, jak tylko zwolni się jakieś miejsce - powiedział.

- A możesz się pośpieszyć? - nalegała. - Chętnie bym już zaczęła. Naprawdę potrzeba nam pieniędzy.

- Właśnie dałem twojemu mężowi tysiąc dolarów - przypomniał jej Edward.

- Żartujesz? - prychnęła. - Z naszymi zaległymi rachunkami będziemy mieli szczęście, jeśli wystarczy nam na weekend.

Edward patrzył na nią uważnie, po czym uśmiechnął się i pokiwał głową.

- Czy masz coś przeciwko pracy w nocy? - spytał.

- Trzymasz jedyny powód, dla którego nocami siedziałam w domu. - Pani Columbo wskazała dziecko siedzące na kolanach Edwarda.

- Weź go na chwilkę. - Edward podał jej malca. - Muszę coś sprawdzić w komputerze.

Pani Columbo wzięła dziecko i stanęła nad Edwardem. Mężczyzna włączył stojący w rogu biurka komputer i obserwował, jak urządzenie wyświetla listę nazwisk i celów podróży. Nacisnął kilka przycisków, odchylił się na krześle i uśmiechnął.

- Byłaś kiedyś w Maine? - zapytał panią Columbo.

- Nie - odparła. - Ale zawsze chciałam tam pojechać.

- Pojedziesz jutro - powiedział. - Właśnie cię wpisałem. Ktoś do ciebie zadzwoni i przekaże, o której pojawisz się na lotnisku. Spotkasz tam kobietę, a ona ci powie, co masz dalej robić.

- Nie wiem, jak ci dziękować - powiedziała uwodzicielskim głosem pani Columbo i wręczyła mu dziecko.

Ton jej głosu nie umknął jego uwagi. Nie przestając się uśmiechać, Edward wbił wzrok w nogi kobiety.

- Jestem pewien, że oboje wymyślimy coś interesującego - stwierdził.

- Na pewno. - Pani Columbo pochyliła się i pocałowała dziecko na do widzenia, jednocześnie kładąc rękę na ramieniu Edwarda.

- Wkrótce znowu porozmawiamy - powiedział.

- Będę czekała. - Otworzyła prowadzące na korytarz drzwi. - Przy telefonie.

Snajper widział, jak cień za nim unosi rękę z bronią. Rzucił się na podłogę, przetoczył i wylądował na kolanach, zdumiony, że napastnikiem była kobieta, jedna z mrówek z pokoju obok. Wycelował w jej pierś, ale nie wystrzelił. Zamiast tego przyglądał się, jak zza kobiety wyłonił się Wielebny Jim, schwycił ją za szyję i wytrącił broń z jej ręki.

Snajper odwrócił się błyskawicznie do trzech mężczyzn i ruszył w ich kierunku, zanim mieli okazję podnieść swoją broń.

- Wszystko w porządku? - spytał Wielebny Jima.

- Jak najbardziej - zapewnił go Wielebny, pychając mrówkę do pokoju. - Ale co zrobimy z Trzema Świnkami?

- Niech ta mrówka pomoże ci znaleźć jakiś sznurek - odparł Snajper. - Zwiążemy ich wszystkich i zakneblujemy, a potem wydostaniemy się przez wyjście na dach.

- Grzmot jest już na ulicy - powiedział Wielebny Jim. - W środku została tylko pani Columbo.

- Zaraz wyjdzie - stwierdził Snajper. - Tak, jak my.

- Co oznacza, że tylko ja dałem się wydymać - oznajmił Wielebny Jim.

- Jak to?

- Wymyłem wszystkie okna - wyjaśnił mu Wielebny Jim. - I nie dostałem za to ani grosza.

- Ludzie zawsze wykorzystują niepełnosprawnych - powiedział Snajper. - Musisz do tego przywyknąć.

Grzmot i pani Columbo szli, trzymając się za ręce, w kierunku zaparkowanego na rogu samochodu.

- Nie możemy za długo zostawiać dziecka z tym kutasem - stwierdziła pani Columbo z nienawiścią w głosie.

- Kręgiel zadzwonił do śródmieścia, kiedy wciąż jeszcze tam tkwiłaś i pokazywałaś nogi - powiedział Grzmot. - Zgarną Edwarda za jakieś pół godziny.

- Powinieneś załatwić grupę tajniaków, która obstawiałaby teren do pojawienia się glin - zauważyła pani Columbo.

- Dwaj faceci w garniturach, po drugiej stronie ulicy - powiedział Grzmot. - Pilnują, żeby nikt się tu nie kręcił.

- Dobra robota - pochwaliła go.

- Staram się.

- Jestem na ich liście - oznajmiła pani Columbo. - Jutro w nocy lecę do Maine. Jakaś kobieta ma się ze mną spotkać na lotnisku.

- No więc najpierw spotka się z nią ktoś od nas - powiedział Grzmot.

- Mówiłam ci, że mój plan zadziała. - Pani Columbo promieniała z dumy. - Sam to przyznaj. Ty byś o tym nie pomyślał. Pewnie wszedłbyś tam i wszystkich zastrzelił.

- Mam ograniczone możliwości - odparł Grzmot, sięgając po kluczyki. - Wątpię, czy Eddie zainteresowałby się moimi łydkami.

Lucia stała na środku hangaru lotniczego, plecami do czarnego Learjeta. Otaczało ją jedenastu uzbrojonych ludzi. Wszyscy byli młodzi i odważni, a przewodził im wysoki mężczyzna z ogoloną głową, która lśniła w blasku świateł hangaru.

Nazywał się Wilber Graves.

Szczupła długowłosa asystentka w dzinsach, czarnej koszulce i czarnych butach na obcasach wręczyła każdemu z mężczyzn szare koperty wypełnione informacjami o Apaczach - zdjęciami, adresami, datami urodzenia. Mężczyźni wzięli teczki, nie spuszczać wzroku z Lucii, ubranej w kuszącą bluzkę na ramionach, krótką spódnicę i czółenka z wycięciem na palce.

- W kopercie jest siedem nazwisk - powiedziała, a jej pełne wystudiowanego spokoju spojrzenie powędrowało po twarzach. - Trzeba się zająć nimi wszystkimi.

- Kiedy? - spytał głębokim barytonem Wilber i stanął za Lucią. Akcent w jego głosie zdradzał, że Graves pobierał nauki w prywatnej angielskiej szkole. Urodził się do życia w luksusie, na co wskazywały niektóre z jego nawyków. Już w młodym wieku jednak skoncentrował się na tym, co lubił robić najbardziej - na zabijaniu.

- Jak tylko się dowiesz, co o nas wiedzą - odparła Lucia, nawet na niego nie patrząc.

- Zawieszamy operację, dopóki się z tym nie uporamy? - spytał Wilber.

- Nie - odpowiedziała. - Nadal przesyłamy towar.

- Nie pozwól, żeby ci ludzie cię niepokoiłi - stwierdził Wilber poufnym tonem.

- Nie pozwalam, żeby cokolwiek mnie niepokoiło. - Lucia podeszła do Wilbera, obserwując, jak jego błękitne oczy lustrują jej sylwetkę. - Wolę, żeby inni martwili się za mnie. Tacy jak ty, Wilber.

- Nie zawiodę cię - obiecał.

- Dobrze wiedzieć - odparła Lucia.

Odeszła, stukając cienkimi obcasami po betonie. Wilber i jego ludzie patrzyli, jak się oddala, i czekali, aż Learjet zatankuje i zabierze ich na spotkanie z Apaczami.

16.

Pani Columbo uśmiechnęła się do męża, wkładając naręczne ubrań do beżowej torby podróżnej. Joe odpoczywał na łóżku z rękami za głową i kryminałem na piersi.

- Jak tam książka? - spytała pani Columbo.

- Nie czytałaś jej, prawda? Wiesz, jak nie cierpię, kiedy opowiadasz mi zakończenie.

- Nie, nie czytałam - roześmiała się.

- Jest całkiem dobra - powiedział. - Właściwie chyba miałabyś problemy z odgadnięciem zakończenia.

- A o co chodzi? - Pani Columbo starannie składała ubrania w torbie.

- W wielkiej klinice umierają ludzie. - Joe usiadł na łóżku.

- Nikt nie wie dlaczego. Ludzie przyjeżdżają na proste operacje. Opuszczają szpital jako zwłoki.

- To pewnie ktoś, kto pracuje dla tego szpitala - wzruszyła ramionami pani Columbo. - Jakie badania tam prowadzą?

- Mary, bardzo cię proszę. - Joe złożył błagalnie dłonie.

- Pozwól mi przeczytać tę jedną książkę. Pozwól mi dojść do końca, nie wiedząc.

- Jakie badania? - Pani Columbo usiadła na brzegu łóżka.

- Nad rakiem - westchnął zrezygnowany Joe.

- Dyrektor administracyjny - powiedziała pani Columbo.

- Opowiedz mi o nim.

- Bezpośredni i uczciwy - odparł Joe. - Troszczy się o szpital i o pracujących w nim ludzi. Jesteś w błędzie, jeśli myślisz, że to on.

- Czy dyrektor był wcześniej chirurgiem, zanim został administratorem? - spytała.

- Chyba tak - odrzekł Joe. - Musiałbym sprawdzić.

- To ten. - pani Columbo wstała i podeszła do biurka. - To twój zabójca.

Joe wpatrywał się w żonę, starając się zwalczyć pokusę, żeby wziąć do ręki książkę. Zamknął oczy, odetchnął głęboko i zaczął czytać ostatni rozdział.

- Wezmę prysznic - oznajmiła pani Columbo. - Powiedz mi, co się okaże.

Wyszła z łazienki dziesięć minut później, ubrana w biały szlafrok frotte i z zaczesanymi do tyłu, mokrymi włosami. Joe stał oparty o ścianę w rogu sypialni.

- I co? - zapytała.

- Rezygnuję z czytania kryminałów - stwierdził Joe. - Ten jest ostatni. Od teraz będę czytał tylko „Harlequiny”.

- Jak gdyby ich zakończenia były nie do odgadnięcia - mruknęła pani Columbo.

- Pamiętasz, jak zabrałem cię na „Chinatown”? - spytał Joe. - W połowie filmu wiedziałaś, że John Huston jest jej mężem, bratem, wujkiem, kimkolwiek tam był. Wiedziałaś.

- Skarbie, moja praca polega na tym, żeby wiedzieć. - Pani Columbo podeszła do Joe i pogłaskała go po twarzy. - Zapomniałeś?

- Polegała, nie polega, Mary - powiedział cicho.

- Joe, nie zaczynamy znowu tej rozmowy, proszę. I tak mam teraz za dużo na głowie. Jeśli to cię wciąż dręczy, porozmawiamy o tym, kiedy wrócę.

- Mieliśmy zabrać Frankiego do Maine. Wtedy, kiedy zostałeś ranna - powiedział Joe niemal tęsknie. - Zrobiliśmy rezerwacje i wszystko przygotowaliśmy. A teraz - proszę: lecisz całkiem sama.

Pani Columbo zamarła. Zmrużyła oczy i popatrzyła na męża.

- Joe - zaczęła powoli. - Kto ci powiedział, że lecę do Maine?

- Nie wiem - odparł zdenerwowanym głosem Joe. - Musiałś wspomnieć o tym wcześniej.

- Kto ci powiedział, Joe? - Pani Columbo nie ruszyła się z miejsca i nie spuściła wzroku z męża. - Kto ci powiedział o Maine?

- A czy to ma jakieś znaczenie? - spytał.

Pani Columbo lekko drgnęła. Jej twarz zaczerwieniła się, a oczy były pełne gniewu.

- To ma olbrzymie znaczenie - powiedziała. - Wiesz też, którym lotem lecę?

- Chcę, żeby to się skończyło, Mary. - Joe zignorował jej pytanie. - To zbyt niebezpieczne. Zobaczysz, że w końcu przez to zginiesz.

Pani Columbo usiadła na skraju łóżka. Usiłowała myśleć jak detektyw z wydziału zabójstw, ale targające nią emocje były zbyt silne.

- Czy ty wiesz, co zrobiłeś, Joe? - zapytała męża. - Masz jakieś pojęcie?

Joe podszedł do żony i przyklęknął przed nią.

- Usiłowałem uratować kobietę, którą kocham - powiedział. - To wszystko, co zrobiłem.

Pani Columbo ujęła twarz męża w swoje ręce.

- Ale nie uratowałeś - wyszeptała. - Naraziłeś nas wszystkich na niebezpieczeństwo.

- Nic się nikomu nie stanie, jeśli teraz z tym skończycie. Pani Columbo potrząsnęła przecząco głową.

- Zbyt wielu jest przeciwko wam - powiedział Joe. - Nie zdołacie ich pokonać.

- Z kim się widziałeś? - zapytała pani Columbo. W jej oczach pojawiły się łzy. - Kto ci o nas powiedział?

- Zastępca głównego inspektora, Lavetti - odparł Joe po długiej chwili milczenia. - Bardzo mi pomógł, kiedy zostałeś ranna. Od czasu do czasu z nim rozmawiam.

- I opowiedziałeś mu o mnie i Apaczach. - To nie było pytanie. To było spokojne, stanowcze stwierdzenie detektywa z wydziału zabójstw.

- Myślałem, że mogę mu ufać. - Joe otarł dłonią spływające po twarzy łzy.

- To skorumpowany gliniarz, Joe. - Pani Columbo przytuliła do siebie męża. - Nie mogłeś tego wiedzieć. Ale on zrobił to, co robią wszyscy skorumpowani policjanci. Zadzwoił do ludzi, którzy mu płacą, i powiedział im, kim jesteście.

- Nie poszedłem do Lavettiego dlatego, żeby was złapali.

- Joe zanurzył twarz w szlafroku żony. - Poszedłem, bo obawiałem się, że mogę cię stracić.

- Nie miałeś powodu się bać, że mógłbyś mnie stracić, Joe - powiedziała cicho Mary. - Spędziłam z tobą wiele lat, a zrobiłam to tylko z jednego powodu. Jedyne powodu, dla którego warto było to zrobić - bo cię kochałam.

- A czy ciągle mnie kochasz? - spytał Joe. Wpatrywał się w oczy żony, pragnąc ujrzeć w nich odpowiedź, zanim jeszcze ją usłyszy.

- Muszę sobie jakoś poradzić z tym, co zrobiłeś - odpowiedziała pani Columbo. - A przez to, co zrobiłeś, wydałeś wyrok śmierci na całą grupę. Musisz się z tym pogodzić.

- To odpowiedź policjantki - odparł Joe. - Czekam na odpowiedź żony.

- Jest taka sama - oznajmiła pani Columbo.

Grzmot siedział za kierownicą ciemnego buicka. Opuścił szyby, wpuszczając wilgotne wiosenne powietrze, i obserwował dom pani Columbo. Chociaż nigdy dużo nie palił, żałował, że nie ma przy sobie papierosa. Zamiast tego włożył do ust dwa listki gumy „Wrigley's” i żuł je powoli, złotko zaś zwinął w kulkę i wrzucił do pustej popielniczki.

Grzmot miał naturę pedanta i lubił, żeby wszystko było w porządku. Jako jeden z niewielu policjantów zawsze starannie i szybko wypełniał dokumenty. Nienawidził niespodzianek i unikał błędów, a teraz nie zdołał się ustrzec ani jednego, ani drugiego.

Słyszając trzaśnięcie drzwi wejściowych, Grzmot uniósł wzrok i ujrzał, jak pani Columbo zbiega po schodach z torbą podróżną w ręce. Kobieta obeszła samochód, otworzyła drzwi po stronie pasażera i wśliznęła się do środka. Grzmot zapuścił silnik i odjechał.

Nie zamienili ze sobą ani słowa, dopóki nie dojechali do kas przed tunelem Midtown.

- To Joe - powiedziała pani Columbo.

- Co Joe? - zdziwił się Grzmot.

- Jego będziesz szukał. - Pani Columbo z całych sił starała się nie wybuchnąć płaczem. - Poszedł do inspektora Lavettiego i powiedział mu o nas.

- Wyjaśnił, czemu to zrobił? - zapytał cicho Grzmot.

- Bo mnie kocha. - Odwróciła twarz do szyby. Grzmot odjechał od kas i zaparkował na skraju ulicy, tuż pod murem z czerwonej cegły. Popatrzył na mknące do miasta samochody, a jego myśli krążyły wokół zbyt wielu pytań, lecz brakowało czasu, by na nie odpowiedzieć. Teraz miał wroga tam, gdzie się go nigdy nie spodziewał - w komendzie głównej nowojorskiej policji. Wypłuł gumę przez okno i przetarł dłonią zmęczone oczy, po raz pierwszy zastanawiając się, czy powołanie do życia Apaczów warte było ryzyka. Przez ten krótki czas spędzony wraz z kolegami Grzmot zdał sobie sprawę z tego, jak bezbronny był ich zespół, jak skłonny do błędów, jak bardzo wyszli z wprawy po długiej przerwie i jak obrażenia i upływ czasu osłabiły ich zawodowe umiejętności.

- On nie jest taki jak my, Grzmot - powiedziała pani Columbo. - Raczej kieruje się sercem niż rozumem.

- Jak dużo wiedzą? - zapytał.

- Wiedzą, że lecę do Maine.

Jej twarz była smutna i zmęczona, a lampy z kas oświetlały jej delikatne rysy i rozmazany tusz do rzęs. Grzmot zawsze żywił ciepłe uczucia do pani Columbo. Nawet bardziej niż ciepłe, musiał przyznać sam przed sobą. Podziwiał w niej kobietę równie mocno, jak policjantkę. Ich wzajemne stosunki były pełne swobody i delikatnego zainteresowania seksualnego.

- Nie - powiedział Grzmot. - Wiedzą, że miałaś lecieć do Maine.

- Nie możesz tego odwołać. - Złapała go mocno za ramię.

- To zbyt niebezpieczne. Będą na ciebie czekać.

- Spędziliśmy życie na wyjazdach w miejsca, gdzie nas oczekiwano-stwierdziła.-  
Dlaczego w tym wypadku miałyby być inaczej?

- Bo będą czekać na ciebie. - Odwrócił się w jej kierunku. Tak bardzo chciał ją objąć i ochronić. Nie zrobił tego jednak. Po prostu patrzył na nią i pozwalał, by to spojrzenie wystarczyło za słowa.

Mimo całej swej brawury Grzmot nie bardzo umiał postępować z kobietami. Może wynikało to z jego wychowania, może z nieśmiałości albo, co gorsza, strachu. A może po prostu nie chciał popełnić błędu. Niezależnie od powodu, nie potrafił dzielić się swoimi uczuciami z żadną kobietą, na której mu zależało. Właśnie przez to pozostał samotny, bez żony, dzieci czy choćby pozorów prawdziwego życia. Ta pustka doskwierała mu nawet bardziej niż rany. Grzmot Frontieri nie miał żadnego wyboru. Musiał kontynuować swoją prywatną wojnę z Lucią Carney. Tylko to trzymało go przy życiu.

Pani Columbo wyciągnęła ręce i ujęła w nie głowę Grzmota.

- Więc ty też tam bądź, Grzmot - powiedziała cicho. - I upewnij się, że nic mi się nie stanie.

Przez dłuższą chwilę nic nie mówił, a potem zapytał tylko:

- Masz jakiś plan awaryjny?

- Czy kiedyś nie miałam? - odpowiedziała pytaniem.

Siedzieli wokół stołu u Nunzia, a jedzenie stygło, gdy słuchali, jak pani Columbo opowiada o zachowaniu swojego męża i zdradzie inspektora Lavettiego. Nikt nic nie mówił i nikt się nie poruszył. Pani Columbo wyłożyła im wszystko jak policjant, nie zatajając faktów i szczegółów.

Gdy tak słuchali, zrozumieli pewną prawdę. Dla Apaczów nie była to już tylko walka. Była to wojna z przeciwnikiem, który chciał ich zniszczyć, a teraz znał ich nazwiska i twarze.

- Jeśli któreś z was chce odejść od tego stołu, to właśnie nastąpił odpowiedni moment - powiedział Grzmot po chwili milczenia. - Prawda jest taka, że gdybyśmy mieli odrobinę rozumu, wszyscy byśmy stąd odeszli. Stawili czoło prawdzie i się z nią pogodzili.

- A jaka jest prawda? - spytał Wielebny Jim.

- Jesteśmy tym, czym wiemy, że jesteśmy - wyjaśnił Grzmot. - To się różni od tego, czym myślimy, że jesteśmy.

- Zawsze znaliśmy tę prawdę - wtrącił Geronimo. - Zgodziliśmy się na to, wiedząc, że jesteśmy zaledwie połową tego, czym niegdyś byliśmy. Nic się nie zmieniło. Nasze przeznaczenie pozostało takie samo.

- Nikt z nas wcale nie pali się do tego, żeby umrzeć - dodał Kręgiel. - Ja na pewno nie. Ale zawsze wiedzieliśmy, że wcześniej czy później zorientują się, kim jesteśmy. Musimy tylko się upewnić, że przygotowaliśmy się lepiej od nich.

- Możemy to odłożyć. - Grzmot był pod wrażeniem jedności grupy. - Dać wszystkim szansę, aby ponownie to przemyśleli.

- Ja już przemyślałem wszystko, co miałem do przemyślenia - stwierdził Wielebny Jim. - Czas rozpocząć taniec.

- Opracujmy jakiś sposób, żeby wydostać stamtąd panią Columbo? - powiedział Snajper. - Żywą.

- To wszystko dotyczy też ciebie, Nunz - dodał Grzmot.

- Lucia ma na liście także twoje nazwisko. Jeśli chcesz się wycofać, teraz nadszedł czas.

- Jestem tam, gdzie chcę być - odparł Nunzio. - W swojej restauracji.



- No, dobrze - uśmiechnął się Grzmot. - A, co tam. Posłuchajmy, jaki plan ma pani Columbo.

- Może najpierw zrobię kawę - zaproponował Wielebny Jim, podnosząc się z miejsca.

- Ja zrobię kawę. - Nunzio położył mu rękę na ramieniu.

- Mój żołądek wciąż pamięta twój napar. Był tak mocny, że mógłby zabić.

- Spróbuj to włączyć do swojego planu - powiedział Snajper do pani Columbo.

Snajper moczył się w gorącej wodzie, w wannie pełnej bąbelków. Gorąco rozchodziło się po jego zmęczonych członkach. Opierał głowę o kafelkową ścianę i przykrył oczy złożonym ręcznikiem.

Do łazienki po cichu wśliznął się Eddie. Podszedł do ojca, ściągnął mu z oczu ręcznik i zaczął się nim głaskać po policzkach. Snajper popatrzył na synka i uśmiechnął się do niego, jak zawsze zdumiony podobieństwem chłopca do dziadka.

Eddie włożył rączkę do wody i wyciągnął piąstkę pełną piany, mocząc przy okazji rękaw swojej piżamy-pajacyka w pieski Snoopy.

- Skorzystałem z twojego płynu do kąpieli - powiedział Snajper. - Nie masz nic przeciwko temu?

- Możesz wlać go sobie do oczu i nie będzie cię szczypał - odparł Eddie. - Ale go nie łykaj. Dobrze?

- Nie będę - obiecał z uśmiechem Snajper.

Eddie przeszedł się wzdłuż wanny, ciągnąc rączką po wodzie i udając motorówkę. Kiedy odwrócił się do ojca, jego piżama była mokra aż do ramienia. Maluch zasłaniał dłonią buzię, żeby stłumić chichot.

- Zdejmuj piżamkę i wskakuj do mnie. - Snajper pociągnął zamek ubranka synka, rozpinając je do wysokości uda.

Począł, aż mały zdjął piżamę, po czym złapał syna pod pachami, kiedy ten wchodził do wanny. Eddie opuścił się do wody i oparł głowę na piersi ojca. Oddychał spokojnie i obserwował, jak bąbelki odrywają się od jego skóry.

- Tęsknisz za dziadkiem? - spytał po chwili.

- Bardzo. - Snajper przejechał dłonią po jego włosach. - Był moim najlepszym przyjacielem. Mimo że nie miał najłatwiejszego charakteru i ciężko się było z nim dogadać.

- Jak wtedy, kiedy mu powiedziałeś, że zostaniesz policjantem? - spytał Eddie.

- To nie był najlepszy dzień na rozmowę z dziadkiem - przyznał Snajper. - Trochę się zdenerwował.

- Mówił, że byłeś świetnym policjantem. - Eddie popatrzył na tatę. - Ale nie wiedział, dlaczego byłeś świetnym policjantem.

- To właśnie cały kochany dziadek - stwierdził Snajper.

- Czy dziadek by się cieszył, że jesteś świetnym portierem?

- Chłopiec wylał wodę z zaciśniętej pięści.

- Chyba tak. - Snajper oparł głowę o kafelki i zamknął oczy. - Chyba cieszyłby się z każdej mojej pracy, pod warunkiem że byłaby uczciwa.

- A cieszyłby się z tego, że jesteś Apaczem? - Eddie wciąż bawił się wodą.

Snajper uniósł głowę i otworzył oczy, po czym popatrzył na syna.

- Skąd o tym wiesz? - spytał.

- Słyszałem, jak rozmawiałeś z mamusią - odparł Eddie.

- Byłem w swoim pokoju. Spałem.

- Następnym razem spróbuj spać z zamkniętymi oczami - poradził mu Snajper. - Wtedy się mniej słyszy.

- No i?

- Co?

- Czy dziadek cieszyłby się z tego? - Eddie wyprostował się i popatrzył na ojca. - Z tego, że jesteś Apaczem?

- Tak. - Snajper pogłaskał synka po plecach. - Myślę, że by się cieszył.

- Ja też się cieszę. - Eddie znowu skupił się na stygnącej wodzie, bawiąc się resztką piany. - Teraz tylko mamusia musi się ucieszyć.

- Na razie spróbujemy walczyć tylko na jednym froncie - powiedział Snajper.

- Od którego zaczniesz? - spytał Eddie.

- Od tego, na którym mam szansę zwyciężyć - odparł Snajper.

Wielebny Jim siedział na ławce w parku, z wyciągniętymi nogami i rękami w kieszeniach. Było całkiem ciemno, a bącząca lampa nad głową mężczyzny dawała mało światła. Wielebny Jim wyciągnął rękę z kieszeni i przejechał nią wzdłuż ławki, wyszczerbionego drewna z wyrytymi na nim imionami, dotknął zardzewiałych śrub, które trzymały ławkę w jednym kawałku. Tu właśnie siedziała jego matka tamtej nocy, gdy zginęła, tu czekała, żeby zapłacić handlarzowi narkotyków pożyczonymi pieniędzmi. Wielebny Jim nie był tu od tamtej nocy. Tak bardzo chciał się rozplakać i wykrzyknąć głośno imię matki, zbyt wiele jednak się wydarzyło przez te wszystkie lata. Nie miał już łez, które mógłby teraz uронić. Zamiast tego siedział w milczącej ciemności i trzymał dłoń na miejscu, w którym kiedyś siedziała kochana przez niego kobieta.

Kręgiel przyglądał się, jak ośmioletni chłopiec wyjmując kulę, przykuca w odpowiedniej pozycji i rzuca kulę na tor, mocno ją podkrecając. Uśmiechnął się, kiedy potoczyła się łukiem i roztrąciła kręgle.

- Świetnie! - Andrew wyrzucił pięść w triumfalnym geście. - Dziś z tobą wygram, Kręgiel. Jestem pewien.

- Zobaczymy - odparł Kręgiel. Wstał, potrząsnął ręką chłopca i przeszedł obok niego, po czym sięgnął po kulę.

Wiele dzieci korzystało z darmowych popołudni w kręgielni, ale żadne z nich nie robiło tego tak często, jak Andrew. Chłopiec niewiele mówił, nie chciał rozmawiać o domu, w którym życie kręciło się wokół narkotyków, bijatyk i nocnych awantur. Kręgiel bez pytania wiedział wszystko, co chciał wiedzieć. Andrew przychodził tu grać w kręgle i zapomnieć. Tak jak on sam.

Kręgiel wyprostował się i posłał kulę po torze numer sześć.

- Nadal myślisz, że mnie pokonasz? - spytał chłopca.

- Ja to wiem - odparł Andrew.

- Chcesz się założyć? Andrew opuścił wzrok na podłogę.

- Nie mogę się z tobą założyć - powiedział głuchym głosem. - Nie mam pieniędzy.

- Nie chcę się zakładać o pieniądze.

- No to o co?

- Przez jakiś czas mnie tu nie będzie - odparł Kręgiel. - Ktoś musi się zająć kręgielnią.

Dopilnować, żeby sprawy nie wymknęły się spod kontroli. Jesteś zainteresowany?

Na twarzy chłopca pojawił się uśmiech.

- Tak - odparł Andrew. - Przecież wiesz.

- Jeśli ze mną wygrasz, zapłacę ci za to, żebyś mnie zastąpił - powiedział Kręgiel. - Jeśli jednak przegrasz, będziesz tu pracował za darmo.

- To główniany zakład - mruknął Andrew, krocząc po posadzce i biorąc kulę do ręki.

- Tylko dla tego, kto przegra. - Kręgiel usiadł i uśmiechnął się do uszczęśliwionego chłopca.

Obaj grali aż do nadejścia ciepłej nocy. Radosne wrzaski Andrew, który po raz pierwszy wygrał z Kręglem, odbijały się echem w pustce wyludnionych ulic.

Opasany białym ręcznikiem Geronimo siedział w łaźni. Na jego szyi wisiał подарowany przez matkę medalion. Wnętrze spowijały kłęby pary, krople potu strumieniami spływały z ciała mężczyzny. Pobyt w łaźni był dla Geronimo rodzajem rytualnego oczyszczenia przed bitwą. Wiedział, że nadszedł jego czas, że teraz mógł niemal dotknąć

swego przeznaczenia. Uśmiechnął się na myśl o tym. Tak właśnie miało być. Nie musiał się już bać, że znajdą go z sercem przygniecionym smutkiem, nad popsutym komputerem, w dusznych czterech ścianach. Zamiast tego miał się spotkać z mechanizmem, który na niego czekał. Mechanizmem, któremu musiał stawić czoło i który miał ponownie tchnąć życie w jego duszę.

Geronimo zdjął z szyi medalion i położył go obok, na drewnianej płycie. Nie potrzebował już ochrony. Odnalazł swoją drogę.

17.

Pani Columbo podeszła do czarnej furgonetki, przyciskając do piersi zakutaną w ubranka lateksową lalkę. Ukryte wśród drzew auto stało na stoku wzgórza, piętnaście kilometrów od Camden w stanie Maine. Czterej uzbrojeni mężczyźni krążyli przy tylnych drzwiach samochodu, kopiąc wypolerowanymi czubkami butów piaszczystą ziemię. Dwaj pozostali siedzieli z przodu, wdychając świeże, nocne powietrze i opierając głowy na zagłówkach. Nieopodal furgonetki zaparkował czarny cadillac. Jego drzwi były otwarte, a w środku auta trzech mężczyzn sprawdzali i czyścili magazynki swoich pistoletów maszynowych.

Ludzie Lucii uważali rogatki miejscowości wypoczynkowych za idealne miejsca wymiany. Handlarze i mrówki mogli tu przyjeżdżać i wyjeżdżać, otwarcie prowadzić interesy, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi. Miasteczka przywykły do rzeszy podróżujących turystów, którzy zatrzymywali się w nich na dzień lub parę godzin przed powrotem do domu. Łatwo było wmieszać się w tłum.

Lucia szybko odkryła, że jeszcze łatwiej było kupić niedrogie mieszkanie na terenie miasteczka i przeznaczyć je na wzorcową bazę handlową dla obiecujących klientów. Zwłaszcza brokerzy z otwartymi ramionami witali inwestorów, którzy dokonywali transakcji gotówką. Lucia Carney miała siedem takich mieszkań, każde zakupione na inne nazwisko i każde w pięciogwiazdkowym kurorcie nieopodal któregoś z najważniejszych ośrodków handlu narkotykami. Tam mrówka wraz z obstawą mogła łatwo wmieszać się w tłum grających w piłkę mamus, szalejących na punkcie golfa tatusiów i rozrabiających maluchów i równie łatwo zniknąć z pola widzenia.

Bez wątpienia była to doskonała kryjówka.

Obcasy pani Columbo chrzęściły na kamykach, wzbijając kurz pod jej stopami. Kobieta patrzyła na furgonetkę i widziała paczki z kokainą, ułożone z tyłu i niemal lśniące w światłach cadillaca. Szła powoli, a po jej prawej stronie kroczył niski, siwowłosy mężczyzna

z rewolwerem, po lewej zaś zgorzkniała kobieta, którą poznała na lotnisku w Portland i która przedstawiła się jako Angela.

Jazda z Portland na roгатki Camden trwała niecałą godzinę i przebiegała w zupełnym milczeniu. Pani Columbo siedziała sama na tylnym siedzeniu mercedesa 450 SL i od czasu do czasu zerkała na lalkę w swoich ramionach, której na szczęście nikt się dotąd nie przyjrzał.

Pani Columbo i Grzmot przeszli przez formalności na lotnisku LaGuardia dzięki pomocy dwóch przyjaciół, byłych policjantów, pracujących obecnie dla FBI. Agenci czekali na dwójkę Apaczów przy punkcie kontrolnym. Pokazali odznaki, rozłożyli parę kartek sfalszowanych dokumentów i osobno przepuścili ich przez kontrolę, ominąwszy rentgeny, które z pewnością wykryłyby ładunki wybuchowe w rękach pani Columbo i teczce Grzmota.

W niewielkim samolocie pani Columbo i Grzmot usiedli trzy rzędy od siebie i podczas lotu starannie unikali kontaktu wzrokowego. Pasażerka po prawej stronie pani Columbo, kobieta o szerokich ramionach, ubrana od stóp do głów w stroje od L.L. Bean, zapytała, czy może zerknąć na śpiące niemowlę.

- To nie najlepszy pomysł - odparła szorstkim tonem pani Columbo i spojrzała zimno na sąsiadkę. - Ona ma bardzo lekki sen.

Resztę lotu spędziła z odwróconą głową i zamkniętymi oczami, zastanawiając się nad tym, co wydarzyło się przez kilka ostatnich tygodni. Przeszła długą drogę, od zgorzkniałej byłej policjantki, do członkini nielegalnego zespołu, który pragnął zlikwidować kokainową królową. W tym czasie pani Columbo znalazła się na skraju rozvodu, została wystawiona przez skorumpowanego gliniarza, a teraz siedziała w zbyt wąskim fotelu, przytulając do siebie fałszywe dziecko, wypełnione ośmioma laskami dynamitu, który miał eksplodować za niecałe trzy godziny.

I czuła, że tu właśnie jest jej miejsce. >

25S

Grzmot pierwszy wysiadł z samolotu i ruszył przed siebie, wyprzedzając ludzi czekających w sali przylotów i z niecierpliwością szukających twarzy swoich krewnych i przyjaciół. Zatrzymał się na moment przed ponuro wyglądającym komitetem powitalnym pani Columbo i niemal otarł się o beżową skórzaną kurtkę mężczyzny. Obaj wymienili szybkie spojrzenia, po czym Grzmot skierował się w stronę okienka wypożyczalni samochodów.

- Twój samolot się spóźnił - powiedziała Angela głosem ostrym jak kanty jej spódnicy.

- Jeśli chce się pani poskarżyć, to zaraz będzie tędy szedł pilot. - Pani Columbo zasłoniła dziecko przed wzrokiem Angeli. - Jemu proszę zgłosić pretensje.

Usta Angeli wykrzywiły się, co mogło oznaczać zarówno uśmiech, jak i pogardę. Kiedy się odwróciła, było jasne, że oczekuje, aby pani Columbo i mężczyzna w beżowej kurtce poszli za nią, co zresztą uczynili.

- Naprawdę jest taka wredna czy tylko udaje? - zapytała pani Columbo swojego towarzysza.

- Proszę mi wierzyć, moja żona naprawdę taka jest - odparł cichy, niski mężczyzna głosem, który pasował do jego postury. - Naiwnie byłoby sądzić, że jest inaczej.

- No cóż, pan wie najlepiej. - Pani Columbo potrząsnęła głową, a mężczyzna ruszył szybciej, usiłując dogonić Angelę.

Geronimo i Kręgiel znajdowali się niecałe pół kilometra nad furgonetką, kryjąc się za drzewami i stosem dużych kamieni. Kręgiel siedział odwrócony plecami do tego, co działo się w dole, i ze skrzyżowanymi nogami i słuchawkami na uszach usiłował usłyszeć rozmowę zarejestrowaną przez urządzenie podsłuchowe, umieszczone na plecach lalki. Geronimo odłożył niewielką lornetkę i spojrział na zegarek.

- Coś wywęszyli? - zapytał.

- Niczego nie usłyszałem - odparł Kręgiel. - Ale ci ludzie porozumiewają się spojrzeniami, nie słowami.

- Grzmot i Snajper powinni się tu pojawić za trzy minuty - powiedział Geronimo.

- Ile zostało do wybuchu lalki? - chciał wiedzieć Kręgiel.

- Sześć minut. - Geronimo wyjął z dużej czarnej walizki dwie strzelby i podkładki osłabiające odrzut. Jedną ze strzelb wręczył Kręgielowi. - Miej na oku tych przy furgonetce. Ja zdejmę facetów w cadillacu. Grzmot będzie się musiał zająć tą dwójką z panią Columbo.

- Ten samochód parkuje zbyt blisko furgonetki - stwierdził Kręgiel. - A jeśli dynamit wysadzi oba auta?

- Raczej nie - odpowiedział Geronimo. - Nie, jeśli pani Columbo umieści lalkę tak, jak jej pokazywałem. Poza tym i tak zostawiłem pół minuty, żeby Wielebny Jim zdążył przestawić samochód.

- Następnym razem nie bądź taki hojny. - Kręgiel sprawdził przymocowany do broni noktowizor. - Tylko go rozpieszczasz.

Geronimo popatrzył na Kręgiela i pokiwał głową.

- Pomyślałem, że mu popuszczę - powiedział. - Ten jeden raz.

- Uprzejmość to słabość. - Kręgiel oparł lufę o gałęzie. U jego stóp leżała otwarta skrzynka z nabojami do magnum kaliber.375, a słuchawki miał teraz na szyi.

- Podobnie jak brak celności. - Geronimo ustawił strzelbę i wycelował, kryjąc się w cieniu wielkiego głazu.

- Wciąż mi się nie podoba zakończenie tego planu. - Snajper usiadł na skraju skały, a wokół niego leżały cztery zabezpieczone i naładowane strzelby.

- Jeśli zejdziemy, żeby ich powystrzelać, jeden z nas na pewno przyplaci to życiem. - Grzmot chodził po zakurzonej ziemi, pełnej kamyków i gałęzi.

- Kręgiel i Geronimo zastrzelą tych, których zdołają dosięgnąć ze wzgórza. Wielebny Jim musi dotrzeć do samochodu, a pani Columbo ma dość zmartwień z tą pieprzoną bombą w lalce.

- Wątpię, czy Kręgiel kiedykolwiek naciskał spust strzelby - zauważył Snajper. - Mógłbym się założyć, że jeżeli kogokolwiek zabije, tym kimś będę ja.

Grzmot oparł się o głaz i popatrzył na Snajpera. Znajdowali się o pół minuty biegu od czarnej furgonetki. Widzieli panią Columbo i mężczyzn z bronią i czuli, że w ukryciu pozostają jeszcze inni, gotowi, by wycelować i pozabijać Apaczów.

- Jak myślisz, ilu jeszcze się tam kryje? - spytał Grzmot, żując cienką gałązkę.

- Trudno powiedzieć - odparł Snajper. - Jeśli jednak spodziewali się totalnej rozpiarduchy, pewnie jest jeszcze z sześciu. Bardzo dobrych strzelców.

- Oczekują, że zacniemy strzelać - powiedział Grzmot.

- Spodziewają się, że zejdziemy z bronią.

- A ty byś tego nie oczekiwał? - spytał Snajper. Grzmot pokiwał głową i uśmiechnął się do kolegi.

- No to mamy półtorej minuty - stwierdził. - Żeby zejść i zrobić to, czego się w ogóle nie spodziewają.

- Czyli co? - Snajper ześliznął się ze skały i sięgnął po broń.

- Każemy im się poddać - oznajmił Grzmot.

Mężczyzna w okularach przeciwsłonecznych podszedł powoli do pani Columbo. Kobieta mocno ścisnęła lalkę obiema rękami, jedną kryjąc pod fałdami cienkiego kocyka i dotykając palcami trzydziestki ósemki.

- Daj dzieciaka - powiedział powoli mężczyzna. Kiedy pani Columbo nie ruszyła się z miejsca, podszedł bliżej i wyciągnął rękę.

- Potrzebuję go teraz - powiedział.

Angela i mężczyzna w beżowej kurtce odwrócili się i obrzucili panią Columbo wzrokiem pełnym gniewu i podejrzliwości.

- O co chodzi? - spytała Angela. - Zrób to. Daj dziecko Carlowi.

- Spodziewałam się, że dostanę pieniądze przed oddaniem dziecka. - Pani Columbo była zdumiona tym, jak spokojnie zabrzmiał jej głos.

- Teraz możesz się spodziewać, że cię zabijemy, jeśli nie dasz dzieciaka - oznajmił mężczyzna w beżowej kurtce.

Pani Columbo spojrzała na lalkę w swoich ramionach.

- Żegnaj, moja słodka - powiedziała łagodnym głosem i uśmiechnęła się ciepło.

Popatrzyła na mężczyznę w okularach, a potem na Angelę i jej męża.

- Przywiązałam się do niej - wyjaśniła im. - Nie zrozumiecie tego. To instynkt macierzyński.

Pani Columbo, nie przestając się uśmiechać, rzuciła dziecko pod czarną furgonetkę, odwróciła się i wycelowała rewolwer prosto w twarz Angeli.

- Słuchajcie mnie, wszyscy! - ryknęła, nie spuszczać wzroku ze zdumionej Angeli. - Macie minutę, zanim ta furgonetka wyleci w powietrze i pozabija nas wszystkich. Możemy się powystrzelać albo stąd uciec. Zostawiam wybór tej oto damie.

Angela oderwała oczy od pani Columbo i muszki jej rewolweru i ujrzała Grzmota i Snajpera, z bronią u boku schodzących ze wzgórza. Wielebny Jim wysliznął się zza krzewu i zmierzał do cadillaca z rewolwerem kaliber.38 w ręce.

- Kilka sekund wcześniej gotowi byliście zabijać - powiedziała cicho pani Columbo. - Czy teraz jesteście gotowi umrzeć?

- Czego chcesz? - spytała Angela. Jej głos stracił już ostrość.

- Niech furgonetka wyleci w powietrze - powiedziała pani Columbo. - My odjedziemy samochodem z pieniędzmi w bagażniku. Ty i twoi ludzie możecie odejść.

- A jeśli się nie zgodzimy? - spytał mąż Angeli.

- Wtedy tych, których nie zabije bomba, zabiją strzelcy za wami i nad wami - odparła pani Columbo. - I tak stracie narkotyki i gotówkę, ale Lucia z pewnością doceni wasze wysiłki.

- Czterdzieści pięć sekund! - wrzasnął Grzmot, celując w przestrzeń między nimi. - To nie wymaga specjalnych przemyśleń.

- Ty też zginiesz - krzyknął do niego mężczyzna w skórzanej kurtce. - Razem z nami.

- Zjedna różnicą - odparł Grzmot. - Ja mam to w dupie. Angela po raz ostatni popatrzyła na panią Columbo.



- A ty? - zapytała. - Też masz to w dupie?

Pani Columbo uśmiechnęła się i wbiła lufę rewolweru w policzek Angeli.

- A jak myślisz? - zapytała.

Angela powoli uniosła ręce nad głowę. To wystarczyło, by mężczyźni wokół niej odłożyli broń i odbiegli od furgonetki.

- Wsiadajmy do wozu - krzyknął Grzmot, biegnąc za Snajperem do cadillaca. Wielebny Jim już siedział za kierownicą.

- Ona was znajdzie! - krzyknęła Angela za panią Columbo, gdy ta opuściła rewolwer i pobiegła za resztą.-Znajdzie was wszystkich.

- Na to liczymy - odkrzyknęła pani Columbo.

Siedziała na tylnym siedzeniu lincolna przy otwartym oknie. Obok niej usiadł Snajper, z przodu zaś Grzmot i Wielebny Jim. Tylne opony wzbijały tumany kurzu wokół samochodu. Angela i reszta ludzi Lucii rozbiegli się po wzgórzach i ścieżkach, zostawiając za sobą porozrzucaną broń.

Geronimo i Kręgiel przyglądali się temu wszystkiemu, ukryci bezpiecznie za skałą na wzgórzu.

- Teraz - szepnął do siebie Geronimo.

Nawet nie mrugnął, gdy potężna eksplozja rozerwała czarną furgonetkę i poderwała ją w górę, wyrzucając wokół kurz, metal, odpadki i kokainę. Czerwone, pomarańczowe i żółte płomienie odbijały się w oczach Geronimo, a gorący podmuch przetoczył się nad nim w jednej potężnej fali zniszczenia. Mężczyzna uśmiechnął się z podziwem. Szanował siłę destrukcji.

Lucia Carney stała w swoim domu w Sedonie, patrząc na pole golfowe. Przez zamknięte okna sączył się blask księżycy w pełni. Grube koronkowe firanki były zasłonięte, a okiennice pozamykane. Lucia miała na sobie jedwabny szlafrok z dekoltem i rozcięciami po bokach. Pograżona w myślach, paliła papierosa i nie słyszała, jak do pokoju wszedł jej mąż, Gerald. Zakradł się za nią, pijany po wieczornym spotkaniu z kumplami od interesów, i owinał prawe ramię wokół talii Lucii, delikatnie głaszcząc nagie ciało.

- Tęskniłaś za mną? - wymruczał jej do ucha.

- Nie - odparła Lucia. Nie spuszczała wzroku z pola golfowego i błędziła myślami tysiące kilometrów stąd, wyobrażając sobie straconą kokainę i pieniądze.

Tym sukinsynom Apaczom nie wystarczyło, że wysadzili w powietrze narkotyki warte sześćset tysięcy dolarów. Musieli wyrządzić jej dodatkowy afront, odjeżdżając jednym z nowych samochodów, w którego bagażniku spoczywało sześćset pięćdziesiąt tysięcy dolarów

w studolarowych banknotach. Kilka godzin temu Lucia odkryła, że cała ta suma została przekazana pod jej nazwiskiem na ośrodki pomocy wykorzystywanym dzieciom w trzech różnych stanach.

Gerald zaczął głaskać szyję żony, a jego ręce błądziły po jej koszuli niezdarnymi ruchami człowieka, który nie powinien już pić trzech ostatnich drinków.

- Idź do łóżka, Geraldzie-powiedziała Lucia, niewzruszona staraniami męża.

- Taki mam plan. - Położył głowę na jej ramieniu. - Razem pójdziemy.

Lucia odsunęła się od niego i zgmiotła papierosaw popielniczce na marmurowym stole. Gerald ściągnął granatową marynarkę, rozluźnił krawat i uśmiechnął się do żony, a jego ciało ożywiło się na widok jej nagiej skóry, widocznej pod cienkim strojem.

Zastąpił jej drogę, gdy usiłowała go wyminąć, i prawą ręką zaczął pieścić jej pierś. ‘

- Czegokolwiek byś chciała - powiedział z szerokim uśmiechem na twarzy, dotykając palcami sutków żony - na pewno to zrobimy.

Lucia wpatrywała się w Geralda i zastanawiała, dlaczego była z nim aż tak długo. Już teraz miała więcej pieniędzy od niego i wiedziała o inwestowaniu wszystko, czego mógł ją nauczyć. Na dodatek знаła jego współpracowników i bez trudu mogła się z nimi skontaktować, żeby rozszerzyć swoje kontakty.

- Rozbierz się - powiedziała w końcu. - I zgaś światła. Zaraz przyjdę.

Głośny wystrzał z magnum sprawił, że obaj ochroniarze wpadli przez drzwi do sypialni i na widok Lucii znieruchomieli z wyciągniętymi pistoletami.

Odwróciła się, by na nich popatrzeć. Po twarzy spływała jej krew, a broń jeszcze dymiła po strzale. Lucia ześliznęła się z łóżka i podeszła do dwóch oniemiałych mężczyzn, po czym wręczyła jednemu z nich rewolwer.

- Wezmę prysznic i ubiorę się - powiedziała spokojnym tonem. - Niech ktoś sprzątnie Geralda i zarezerwuje lot prywatnym odrzutowcem do Nowego Jorku.

18.

Kręgiel siedział przy barze u Nunzia, popijając beczkowe piwo z oszronionej szklanki. Było wczesne sobotnie popołudnie, dwa dni po napadzie w Camden, a do lokalu nie przyszli jeszcze klienci. Z szafy grającej dobiegały dźwięki My Last Affair Elli Fitzgerald.

- Chcesz jeszcze jedno?-spytał Nunzio, przecierając kontuar białą ściereką.

- Nie, dzięki. Za wcześnie. To mi wystarczy.

Nunzio popatrzył na Kręgiela i dostrzegł w jego twarzy coś, czego nie powinno tam być. To nie strach, nawet nie troska wyostrzyła wyraziste rysy mężczyzny. Kręgiel wyglądał jak ktoś, i kto znalazł się w środku bitwy, a nie ma w tym żadnego interesu. Nunzio zawsze

uważał, że to właśnie Kręgiel czuje się najgorzej jako jeden z Apaczów. Inni byli twardsi, bardziej bojowi, zaprawieni w bojach. Nunzio wiedział, że Kręgiel różnił się od nich. Wciąż miał zbyt wiele serca.

W swojej specjalności Kręgiel nie widział tak wielu trupów jak inni, był mniej świadomy paskudnej strony pracy policjanta. Lubił pozostałych członków grupy i cieszyło go ich towarzystwo. Dobrze się czuł, gdy wszyscy gromadzili się przy stole, snując opowieści o pracy i opowiadając głupie dowcipy. Zgadzał się na ich plany i można było na niego liczyć, ale w przeciwieństwie do innych, nie powodowała nim chęć zemsty. Nunzio czuł, że Kręgiel był jedynym gliną, który, gdyby miał wybór, wycofałby się i powrócił do cichego sanktuarium swojej kręgielni.

- Mogę cię o coś spytać? - Kręgiel odsunął szklankę z piwem.

- Chyba nie przyszedłeś tu pić - stwierdził Nunzio. - Nie serwujemy też lunchu. Rozumiem, że chciałeś porozmawiać.

- Chodzi mi o to wszystko - zaczął cicho Kręgiel. - Nie wygląda na to, żeby to się miało dobrze skończyć dla któregokolwiek z nas. Także i dla ciebie.

- Na razie wszystko idzie zgodnie z waszym planem - zapewnił go Nunzio. - Zrobiliście trochę szkody, przyprawiliście tę damę o ból głowy i, co najważniejsze, zwróciliście na siebie jej uwagę.

- Właśnie - stwierdził Kręgiel. - Dlatego się martwię.

- I tu masz rację - odparł Nunzio. - To ci muszę przyznać.

- W każdym zespole jest jakieś słabe ogniwo - ciągnął Kręgiel. - Żyję wystarczająco długo, żeby to wiedzieć. Nie chciałbym być właśnie takim ogniwem.

- Dobrze sobie radzisz - powiedział mu Nunzio. - To nie przez twoje gadanie ta pani zwróciła na nas uwagę.

- Innym to chyba łatwiej przychodzi. - Słowom Kręgla towarzyszył odpowiadający im utwór - Good Morning Headache Elli Fitzgerald. - Chodzi mi o działanie. Zupełnie, jak gdyby czekali, aż coś się zacznie dziać. Ja cały czas mam nadzieję, że ją złapiemy, zakujemy w kajdanki i przekazemy federalnym.

- Chcesz zrezygnować? - spytał Nunzio i oparł się na kontuarze. - Może jeszcze nie jest za późno. To, że odszedłeś, rozniesie się równie szybko jak to, że przystałeś do grupy.

- Może jednak wypiję jeszcze jedno piwo.

Kręgiel przysunął szklankę do Nunzia. Starszy pan napełnił ją pianistym napojem i sięgnął pod ladę, żeby wyjąć drewnianą miseczkę z chipsami.

- Oni też się boją - powiedział. - Wszyscy się boimy. I mamy powody. Nie każdy z nas ujdzie z tego z życiem.

- Wiem o tym - odparł Kręgiel. - Tyle że tego nie da się odczytać z ich twarzy. Z mojej, i owszem. I to chyba właśnie ta różnica. Każdy to łatwo zauważy - i glina, i bandzior.

- Mają nad tobą jedną przewagę, Kręgiel - stwierdził Nunzio. - Tak długo w tym siedzą, że nauczyli się ukrywać strach. Ale to nie znaczy, że nic nie czują.

- A jak to było z tobą? - spytał Kręgiel, kończąc piwo. - Dlaczego ty w to wszedłeś? Nieźle ci się żyje, masz dochodową restaurację. Nie musisz brać udziału w wojnie.

Przez kilka chwil Nunzio patrzył na Kręgiela, po czym odwrócił się i sięgnął po butelkę wódki Seagram's i dwa kieliszki.

- Moja historia w niczym ci nie pomoże - powiedział, napełniając kieliszki.

- Nie musisz mi mówić, jeśli nie chcesz - odparł Kręgiel. - Jestem po prostu ciekaw.

Nunzio jednym haustem wlał wódkę do gardła i wytarł usta zwiniętą papierową serwetką.

- Mam córkę, Sandy-powiedział spokojnym głosem, lecz jego ciało zdradzało napięcie. - Być może ją czasem widzisz. Obsługuje stoliki w te wieczory, kiedy brakuje mi rąk do pracy.

- Kiedyś z nią rozmawiałem - oznajmił Kręgiel. - To chyba miła kobieta.

- Dobry z niej dzieciak - przytaknął Nunzio. - Przez całe życie nigdy nie sprawiała kłopotów. Poślubiła miłego chłopaka.

Nazywał się Frank. Irlandzki chłopak z ciężko pracującej rodziny. Harował na dwa etaty i jeszcze wieczorami się uczył. Strasznie się pokochali. Zamierzali mieć mnóstwo dzieciaków i być ze sobą na zawsze.

- Ale nie byli - stwierdził Kręgiel.

- Zazwyczaj „na zawsze” wcale nie trwa zbyt długo - westchnął Nunzio. - W przypadku Sandy trwało trzy lata.

Kręgiel położył rękę na dłoni starego.

- Możesz dalej nic nie mówić - powiedział. - Chyba znam zakończenie.

- Nie sędzę - odparł Nunzio. - Urodziło się im dziecko. Śliczna dziewczynka o imieniu Theresa. Kiedy miała zaledwie trzy miesiące, już ją pokochałem.

Kręgiel złapał za butelkę wódki i ponownie napełnił kieliszki, po czym przesunął jeden z nich w kierunku Nunzia.

- Szósty sierpnia 1972 roku. To był upalny dzień i jeszcze bardziej upalna noc. - Nunzio wziął w ręce kieliszek, ale nie pił. - Nikt nie mógł zasnąć, a zwłaszcza dziecko,

któremu wyrzynał się właśnie pierwszy ząb. Sandy i Frank zabrali ją na spacer. Chcieli odetchnąć świeżym powietrzem, ale nie tylko. On wciąż pracował i się uczył, więc nie mieli zbyt wielu czasu dla siebie. Spacer był dobrą okazją, żeby nadrobić zaległości.

Kręgiel słyszał, jak Nunzio stara się zapanować nad głosem.

- Spacerowali dopiero od dziesięciu minut - ciągnął Nunzio. - Noc była pogodna i trzymali się za ręce, a dziecko spało w wózek. I nagle, po kilku minutach, świat się skurczył.

- Napadli ich? - Kręgiel miał nadzieję, że odpowiedź będzie właśnie taka prosta.

- Zanim się zorientowali, wyrosło przed nimi dwóch facetów - powiedział Nunzio. - Wciągnęli ich za drzewa. Pobili Frankiego do nieprzytomności i zostawili, żeby umarł. Nie muszę ci mówić, co zrobili Sandy.

- A co z dzieckiem? - Usta Kręgiela były całkiem wyschnięte, a dłonie zaciśnięte w pięści.

- Z Theresą? - Nunzio dwukrotnie zamrugnął powiekami.

Nie chciał, aby łzy spłynęły mu po twarzy. - Zabrali ją z wózek.

- Jezu Chryste! - wybuchnął Kręgiel. - Przykro mi, Nun-zio. Tak mi przykro.

- Tamtej nocy wszystko się zmieniło - ciągnął Nunzio. - Dopiero po wielu latach Sandy pozbiierała się i znalazła w punkcie, w którym mogła prowadzić w miarę normalne życie. A Fran-kie... On nigdy nie dał sobie z tym rady. Kręcił się przez parę miesięcy, aż pewnego ranka wstał, ubrał się i wyszedł.

- Dokąd?

- Nie wiem. Nie muszę wiedzieć. Każdy z nas walczy na inny sposób. On walczy tak, jak potrafi.

- Odzyskali kiedyś Theresę?

- Nie - odparł Nunzio. - Pomagali wszyscy moi przyjaciele. Wszyscy znajomi gliniarze. Na nic nie trafiliśmy.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Nic - westchnął Nunzio. - Lata mijają, człowiek grzebie to w sobie, ale nigdy nie zapomina. I nagle zjawił się Grzmot i opowiedział mi o Lucii. Wiem, że ona nie miała nic wspólnego z porwaniem mojej małej Theresy. Ale wiesz co?

- Powiedz.

- To równie dobrze mogła być ona - powiedział Nunzio. - Dlatego w to wszedłem.. Dlatego wszyscy w to weszliśmy. Żeby chociaż częściowo wyrównać rachunki. Tylko na tyle

możemy liczyć. Nie da się odzyskać tego, co się straciło, ale można sprawić, żeby ktoś za to zapłacił.

Kręgiel wpatrywał się w Nunzia wilgotnymi oczyma.

- Jestem taki sam jak reszta - ciągnął Nunzio. - I ty też, Kręgiel. Różni ludzie na różne sposoby wrywali nam serce. Tylko smak zemsty trzyma nas przy życiu.

Siedzieli naprzeciwko siebie w melancholijnym milczeniu, a słońce sączyło się przez wielkie okna.

- Wracam do kręgielni - stwierdził Kręgiel. - Pogram trochę. To mi pomaga oczyścić umysł. Nie miałbym nic przeciwko towarzystwu, jeśli jesteś zainteresowany.

- Grasz tak dobrze, jak mówią? - spytał Nunzio. W jego głosie znowu brzmiała pewność siebie.

- Nawet lepiej - uśmiechnął się Kręgiel.

- Jakie dostanę fory? - spytał Nunzio.

- Dam ci dwadzieścia-odparł Kręgiel. - Rozegramy trzy kolejki, to sześćdziesiąt.

Wygrywa najwyższy wynik punktowy.

- O ile zagramy?

- Nie chcę twoich pieniędzy, Nunzio-powiedział Kręgiel.

- I ich nie dostaniesz. - Nunzio wyszedł zza baru. - To o ile?

- O dziesięć dolców za rozgrywkę - odparł Kręgiel. - Dwadzieścia, jeśli wygrasz wszystkie trzy.

- Zgoda. - Nunzio odwinął rękawy i włożył czarną skórzaną kurtkę.

- Nie jesteś oszustem, prawda? - spytał Kręgiel, idąc za Nunziem do wyjścia.

- Przekonasz się za parę godzin. - Nunzio wzruszył ramionami i wyszedł na ulicę, podczas gdy Kręgiel zamykał restaurację.

Grzmot i doktor Carolyn Bartlett szli ramię w ramię wzdłuż południowego odcinka Trzydziestej Szóstej Ulicy, między Park a Madison. Był ciepły, późny wtorkowy wieczór, na niebie nie pojawiła się ani jedna chmura, a ciepły wiatr wiał im lekko w plecy. Grzmot zerknął na gładką, oświetloną światłem ulicznej latarni twarz kobiety, poruszony prostotą jej urody i nadal zdumiony, że przyjęła jego zaproszenie na kolację. Bartlett od początku mu się podobała, poza tym podziwiał ją za postawę, jaką zajęła w sprawie Jennifer Santori. Żałował, że nie powiedział jej tego wcześniej. Jak zwykle jednak pozwolił, żeby przeszkodził mu w tym gniew.

Podjechał po Carolyn pod budynek, w którym pracowała, i zawiózł ją przez most na Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy do swojej ulubionej knajpy na Long Island. Tam zabrali się

do zajadania przysmaków z południowych Włoch, niebiańsko przyrządzonych przez właściciela i jego żonę. W czasie trzygodzinnego posiłku Grzmot i Carolyn śmiali się i rozmawiali, bez trudu pokonując narzucone im przez pracę bariery. Nawet przyłączyli się do Vincenta, emerytowanego policjanta z Neapolu, i wspólnie fałszywie odśpiewali Amore mio. Grzmot poczęstował Carolyn środkiem na trawienie, Fernet Branca, i patrzył ze zdumieniem, jak wypić go jednym haustem i wymieniła trzy zioła, użyte przy jego wyrobie.

W przyjaznym milczeniu jechali z powrotem na Manhattan. Carolyn przystała się na propozycję Grzmota, żeby zatrzymali samochód i trochę się przeszli. Grzmot zaparkował obok hydrantu, położył na desce rozdzielczej zezwolenie z policji, po czym wysiadł i podszedł do drzwi po stronie pasażera, aby wypuścić Carolyn.

- Nadal wolno ci się tym posługiwać? - spytała, wskazując zezwolenie.

- Nie - odparł.

- Czy przestrzegasz jakichkolwiek zasad?

- Nie.

Carolyn wsunęła dłoń pod jego ramię i przysunęła się bliżej.

- Cieszę się, że zadzwoniłeś - powiedziała.

- Byłem ci to winien - odrzekł Grzmot. - Nie zachowałem się w porządku w stosunku do ciebie, jeśli chodzi o Jenny. Myślałem, że jesteś jeszcze jedną sentymentalną babą. Powinienem być pomyśleć.

- Czy to przeprosiny? - spytała.

- Coś w tym rodzaju. - Grzmot popatrzył na Carolyn. - Ale się za bardzo nie przyzwyczajaj.

- Nie będę.

- Rozmawiałem wczoraj z tatą Jenny - powiedział Grzmot. - Mówi, że mała zaczyna dochodzić do siebie i że bardzo pomogłaś jej i całej rodzinie. Jestem ci bardzo wdzięczny.

- Czy to jedyny powód, dla którego zaprosiłeś mnie na kolację? - Carolyn zatrzymała się przed wejściem do swojego budynku.

- To nie był powód - popatrzył na nią Grzmot - tylko pretekst.

- No więc dlaczego mnie zaprosiłeś, detektywie? - Carolyn dotknęła miękką dłonią twarzy Grzmota.

- Uwierzysz, jeśli ci powiem, że nie chciałem jeść sam?

- Nie - odparła.

- A gdybym ci powiedział, że potrzebowałem darmowej porady lekarskiej? - spytał. - W to uwierzysz?

- Nie - powtórzyła.

- A gdybym ci powiedział, że myślałem o tobie każdego dnia, odkąd się poznaliśmy? - Grzmot przysunął się bliżej. - I że z dziesięć razy łąpałem za słuchawkę, żeby do ciebie zadzwonić, ale nie zrobiłem tego, bo gotów byłem założyć się o każde pieniądze, że mi odmówisz. Uwierzyłybyś w to?

- Możliwe - przyznała Carolyn.

Grzmot przysunął się jeszcze bliżej i pocałował Carolyn, trzymając ją mocno w ramionach. Jej włosy dotykały jego twarzy, usta były miękkie, a oddech ciepły jak lekki wiatr znad East River. Grzmot przywarł do kobiety i znieruchomiał, przepojony spokojem nocy i namiętnością pocałunku Carolyn. Stali w świetle ulicznej latarni, a na ten krótki moment zniknęły troski i obawy towarzyszące ich codziennym zajęciom.

- No to teraz masz prawdziwy powód - wyszeptał Grzmot, przytulając policzek do twarzy Carolyn. Wciąż nie wypuszczał jej wiotkiego ciała z mocnego uścisku.

- A ty wiesz, dlaczego się zgodziłam - wyszeptała mu w ucho.

- Już od dawna tak się nie czułem - odezwał się, nie myśląc o przyszłości i koncentrując się jedynie na chwili obecnej. - Od bardzo dawna.

Carolyn uniosła głowę, by spojrzeć, na Grzmota, i objęła rękami jego twarz.

- Chodź ze mną - powiedziała. - Jest jednak coś, co powinieneś wiedzieć, zanim to zrobisz.

- Jesteś mężatką - stwierdził Grzmot. - A twój mąż śpi na kanapie z pistoletem w dłoni.

- To nie wszystko - roześmiała się, prowadząc go po schodkach do kamienicy.

- Nie masz Fernet Branca - powiedział, idąc za nią.

- I nie będę miała. - Carolyn sięgnęła do torebki po klucz od wejścia.

- Nie jestem w stanie wymyślić niczego więcej. - Grzmot stanął za kobietą i objął ją w talii.

Carolyn włożyła klucz do zamka, otworzyła drzwi i odwróciła się, by spojrzeć na Grzmota.

- Boję się o ciebie - powiedziała już bez uśmiechu. - Nie chcę, żeby coś ci się stało.

- Ja też nie chcę, żeby coś mi się stało. - Grzmot przytrzymał jedną ręką drzwi.

- Jestem całkiem pewna, że wkrótce się w tobie zakocham. Fajnie by było, gdybyś kręcił się w pobliżu na tyle długo, żeby tego doczekać.

- Będę się kręcił tak długo, jak tylko zechcesz - obiecał jej Grzmot. - Nie masz się czego obawiać.



Carolyn zarzuciła mu ręce na szyję, a uśmiech powrócił na jej twarz. Oboje weszli na korytarz, zamykając za sobą drzwi, i ruszyli po schodach na pierwsze piętro, do mieszkania Carolyn.

Ta spokojna, wiosenna noc należała teraz do nich.

Czarny lexus parkował po drugiej stronie ulicy. Za kierownicą siedział Wilber Graves i paląc kubańskie cygaro, z uśmiechem na twarzy przyglądał się, jak Grzmot i Carolyn wchodzą po schodach do kamienicy.

- Nasz przyjaciel znalazł sobie kobietę - powiedział Wilber do młodego mężczyzny na fotelu obok.

- Chcesz, żebym go teraz załatwił? - spytał młody człowiek.

Wilber spojrzał na niego i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Nie masz w sobie za grosz romantyzmu, Derek - stwierdził. - Niech ta noc należy do kochanków. Niech mają coś, co będą mogli wspominać. W ten sposób, gdy poczują nasz dotyk, będzie im znacznie trudniej zapomnieć o bólu.

- No to kiedy? - spytał młody człowiek.

Wilber zaciągnął się głęboko cygarem i wydmuchnął dym, wypełniając nim wnętrze samochodu, po czym nabrał powietrza, ponownie wciągając dym w płuca.

- Niech glina dziś się zabawi - powiedział. - My zabawimy się wraz z nadejściem poranka.

19.

Snajper rozpoczął trzecie okrążenie wokół stawu w Central Parku, usiłując zwiększyć pojemność płuc i zbliżyć się do tempa, w jakim biegał przed strzelaniną w windzie. Pędził długimi krokami, w mokrym od potu granatowym policyjnym dresie, i starał się ignorować narastający w piersiach ból. Nogi Snajpera przeszywały ostre ukłucia, mięśnie kręgosłupa drgały w spazmach, a do gardła podchodziły kwasy żołądkowe.

A jednak Snajper biegł.

Strzelanina pod wieloma względami odmieniła jego życie, ale najbardziej dokuczała mu utrata sprawności fizycznej. Dieta Snajpera składała się teraz głównie z owoców, świeżych warzyw i ryb. Trzy razy w tygodniu chodził do miejscowej siłowni, gdzie katował ciało przez trzy godziny z rzędu. Im dłużej trwały te treningi, tym bardziej intensywny stawał się ból. Mimo surowych ostrzeżeń szeregu zatroskanych lekarzy, Snajper postawił sobie za cel znowu biegać.

Cztery razy w tygodniu po sześć kilometrów.

To nie przywróciło mu zdrowia-nic nie mogło tego dokonać - ale przynajmniej zachował zdrowe zmysły. Kiedy biegał, niezależnie od pogody, wspominał dawne lata, kiedy ścigał się z ojcem po mostach na Brooklynie. Nigdy nie mógł go pokonać, ale zawsze kończył bieg, niezależnie od tego, jak bardzo był zmęczony. Podczas tych biegów ojciec Snajpera przekazał synowi dwie fundamentalne zasady - uczciwie zabieraj się do wszystkiego, co robisz, i nigdy się nie poddawaj.

Snajper tylko tak umiał żyć. Nawet z okaleczonym i spustoszonego ciałem.

Dobiegał teraz do ostrego zakrętu. Po prawej stronie miał drzewa i krzaki, a po lewej czyste wody stawu. Spojrzał na stoper w ręce i ujrzał, że zostało mu czterdzieści minut i trzy kilometry. Zwiększył tempo, chcąc skończyć przed upływem trzydziestu pięciu minut.

Dwaj mężczyźni zaskoczyli go z tyłu. Nie miał żadnych szans. Wskoczyli z gęstych krzewów, popchnęli Snajpera na druczany płot i wyciągnęli rewolwery, mierząc w jego klatkę piersiową.

Mężczyzna po lewej miał na sobie drogi dres, a ten drugi ubrany był w szyte na miarę dzinsy i czarną skórzaną kurtkę, narzuconą na cienki czarny golf. Snajper czekał, aż coś powiedzą. Wciąż dyszał po biegu.

- Od dzisiaj dosyć już tych gównianych gier - odezwał się mężczyzna w dresie. - Dasz sobie z tym spokój i zapomnisz o wszystkim, co zamierzałeś zrobić.

- Wracaj do przyjaciół i przekaz im wiadomość - dodał ten w golfie, sepleniąc lekko. - Powiedz im, że mają ostatnią szansę, żeby ujść z tego z życiem.

- Kiwnij głową, żeby wiedział, że zrozumiałeś to, co usłyszałeś - powiedział mężczyzna w dresie.

Snajper patrzył na nich i powoli skinął głową. Kropelki potu kapąły na ciemną ziemię u jego stóp.

Mężczyzna w golfie sięgnął do kieszeni skórzanej kurtki

I wyjął stamtąd kolorową polaroidową odbitkę. Przybliżył zdjęcie do twarzy Snajpera.

- To twój dzieciak, prawda, glino? - zapytał.

Snajper nawet nie drgnął, ale w jego oczach pojawił się gniew. Na twarzy dziecka namalowano duże X. Teraz atakowali nie tylko policjanta. Atakowali też rodzinę. Snajper wiedział, że nie mają odwrótu. Pod jednym względem Luciai Apacze byli tacy sami. Zamierzali zwyciężyć w tej walce. Patrząc na zdjęcie Eddiego, Snajper zrozumiał, że wygrają jedynie ci, którzy przeżyją po bitwie.

Mężczyzna w dresie otworzył czarny nóż sprężynowy i patrzył, jak jego współnik nadziewa na ostrze zdjęcie chłopca. Uśmiechnął się do Snajpera i machnął mu przed nosem nożem i fotografią.

- To może trochę boleć - powiedział, po czym wbił ostrze ze zdjęciem w jego prawe ramię.

Kolana Snajpera ugięły się, a ramiona zadrżały. Rana od noża odnowiła wszystkie doznane wcześniej urazy. Jego płuca błagały o litość. Przełknął łyk żółci i poddał się bólowi, z całych sił pragnąc osunąć się na ziemię i złożyć głowę na zakurzonej ścieżce. Tak bardzo chciał, żeby to się skończyło.

Ale Snajper nie upadł. Patrzył na oprawców zamglonym z bólu wzrokiem, wiedząc, że teraz ma coś, co pozwoli mu wyrównać rachunki. Nie mógłby już zapomnieć tych twarzy.

- Wracaj do swoich przyjaciół - powiedział ten w kurtce. - Opowiesz im o naszym spotkaniu. Dowiedz się, co naprawdę myślą o śmierci.

- Chodzi nie tylko o nich - dodał drugi mężczyzna. - W grę wchodzi dzieci, żony, mężowie, nawet pierdolone psy

1 kotki.

Mężczyzna w dresie wyciągnął nóż z ramienia Snajpera i pomachał mu nim przed nosem.

- Weź zdjęcie - powiedział z uśmiechem. - Włóżysz je do albumu albo do trumny. Wybór należy do ciebie.

Snajper patrzył, jak mężczyźni wspinają się na stromy grzbiet pagórka i odchodzą powoli, plecami do słońca, z bronią u boku. Czekał, aż znikną mu z pola widzenia, po czym schylił się i podniósł zdjęcie synka. Przytrzymał je obiema rękami, a krew ściekała po jego ramieniu, między palcami, wprost na fotografię. Oparł się całym ciężarem o płot, z uniesioną ku niebu twarzą i zamkniętymi oczyma, zatapiając się w ostrym bólu. Stał tak prawie godzinę i nasłuchiwał, jak grupki ludzi przebiegały obok niego, z mozołem spełniając poranny obowiązek. Snajper pocił się, pragnął, by ból jeszcze się wzmógł. Wiedział, że ten ból musi dostarczyć mu sił, aby zdołał jeszcze bardziej rozpalić swój gniew i dzięki temu zakończyć zadanie.

Krwawiącym ramieniem wytarł pot z twarzy i sprawdził czas na stoperze, a następnie ruszył z miejsca, w którym mu przerwano. Puścił się truchtem wzdłuż stawu i skończył swój bieg, trzymając w rękach zgniecione zdjęcie synka.

Ból był jego jedynym ukojeniem.

Geronimo i Wielebny Jim stali przy barierce i obserwowali ósemkę koni na torze. Lada chwila miał się rozpocząć wyścig w Belmont Park. Z rozłożonymi programami i ołówkami w dłoniach usiłowali się zdecydować, na którego konia postawić.

- Numer trzeci właśnie się zesrał.-Wielebny Jim usiłował znaleźć w programie imię konia. - To dobry znak.

- To o niczym nie świadczy - odparł Geronimo. - Przecież to konie. Potrafią tylko srać.

- Katapulta. - Wielebny Jim zakreślił imię konia. - Nawet imię brzmi wystrzałow. Sześć do jednego. Myślę, że może wygrać. Stawiamy na niego?

- Trzeba umieć wyczuć konia. - Geronimo popatrzył w dal.-Wiedzieć, czy zależy mu na zwycięstwie. Czyjego serce ma wystarczająco wiele odwagi.

- Nie prosimy go, żeby pofrunął, Geronimo. To nie ma nic wspólnego z metafizyką. Powinien tylko przebiec po torze półtora kilometra, wygrać o długość nosa i pozwolić nam zdobyć forszę na lunch.

- Nie wygra, jeśli nie będzie chciał wygrać - odparł Geronimo. - Niezależnie od tego, czego my chcemy.

Wielebny Jim odłożył program i popatrzył na Geronima.

- Tak między nami - traktujesz poważnie te indiańskie pierdoły czy tylko macisz nam wszystkim we łbach? - zapytał.

- Umarłbym bez tych indiańskich pierdoł - odpowiedział Geronimo. - Tylko to miałem przez te wszystkie miesiące w szpitalu. Nie było żadnej nadziei, jedynie strach. Jeśli ktokolwiek zna to uczucie lepiej ode mnie, to właśnie ty.

- Wiele miesięcy po wypadku wciąż nie mogłem mówić. Gdybym mógł, poprosiłbym kogoś, żeby strzelił mi w głowę. Można umrzeć na wiele sposobów. Podpalenie to nie najlepszy z nich.

- Chciałem wyjechać - powiedział Geronimo. - Zgarnąć rentę i pojechać na południowy zachód, żyć wśród swoich.

- Czemu tego nie zrobiłeś?

- Moi tamtejsi krewni mają mnie za odważnego gliniarza - odparł Geronimo. - Dla nich jestem niezwykłym wojownikiem, którego nie da się pokonać. Nie mogłem wrócić do nich w takim stanie.

- Dlatego przyłączyłeś się do Grzmota? - spytał Wielebny Jim. - Żeby odejść na własnych warunkach?

- Sami wybieramy sposób, w jaki żyjemy - odparł Geronimo. - Ja chcę sam wybrać sposób, w jaki umrę. Nie mam nic przeciwko temu, aby przegrać z bombą, ale nie tak, jak mi się to przytrafiło. Nie z granatem rzuconym w tłum. Zawsze wyobrażałem sobie, że będę wtedy sam na sam z bombą i pozwolę, żeby spełniło się moje przeznaczenie.

- To ci się może udać - zauważył Wielebny Jim. - Wygląda na to, że czeka nas sporo fajerwerków.

- Będę gotowy - powiedział Geronimo.

Wielebny Jim wyciągnął pogniecioną paczkę „Marlboro”, wyjął papierosa i włożył go do ust. Zaczął obmacywać kieszenie w poszukiwaniu zapalniczki albo zapalek, ale niczego nie znalazł.

- Pewnie nie masz ognia? - spytał.

Geronimo rozpiął myśliwską kurtkę i sięgnął do kieszeni zniszczonej koszuli. Wielebny Jim zerknął na wewnętrzne klapy kurtki i ujrzał, że w każdej kieszonce tkwi laska dynamitu.

- Mógłbyś to wyjaśnić? - spytał ze zdumieniem.

- Odkąd przystałem do Apaczów, to moje karty płatnicze - uśmiechnął się Geronimo. -  
^- Nigdzie się bez nich nie ruszam.

- Wiesz, dlaczego przystałeś do zespołu? - Wielebny Jim znowu skoncentrował się na tym, co działo się na torze. - Bo jesteś równie szalony, jak reszta z nas. I dlatego musiałeś być świetnym gliną. Trzeba mieć w sobie szaleństwo, żeby być świetnym gliną.

- Mamy wystarczająco wiele szaleństwa, żeby pokonać Lu- cię Carney? - spytał Geronimo.

- Ona pewnie tak uważa - odparł Wielebny Jim. - Musiała już zrozumieć, że nie zależy nam na pieniądzach. Tak samo nikt nam nie da orderu, jeśli ją pokonamy. Więc o co nam chodzi? Ona tego nie wie. I to właśnie daje nam przewagę.

- Gdyby tylko znała prawdziwy powód - westchnął Geronimo. - Gdyby wiedziała, że jesteśmy żywymi trupami, oczekującymi ostatecznej bitwy, która ma przynieść ukojenie naszym duszom.

- Znowu wyskakujesz z tymi indiańskimi pierdołami - wytknął mu Wielebny Jim.

Geronimo uśmiechnął się i popatrzył na grupę koni pędzących do linii mety.

- Te indiańskie pierdoły właśnie zaoszczędziły ci parę dol-ców - powiedział.

- Skąd wiesz? - zainteresował się Wielebny Jim i wyciągnął szyję, żeby zobaczyć, jak finiszują konie.

- Patrzysz w złym kierunku - stwierdził Geronimo. - Tam jest Katapulta, zamyka stawkę. Mówiłem, że nie ma duszy wojownika.

- Dupowaty dżokej też jej nie pomógł-mruknął Wielebny Jim.

Wstali z miejsc i zeszli po trybunach. Następnie usiedli obok siebie i spędzili resztę popołudnia w słońcu na torach wyścigowych, na przemian wygrywając i tracąc pieniądze, śmiejąc się i jedząc potrawy, których nie powinni jeść. Ciesząc się krótkim dniem spokoju.

Grzmot wpatrywał się w pogięte zdjęcie Eddiego. Krew na fotografii była zaschnięta, a krzyżyk rozmazany. Reszta grupy siedziała wokół okrągłego stołu, a Nunzio chodził za nimi w tę i z powrotem.

- To twoje dziecko, Snajper. - Głos Grzmota był pełen troski. - Ścigamy pierdolonych zbrojców, których niespecjalnie martwi zabijanie dzieci. Pozwolę ci odejść.

- Eddie i Grace są już bezpieczni - powiedział Snajper spokojnym, zrównoważonym głosem. - Martwmy się o siebie. Lucia wysłała mi wiadomość. Właściwie wysłała ją nam wszystkim. Chyba powinniśmy przekazać jej odpowiedź.

Grzmot rozejrzał się dookoła, po kolei studiując twarz każdego z Apaczów. Krzyżyk namazany na fotografii małego Eddiego mógł równie dobrze widnieć na zdjęciu któregośkolwiek z nich. To było wyzwanie, mający ich przestraszyć gryps od kryminalisty. Większość policjantów wycofałaby się po tym ostrzeżeniu. Kilku utrzymałoby pozycję. Ale ci, których wybrał Grzmot, znali tylko jedną drogę - przeć naprzód i atakować.

- No to za godzinę - powiedział Grzmot, wstając od stołu. - Róg Dziesiątej i Alei A. Nunzio wyłoży wam plan. Do zobaczenia.

- Dokąd idziesz? - spytała pani Columbo.

- Zdobyć maszynę do wyburzania domów - odparł Grzmot, zamykając za sobą drzwi restauracji.

Grzmot i pani Calumbo siedzieli w kabinie żółtego wielofunkcyjnego buldożera. Kołysząc się leniwie, półtonowa kula do wyburzania zwisała z żelaznego haka. I Grzmot, i Pani Columbo mieli na sobie białe kaski i grube rękawice. Maszyna powoli pełzła wśród jadących późnym rankiem samochodów. Grzmot, niesprawnie zmieniając biegi, zabrał urządzenie z placu budowy na East Side. Brygadzysta miał wobec Nunzia zobowiązania.

- Nadal jesteś tego pewien? - spytała pani Columbo, czując się nie na miejscu tak wysoko nad jezdnią.

- Chodzi o to, czy powinienem pozwolić ci strzelać z wyrzutni? To ryzykowne, ale chyba warto spróbować.

- Nie o to mi chodzi, baranie - parsknęła pani Columbo.

- Myślałam raczej o twoim pomysle zdemolowania budynku w centrum Manhattanu w biały dzień.

- To równie dobre jak inne moje pomysły - powiedział Grzmot.

- No, to mi ulżyło - mruknęła pani Columbo.

- Przynajmniej mamy kilka minut, żeby pogadać. - Grzmot wrzucił luz, spoglądając nad stojącymi na czerwonym świetle trzema samochodami.

- O czym?

- O twoim mężu.

- Nie traktuj go z góry, Grzmot.

- Źle zrobił, idąc do Lavettiego - powiedział Grzmot. - Ale zrobił to ze słuszných pobudek. Martwił się o ciebie, więc zgłosił się do kogoś, kto według niego mógł pomóc.

- Powinien był ze mną porozmawiać. - Pani Columbo odwróciła głowę, by popatrzeć na małego chłopca, który odbijał piłkę o mur z czerwonej cegły.

- Wcale nie tak łatwo się z tobą rozmawia - zauważył Grzmot. - Jak z większością glin.

- Ja potrafię z tobą rozmawiać - odparła cicho pani Columbo, nie spuszczając oczu z chłopca i piłki.

- Jestem gliną i twoim przyjacielem - powiedział Grzmot.

- Mam więc przewagę nad mężem.

- Chcesz powiedzieć, że powinnam do niego wrócić?

- Macie wspólne życie. I syna.

- Co to za życie - stwierdziła pani Columbo. - A syna mam i tak.

- Pomyśl o tym - odparł Grzmot. Zmieniło się światło, więc ruszył z miejsca. - Tylko tyle chciałem ci powiedzieć.

- Mogło coś być między nami. - Pani Columbo nadal na niego nie patrzyła. - Niewiele brakowało. Właściwie to jestem zdziwiona, że nigdy do niczego nie doszło.

- Ja też - Grzmot spojrział na nią uważnie. - Ale wiesz, czasami jest lepiej, kiedy do pewnych rzeczy nie dochodzi. Dobrze byśmy się bawili przez parę miesięcy, może nawet ze dwa lata. Ale to nie byłoby nic poważniejszego.

- Dziękuję ci, psychoterapeuto - skwitowała jego słowa pani Columbo.

- Znamy się ponad piętnaście lat i nadal potrafimy tak ze sobą rozmawiać. Gdybyśmy byli małżeństwem, prawdopodobnie nie moglibyśmy nawet na siebie patrzeć. A oboje nosimy broń. To by się mogło paskudnie skończyć.

- I to szybko - roześmiała się pani Columbo.

- Poza tym ty lepiej strzelasz - dodał Grzmot.

- Jak większość żon - stwierdziła pani Columbo. - Nie tylko policjantek.

- Dlatego jestem kawalerem. - Grzmot włączył lewy kierunkowskaz.

- Opowiesz mi o niej czy nie? - zapytała pani Columbo. - A może mam zebrać wszystkie informacje z drugiej ręki?

Grzmot omal nie wjechał buldożerem w jeden z samochodów.

- Przypomnij mi, żebym stłukł Nunzia następnym razem, gdy go zobaczę - powiedział.

- Nie wytrzymał. Wyciągnęłam to z niego. W wydziale zabójstw przesłuchiwałam już ludzi, zapomniałeś?

- To była randka, nie strzelanina - wyjaśnił Grzmot.

- I...

- I świetnie się bawiłem. I znowu się z nią zobaczę. I nic więcej nie powiem.

- Dlaczego? - spytała pani Columbo. - Nagle zrobiłeś się wobec mnie wstydlivy?

- Nie, nie jestem wstydlivy.

- To dlaczego nie chcesz mi o niej opowiedzieć? - Pani Columbo złapała Grzmota za ramię.

- Bo jesteśmy na miejscu - powiedział.

Geronimo podbiegł od strony kierowcy i wskoczył na schodki prowadzące do kabiny pojazdu.

- Wielebny Jim i Kręgiel są na miejscu? - spytał Grzmot.

- Stoją po obu stronach ulicy i zawracają samochody - odparł Geronimo. - Nie są z tego powodu zbyt szczęśliwi.

- Dlaczego? - zainteresowała się pani Columbo. - Mają najłatwiejsze zadanie. Nie licząc mnie.

- Znow są w mundurach - roześmiał się Grzmot. - Wypożyczyłem dwa od kolegi z posterunku w Chinatown.

Pani Columbo zakryła usta dłonią, rozbawiona jak obaj jej koledzy.

- Budynek jest pusty? - spytał Grzmot.

- Byłem tam ze Snajperem i sprawdziłem każdy kąt - powiedział Geronimo. - Nic nie znaleźliśmy oprócz dwóch psów obronnych, które wyprowadziliśmy, i takiej ilości kokainy, jaka przez tydzień uszczęśliwiłaby każdego ćpuna w tym mieście.

- Dlaczego tam nie ma straży? - zapytała pani Columbo.

- Lucia jej nie potrzebuje - wyjaśnił Grzmot. Ustawił buldożera tak, że stalowa kula znajdowała się teraz przy froncie budynku. Ulica była zupełnie pusta. - Każdy handlarz czy



ćpun bałby się podejść do tego miejsca. Nawet nie strzeżony, ten budynek jest bezpieczniejszy od Fort Knox.

- Już nie - zauważyła pani Columbo.

- Możesz się założyć o swój słodki tyłek, że nie. - Grzmot wrzucił pierwszy bieg.

Geronimo chwycił żółty drażek obok kierownicy, wolną ręką sygnalizując, żeby odsunąć się od wejścia. Snajper uśmiechnął się i skinął głową, po czym podszedł do pojazdu i pomachał Grzmotowi ręką.

- Celuj w środek budynku! - wrzasnął, przyłożywszy ręce do ust. - Wtedy może zdołasz coś zburzyć.

- No proszę - mruknął Grzmot, przełączając silnik na najwyższe obroty. - Nagle stał się Fredem Flinstone'em.

Zatrzymał pojazd, gdy tylko wjechał na krawężnik, wrzucił luz, po czym rozhuścił kulę, celując w zabite deskami okna na parterze.

- Pewnie nawet nie powinnam pytać, czy kiedykolwiek kierowałaś takim buldożerem - powiedziała pani Columbo, obserwując kołyszącą się kulę.

- Nie powinnaś. - Grzmot z uśmiechem przełączył dźwignię i obserwował z respektem, jak kula rąbnęła w przedwojenną fasadę budynku.

Pierwsze uderzenie zmiotło cegły, drewno i cząsteczki kurzu na ziemię. Geronimo i Snajper ze złotymi odznakami zwisającymi z rzemyków na szyjach stali po przeciwnych stronach ulicy i z szerokim uśmiechem na twarzach zatrzymywali grupki przechodniów.

Grzmot popatrzył na panią Columbo.

- Chcesz spróbować? - zapytał. - Chyba że uważasz, że nie dasz rady.

- Odsuń się, staruszk. - Pani Columbo podniosła się z miejsca, czekając, aż Grzmot wyśliźnie się z kabiny.

- Postaraj się nikogo nie zabić - poradził jej Grzmot. Pani Columbo wrzuciła bieg, odsuwając kulę od Grzmota, ku lewej stronie budynku.

- Lotnik, kryj się! - wrzasnęła, gdy kula przebiła z głuchym łomotem ścianę budynku, krusząc środkowy fundament domu, i z potwornym hukiem obróciła w gruzy parter oraz pierwsze piętro.

- No i proszę, demolujemy pieprzony budynek podczas lunchu - krzyknął Grzmot do Snajpera. - I kogo nie ma nigdzie w pobliżu? Glin.

- A więc to prawda - odparł Snajper. - Nigdy ich nie ma, kiedy są naprawdę potrzebni.

- Zabrakło nawet strażników miejskich, żeby wypisali mandat. - Grzmot rozglądał się po alei. - Przecież na pewno złamaliśmy jakieś przepisy ruchu drogowego.

- To nie ma znaczenia - wzruszył ramionami Snajper. - W życiu nie zapłaciliśmy żadnego mandatu.-Przerwał, po czym zapytał: - Kto ci powiedział o tym budynku?

- Jest w aktach Wydziału do Walki z Narkotykami. - odparł Grzmot. - I pasował do informacji, którą dostałem od naszego człowieka w centrum.

- Wszyscy wiedzieli, gdzie to było, ale nikt nie kiwnął palcem - stwierdził Snajper.

- Aż do dzisiaj.

Patrzyli, jak pani Columbo po raz ostatni wycelowała kulą w budynek. Przez chwilę konstrukcja chwiała się, po czym runęła, zamieniając się w stertę gruzu. Na ulicę wypłynęła chmura kurzu, a w oddali dały się słyszeć dźwięki syren i klaksonów.

Snajper chodził po rumowisku, mijając rozłupane cegły, zmiażdżone drewno, osmalone paczki z kokainą i gniazdo nieżywych szcurków. Stanął nad niewielką kupką czerwonych cegieł i włożył rękę do kieszeni. Wyjął z niej wymięte, pobazgrane zdjęcie syna. Pochylił się i wsunął fotografię pod jedną z cegieł, po czym wyprostował się i ruszył w stronę kolegów.

- To na wypadek, gdyby Lucia nie mogła się domyślić, kto rozwalił jej kryjówkę - powiedział.

Carolyn Bartlett stała pod strumieniem gorącej wody, zmęczona po ciężkim dniu wyciągania informacji od niechętnych pacjentów. Z ulgą zakończyła pracę i nie mogła się doczekać wieczornych przyjemności - lekkostrawnej kolacji, kilku rozdziałów historycznego romansu, Bacha na sprzęcie stereo i, trochę później, głosu Grzmota w słuchawce obok łóżka.

Dotychczas niechętnie podchodziła do zacieśniania kontaktów z kimś blisko powiązanim z jej pacjentami - zwłaszcza z kimś pokroju Grzmota Frontieriego. Zakochując się w Grzmocie, który otwarcie działał poza granicami prawa, aby dochodzić sprawiedliwości, Carolyn złamała też złożoną samej sobie obietnicę - nigdy nie umawiaj się z gliną, czynnym lub emerytowanym. A jednak, w czasie krótszym niż potrzeba do wypełnienia akt pacjenta, zakochała się w Grzmocie po same uszy.

Carolyn zakręciła wodę, odsunęła zasłonę prysznicza i sięgnęła po leżący na marmurowej umywalce gruby biały ręcznik. Owinęła go wokół siebie, po czym wzięła do ręki srebrną szczotkę do włosów, prezent od babci na szóste urodziny, i rozczesła nią długie, mokre włosy. Przetarła dłonią zaparowane lustro w apteczce i przyjrzała się sobie. Stresująca praca nie odcisnęła się jeszcze zmarszczkami na jej twarzy, ale Carolyn wiedziała, że wkrótce ten dzień nadejdzie. Uśmiechnęła się, przypomniawszy sobie, jak Grzmot pochylił się nad nią i powiedział, że ma delikatną, niewinną twarz anioła. Liczyła na to, że zawsze będzie tak uważał.

Weszła do pokoju, włożyła taśmę z muzyką Bacha do magnetofonu, po czym przeszła do kuchni, żeby wybrać z zamrażalnika lekkie danie na kolację. Włożyła kurczaka z brokułami i ryżem do piekarnika i nastawiła zegar. Boso podreptała do lodówki, żeby nalać sobie wina z na wpół opróżnionej butelki Orvietto Classicot gdy ujrzała cień na ścianie pokoju gościnnego.

Nagle Bach umilkł.

Z miejsca, w którym stała, widziała telefon. Na aparacie pulsowało czerwone światełko sekretarki automatycznej. Carolyn uznała, że to jej jedyna szansa. Strach mącił jej myśli, gdy w panice pobiegła na ślepo w kierunku telefonu. Udało jej się dotrzeć do końca kuchennego stołu. Dłoń w ciemnej rękawiczce złapała ją za włosy i szarpnęła do tyłu. Carolyn poczuła na swojej szyi gorący oddech, a na twarzy dotyk zarośniętego policzka.

- Nie ma go w domu - powiedział Wilber Graves. - Wyszedł. Z przyjaciółmi.

- Czego chcesz? - spytała Carolyn. Starła się mówić opanowanym głosem i uspokoić oddech.

- Chcę wszystkiego, co ten gliniarz uważa za swoją własność - odparł Wilber. - Wszystkiego.

Chwilę później Carolyn stała obok telefonu. Ręcznik leżał na podłodze. Kobieta była całkiem naga, a ręce miała związane z tyłu drutem. Wilber przyciskał ostrze hiszpańskiego noża z czerwonym ostrzem do jej szyi, a wolną ręką głaskał nagie ciało, powoli przesuwając dłoń w rękawiczce po jędrnych piersiach kobiety, wzdłuż jej brzucha, po udach. Od czasu do czasu wsuwał palec do jej pochwy.

- Nie uwierzysz - powiedział - ale żałuję, że muszę cię zabić.

- Na co czekasz? - spytała Carolyn. Patrzyła prosto przed siebie, usiłując przenieść się do innego świata, bezpieczniejszego, w którym mężczyźni nie zabijali dla kaprysu czy na zlecenie, a kobieta mogła posłuchać Bacha, poczytać książkę i poczekać, aż ktoś, kogo kocha, zadzwoni i zapewni ją o swojej miłości. Czowała, jak w piekarniku przypala się jej kolacja.

Prawie się uśmiechnęła.

Telefon zadzwonił siedem po jedenastej.

Drgnęła na pierwszy dzwonek, a czubek noża Wilbera rozciął jej skórę tak, że popłynęła krew. Wilber zdjął rękę z talii Carolyn, podniósł słuchawkę i przyłożył ją do ucha kobiety. Na drugim końcu usłyszała głos Grzmota. Wilber uśmiechnął się do niej, po czym zabrał słuchawkę i przycisnął ją ramieniem do ucha.

- Witaj, detektywie - powiedział.

- Gdzie Carolyn? - krzyknął Grzmot.

- Jest jej wygodnie i ciepło w moich ramionach - odparł Wilber. - Muszę ci powiedzieć, że masz doskonały gust co do kobiet. To zdumiewające w wypadku funkcjonariusza policji.

- Jeśli coś jej się stanie...

- Coś jej się z pewnością stanie, detektywie - przerwał mu Wilber. - Czekaliśmy tylko, żebyś zadzwonił, zanim to nastąpi.

- Wypuść ją! - Krzyk Grzmota słychać było i poza słuchawką.

- Puszczę - powiedział Wilber. - Obiecuję ci to. Ale najpierw może pozwolisz się jej ze sobą pożegnać?

Przycisnął słuchawkę do ucha Carolyn.

- Porozmawiaj z nim - rozkazał jej.

Carolyn zamknęła oczy i wzięła głęboki oddech, czując na szyi czubek noża.

- Kocham cię, Grzmot - powiedziała.

Nie poczuła pchnięcia. Jej głowa stała się bardzo lekka, a pokój zakołysał się powoli. Brzuch i uda Carolyn były ciepłe od krwi. Nogi ugięły się pod nią i kobieta runęła na podłogę, jęcząc cicho, gdy jej głowa uderzyła o klepki.

Wilber pochylił się nad nią i patrzył, jak umiera, nie zwracając uwagi na gorączkowe krzyki Grzmota po drugiej stronie słuchawki.

- Nazywam się Wilber Graves - powiedział do telefonu, gdy Carolyn odetchnęła po raz ostatni. - Przed chwilą zabiłem kobietę, która cię kochała, i sprawiło mi to olbrzymią przyjemność. Do widzenia, detektywie.

Wilber odłożył słuchawkę na widelki, jeszcze raz spojrzął na lekarkę i zamknął nóż. Z powrotem nastawił Bacha, wszedł do kuchni, wyłączył piecyk, po czym opuścił mieszkanie.

Skończył pracę na dziś.

Grzmot poszedł na nabożeństwo, gdzie zamknięto trumnę, a następnie na pogrzeb, który odbył się w strumieniach ulewnego deszczu.

Błyskawicznie zjawił się na miejscu zbrodni, zaledwie parę minut po radiowozie policyjnym. Dwaj młodzi funkcjonariusze, którzy krążyli po mieszkaniu, dyskretnie przykryli nagie ciało Carolyn białym prześcieradłem z łóżka, prześcieradłem, na którym spała wraz z Grzmotem.

Grzmot ściągnął prześcieradło i popatrzył na kobietę, którą zdołał tak dobrze poznać w tak krótkim czasie. Jej usta i paznokcie już zaczęły blednąć, jasna skóra przybrała woskowy, trupi odcień. Carolyn miała zamknięte oczy i usta wykrzywione w dziwnym uśmiechu. Grzmot przyklęknął i pochylił się, by pocałować jej wciąż ciepłe wargi. Sięgnął po

prześcieradło i powoli nakrył nim twarz kobiety, po czym zapiął kurtkę, skinał głową obu funkcjonariuszom i wyszedł, zanim przyjechała karetka po zwłoki.

Na pogrzebie Grzmot trzymał się na uboczu, jedyny obcy wśród rodziny. Usiadł w ostatnim rzędzie oświetlonego blaskiem świec kościoła, słuchając, jak ludzie, którzy znali Carolyn od lat, dzielą się wspomnieniami. Słuchał nieuważnie, wpatrując się w łukowate krawędzie zamkniętej dębowej trumny z ciałem kobiety, która zginęła bez powodu.

Grzmot przypomniał sobie wesoły uśmiech Carolyn i pozwolił, by jego myśli płynęły swobodnie, podsuwając mu przed oczy wizje życia, które mogliby spędzić razem. Te wizje - miejsca, które by odwiedzili, kolacje, które jedliby razem - odpłynęły.

Czas na miłość minął.

Pojawiły się inne obrazy.

Grzmot nigdy nie spotkał Wilbera Gravesa, ale dobrze go znał. Wiedział, że to twardy i pozbawiony miłosierdzia człowiek, płatny morderca, który uwielbia się przyglądać, jak umierają ludzie. Grzmot pomyślał, że wkrótce spotka się z Wilberem Gravesem, a to spotkanie skończy się tak, jak ma się skończyć - jeden z nich zatriumfuje nad drugim.

On i Apacze rozpoczęli wojnę. Lucia i jej ludzie wykonali swój ruch. Teraz mieli ginąć ludzie. Większość z nich na to zasłużyła, ale wiedział, że umrą także niewinni. Żeby zwyciężyć, Apacze nie mogli już uważać się za byłych gliniarzy, którzy chcą wypłenić zło. Musieli sięgnąć głębiej, szukać dokładniej, pozbyć się otaczających ich warstw słabości i człowieczeństwa i stanąć oko w oko z wrogiem.

Grzmot ukląkł w ławie z twarzą ukrytą w dłoniach i modlił się do Boga, aby dał mu siłę, potrzebną do zniszczenia nieprzyjaciół.

Nieprzyjaciół, którzy zabrali z jego życia Carolyn Bartlett.

Rzucił dwie czerwone róże do otwartego grobu Carolyn i patrzył obojętnie, jak czterech grabarzy opuszcza trumnę. Krople deszczu ściekały mu po włosach i szyi, ale nie ruszył się z miejsca, dopóki wszyscy nie odeszli od grobu. Nie zamienił ani słowa z rodziną Carolyn, nie składał też kondolencji zebranych na cmentarzu kobietom w krótkich czarnych sukienkach i woalkach, które zasłaniały zaczerwienione oczy. Nie przychodziło mu do głowy nic, co mógłby powiedzieć, żeby ukoić ich ból.

Stał więc spokojnie z opuszczoną głową i złożonymi rękami, stał pod ciemnymi, posepnymi chmurami, a ulewny deszcz obmywał winę, którą nosił w sercu.

Za nim, pod gałęziami starego drzewa, stali w milczeniu Apacze i Nunzio.

Apacze siedzieli na zapleczu u Nunzia i czekali, aż przestanie lać. W pomieszczeniu zapanował nastrój oczekiwania, przecucie, że następne parę godzin zadecyduje o losie obecnych tu osób.

Przyszli wszyscy oprócz Kręgla. Takie spóźnianie do niego nie pasowało, zazwyczaj pojawiał się pierwszy. Pomyśleli, że może postanowił rozegrać parę kolejek więcej, zanim wojna zacznie się na dobre.

Przed Grzmotem leżały żółte teczki, nielegalny prezent od przyjaciela z waszyngtońskiego wydziału Secret Service. Człowiek ten od ośmiu miesięcy ścigał Lucie Carney za pranie brudnych pieniędzy.

Grzmot oparł brodę na rękach i, nie patrząc na nikogo, powiedział:

- To nie pora na urlop zdrowotny.

- Właśnie do niego dzwoniłem - odezwał się Nunzio. - Jeśli gra, nie odbierze.

- Czy ktoś z nim dzisiaj rozmawiał? - spytał Grzmot, rozglądając się po pozostałych.

- Gadałem z nim wczoraj - odparł Wielebny Jim. - Znał datę i godzinę spotkania.

- To do niego niepodobne - stwierdziła pani Columbo, popijając bezkofeinową kawę. -

Tacy jak on nie olewają spotkania.

Młody kelner w białej marynarce i cienkim krawacie zajął do małego, zatłoczonego pomieszczenia. >

- Przepraszam - powiedział. - Nie chciałbym przeszkadzać.

- O co chodzi, Freddie? - spytał Nunzio.

- Telefon - odparł chłopak. - Przed chwilą. Facet mówił bardzo krótko.

- Czego chciał?

- Kazał was spytać, czy nie macie ochoty zagrać w kręgle - powiedział kelner.

- Przedstawił się? - spytał Grzmot lodowatym tonem.

- Powiedział, że nazywa się Wilber Graves - odrzekł Freddie.

Grzmot i Apacze stali pośrodku pogrążonego w ciemnościach toru numer sześć. Jedyne światło w pomieszczeniu rzucał reflektor umocowany za barem. Oświetlał kratę, do której przywiązany był Kręgiel. Jego ramiona i tułów przymocowano do siatki grubym sznurem. Twarz mężczyzny była obita, jedno oko spuchnięte i zamknięte. Z nosa i ust leciała mu krew. Klęczał ze stopami przywiązanymi do drutu, a sznur na jego szyi przywiązano do cienkiej, stalowej belki. Do piersi Kręgla przyczepiono dwanaście grubych lasek dynamitu, a po między nimi tykał mechanizm zegarowy nastawiony wcześniej na jedną godzinę. Sześć różnokolorowych drutów oplatało pierś, nogi i ręce Kręgla.

Cała krata była owinięta przewodami prowadzącymi do ładunków wybuchowych, a trzy rozmaite bomby nastawiono na różny czas wybuchu.

Grzmot i Geronimo podeszli do Kręgla. Pani Columbo i Wielebny Jim stanęli tuż za nimi, a Snajper wyciągnął broń i przeszukiwał kręgielnię.

- Nie widziałem ich. - Kręgiel z trudem poruszał opuchniętymi ustami. - Zaszli mnie z tyłu. Było ich trzech. Chyba nawaliłem.

- Wcale nie. - Grzmot wziął od pani Columbo chusteczki i wytarł krew z twarzy Kręgla. - Oddychaj spokojnie, a nam zostaw resztę.

Geronimo ściągnął kurtkę i sweter, po czym rzucił je na pusty tor. Z tylnej kieszeni wyciągnął nóż, przykłęknął i przejechał ostrzem wzdłuż przewodów.

- Co widzisz? - spytał Grzmot. Po krzyżu spływał mu pot.

- Sześć ładunków - odparł Geronimo. - Każdy przymocowany do innego przewodu. Dwa zestawy przewodów to atrapy. Zegar ma podobno wybuchnąć za osiem minut, ale to może być podstęp. Tu, na górze, też są dwie dodatkowe laski, przymocowane do sznura na jego szyi.

- Możesz to rozbroić? - spytał Grzmot.

- Niech ktoś idzie do samochodu i przyniesie z bagażnika moją skrzynkę - odparł Geronimo.

- Ja pójdę - zerwał się Wielebny Jim i czekał, aż Grzmot da mu kluczyki.

- Chyba powinniście się stąd wynosić - powiedział Geronimo. - I dać mi popracować.

- Możesz to rozbroić? - powtórzył Grzmot. - Chcę, żebyś mi odpowiedział, Geronimo.

Geronimo wstał, odwrócił się i popatrzył na Grzmota.

- Pewnie nie - odrzekł. - Ale i tak mam na to większe szansę niż ktokolwiek z was.

Wielebny Jim wbiegł z ciężką czarną teczką i wręczył ją Geronimowi. Pani Columbo stała z boku. Miała zamknięte oczy. Zza niej wyłonił się Snajper. Popatrzył na Kręgla, a na jego twarzy pojawił się gniew.

Grzmot podszedł i pochylił się nad przyjacielem.

- Przykro mi, że cię w to wplątałem, dzieciaku - powiedział cicho.

- A mnie nie jest przykro. - Kręgiel uśmiechnął się z trudem. - Dzięki wam znowu poczułem, jak to jest.

- Jak co jest? - spytał Wielebny Jim.

- Życ - odparł Kręgiel.

Zapadła cisza. Wkrótce Kręgiel znowu się odezwał.

- Facet, który to zrobił... - Przerwał, żeby przełknąć krew.

- Wilber Graves - powiedział Grzmot. - Znam to nazwisko.

- Ale nie wiesz, że założyłem mu podsłuch.

Minęła dłuższa chwila, zanim Apacze pojęli znaczenie tych słów. Ze zdumieniem wpatrywali się w Kręglę. Skinął im głową, po czym zmusił się do uśmiechu. Wyraz jego oczu świadczył o tym, że dostrzegał podziw kolegów, i był im za niego wdzięczny.

- Kiedy mnie tłukli, wrzuciłem mu nadajnik do kieszeni - powiedział. - Usłyszycie go w radiu.

Znowu zapadła cisza, którą przerwał Geronimo.

- Im szybciej wyjdziecie, tym wcześniej będę mógł zacząć - oznajmił. - Nie mam zbyt wiele czasu.

Grzmot pogłaskał policzki Kręglę, brudząc sobie palce krwią kolegi. Wymienili długie spojrzenie, po czym Grzmot wstał i wyszedł, a za nim inni Apacze, którzy na pożegnanie zasalutowali Kręglowi.

Geronimo skoczył na równe nogi i klepnął Grzmota w plecy.

- Jeśli nie rozbroję tej bomby, zróbcie coś dla mnie - powiedział.

- Nie chcę stracić was obu - odparł Grzmot.

- Zróbcie mi przysługę. Dobrze?

- Co takiego?

- Rozwalcie tę sukę - powiedział Geronimo.

Pot spływał po ramionach i twarzy Geronima. Mężczyzna ukląkł i w skupieniu pracował obok Kręglę. Przyglądał się badawczo przewodom, usiłując posługiwać się zarówno wiedzą, jak

1 intuicją.

- Chyba przetnę niebieski przewód - oznajmił.

- I co się stanie? - zapytał Kręgiel.

- Przy odrobinie szczęścia, nic - odparł Geronimo. - I nie będziemy musieli się już nim przejmować.

- A jeśli nam zabraknie tej odrobiny szczęścia? - chciał wiedzieć Kręgiel.

- Nawet się nie zorientujemy - zapewnił go Geronimo. Wziął głęboki oddech, zacisnął kombinerki na niebieskim przewodzie i go przeciął. Po twarzy Kręglę spływały zmieszane z krwią krople potu. Mężczyzna pokiwał głową.

- Ja bym wybrał czerwony - powiedział.

- Dobrze, że to ty jesteś obwieszony dynamitem, a nie ja. - Geronimo wytarł oczy rękawem granatowego podkoszulka.



- Ile czasu zostało? - spytał Kręgiel.

- Czemu? Wybierasz się w jakieś szczególne miejsce?

- Zaprojektowali tę bombę specjalnie dla ciebie - powiedział Kręgiel.-Mówili, że jesteś najlepszy, ale nawet ty nie dasz sobie rady z tym, co tu zostawili.

- Zawsze byłeś taki cichy - stwierdził Geronimo. - Wystarczyło przywiązać do ciebie trochę dynamitu, a już gadasz jak najęty.

- Nie chcę, żebyś ginął razem ze mną - ciągnął Kręgiel. - Mogę to zrobić sam. Wszystko robiłem samotnie, więc nie wiem, dlaczego miałbym umierać w inny sposób.

- Powinni cię byli zakneblować. - Geronimo leżał teraz na plecach, tuż obok Kręgla, i szykował się do przecięcia zielonego przewodu. - Ułatwiliby mi pracę.

- Grzmot, Snajper i inni potrzebują twojej pomocy, Geronimo - powiedział Kręgiel. - O wiele bardziej niż ja.

Geronimo przeciął zielony przewód, wetknął kombinerki za pasek i podpełził jeszcze bliżej, po czym zaczął usuwać przewody ze stóp Kręgla. Odrzucił je za siebie, po czym znowu podczołgał się do przedniej części kraty.

- Żebyś sobie zapamiętał. - Geronimo wytarł podkoszulkiem pot z czoła Kręgla. - W życiu są tylko dwie rzeczy, których bym nigdy nie zostawił. Bomby i przyjaciela.

- A więc zamierzasz tu umrzeć - stwierdził Kręgiel. - Razem z tym przyjacielem i tą bombą.

- Tylko tu mogę mieć jedno i drugie - odparł Geronimo. - Zegar pokazuje, że mamy trochę mniej niż trzy minuty. Mógłbym przeciąć jeszcze parę przewodów i liczyć na to, że będziemy mieli szczęście, ale jeśli chcesz, mogę po prostu dać sobie spokój i wtedy wylecimy w powietrze. Wybór należy do ciebie, Kręgiel.

- Nigdy aż tyle ze sobą nie rozmawialiśmy - zauważył Kręgiel.

- Biały czy czerwony? - spytał Geronimo. - Wybieraj.

- Ciągłe podoba mi się czerwony - westchnął Kręgiel.

- Bomby żerują na przyzwyczajeniach - uśmiechnął się Geronimo, po czym wyciągnął kombinerki i przeciął biały przewód. - Zapamiętaj to sobie na przyszłość.

- Ile zostało tych przewodów? - spytał Kręgiel.

- Trudno powiedzieć. Mnóstwo ich tu założyli i wszystkie poplątali. Większość to atrapy, tylko jeden powoduje wybuch. Mamy to plus dynamit połączony ze sznurem na twojej szyi, który może eksplodować od każdego przewodu. Jedyne, co mogę zrobić, to dotrzeć do głównego zapalnika i odciąć go od reszty urządzenia, ale to będzie raczej łut szczęścia niż cokolwiek innego.

- Decyzja należy do mnie, Geronimo - oznajmił Kręgiel. - W jakim punkcie jesteśmy?

Geronimo odłożył kombinerki na lśniąca posadzkę toru. Zdjął koszulę, wytarł spoczone ciało i usiadł. Skrzyżował nogi i oparł na nich łokcie, po czym spojrzał na Kręglę, mokrego od potu i krwi, z nogami zeszywniałymi od długiego bezruchu. Wziął kilka głębokich, spokojnych oddechów.

- Bomba zwycięży, Kręgiel - powiedział w końcu. - Nie damy jej rady.

- Damy - odparł Kręgiel.

- Zamieniam się w słuch.

- Nie czekaj na nią - poradził mu Kręgiel. - Niech wybuchnie na twoich warunkach. Jesteś w tym najlepszy. Niech więc najlepszy zadecyduje, kiedy to gówno wyleci w powietrze.

Geronimo uśmiechnął się i sięgnął po kombinerki.

- Wybierz kolor - powiedział.

- Jestem upartym sukinsynem. Zostanę przy czerwonym.

- Niech więc będzie czerwony.

Uniósł się na kolanach, jedną rękę oparł na ramieniu Kręglę, a drugą zacisnął kombinerki na cienkim czerwonym druciku.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz - powiedział. Uśmiech zniknął z jego twarzy, ale po chwili powrócił. Kręgiel także się uśmiechnął.

- Mógłbym się założyć - powiedział.

Geronimo przeciął czerwony przewód i czekał na wybuch. Jeszcze raz zmusił bombę, aby go posłuchała.

Na dźwięk eksplozji czwórka Apaczów podskoczyła na fotelach. Siedzieli w samochodzie Grzmota, na końcu parkingu.

Patrzyli, jak kręgielnia wylatuje w powietrze. Kawałki szkła i cegieł latały we wszystkich kierunkach. Sufit się zapadł, a dym i kurz snuły się nad zgliszczami.

Pani Columbo jęknęła głośno. Wielebny Jim krzyczał i klął w bezsilnej furii. Snajper zacisnął ręce w pięści i pocierał nimi nogi. Twarz Grzmota wydawała się kamienną maską, a płomienie odbijały się w ciemnościach jego głęboko osadzonych oczu. Mężczyzna włożył rękę do kieszeni kurtki i zacisnął palce wokół lasek dynamitu, które dał mu Geronimo. Po chwili wyciągnął dłoń i przekręcił kluczyk w stacyjce, po czym wrzucił pierwszy bieg i wyjechał z parkingu.

- Dokąd jedziemy, Grzmot? - spytał Snajper.

- Skończyć to.

- Wiemy gdzie? - chciał wiedzieć Wielebny Jim, zerkając na dym wydobywający się z kręgielni.

- Dowiemy się. - Grzmot spojrział w lusterko wsteczne. - Kręgiel okablował Wilbera. Złapiemy go w radiu po drodze do Nunzia.

- Teraz tam jedziemy? - zapytała pani Columbo. Jej głos był spokojny, niemal mechaniczny.

- To nasz pierwszy przystanek - powiedział Grzmot.

- A drugi? - zapytał Snajper.

- Wpadniemy po przyjaciela.-Grzmot przycisnął mocniej pedał gazu, przyspieszając do setki.

- Ktoś, kogo znamy? - spytał Snajper.

- Inspektor Lavetti - odparł Grzmot i rzucił szybkie spójrzenie pani Columbo, po czym zamknął okno, gdyż nocny chłód zbyt mocno chłostał go po twarzy.

- Przynajmniej to ktoś, komu można ufać - powiedział Wielebny Jim i osunął się na fotelu, zamykając oczy i izolując się od nocnych dźwięków.

20.

Stali pośrodku ciasnej piwnicy Nunzia, otoczeni czerwonymi, drewnianymi beczkami wina i wielkimi skrzyniami z pieczęcią rządową. Kilka skrzyń otwarto wcześniej za pomocą łomu. Żelazne drzwi, za którymi znajdowały się schody na górę, były zamknięte na sztabę. Nad głowami zebranych wisiało kilka gołych żarówek.

- Tu znajdziecie wszystko, czego wam potrzeba. - Nunzio podszedł do jednej ze skrzyń i postawił na niej tacę z pięcioma plastikowymi kubkami kawy.

- Skąd jest to wszystko? - Snajper z podziwem przechylił głowę. Wziął jeden z kubków i chodził od skrzyni do skrzyni, z oczyma utkwionymi w składzie pistoletów maszynowych, granatów, wyrzutni rakietowych, zapalników zegarowych i płynnych środków wybuchowych.

- Przyj aźnię się nie tylko z wami-przypomniał mu Nunzio.

- Potrzebujemy od ciebie jeszcze jednej przysługi. - Grzmot poprzestał na kawie, nie napelnił kubka winem z jednej z beczek.

- Słucham - powiedział Nunzio.

- Prywatny samolot. Z pilotem, któremu możemy ufać. Musimy przerzucić cały ten sprzęt poza stan, a moi ludzie na lotnisku nie będą w stanie mi w tym pomóc.

- Chcecie go w obie strony? - spytał Nunzio. Grzmot popatrzył na Apaczów, zanim odpowiedział.

- Tak - stwierdził. - Wrócimy. Tak czy inaczej.

- Dokąd lećcie?

- Do Arizony. Do małego miasteczka, jakieś pięćdziesiąt kilometrów za Sedoną. Za dwie godziny chciałbym już lecieć. Złapaliśmy Wilbera na podsłuchu. Między dowcipami i przechwałkami mówił, że wracają na teren Lucii.

- Chcecie z nimi walczyć u nich - stwierdził Nunzio. - Nie lepiej poczekać i dorwać ich na waszym gruncie?

- Właśnie straciliśmy dwóch dobrych policjantów na naszym gruncie - przypomniała mu pani Columbo.

- Niczego nie wiecie - narzekał Nunzio. - Ilu ma ludzi, przeciwko komu będziecie walczyć. Jeśli chcecie to zrobić, zróbcie to porządnie, Grzmot. Nie zamieniajcie tego w samobójczy wyskok.

- To jest porządnie - upierał się Grzmot. - Właśnie tak ma być. Oni przeciwko nam.

- Z telefonów na pokładzie zadzwonimy do federalnych - powiedział Wielebny Jim. - Poprosimy, żeby nam powiedzieli, co wiedzą o rozkładzie ich terenu.

- A potem oznajmimy, że zamierzamy wejść - dodał Grzmot. - Poprosimy, żeby wkroczyli za nami parę godzin później.

- Skąd wiecie, że zrobią coś tak idiotycznego? - spytał Nunzio.

- Nie mają wyboru - odparł Grzmot. - Nie zestrzelą nas ani nie wykurzą. Poza tym połowa facetów, z którymi miałem do czynienia, oddałaby życie za to, żeby być z nami.

- Lucia spodziewa się, że będziecie ją ścigać - powiedział Nunzio. - Powinniście o tym pomyśleć.

- Nadszedł czas, żebyśmy się poznali - stwierdził Grzmot - Po tym wszystkim, co razem przeszliśmy.

Zastępca głównego inspektora Lavetta stał pod markizą budynku na Madison Avenue i poprawiał kołnierz brązowej marynarki z tweedu. Był przystojnym mężczyzną tuż po czterdziestce, szczupłym, o gęstych, kręconych, ciemnych włosach. Od dwudziestu jeden lat należał do nowojorskiej policji i nigdy nie dokonał żadnego istotnego aresztowania. Był urzędnikiem, mozolnie wspinającym się po drabinie awansu za biurkiem, nie w akcji.

Urodził się z zamiłowaniem do luksusu i już od pierwszych tygodni spędzonych w Akademii Policyjnej lubił brać pieniądze i wiedział, jak wymigać się od udziału w akcji. Pierwszy raz przyjął łapówkę, będąc jeszcze na stażu. Dostawał pięćdziesiąt dolarów tygodniowo za to, że informował lokalnych dealerów, którzy nowicjusze chętnie wypalą za

darmo trochę trawy, nie zadając zbędnych pytań. W zamian za to handlarz przekazywał ich nazwiska miejscowemu przywódcy półświatka.

W chwili gdy Mark Lavetti stał pod markizą na Madison Avenue, brał już dwadzieścia pięć tysięcy w gotówce miesięcznie, sprzedając informacje najważniejszym handlarzom w pięciu rewirach. Sam nigdy nie zbliżał się do pieniędzy, posługiwał się rotacyjnym zespołem krewnych, którzy zabierali gotówkę ze schowków i w wybranych bankach wpłacali na rachunki inwestycyjne, należące częściowo do Lavettiego.

Inspektor był mistrzem w zacieraniu śladów.

Swoje czteropokojowe mieszkanie zapisał na nazwisko matki. Sportowa corvetta, którą jeździł poza godzinami pracy, należała do siostry Lavettiego w Mineoli. Miał letni domek w Woodstock, obciążony hipoteką na wujka w domu opieki. Na wakacje wyjeżdżał dzięki uprzejmości kuzyna, właściciela agencji turystycznej.

Mimo plotek krążących po rozmaitych rewirach, władze postrzegały Marka Lavettiego tak, jak chciał być widziany - czysty glina, któremu nieźle się wiedzie.

Jego największy interes okazał się także najłatwiejszy.

Mark Lavetti dorwał się do telefonu w sekundę po tym, jak Joseph Silvestri wyszedł z jego gabinetu. Wcześniej wysłuchał smutnego mężczyzny, który opowiadał mu o związkach swojej żony z gromadą niepełnosprawnych policjantów. Inspektor zapewnił go o swojej dyskrecji, po czym umówił się na spotkanie z głównym informatorem narkotykowego imperium Lucii Carney. Przy bramce D na stadionie Shea Lavetti przekazał nazwiska

Apaczów mężczyźnie, który pragnął ich śmierci. W zamian za to inspektor otrzymał szarą kopertę ze stoma tysiącami w gotówce.

I natychmiast przestał myśleć o tej sprawie.

Lavetti przeszedł szybko wzdłuż Madison, zastanawiając się, czy skrócić do centrum Lincolna, żeby kupić bilety do opery dla siebie i nowej dziewczyny, modelki, której bardzo imponowały takie rzeczy, czy też raczej podjechać tam po kolacji. Zaparkował na rogu Sześćdziesiątej Drugiej Ulicy, obok hydrantu, i postawił na desce rozdzielczej zezwolenie z nowojorskiej policji. Kiedy podszedł bliżej, ujrzał, że granatowy sedan zastawił jego samochód. Kierowcy nigdzie nie było widać.

Lavetti wyjął klucze z przedniej kieszeni spodni, gotów zadzwonić po ciężarówkę, która odholuje drugie auto. Był zły, że nie zaparkował w garażu należącym do budynku, tak jak zawsze.

- Dokąd się pan dziś udaje, inspektorze? - spytał Grzmot, wyłaniając się z cienia zamkniętej pralni i stając za Lavettim.

- Kim jesteś, do cholery? - spytał Lavetti.

- Dziwię się, że mnie nie poznałeś - powiedział Grzmot. - Jestem Apaczem.

- Co to ma, kurwa, znaczyć?-parsknął Lavetti, ale zmiana tonu zdradzała jego niepokój.

- Wyznaczyłeś na mnie cenę. - Grzmot zrobił krok do przodu, tłumiąc w sobie chęć, by odbezpieczyć rewolwer w kieszeni. - I na moich przyjaciół. Ktoś już zaczął ich eliminować. Dwóch dzisiaj zginęło.

- Zglupiałeś - spytał Lavetti. - Gzy wiesz, do kogo mówisz? Jestem policjantem. Zastępcą głównego inspektora.

- Policjantami byli ci, którzy zginęli - odparł Grzmot. - Ty jesteś tylko śmieciem z odznaką. Ale dzisiaj będę wspaniałomyślny. Pozwolę ci umrzeć śmiercią policjanta.

- Nigdzie z tobą nie pójdę. - Lavetti odwrócił się i zaczął biec.

- Więc umrzesz tu, na miejscu. - Grzmot wyciągnął rewolwer i przyłożył go do skroni Lavettiego. - Na ulicy, jak na gnoja przystało. Ja mam to w dupie. To twoja decyzja.

- Dokąd idziemy? - wykrztusił tylko Lavetti.

Grzmot odwrócił Lavettiego i zakuł go w kajdanki, po czym popchnął go na tylne siedzenie granatowego sedana.

- Odwiedzić twoją kumpelę - odparł. - Założę się, że bardzo się ucieszy na twój widok.

- Mógłbym cię zabić. - Lavetti wpatrywał się w Grzmota. - Wystarczyłby jeden telefon.

- Wielu ludzi wykonało taki telefon, Lavetti. - Grzmot uruchomił samochód i wyjechał. - I nadal żyję. W przeciwieństwie do nich wszystkich.

Grzmot i Snajper klęczeli, ukryci wśród krzewów i ciemności, i przez staw na polu golfowym wpatrywali się w strzeżony dwupiętrowy dom.

- Trzeba liczyć co najmniej ośmiu od frontu - wyszeptał Grzmot. - I tyłu samo z tyłu. Pomnóż to przez dwa na parterze.

Wielebny Jim i pani Columbo położyli się plackiem na wzgórzu, a obok, twarzą w dół, leżał Lavetti.

Z wyjątkiem Lavettiego wszyscy mieli na sobie kamizelki kuloodporne pod czarnymi koszulami. Podczas lotu samolotem czwórka Apaczów zamocowała na biodrach i przy pasie cały arsenał pistoletów, granatów i amunicji i słuchała, jak Grzmot wykladał im plany najazdu, a właściwie inwazji.

- Myślisz, że to się uda? - spytał w pewnej chwili Wielebny Jim.

- Kpisz sobie? - odparł Grzmot. - To będzie pieprzony cud, jeśli zdołamy wykonać choć część planu.

- Cieszę się, że to powiedziałeś - stwierdził Snajper. - Już zaczynałem się martwić.

- Przy naszym szczęściu tylko on to przeżyje. - Pani Columbo pokazała kciukiem Lavettiego.

- Nie byłbym taki pewien. - Grzmot zerknął na inspektora, który przez cały czas trwania lotu nie odezwał się ani słowem.

- Wytlumacz mi jeszcze raz działanie, tej greckiej wyrzutni - zażądał Wielebny Jim.

- Dla mnie to też nowość, więc się nie denerwuj. - Grzmot przytrzymał białą półtorametrową rurę z plastiku. - Ale Geroni-mo mówił, że wystrzeliwujesz nitroglicerynę przez rurę, jak z wiatrówki, a wtedy wyskakuje nad wodę, jak torpeda z łodzi podwodnej. Odbija się od wody i wali prosto w dom.

- Zostawia za sobą smugę ognia - dodał Snajper. - Może też oświetlić teren.

- Wiatrówka i nitrogliceryna - powiedział Wielebny Jim. - Co mogłoby pójść nie tak?

Grzmot zawiadomił z powietrza siły federalne i wyprosił dla siebie godzinę czasu na atak.

- Nie przejmuj się, Tony - powiedział do człowieka po drugiej stronie słuchawki. - I tak dajecie nam pół godziny więcej, niż potrzebujemy. Postaramy się nie zostawić wam niczego do sprzątnięcia.

Zanim Tony przerwał połączenie, powiedział tylko:

- Nie wiem, czy będzie lepiej, jak znajdziemy was żywych czy martwych.

- Jeśli nas znajdziecie, to raczej martwych - stwierdził

Grzmot.

Lucia Carney upiła łyk białego wina i wyjrzała w ciemność. Obok niej stał Wilber Graves, z chytrym uśmiechem na twarzy. Kobieta ubrana była w czarny kostium, a jej długie włosy opadały na ramiona. Pistolet kaliber.45, ze srebrną rączką, odznaczał się wyraźnie na jej krzyżu, pod marynarką.

- Są tutaj - oznajmiła. - Kryją się gdzieś w krzakach.

- Daleko nie zajdą - odparł Wilber. - Nawet tu nie podejdą. Zginą, zanim dotrą do domu.

- Szkoda - stwierdziła Lucia. - Miałam nadzieję, że przynajmniej ich poznam. Przelecieć taki kawał drogi, zadać sobie tyle trudu, żeby zakończyć życie na polu golfowym.

- Na każdym piętrze domu jest sześciu mężczyzn - poinformował ją Wilber. - Na wszelki wypadek.

- A gdzie ty będziesz? - zapytała.

|- Tam, gdzie moje miejsce - odpowiedział. - Przy tobie. Lucia dokończyła wino i uśmiechnęła się do niego.

- Czas pokaże, gdzie jest twoje miejsce, Wilber - powiedziała, i przeszła obok, nawet na niego nie patrząc.

- Będziemy trzymać się planu tak długo, jak się tylko da. - Grzmot spojrział w kierunku Wielebnego Jima i pani Columbo.

- Jeśli damy sobie radę, przegrupujemy się tu i ruszymy na pas startowy.

- Czy nie dostanę żadnej broni? - spytał Lavetti, nadal rozciągnięty na ziemi.

- A umiesz się nią posługiwać? - spytał Wielebny Jim.

- Jasne, że tak - odparł Lavetti.

- No to odpowiedź brzmi: „nie” - powiedziała pani Columbo. - Może jesteśmy stuknięci, ale nie głupi.

- Nie myśl o sobie jako o Apaczu - poradził mu Snajper.

- Myśl o sobie jako o kamizelce kuloodpornej, której nie trzeba wciągać na grzbiet.

- Zupełnie, jakbym miał własną tarczę - stwierdził Wielebny Jim. Zakuł w kajdanki jedną dłoń Lavettiego, a do drugiej bransoletki włożył własny przegub. - Ciekawe, ile kul na siebie weźmie, zanim zmęczy mnie ciągnięcie go za sobą.

- Mam nadzieję, że wystarczająco wiele, żeby zginać - odezwała się pani Columbo.

- Gotowi? - Grzmot wstał i zaplął kurtkę.

- Nie - odparł Snajper. - Ale jeśli to oznacza, że możemy wyjść z tego upału, zaryzykuję.

- Snajper i ja przejdziemy się główną ścieżką, zupełnie jak gdybyśmy byli zaproszeni na przyjęcie. Wielebny, jak najszybciej strzelaj z tej wyrzutni nad stawem.

- Wystrzelę albo z niej, albo ze swojej broni - powiedział Wielebny Jim.

Grzmot popatrzył na panią Columbo.

- Mary, podejdź najbliżej, jak możesz, i odpal te rakiety tak, jak pokazywaliśmy ci w samolocie.

- Nie przejmuj się - odparła. - Skoro potrafiłam zburzyć budynek na Manhattanie, na pewno będę umiała wystrzelić rakietę w kierunku domu.

- Spotkamy się w środku - dodał Grzmot. - Pierwszy, który dotrze do Lucii, dostanie w nagrodę dom.



- Zabiją nas wszystkich. - W głosie Lavettiego brzmiała panika. - Ona tam czeka. Wszyscy czekają. Jeśli teraz zrezygnujecie, coś wymyślę. Przekonam ją, żeby się wycofała. To jedyne wyjście.

Grzmot podszedł do Lavettiego i uderzył go mocno w twarz.

- Jak tylko zacnie się strzelanina, rozkujcie się - powiedział do Wielebnego Jima. - Otoczą go przyjaciele.

- Do zobaczenia na zabawie. - Wielebny Jim zaczął ciągnąć Lavettiego w kierunku stawu.

Grzmot patrzył, jak idą, po czym odwrócił się do pani Columbo. Uśmiechnął się i dotknął jej policzka.

- Na pewno nic ci nie będzie? - spytał.

- Martwisz się, bo jestem jedyną kobietą w zespole? - spytała.

- Martwię się, bo jesteś jedyną kobietą, na której mi zależy - odparł.

- Naprawdę potrafisz znaleźć odpowiedni moment na takie wyznania - stwierdziła z uśmiechem. Podniosła wyrzutnię i paczkę z rakietami, po czym oddaliła się na poszukiwanie właściwego stanowiska.

- Zostaliśmy tylko we dwóch - zauważył Snajper.

- Bystry jesteś.-Grzmot położył dłoń na ramieniu przyjaciela. - Jak to możliwe, żebyś skończył u boku kogoś takiego jak ja?

- Od urodzenia mam pecha - odparł Snajper. - Nic na to nie poradzę.

- No to chodźmy narobić trochę hałasu.

Ruszyli po oświetlonej ścieżce, wiedząc, że uważne oczy obserwują każdy ich krok. Minęli zakręt i czterysta metrów przed sobą ujrzeli dom.

- Nie pozwolą nam podejść bliżej - stwierdził Grzmot.

- Ja bym nie pozwolił nam podejść nawet na taką odległość.

- Może się pomyliłmy - zauważył Grzmot. - Może oni nie pragną naszej śmierci.

- Custer też tak myślał. Aż do pierwszej strzały.

- Na co czekasz? - spytała Wilbera Lucia. W jej głosie pobrzmiewała złość.

- Już ich widzisz? - odparł. - Myślałem, że chciałaś ich zobaczyć.

- Dość tych głupich gier, Wilber - powiedziała Lucia. - Chcę widzieć ich martwych.

- Już są martwi - odparł Wilber. - Tylko jeszcze o tym nie wiedzą.

- No to niech nasi ludzie ich o tym poinformują. Już. Wilber otworzył okna prowadzące na taras, wyszedł na zewnątrz i dał sygnał.

Wielebny Jim wsunął pocisk z nitrogliceryną do wiatrówki, po czym nałożył na nią półtorametrową rurę z plastiku. Razem z Lavettim klęczał na brzegu stawu na polu golfowym, dokładnie naprzeciwko tyłu domu.

- Masz jakieś pojęcie, co robisz? - zapytał z rozpaczą Lavetti.

- Ani trochę. - Wielebny Jim powoli ruszał ręką, ciągnąc zakuty w kajdanki przegub Lavettiego.

- To się nie uda - stwierdził Lavetti. - Widzę po tobie, że nawet ty w to nie wierzysz.

- Ależ z ciebie defetysta. - Wielebny Jim spojrzał na niego z ukosa. - Może powinieneś ćwiczyć jogę.

Pani Columbo włożyła raketę do wyrzutni. Ręce, twarz i plecy miała mokre od potu. Przekręciła osłonę w prawo i nacisnęła czerwony guzik, po czym odwróciła się od wyrzutni. Z zaciśniętymi powiekami czekała na wystrzał, który nie nastąpił.

- Cholera jasna, Mary - mruknęła do siebie. - Nie spieprz tego. Nie teraz. Nie tutaj.

Zerknęła pod pokrywę wyrzutni i potrząsnęła głową.

- Co za idiotka - parsknęła, gdy uświadomiła sobie, że włożyła raketę tyłem naprzód.

Z trudem ją wyciągnęła, odwróciła i znowu umieściła pod cylindrem.

- Błagam, Boże - wyszeptała z zamkniętymi oczami. - Spraw, żeby to zadziało.

Grad kul spadł na Grzmota i Snajpera, dziurawiąc ziemię u ich stóp.

To był sygnał, na który czekali.

Grzmot skręcił w prawo, Snajper w lewo i każdy z nich rzucił granat w ciemność nocy. Po tym, jak sześć granatów wysadziło w powietrze trawę i ludzi, obaj policjanci rozpięli kurtki i zacisnęli palce na rękojeści pistoletu maszynowego M-60. Stanęli tyłem do siebie, wystrzelując kule we wszystkich kierunkach, a Grzmot torował drogę do domu.

Zobaczyli pocisk z greckiej wyrzutni, zanim go usłyszeli.

Wielka kula ognia wypadła ze stawu na czarny trawnik i zanurkowała do domu, wysadzając w powietrze okna i ściany. Po chwili nastąpiły trzy kolejne wybuchy, które spowodowały jeszcze więcej zniszczeń.

Rakiety pani Columbo także trafiły do celu.

Pierwsza przestrzeliła główny budynek i wysadziła w powietrze garaż. Następne dwie załatwiły pięciu ludzi i połowę pierwszego piętra.

Grzmot i Snajper przeładowali broń i nadal strzelali, mimo że kule świstały im nad głowami. Tylko jedna z nich nie chybiła, trafiając Grzmota w prawy łokieć.

Snajper posługiwał się M-60 niczym batutą dyrygenta, a z miejsc, w które wycelował, dochodziły jęki i okrzyki rannych i umierających. Grzmot oczyścił ścieżkę przed nimi i przestał na chwilę strzelać wyłącznie po to, żeby rzucić jeszcze kilka granatów.

Wybuchy pocisków i nitrogliceryny oświetlały niebo.

- Chyba już wiedzą, że tu jesteśmy - wrzasnął Grzmot.

- Myślisz, że są gotowi się poddać? - spytał Snajper, posyłając kolejnych dwóch przeciwników na ziemię.

- Kiedy wejdziemy do środka, spytamy - powiedział Grzmot, zapalając laskę dynamitu i rzucając ją w kierunku drzwi frontowych.

Wielebny Jim rozkuł Lavettiego, podniósł go i wraz z nim ruszył w stronę domu. Inspektor zdołał jednak mu się wyrwać i pobiegł pierwszy.

- Wilber! - wrzasnął. - Nie strzelaj! To ja, Mark Lavetti! Nie strzelaj!

Wielebny Jim pobiegł w przeciwnym kierunku, po lewej stronie stawu, aż do wielkiej dziury na parterze, utworzonej przez jedną z jego ognistych kul. Posługując się swoim uzi, nadal oczyszczał drogę. Odwrócił się, żeby spojrzeć na Lavettiego, który gorączkowo wymachiwał rękami i wykrzykiwał imię Wil-bera.

- Mam nadzieję, że cię znajdzie - powiedział Wielebny Jim.

Pani Columbo, wolna od ciężaru wyrzutni rakiet i ciężkich paczek, przeszła szybko wzdłuż wybrukowanej kostką nie strzeżonej drogi i chwilę później znalazła się na tyłach domu. Wchodząc do środka, uśmiechnęła się do siebie. Poczekaj, aż Grzmot się o tym dowie, pomyślała. Nigdy w to nie uwierzy.

Drzwi otworzyły się z hukiem i do środka wskoczyli Grzmot i Snajper, otoczeni ogniem, wciąż strzelając we wszystkich kierunkach.

- Tu się rozstaniemy-powiedział Grzmot i wypalił w kierunku głównego wejścia. - Ja się zajmę parterem.

- A ja pierwszym piętrem.

- Krzyknij, jeśli będziesz mnie potrzebował - zawołał Grzmot i ruszył po schodach na górę.

- I vice versa, przyjacielu - odparł Snajper, biegnąc przez kuchnię do schodów na tyłach domu.

Wilber Graves przedarł się przez dym i ogień, mijając po drodze trupy, i popatrzył z niedowierzaniem na Lavettiego, który stał obok stawu i wykrzykiwał jego imię.

Wilber uniósł trzymany w ręce pistolet maszynowy, wycelował w policjanta i czekał, aż tamten podejzie na tyle blisko, żeby ich oczy się spotkały.

- Wilber? - wrzasnął oślepiiony dymem Lavetti. - To ty? To ty, Wilber?

- To ja - odparł Wilber.

Po czym spokojnie wystrzelił trzy naboje w Marka Lavettiego.

Pierwsze dwa trafiły w ciało.

Trzeci roztrzaskał buteleczkę nitrogliceryny, którą Wielebny Jim wsunął do kieszeni czarnej kurtki Lavettiego.

Wybuch przewrócił Wilbera i zabił wszystkich, którzy leżeli na trawniku i nie byli jeszcze martwi.

Wielebny Jim obserwował eksplozję z balkonu na pierwszym piętrze. Potrząsnął głową i się odwrócił.

- Ale sobie znalazłeś przyjaciół, Lavetti - mruknął.

Pani Columbo szła wzdłuż ściany, prowadzącej do małego pokoju na pierwszym piętrze. W całym domu rozbrzmiewały strzały, a dym sączył się wzdłuż korytarzy, szczypiąc ją w oczy. W prawej ręce trzymała przyciśniętą do uda trzydziestkę ósemkę. Wszędzie wałały się trupy i kawałki tynku.

Pani Columbo przeszła nad ubranym na czarno człowiekiem, który leżał twarzą w kałuży krwi, i skręciła za róg, gdzie wpadła na wysokiego mężczyznę z głębokimi ranami na twarzy i ramionach.

- To ciebie nazywają panią Columbo - powiedział Wilber Graves.

Pani Columbo usiłowała unieść rewolwer, ale mężczyzna był szybszy i uwięził jej rękę w swoim potężnym uścisku. Pani Columbo usłyszała szcęk otwieranego noża sprężynowego i patrzyła, jak Graves przybliży się do niej, sparaliżowana strachem, że nóż znów mógłby przeszyść jej ciało.

Widziała zbliżające się ostrze, ale nie mogła nic zrobić.

Czekała, ale nóż się zatrzymał. Wilber Graves zauważył kamizelkę kuloodporną. Wiedział, że nóż jej nie przebije. Pani Columbo uśmiechnęła się do mężczyzny.

- Nie ułatwiam ci tego, prawda? - zapytała.

- I dobrze. - Wilber odwzajemnił jej uśmiech.

Pani Columbo uniosła kolano, kopiąc Wilbera w krocze, i jednocześnie z całej siły uderzyła go łokciem w nos. Wilber zalał się krwią, puścił kobietę i runął na kolana. Pani Columbo uniosła rękę z rewolwerem i przystawiła go do skroni Wilbera.

- Naciśnij spust - wyszeptał.

Pani Columbo popełniła błąd, którego obawia się każdy policjant.

Zawahala się.

Wróciła myślami do nocy, w której szaleniec zaatakował ją i pokaleczył nożem jej ciało. Niemal widziała ostrze, które na przemian wznosiło się i opadało, i czuła ból za każdym razem, gdy przeszywało skórę. Tamtej nocy omal nie umarła na ulicy.

Zamiast tego inny mężczyzna z innym nożem miał zakończyć jej życie.

Wilber Graves wbił ostrze w kolano kobiety i je przekreślił. Pani Columbo jęknęła głośno i wypuściła rewolwer. Poczowała drętwienie w lewej nodze i zawrót głowy, więc przytrzymała się ściany. Wilber złapał ją za prawą rękę i szarpnął ku sobie. Wyciągnął nóż z nogi kobiety i sięgnął za nią, żeby rozwiązać jej kamizelkę. Pani Columbo patrzyła w sufit, ledwo mogąc skupić na nim wzrok. Jej ciało sztywniało, z wyjątkiem nogi rozgrzewanej potokiem krwi.

- Będę za tobą tęsknił, pani Columbo - powiedział Wilber.

- Szkoda, że nie mogę powiedzieć tego samego-szepnęła. Wilber uniósł brzeg kamizelki i wbił ostrze głęboko w brzuch kobiety, ciągnąc je do góry, aż natrafił na mięsień. Nie wyjmował noża, gdyż tkwił on zbyt głęboko. Pani Columbo popatrzyła na mordercę szklanym wzrokiem, czując ostry ból i jednocześnie kojące odrętwienie. Odwróciła głowę do ściany, zamknęła oczy i pomyślała o swoim synu.

Teraz już nikt nie mógł jej zranić.

To Grzmot ją znalazł.

Upadł na kolana, pośliznąwszy się na jej krwi. Podniósł głowę pani Columbo i przytulił ją do siebie. Kobieta wciąż oddychała i co chwila zwilżała wargi językiem. Po chwili otworzyła jedno oko, usiłując się uśmiechnąć.

- Patrz, ile trzeba było, żebyś mnie przytulił - wyszeptała. Grzmot nic nie powiedział. Nie mógł nic powiedzieć.

- Mówiłam, że dam sobie radę z rakietami - dodała. Tylko skinął głową.

- Jesteś ze mnie dumny? - zapytała.

- Tak - odparł powoli. - Bardzo dumny.

- To dla mnie wiele znaczy.

- Kocham cię, Mary - powiedział. Ale pani Columbo nigdy nie usłyszała tych słów. Oparła głowę na ramieniu Grzmota i po raz ostatni zamknęła oczy.

Grzmot zdjął kurtkę i nakrył ciało przyjaciółki. Pochylił się, wziął jej trzydziestkę ósemkę i zatknął ją za pasek spodni. Po chwili rozpiął rzepy mocujące jego kamizelkę i zarzucił ją na ramię.

Potem wstał i odszedł od jeszcze jednego pokonanego Apacza.

Snajper był okrążony, a kule leciały ku niemu z czterech stron, przebijając drzwi do szafy, za którymi się ukrył. Brakowało mu amunicji i nie mógł podnieść prawej ręki, w której tkwiły dwie kule z czterdziestki czwórki. Atakowało go sześciu ludzi, dwaj z nich uzbrojeni byli w pistolety maszynowe. Przy użyciu lewej ręki i resztek amunicji mógł załatwić przynajmniej dwóch. Odetchnął głęboko i postanowił ruszyć na napastników.

Jeśli miał umrzeć, to na pewno nie za drzwiami szafy.

Wyskoczył zza drzwi z wyciągniętą lewą ręką, strzelając bez opamiętania. Trafił jednego z atakujących go ludzi z pierś i mężczyzna runął przez poręcz. Snajper odwrócił się i zastrzelił napastnika z tyłu, po czym sam dostał w prawą nogę i musiał przykłęknąć.

Czterech pozostałych podeszło bliżej, gotowych zakończyć bitwę. Snajper zerknął na nich i odchrząknął.

- Macie może zbędne naboje? - zapytał.

- Tylko dwa-odkrzyknął jeden z nich. - I oba rozpieprzą ci łeb.

- I tak dziękuję - odparł Snajper.

Wielebny Jim wszedł po tylnych schodach z dwoma skrzyżowanymi na piersi pistoletami kaliber.44. Wystrzelił trzy razy w plecy jednego z napastników, aż ten runął twarzą do ziemi obok Snajpera. Trzej pozostali rzucili się do ucieczki.

Snajper złapał za strzelbę, nacisnął spust, rozwalając część ściany i jednego z napastników. Wielebny Jim przeszedł obok kolegi, rzucił mu na kolana pistolet i pobiegł wzdłuż korytarza za pozostałymi ochroniarzami Lucii, cały czas strzelając bez opamiętania. Ostatnie dwie kule śmiertelnie trafiły obu mężczyzn.

- Nie chciałbym ranić twoich uczuć - Wielebny Jim stanął nad Snajperem - ale nie najlepiej wyglądasz.

- To przez ten upał - odparł Snajper. - Nienawidzę upałów.

- Możesz iść?

- Nie za daleko.

- A strzelać?

- Lewą ręką-powiedział Snajper. - Prawa się do niczego nie nadaje. Przynajmniej dzisiaj.

- Twoja jedna ręka i tak jest lepsza niż moje obie - stwierdził Wielebny Jim.

- Masz amunicję? - spytał Snajper.

- Wystarczająco dużo, żeby się nie zbłąźnić.

- Beze mnie będziesz szybszy - powiedział Snajper. - Zostaw mi broń i idź.

- Nie tak łatwo się mnie pozbyć. - Wielebny Jim włożył do obu rąk Snajpera naładowane pistolety, a za pasek wetknął mu trzydziestkę ósemkę.

- Mówiłem, że moja prawa ręka do niczego się nie nadaje - przypomniał mu Snajper, usiłując się podnieść. - W ogóle jej nie czuję.

- Palca wskazującego też nie? - spytał Wielebny Jim, zarzucając sobie lewą rękę Snajpera na ramiona i przytrzymując go w pasie prawą.

- Czuję - przyznał Snajper.

- No to po co się ma marnować?

Snajper i Wielebny Jim powoli ruszyli wzdłuż korytarza. Obejmowali się i strzelali we wszystkich kierunkach z czterech rodzajów broni, zostawiając za sobą smugę krwi.

Grzmot stanął w drzwiach największej sypialni na pierwszym piętrze, obserwując, jak stojąca plecami do wejścia Carney grzebie w szufladzie biurka.

- Ładnie tutaj - powiedział. Lucia odwróciła się powoli.

- Ty pewnie jesteś Grzmot - stwierdziła. - Proszę, wejdź. Zachowywała się tak, jak gdyby znajdowali się w sali balowej, a nie w środku strzelaniny.

- Wszedłem. - Grzmot trzymał w dłoni trzydziestkę ósemkę pani Columbo.

- Spodziewałam się kogoś większego. - Lucia odeszła od biurka.

- Strażacy są wysocy - poinformował ją Grzmot. - Policjanci są niscy. Tak się nas odróżnia.

- Kosztowałeś mnie sporo czasu i pieniędzy.

- A ty mnie czwórkę przyjaciół. To się chyba nie wyrównuje.

- Bardzo wczesnie się nauczyłam, że w życiu wszystko ma swoją cenę-powiedziała Lucia. - Każdego mogłam kupić. Nie wiem jeszcze, jaka jest twoja cena.

- To proste - odparł. - Ty.

- Co? - Przysunęła się bliżej.

- Ty jesteś moją ceną - powiedział. - Kiedy umrzesz, odejdę stąd.

- Tacy jak ty nie zabijają kobiet - odparła Lucia. - Nawet takich, jak ja.

Grzmot spojrział jej w oczy i zrozumiał, że w pokoju jest ktoś jeszcze. Zdażył się odwrócić w tej samej chwili, w której nóż Wilbera miał ugodzić go w plecy. Nóż przeleciał obok jego prawego barku, ale siła uderzenia pchnęła Grzmota na ścianę i wytrąciła mu broń z ręki.

- To ja zabiłem twoich przyjaciół - powiedział Wilber. Złamany nos sprawił, że głos mężczyzny nabrał nosowego podźwiewku. - A teraz ty poczujesz taki sam ból, jak oni.

Grzmot poczekał, aż Wilber podejdzie bliżej, po czym runął na niego i obaj upadli na podłogę. Grzmot złapał za rączkę noża i zadał Wilberowi trzy mocne ciosy w lewą stronę twarzy.

Wilber Graves wcisnął guzik, którego nie powinien był dotykać. Teraz Grzmota ogarnęła nie kontrolowana wściekłość, podsycona wspomnieniem Kręgla, Geronima i Pani Columbo. Zadał trzy ciosy w szaleńczej furii, łamiąc rękę na twardych kościach szczęki i skroni Wilbera.

Tłukł go tak długo, aż nie mógł podnieść ręki. Opadł ciężko na przeciwnika, zupełnie wyczerpany, i uniósł głowę, aby spojrzeć na Lucie, która wciąż nad nim stała.

Nie zauważył noża.

Wilber trzymał go czterema palcami i podniósł wysoko nad głowę. Choć ledwo widział przez szparki opuchniętych oczu, wbił nóż dokładnie pośrodku pleców Grzmota.

Grzmot wrzasnął głośno upadł twarzą do ziemi. Zerknął na Wilbera, który także patrzył na niego i czekał, aż umrze.

Grzmot wyciągnął rękę i sięgnął po upuszczoną wcześniej trzydziestkę ósemkę. Zacisnął na niej palce i skierował ją w stronę

Wilbera. Twarz zabójcy była krwawą maską. Jego oczy miały nieobecny, obojętny wyraz, gdy usiłował podźwignąć się z podłogi.

Grzmot zdołał unieść się na kolana. Czuł ostry ból w plecach. Nacisnął spust w rewolwerze pani Columbo.

- To od Mary - powiedział do Wilbera Gravesa. Strzelił w brzuch Wilbera i patrzył, jak mężczyzna pada na podłogę. - A to od Carolyn.

Druga kula trafiła w głowę mordercy. Wilber zwinął się w kłębek i więcej nie poruszył.

Powoli, z trudem, Grzmot zdołał wstać, trzymając się ściany i zostawiając na niej smugę krwi. Sztywnym, ostrożnym krokiem podszedł do Lucii. Widział, jak sięga za siebie po broń, którą trzymała na plecach.

- Nigdy nie spotkałam kogoś takiego jak ty - powiedziała, celując w niego.

- Prędzej czy później musiałaś go spotkać. - Podszedł jeszcze bliżej, choć wcale nie czuł nóg. - Zawsze będzie istniał ktoś taki jak ja, żeby usuwać takich jak ty.

- A jak to robią ludzie tacy jak ty? - spytała Lucia.

- Tak, jak potrafia.

Zanim zdążyła się poruszyć lub odpowiedzieć, Grzmot wziął głęboki, bolesny oddech i runął na kobietę. Nawet nie poczuł kuli, która utkwiała mu w piersi, gdy Lucia strzeliła do



niego. Oboje upadli na podłogę, a krew policjanta zbryzgała kosztowne ubranie kobiety. Popatrzył w jej oczy, w których ujrzał błysk gniewu i to szaleństwo, które tak przerażało handlarzy narkotyków.

On jednak nie był handlarzem narkotyków.

Był policjantem.

Grzmot zacisnął pięść i dwukrotnie mocno uderzył Lucie w twarz, pozbawiając ją przytomności. Z kieszeni poplamionych krwią džinsów wyciągnął zapalniczkę i ją zapalił. Wpatrując się w niebieski płomynek, sięgnął za siebie i z tylnej kieszeni spodni wyjął łaskę dynamitu.

Pamiętkę po Geronimie.

Zapalił czterdziestopięciosekundowy lont i włożył dynamit za bluzkę Lucii.

Odczołgał się na kolanach i rękach. Ból był tak przeraźliwy, że wręcz czuł jego smak. Po raz ostatni Grzmot popatrzył na rozciągnięte na podłodze, martwe ciało Wilbera, i stopą zamknął za sobą drzwi.

Dotarł do połowy korytarza, gdy dynamit rozniósł całe pomieszczenie i posłał go aż na schody.

- Suki już nie ma, Geronimo - wymamrotał Grzmot, opierając głowę o marmurowy schodek.

Wszyscy trzej Apacze znajdowali się na pierwszym piętrze.

Snajper z opuszczoną głową siedział przy ścianie, słaby od rany. Wielebny Jim opierał się o balustradę. Jego ubranie lepilo się od krwi, a prawa noga była przestrzelona. Grzmot leżał na podłodze z terakoty, z twarzą we własnej krwi i nożem Wilbera w plecach.

Otaczał ich dym, płomień i trupy. Z dala słychać było nasilające się odgłosy syren wozów policyjnych i strażackich.

- Ej, Grzmot - odezwał się Wielebny Jim.

- Co? - odparł Grzmot, nie podnosząc głowy.

- Nie chciałem cię martwić, ale masz nóż w plecach.

- Potrzebowałem wieszaka na kapelusze.

- Dobra myśl - przyznał Wielebny Jim.

Gdy tak czekali w milczeniu na ratunek, Snajper odwrócił głowę w prawo. Jeden z rannych ochroniarzy czołgał się w kierunku swojej broni.

Mężczyzna popatrzył na Snajpera, zaciskając palce na rękojeści pistoletu.

- Ty, czarnuch - powiedział, usiłując jednocześnie podnieść broń. - Czy ty nigdy nie pudłujesz?

Snajper zacisnął palce lewej ręki na czterdzieście czwórcie i wystrzelił z niej jeden pocisk, trafiając przeciwnika w sam środek czoła.

- Nie - odparł i znowu oparł się o ścianę.

- Na głupie pytanie... - zaczął Wielebny Jim.

Śmiech rannych Apaczów rozbrzmiewał echem w płonącym domu i wędrował po ruinach upadłego narkotykowego imperium.

Ci, którzy już nigdy nie mieli być sprawni, znów zwyciężyli.

#### EPILOG

Każdy człowiek ma własne przeznaczenie. Jedyne imperatyw to podążać za nim, zaakceptować je, niezależnie od tego, dokąd prowadzi.

Henry Miller, Mądrość serca

Styczeń 1983

Grzmot siedział u szczytu niewielkiego stolika, sączył herbatę i przyglądał się, jak Snajper i Wielebny Jim rozgrywają partię szachów.

- Czy to takie nudne, jak się wydaje? - spytał.

- Tak - odparł Wielebny Jim.

- To dlaczego w to gracie?

- Bo nie mamy warcabów - powiedział Snajper. Rekonwalescencja dobiegała końca.

Grzmot i Snajper spędzili miesiąc w szpitalu w Arizonie. Wielebny Jim został wypuszczony po dwóch tygodniach, a wcześniej zdażył się zakochać w jednej z pielęgniarek z nocnej zmiany. Wszyscy trzej policjanci musieli przechodzić bolesną fizykoterapię, która stała się nieodłączną częścią ich życia.

Zgodnie z przewidywaniami, nie było żadnych prawnych komplikacji w związku z atakiem na posiadłość Lucii. Federalni chętnie wzięli na siebie usunięcie Lucii i jej ludzi. Apacze oglądali konferencję prasową w telewizji, w szpitalnym pokoju Grzmota.

- Gdyby tylko równie sprawnie łapali kryminalistów, co pieprzyli - westchnął Wielebny Jim, wyłączając odbiornik - w ogóle nie byłoby przestępstw.

Nie wrócili prywatnym samolotem, który po ataku czekał na nich pięć kilometrów na wschód od posiadłości Lucii. Zamiast tego wyjechali z Arizony w wynajętym kabrioletcie. Po drodze odwiedzili indiańskiego szamana z plemienia krewniaków Gero-nima. Starzec z błyszczącymi oczyma słuchał, gdy opowiadali mu, że Geronimo umarł śmiercią wojownika, dumnie i bez strachu.

- Będziemy za nim tęsknić - powiedział Grzmot. - Był dobrym przyjacielem.

- Nie musicie - odparł starzec mocnym głosem. - Jego duch żyje i wędruje wraz z wami. I z tymi, którzy pójdą w wasze ślady.

- Na razie wszyscy mają nas gdzieś - zauważył Wielebny Jim.

Stary człowiek uśmiechnął się i pokiwał głową.

- Życie nie jest lekkie - powiedział. - Zwłaszcza dla śmiałków.

Kiedy Grzmot wrócił do Nowego Jorku, od razu poszedł do domu pani Columbo. Siedział przy małym kuchennym stoliku, naprzeciwko jej męża i syna. Wyjął z kieszeni odznakę i podał ją młodemu Frankowi.

- Chciała, żebyś to zatrzymał - powiedział. Chłopiec wziął do ręki odznakę i wbił w nią wzrok.

- Tylko na tym jej zależało - stwierdził łamiącym się głosem. - Na byciu policjantką.

- Mylisz się - odparł Grzmot. - Zależało jej na tobie. Bardzo.

- Kochał ją pan? - spytał Frank i podniósł na niego wzrok.

- Tak. - Grzmot spokojnie patrzył mu w oczy.

- A ona pana?

- Tak. Ale nie w taki sposób, jak myślisz. Nie tak, jak kochała twojego tatę.

- Tylko jak? - spytał Frank.

- Kochała mnie za to, co robię - wyjaśnił mu Grzmot. - Twojego tatę kochała za to, kim jest. To wielka różnica.

- Ja jej nie widzę - stwierdził chłopiec.

- Nie musisz jej widzieć teraz. - Grzmot wstał. - Pewnego dnia ją dostrzeżesz. Mam nadzieję, że tego dożyję.

Wrócili do przewidywalnej nudy codziennego życia.

Snajper znowu pracował jako portier w budynku na Sześćdziesiątej Piątej Ulicy. W wolnym czasie grał w piłkę z synem i jeździł na długie wycieczki z żoną.

Wielebny Jim zaczął pracować na budowie, jako nadzorca załogi, którą Nunzio wynajął do odbudowy kręgielni Jimmy'ego Ryana. Starszy pan chciał, aby popołudniami bawiły się w niej okoliczne dzieciaki.

Grzmot zazwyczaj spędzał dni w kinach, muzeach i bibliotekach. Wieczorami, jak zawsze, przesiadywał u Nunzia.

Snajper wystawił skoczka przeciwko wieży Wielebnego Jima i sprzątnął ją z szachownicy.

- I już? - spytał Grzmot. - Gapisz się piętnaście minut, czekasz i robisz tylko tyle?

- Nie miałem jak zbić hetmana - wyjaśnił Snajper.

- Ludzie w śpiączce mają większy ubaw - wymamrotał Grzmot.

Przyszedł Nunzio, wlokąc za sobą krzesło i niosąc w ręce filiżankę kawy.

- Telefon do ciebie - poinformował Grzmota i usiadł, żeby poobserwować grę. -  
Zanim odbierzesz, powiedz mi, który z nich wygrywa. Nie chciałbym im przeszkadzać.

- Jeśli się tego domyślisz, postawię wszystkim kolację - odparł Grzmot.

- Ja wygrywam - odezwał się Snajper.

- Zamawiam stek - dodał Wielebny Jim.

Grzmot odsunął krzesło i ruszył do telefonu przy barze.

- Kto dzwoni? - spytał Nunzia.

- Nie przedstawił się.

- Dlaczego?

Nunzio wzruszył ramionami.

- Może jest nieśmiały - odparł.

Po niecałych pięciu minutach Grzmot wrócił do stolika. Jego twarz i oczy wprost promieniały. Snajper, Wielebny Jim i Nunzio wbili w niego spojrzenie.

- Powiesz nam? - spytał wreszcie Snajper. - Czy mamy rozegrać jeszcze jedną partię?

- Ile trzeba wam czasu, żeby skończyć tę? - odpowiedział pytaniem Grzmot.

- Możemy przerwać w każdej chwili - stwierdził Wielebny Jim. - Jeśli jest jakiś dobry powód.

- Chcecie się ze mną przejechać? - zapytał Grzmot.

- Dokąd? - zainteresował się Snajper.

- Na spotkanie z facetem, który ma kłopoty - odparł Grzmot. - Pomyślał, że może moglibyśmy pomóc.

Popatrzył na przyjaciół i gdy ujrzał uśmiechy na ich twarzach, skinął głową.

- Nigdy w życiu nie dożyję portierskiej emerytury - westchnął Snajper i odsunął szachownicę.

- Może pozwolą ci zatrzymać uniform. - Wielebny Jim sięgnął po czapkę. - Ładnie ci w nim.

Nunzio siedział przy stole i patrzył, jak Apacze wychodzą z jego restauracji na mroźne zimowe popołudnie. Patrzył, jak odchodzą, by znów być tym, czym nigdy nie przestali być.

Policjantami.

KONIEC